

NOCARZ



fabryka słów
.....

950



MAGDALENA KOZAK
NOCARZ

fabryka słów
Lublin 2006

Copyright © by Magdalena Kozak, Lublin 2006
Copyright © by Fabryka Słów Sp. z o.o., Lublin 2006

Wydanie I

ISBN 83-89011-83-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

*Składam serdeczne podziękowania dla
zespołu redaktorów merytorycznych w składzie:*

*Wojciech „Magister” Artych
Włodzimierz „Smutny” Lubebki
Bartłomiej „Szcypior” Repka
Maciej „Kangur” Stopniak
Arkadiusz „Pingwin” Wantoła*

Magdalena Kozak

„Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków funkcjonariusza Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia. Wykonując powierzone mi zadania, ślubuję pilnie przestrzegać prawa, dochować wierności konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej, przestrzegać dyscypliny służbowej, a także honoru, godności i dobrego imienia służby oraz przestrzegać zasad etyki zawodowej”.

Rota ślubowania ABW

Ustawa z dnia 24 maja 2002 r. o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Agencji Wywiadu. (Dz. U. Nr 74, poz. 676);

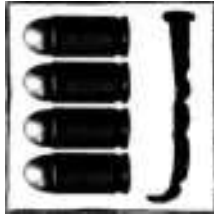
Art. 47. pkt 1

Operacja „Faust”

Centralny Ośrodek Szkolenia Agencji Bezpieczeństwa

Wewnętrznego w Emowie

ul. Nadwiślańczyków, 05-462 Wiązowna



erzy Arlecki wpatrywał się w czerwoną tabliczkę z białymi literami, nad którymi przycupnął orzełek w koronie. W zamyśleniu potarł brodę i spojrzął na zegarek. Za piętnaście ósma rano. Westchnął lekko, po czym podszedł do wartowni, wyciągając portfel z kieszeni. Wyjął z niego legitymację i dowód osobisty, podał dokumenty zaspanemu funkcjonariuszowi. Tamten tylko pokiwał głową, po czym bez słowa zaczął wpisywać coś do zeszytu. Przerwał nagle, wyjął drugi brulion i przez chwilę się w niego wczytywał, porównując dane. Po chwili podniósł wzrok na petenta i pokręcił przecząco głową.

- To nie tu - powiedział, zamykając zeszyt. - To nie to szkolenie.

Arlecki stłumił westchnienie. Znowu ta sama zabawa, sprawdzanie odporności psychicznej kandydata. Pierwszy raz poddawali go takiej próbie w szpitalu MSWiA na Wołoskiej, kiedy przechodził testy psychologiczne. Pani doktor nieustępliwie wmawiała mu, że kłamał przy wypełnianiu kwestionariuszy, on zaś bronił się jak mógł. Wreszcie wymigał się jakoś. Potem dowiedział się, że test zdał. Każdego, kto przeproszał i przyznawał się do najdrobniejszego błędu, wyrzucano na bruk. Funkcjonariusz ABW musi umieć się znaleźć w kłopotliwej sytuacji. Wrażliwych nie potrzebują.

- Lepiej sprawdź jeszcze raz w tym swoim zeszycie - powiedział więc wartownikowi.
- Mam skierowanie. - Wyjął kolejny dokument z portfela i położył go na parapecie okienka wartowni. - Adres się zgadza? Godzina też? No to jestem na szkoleniu. I lepiej mnie wpuść, zanim się spóźnię i będzie afera. Tobie też się oberwie, zaręczam.

Tamten rzucił okiem na kolejny papier, po czym pokręcił zdecydowanie głową. Zebrał dokumenty Arleckiego, wysunął rękę przez okienko i pomachał nimi nagląco.

- Biuro do spraw białego wywiadu sekcja trzecia ma swój własny ośrodek szkoleniowy - odparł niewzruszenie. - Ulica Nadwiślańczyków trzy a - zaakcentował mocno literę „a” - masz tu napisane. - ...baranie! - dodawał wyraz jego twarzy.

Jurek zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

- W tył zwrot, w prawo, a potem przez las. Lepiej jedź już, zanim się spóźnisz i będzie afera! - dorzucił wartownik kpiąco. - Bo jeszcze mi się oberwie...

Arlecki wpatrzył się uważnie w skierowanie. Rzeczywiście, przy adresie widniał gryzmoł, który przy odrobinie dobrej woli można było uznać za „3a”. W nagłówku dokumentu zaś - literki BBW III, które uznał był za specyfikację trybu szkolenia. Tymczasem miałyby to być jego nowy przydział? Zmarszczył brwi ze zdziwieniem. Biuro Analiz i Informacji, zajmujące się białym wywiadem, mieści się na Rakowieckiej, nigdy nie słyszał, żeby mieli jakąś filię. Cóż, o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał w tej firmie. I o wielu z pewnością nigdy nie usłyszy...

Warknął coś niecenzuralnego pod nosem, odwrócił się i spiesznym krokiem udał się do samochodu. Wskoczył za kierownicę, ruszył gwałtownie. Skręcił we wskazanym kierunku, okropnie wyboista droga powiodła go przez las. Z niepokojem obserwował wskazówki zegara. Do ósmej zostało mu zaledwie pięć minut. No pięknie, spóźni się, i to na samym początku swojej oszałamiającej kariery kontrwywiadowcy.

Wreszcie dotarł do metalowej bramy, tu i ówdzie nadgryzionej przez rdzę. Zatrzymał samochód tuż przed nią, wysiadł, rozglądając się wokół. Okolica wyglądała nadzwyczaj nieprzyjaźnie, drzewa i krzewy straszyły bezlistnymi gałęziami, wyleniała trawa pokładała się smętnie pod nimi. Do tego siał drobny marmocowy deszcz, a niebo zaciągnięte chmurami zdawało się wisieć tuż nad czubkami drzew.

Arlecki przeciągnął ręką po króciuteńko obciętych ciemnych włosach, zbierając z nich wilgoć. Podszedł do sąsiadującej z bramą furtki, na której wisiała niegdyś czerwona, teraz brunatna tabliczka. Pochylił głowę, starając się odczytać niewyraźne litery.

„Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Biuro do spraw Białego Wywiadu, sekcja III” - odszyfrował wreszcie.

Pokiwał głową, pchnął furtkę. Zaskrzypiała, ale ustąpiła bez specjalnych problemów. Zdziwił się lekko - wejście bez wartowników? Nie miał już jednak zbyt wiele czasu do namysłu, wyciągnął więc dłoń z pilotem w kierunku samochodu. Auto zapikało w odpowiedzi, mrugając światłami. Arlecki ruszył spiesznie krętą drogą wśród drzew, co chwila zerkając na zegarek.

Było już pięć po ósmej, kiedy dotarł do małego, szarego budynku, wciśniętego w wysoki żywopłot z tuj. Wbiegł po kilku schodkach, położył rękę na mosiężnej klamce, nacisnął ją i pchnął wielkie drewniane drzwi. Znalazł się w niewielkim przedsionku. Z lewej strony ziewał wartownik w swojej kanciapie.

- Taaak? - rzucił funkcjonariusz niechętnie, podnosząc wzrok. - O co chodzi?

Jurek wydobył czym prędzej portfel, wysuwał zeń papiery i rzuciwszy na nie okiem dla wszelkiej pewności, wręczył je wartownikowi. Tamten przyglądał się dokumentom przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Szkolenie, mhm - powiedział, kryjąc kolejne ziewnięcie. - Nowy nabytek, no proszę... Wchodź! - Wcisnął guzik otwierający wielkie stalowe drzwi i machnął głową w ich kierunku.

- Samochód stoi pod bramą... - zaprotestował Arlecki. - Może wjadę?

- Jesteś już spóźniony - warknął tamten nagle. - Poczekasz jeszcze, aż cię ochrzanią? Ktoś się zaopiekuje twoim samochodem... Może.

Jurek kiwnął spiesznie głową i wszedł. Omiótł wzrokiem hall, równie obskurny i ponury jak cała okolica.

Już zaczynam żałować tej całej awantury, pomyślał gorzko. Zachciało mi się bawić w Bonda, cholera. Źle mi było w mojej starej repiarni?

Zacisnął nagle wargi. Tak, źle było, i to bardzo źle. Choćby nie wiem co, postara się tam już nie wrócić. A jak na razie tutaj, w ABW, nie jest tak najgorzej. Nawet mimo nudnego jak cholera stażu i braku jakichkolwiek gwarancji, że teraz będzie inaczej.

Ze schodów zbiegł mężczyzna ubrany w znoszony brązowy sweter i niebieskie dżinsy. Podszedł do Jurka i podał mu dłoń.

- Witamy w sekcji trzeciej! - powiedział bardzo oficjalnym tonem. - Jestem kapitan Morawski, będę pańskim oficerem prowadzącym podczas szkolenia. Bardzo rzadko przyjmujemy nowe osoby, mam zatem nadzieję, że udowodni pan swoją przydatność do naszych celów.

- Szeregowy Arlecki - odparł Jurek, ściskając mu dłoń. - Zrobię, co tylko w mojej mocy - dodał w nadziei, że zabrzmiało to wystarczająco gorliwie.

Tamten pokiwał głową.

- Zapraszam - rzucił i ruszył korytarzem w prawo. - Jak rozumiem, odbył pan już okres próbny i jest po przysiędze? - spytał, nie odwróciwszy się nawet.

- Tak, oczywiście - potwierdził Jurek skwapliwie, podążając za nim i rozglądając się wokół.

Nic szczególnego nie przykuło jego uwagi. Po obu stronach korytarza widniał szereg drewnianych drzwi opatrzonych jedynie numerami, bez żadnych tabliczek. Słabe światło żarówek ledwie rozjaśniało panujący tu półmrok. Drewniana klepka pokryta wytartym purpurowym dywanem trzeszczała w rytm kroków.

- Czym pan się zajmował na okresie próbnym? - ciągnął Morawski.

Arlecki z trudnością pohamował zniechęcenie.

- Tym samym, co, zdaje się, przypadnie mi i tu w udziale. - Westchnął mimowolnie. - Biały wywiad. Zbieranie informacji z ogólnodostępnych źródeł. Krótko mówiąc, siedziałem godzinami w Internecie i wyciągałem byle bzdury...

- Biały wywiad to podstawa pozyskiwania informacji - przerwał mu Morawski sucho. - A bez tego nie ma mowy o jakiegokolwiek robocie operacyjnej.

Zatrzymał się przed drzwiami numer dwanaście, odwrócił się i popatrzył na podwładnego uważnie.

- Każdy by chciał być Jamesem Bondem - powiedział z nutą szyderstwa w głosie. - Pan też? - W oczach zamigotały mu złośliwe ogniki.

Jurek wzruszył ramionami.

- Przedtem pracowałem jako przedstawiciel medyczny w firmie farmaceutycznej - odparł zwięźle. - Mówiąc wprost, byłem akwizytorem leków. Nie wyobrażam sobie zajęcia bardziej odległego od przygód Bonda niż to, które oferowała mi moja poprzednia firma...

- Proszę, oto pańskie miejsce pracy - uciał kapitan, wchodząc do pokoju.

Arlecki wsunął się tuż za nim. Powiódł wzrokiem po swoim nowym życiu.

Niewielki pokoik o poszarzałych, zabrudzonych ścianach, bez żadnych obrazów. Cztery drewniane biurka z przestarzałymi monitorami komputerów, zajmującymi prawie połowę blatu. Przed biurkami obrotowe krzesła, bynajmniej nie pachnące nowością. Wystrzępiony dywanik był dla odmiany zielony.

- A gdzie pozostali pracownicy? - Jurek popatrzył na przełożonego pytająco.

- Biegają. O ósmej jest zaprawa poranna - wyjaśnił tamten. - Potem, o dziewiątej, śniadanie. Pracę rozpoczynamy o dziewiątej trzydziści. Pan dopiero przyjechał, ominęły więc pana te przyjemności.

Milczeli chwilę.

- Obiad o drugiej - odezwał się wreszcie Morawski. - Potem od trzeciej znowu robota, aż do wpół do siódmej. O siódmej kolacja. Potem zajęcia wieczorne, zazwyczaj strzelanie. O dziesiątej cisza nocna.

- I tak dzień w dzień? - zapytał Jurek z niedowierzaniem. - Mieszkacie tu, jecie, śpicie i pracujecie tak w kółko?

- Wyraził pan zgodę na pracę w systemie skoszarowanym, prawda? - rzucił Morawski niechętnie. - Niedziele są wolne. Ale żeby wyjść na miasto, potrzebna jest przepustka - zastrzegł.

Jakie miasto? - westchnął Arlecki w myślach. Dookoła same lasy, do Warszawy ze czterdzieści kilometrów... Zresztą po co komu przepustka? Do tej zardzewiałej, nie pilnowanej bramy?

Nie powiedział jednak nic. Olśniewająca kariera polskiego Jamesa Bonda wydawała się coraz mniej realna, naiwne marzenia rozpadały się na kawałki pod naporem twardej rzeczywistości. Ale przynajmniej nie trzeba będzie włożyć w tyłki tym cholernym lekarzom, przekonując, że lek produkowany przez pracodawcę jest jedynym specyfikiem godnym ich wielce przewielebnej uwagi. Choć tego nie będzie musiał robić i może odzyska odrobinę szacunku do siebie samego. Choć odrobinę.

Nagle pochwycił uważne, taksujące spojrzenie kapitana.

- Podobno jest pan bardzo dobry w skokach do wody? - spytał Morawski z dość wyraźnym zainteresowaniem.

Arlecki pokiwał głową.

- Kiedyś byłem - powiedział. - Szmata czasu temu.

Było, minęło.

W myślach błysnęła mu twarz trenera sprzed lat. Kutas, wiecznie się czepiał, a jak przyszło co do czego, zablokował mu wejście do reprezentacji. Młody zawodnik nie wytrzymał, strzelił go jedynym w swoim życiu prawym prostym i na tym zakończył swój udział w jakichkolwiek zawodach. Jurek westchnął ukradkiem. Całe życie pełne bezsensownie zmarnowanych szans. Teraz też utknie gdzieś w obskurnym pokoiku na zadupiu, z oczami przykutymi do ekranu komputera. Ku chwale Ojczyzny zresztą.

- No to chodźmy - rzucił kapitan, przybierając znów chłodny wyraz twarzy. - Przejdziemy teraz do drugiego budynku, gdzie znajduje się część mieszkalna. Rozpakuje się pan i zdomowi. Aha, i proszę zabrać samochód spod bramy. Blokuje przejazd.

Arlecki pokiwał smętnie głową.

- Tak jest! - powiedział, starając się ukryć rozczarowanie.



Kiedy rozpoczął pracę, dwóch kolegów i koleżanka zza biurka przywitali go nijako. Ani szczególnym ciepłem, ani też chłodem od nich nie wiało. Przedstawili się krótko: Maria, Staszek, Wojtek. Wszyscy byli w stopniu porucznika, bez żenady więc zaczęli wysługiwać się szeregowym, wyznaczając mu doniosłe zadanie robienia kawy na życzenie. Na szczęście jednak pominęli oficjalną tytulaturę i pozwolili sobie mówić na „ty”.

Jurek nie protestował zbyt. Stopień oficerski mógł dostać dopiero po szkoleniu, taka to już była koncepcja przyjęta w ABW. Tylko co to za szkolenie, czego on się tu nauczy? Szperania w Sieci? Robienia kawy? Co za bezsens, chciało mu się wyć.

Omali się nie roześmiał gorzko, kiedy przeczytał oficjalnego maila od Morawskiego, przydzielającego mu pierwsze zadanie. Sekcja III od lat gorliwie pracowała nad koncepcją zebrania i usystematyzowania danych na temat zdolności kamuflujących różnych istot, nie wyłączając postaci fantastycznych i literackich, w warunkach środowiska ludzkiego. Obecnie szeregowy Arlecki miał się zająć zbadaniem wszelkich aspektów potencjalnego funkcjonowania wampirów w społeczeństwie współczesnym.

Kręcił z niedowierzaniem głową, czytając wiadomość po raz drugi, a potem trzeci i czwarty. Nabrał w końcu niezachwianego przekonania, że zadanie było kolejnym testem, zresztą spodziewał się czegoś takiego już od samego początku. Już kiedy był na okresie próbnym, przełożeni zadawali pytania, na które znali odpowiedzi, i patrzyli, jak sobie radzi z wyszukiwaniem informacji. A potem, co znacznie trudniejsze, ze zbieraniem ich do kupy i opracowywaniem w miarę sensownej notatki. Przyznać jednak należy, że żadne z poprzednich zadań nie było aż tak bezsensowne jak to. Wampiry, też wymyślili, naprawdę...

Uśmiech spełził mu z twarzy pod wpływem kolejnej refleksji. Zapewne jego nowi koledzy sprawdzają właśnie, jak działa w warunkach wysokiej niepewności, graniczącej z absurdem. Na ile jest subordynowany i elastyczny, gotowy na wypełnianie najbardziej idiotycznych rozkazów. To już nie jakaś tam praca, to służba w warunkach specjalnych i trzeba się jak najlepiej wywiązać z każdego powierzonego zadania. Nawet jeżeli miałyby nim być przeprowadzenie badań nad protokołem dyplomatycznym krasnoludków.

Kapitan Morawski w mailu sugerował, aby Jurek jak najszybciej zabrał się za uzupełnianie swojej wiedzy. Na biurku leżało zaś coś, co koledzy określili „wstępniakiem”. Kilka filmów na DVD. Jurek przeleciał wzrokiem po okładkach. „Nosferatu - symfonia grozy” Murnaua z 1922 roku, „Dracula” Fishera z 1958, „Nazarin” Bunuela z 1959. Wszystkie trzy do obejrzenia jeszcze dziś wieczorem, na jutro zapowiedziano następne. Do tego lektura obowiązkowa: Johann Wolfgang Goethe „Narzeczoną z Koryntu”, John William Polidori „Wampir”, Prosper Merimee „Upiór. Ballada morlacka”. Ciąg dalszy nastąpi.

Arlecki westchnął ukradkiem. No cóż, początki nigdy nie są łatwe. Jak mu to mówił znajomy kardiolog z Wołoskiej: „Młody lekarz musi być jak buldog: jak się wgrzyzie, to nie popuści”. Widocznie młody funkcjonariusz też taki musi być.

No cóż. Chcą o wampirach, niech im będzie. Znajdzie, co tylko będzie mógł. Może im całą historię Vlada Tepesa wygrzebać, do tego dokładając wirtualny przewodnik po jego stolicy, Targoviste.

Zaraz, zaraz, błysnęła mu pełna ożywienia myśl. W Targoviste w grudniu 1989 został stracony czerwony dyktator Nicolae Ceausescu wraz z żoną. Może po prostu szykuje się jakaś polityczna rozgrywka z Rumunią? Może nasi zamierzają zagrać jakąś bardzo niestereotypową kartą i po prostu potrzebują do tego danych? Może te informacje nie są wcale testem, ale rzeczywiście komuś są do czegoś potrzebne? No, w takim razie to może być coś, na co warto spojrzeć...

Arlecki wpisał w Google'a hasło „Targoviste” i z zapałem zabrał się do pracy.



- Wampiry kamuflują się na różne sposoby - stwierdziła z przekonaniem Maria. - Osiągnięcia techniki umożliwiają im to w sposób niemal doskonały.

Jurek nie odpowiedział, masując ukradkiem obolałe nogi. Poranna zaprawa dała mu w kość. Jedynym sportem, jaki uprawiał dotąd, były skoki do wody, a i te zarzucił dawno temu. Od tamtej pory wiódł mało dynamiczne życie mola książkowego, większość czasu spędzając za biurkiem lub za kierownicą. Teraz za to płacił, jego kondycja fizyczna była wyjątkowo żalosna.

Skrzywił się pod wpływem świeżego wspomnienia. Podczas dzisiejszej porannej zaprawy zwymiotował z wysiłku już po trzecim kilometrze, jednak jego oficer prowadzący nie zamierzał mu niczego darować. Zmusił go do przebiegnięcia pełnej piątki, po czym dobił serią przysiadów, brzuszków i pompek. Pozostali funkcjonariusze dawno już poszli na śniadanie, a kapitan mówił głosem Lindy „Co ty, kurwa, wiesz o zmęczeniu”, dodając sarkastycznie „panie Arlecki”, i wydawał kolejną komendę. Jurek zaczynał go nienawidzić. Jego i wszystkich dookoła.

Oprawca skończył wreszcie i odszedł, kręcąc głową z nieskrywanym obrzydzeniem. Świeżo upieczony rekrut dowlókl się zaś do swojego pokoju ledwo żywy, bez cienia ochoty na śniadanie. Żołądek wciąż robił mu niespodziewane salta i ostatnią rzeczą, na którą mógł sobie pozwolić, było jakiegokolwiek go obciążanie.

Kandydat na oficera ABW pohamował kolejne westchnienie. Nie idzie mu najlepiej, co tu kryć. Na dodatek ta nawiedzona ciemnowłosa dama zamierza właśnie przeprowadzić wykład o kamuflażu wampirów. Co by oznaczało, że wszyscy dostali to samo zadanie, nad jednym problemem pracuje cały pokój. I to w dodatku każdy osobno, jak popadnie, bez za-

znaczenia poszczególnych obszarów kompetencji. Coś tu jest zdecydowanie nie tak, przecież to bardzo nieefektywny podział ról i obowiązków.

Czyli jednak go sprawdzają, przecucie go nie myliło. Przyglądają mu się uważnie, obserwują reakcje... Czegóż, na litość boską, chcą się w ten sposób dowiedzieć, że lubi horrory czy co?

- Wampiry spokojnie mogą chodzić pomiędzy nami, mają na to swoje sposoby - ciągnęła Maria, patrząc na niego uważnie. - Na przykład używają filtrów przeciwsłonecznych. Nakładają *Total Sun Block*, szkła kontaktowe z filtrem UV i po sprawie, mogą spacerować w dzień. Proste, nieprawdaż? - Rozejrzała się po kolegach, jakby szukając w nich potwierdzenia i wsparcia.

Audytorium milczało.

- No, co o tym myślisz, Jurek? - zahaczyła go wprost.

Była od niego wyższa stopniem, musiał więc odpowiedzieć.

- Myślę, że powinniśmy spojrzeć na tę sprawę szerzej, dzięki czemu będziemy mogli wysnuć wnioski nadające się do zastosowania w praktyce - odparł z ostentacyjnym przekonaniem. - Na przykład, moim zdaniem ten pomysł bardzo się przyda naszym jednostkom bojowym w Iraku. *Total Sun Block* powinien być standardowym wyposażeniem każdego żołnierza. Należy tę wiadomość przekazać „górze” jak najszybciej.

- Nie rób sobie ze mnie jaj - warknęła lodowato. - Irak to nie nasza działka. Nie jesteśmy w WSI.

- Tak jest! - odparł sucho, po czym wbił wzrok w ekran.

Zacisnął wargi. A jednak niewypał. Nie sprawdzają posłuszeństwa i lojalności, chyba to nie to. Nie mógł na razie rozgryźć, o co im chodzi, nic a nic.

Oczy piekły go z niewyspania, obejrzał wszystkie zalecane filmy, ale skończył o trzeciej nad ranem. Potem śniły mu się stada wampirów, zagładające do okna i przypatrujące mu się, śpiącemu, ciekawie. Na szczęście żaden go nie ruszył. Jakby na coś czekały, na jakieś pozwolenie... Obudził się, macając z przerażeniem pod poduszką, gdzie trzymał służbowego glocka. Jego dłoń trafiła na uspokajający kanciasty kształt, odetchnął więc z ulgą. Zaraz potem jednak cofnął rękę zrezygnowanym ruchem. Czy wampiry są wrażliwe na nabój 9 mm parabellum? Chyba nie. Trzeba będzie sprawdzić w Internecie.

Teraz, kiedy blade światło dnia wpadało przez mleczone, nieprzezroczyste szyby, informacja ta nie wydawała mu się już potrzebna. Owszem, sprawdzi, bo mu za to płacą, ale

bez hysterii i bez paniki, proszę. To tylko sen, spowodowany przewlekłym stresem i trudną sytuacją. Tylko sen.

- Słuchaj, Mario... - rzucił, przecierając dłonią zaczerwienione oczy. - A czym się te wampiry zabija? Znalazłaś coś może?

Popatrzyła na niego uważnie, pokiwała głową.

- Zrobiłam nawet opracowanie. Mam je w Wordzie, prześlę ci - rzuciła, jej palce błyskawicznie przebiegły po klawiszach. - Poszło!

Jurek otworzył pocztę, pobrał dokument i pogрузzył się w lekturze. Maria odwaliła kawał roboty. Przystudiowała chyba wszystkie dostępne źródła, aby przedstawić analizę skuteczności poszczególnych metod.

Według niej wampiry charakteryzowały się nadzwyczajną zdolnością regeneracji. W związku z tym zabijałyby je wyłącznie działania uszkadzające w znacznym stopniu życiowo ważne narządy. Stąd też dekapitacja bądź przebicie serca mają wszelkie podstawy ku temu, by uznać je za metody skuteczne. Równie zabójczym miało być działanie skrajnie wysokich temperatur, o ile nastąpiłoby wystarczająco szybko, by organizm nie zdołał skompensować nadmiernego poboru energii cieplnej. Ponadto w wielu źródłach opisywana jest wysoka wrażliwość skóry wampirzej na promieniowanie ultrafioletowe. Powstają rozległe oparzenia, do III i IV stopnia włącznie, które mogą w szybkim czasie doprowadzić do zgonu.

Natomiast co do działania czosnku Maria wypowiadała się sceptycznie. Dowodziła, że poglądy o jego skuteczności powstały na skutek mylenia prawdziwych wampirów z ludźmi chorymi na porfirię skórną późną. Bładość, unikanie światła, zniekształcenia skóry twarzy, połączone z bezsennością, halucynacjami i paranoją to obraz kliniczny nieleczonej porfirii. Czosnek należy zaś do czynników mogących u porfiryków wywoływać szczególne dolegliwości ze strony przewodu pokarmowego. Stąd też pomyłka. Maria dowodziła, że choć wampiry odżywiają się krwią, mogą bez przeszkód spożywać wszelkie inne pokarmy, nie korzystając z nich jednak wcale.

Działania krzyża i innych symboli religijnych Maria nie omówiła w ogóle. Wzmiankowała tylko, że siły parapsychiczne mogą mieć równie skuteczne działanie, jak czynniki fizyczne. Można by tę tezę ekstrapolować na skuteczność działań podejmowanych przez ludzi silnie wierzących, ale o tym Maria nie pisała nic.

Jurek doczytał do końca, po czym odłożył papiery na biurko i zapatrzył się na nie. Narastało w nim poczucie niepewności. Opracowanie było bardzo dokładne, pełno w nim było przypisów i odnośników. Maria musiała poświęcić wiele godzin na wyszukanie tych informacji. Komu by się chciało wkładać tyle wysiłku w głupi kawał?

- Te wampiry to straszne skurwysyny, wiesz? - odezwał się nagle milczący zazwyczaj Wojtek. - Trzeba je niszczyć bez litości!

Jurek spojrzał na kolegę uważnie, starając się rozszyfrować jego nieprzeniknioną minę. Tamten kpi z niego, sprawdza go czy podpuszcza? Na wszelki wypadek pokiwał głową.

- Jasne - powiedział. - Taka jest konwencja obowiązująca w stosunkach ludzko-wampirzych. Niszczyc bez cienia wahania, ile sił! Nie ma inaczej.

Popatrzył znowu na papiery piętrzące się na biurku i nagle pomyślał, że Wojtek brzmiał, jakby mówił jak najbardziej poważnie. Jakby w to wierzył, w misję tropienia i zabijania wampirów.

Zimny, nieprzyjemny pot zalał Arleckiemu plecy, a myśli skłębiły się pod czaszką w pełnym niepokoju galopie. A może oni tu powariowali wszyscy?

Zagubiona w lesie jednostka, gdzie niespełnieni funkcjonariusze siedzą dzień i noc i jedno tylko mają w głowach: wampiry. Czytają książki, wygrzebują informacje z Internetu, oglądają filmy, rozmawiają wciąż o tym samym. Kiedyś tam, na „górze”, jacyś decydenci wymyślili sobie projekt, jakkolwiek, byle tylko zapewnić ludziom robotę i utrzymać etaty. Po jakimś czasie we wszechobecnym bałaganie zapomniano, kto, po co i nad czym pracuje. A temat zaczął żyć własnym życiem i oto rozrasta się właśnie do granic zbiorowego szaleństwa. Kto wie, może koledzy przyjdą do niego którejś nocy, potną na paseczki i zaczną chłepać krew? Wzdrygnął się lekko, chociaż zdawał sobie sprawę z absurdalności tego pomysłu. Przecież w końcu to normalny, legalny wydział instytucji państwowej...

- Aha, młody! - Wojtek podniósł się, ściskając jakąś książkę w rękę. - Ty jako były lekarz... znasz łacinę?

Jurek podniósł na niego zdumiony wzrok, po czym powoli pokiwał głową.

- No to dobrze, będzie ci łatwiej. - Kolega rzucił mu na biurko żółtopomarańczową książkę z napisem „Język łaciński. Podręcznik dla lektoratów szkół wyższych”. - Zaczynaj sobie przypominać, może kiedyś ci się przyda.

Arlecki wziął do ręki książkę i zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy aby na pewno nie było mu lepiej w repiarni. Że może lepiej się wycofać, póki ten obłęd nie ogarnął i jego.

Pokręcił jednak głową, przypomniawszy sobie szereg mniejszych lub większych świństw i upokorzeń, jakie stały się jego udziałem w firmie farmaceutycznej. I pranie mózgu, jakie mu tam robiono w związku z wszechobecnym wyścigiem szczurów.

Z pewnością nie może go tutaj spotkać nic gorszego. Wystarczy trzeźwo myśleć i się nie dać, a wszystko będzie dobrze.

Zadecydował więc. Zostaje.

Ale wieczorem na strzelnicy, kiedy celował do pochylonych ku niemu groźnie sylwetek, zdawało mu się, że błyszczą w nich przeraźliwie jasne wampirze oczy.

Kolejną noc przespał twardym, kamiennym snem. Nie niepokoiły go już żadne zwiady, obudził się więc w stosunkowo dobrym humorze.

Jednak kiedy tylko zabrał się za niego Morawski, pozytywne nastawienie do życia przeszło jak ręką odjął. Kapitan z lubością przecierał rekrutem plac apelowy, cytując co chwila teksty z przeróżnych filmów wojennych. Najwyraźniej przerobił już całą obowiązkową filmotekę horrorów i teraz przeszedł na wyższy stopień zaawansowania.

Dźwigając się z trudem w kolejnej pompce, Jurek zauważył jakiś ruch kątem oka. Odwrócił nieznacznie głowę. Z lasu wychynęło kilkanaście czarno odzianych postaci. Błyskawicznie przemknęły obok placu, znikając za rogiem budynku. Nie zauważyłby ich nawet, gdyby nie ten lekki, prawie przypadkowy ruch głową.

„Przez tego cholernego kota musimy teraz zapierdalać na piechotę” - pojawiła mu się w głowie gniewna myśl. „Co za noc, ja pierdołę, co za dzień...”

Świat zawirował mu lekko przed oczami, zamrugał więc gwałtownie, opadając z powrotem na mokry, zimny beton. Pozostał na ziemi przez moment, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.

- Co jest, kurwa, kocie! - wydarł się na niego Morawski. - Napieraj pan, napieraj! Dziewczyny Bonda czekają na pana w kolejce, wszystkie cysate i dupiate jak trzeba, jedna w drugą, a pan tu leżysz beczynnio?

Arlecki zacisnął zęby i zmusił się do kolejnej pompki.

- Kapitan mówi, że dobrze strzelasz - rzucił Staszek, jak tylko zobaczył go w drzwiach. - To świetnie, młody! Jak się postarasz, może cię dadzą do operacyjnego. - Umilkł nagle, jakby zgromiony wzrokiem Wojtka i Marii. - No co, no co! - dorzucił po chwili, znacznie mniej pewnie. - Nigdy nic nie wiadomo...

- Do operacyjnego? - powtórzył Jurek z zainteresowaniem, siadając za swoim biurkiem.

Syknął z bólu i poczerwieniał lekko ze wstydu. No proszę, superman Arlecki, który jęczy po lekkiej zaprawie. On miałby bronić Ojczyzny? To jego trzeba bronić, ot co.

- Staszek plecie bzdury - orzekła Maria pośpiesznie. - Marzy mu się Piątka, Wydział Zatrzymań. Zapomnij, tam dostają się tylko tygrysy.

Jurek pokiwał głową. W Polsce są różne wodopoje dla tygrysów: Grom i Lubliniec dla żołnierzy, poza tym policyjne ZOA, czyli antyterrorysty, no i Wydział V w ABW. Aha, jeszcze CBS, Straż Graniczna i Żandarmeria Wojskowa mają jakieś swoje oddziały specjalne, ale mniejsza o to. Do żadnej z tych formacji i tak nie ma szans się dostać. Może gdyby zaczął coś trenować... jakieś dwadzieścia lat temu.

Włączył komputer. To mu, proszę bardzo, wychodziło niezgorzej. Też się jakoś przydaje Ojczyźnie, a co.

- Wampiry trzeba niszczyć! - uświadomił go Wojtek, wracając do wątku wszech czasów. - Bezwzględnie!

Jurek pokiwał głową bez specjalnej ochoty na jakiegokolwiek dyskusje. Nie da się nikomu podpuścić, nie da się i już. Poczekaj i zobacz, co będzie dalej. Prędzej czy później coś się wyjaśni.

Wpatrzył się z rozczerwaniem w wyświetlane na monitorze dane na temat Targoviste. Ani Ceausescu, ani jego żona nie mieli nic wspólnego z wampiryzmem, chyba że pojmanym metaforycznie. A zatem chyba jednak był to ślepy trop.

- A ostatnio wpadły na pomysł, żeby pić sztucznie hodowaną krew! - Wojtek nie przedstawiał się gorączkować. - Wyobrażasz sobie? Taki wampir chodzi sobie spokojnie pomiędzy ludźmi i nikt go nawet nie podejrzewa. Bo skoro nie musi na nikogo napadać, żeby się najeść, to jest praktycznie niewykrywalny! I jak tu dorwać takiego?

- Okropne - potwierdził Jurek odruchowo. - Nikogo nie napada, drań. Zabić go za to, utłuc od razu. - Dopiero, gdy kończył to zdanie, zrozumiał, jak szyderczo ono zabrzmiało.

Maria wstała, wyprostowała się za swoim biurkiem. Jej twarz przybrała wyjątkowo antypatyczny wyraz.

- Szeregowy Arlecki! - szczerknęła krótko, po wojskowemu. - Szczerze mówiąc, odosimis tu wrażenie, że nie za bardzo jest pan zaangażowany w naszą wspólną sprawę... - Wyszła zza biurka i ruszyła ku niemu.

Wstał również. Popatrzył na nią, udając spokój, choć wewnątrz spał się w oczekiwaniu konfrontacji. Wreszcie Maria stanęła tuż przed nim. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem.

- Wampiry istnieją - wycedziła wreszcie. - A my tu jesteśmy po to, by wyszperać wszystko, co tylko o nich ludziom wiadomo. Natomiast pan, szczerze mówiąc, sprawia wra-

zenie, jakby wcale nie był do nich wrogo nastawiony. Mylę się? - Wbijiała w niego uważny, natarczywy wzrok.

Nie odpowiedział.

Wojtek i Staszek podnieśli się zza swoich biurków, dołączyli do Marii. Stali tak przed nim we trójkę, błyskając gniewnymi spojrzeniami. Poczul, jak robi mu się gorąco. Atmosfera zgęstniała, czaiło się w niej coś groźnego, nieuchwytnego...

- Dajcie mi trochę czasu - rzucił więc mitygująco. - Jestem tu od przedwczoraj. Trudno się przyzwyczaić do takiej myśli od razu. Wy też chyba nie uwierzyliście natychmiast, co?

Pokiwali jednocześnie głowami, jak na komendę. Uśmiechnęli się lekko, napięcie zrelaxowało.

- Żeby uwierzyć, trzeba czasem zobaczyć. - Maria westchnęła, odchodząc z powrotem do swojego biurka.

- Albo doświadczyć - mruknął Staszek, również wracając do siebie.

Wojtek pozostał z Jurkiem twarzą w twarz.

- Nie masz za dużo czasu, żeby się określić. Dzień, może dwa - powiedział poważnie. - Niestety, nie wszystko od nas zależy. W grę wchodzi czynniki wyższe, których czas jest bardzo, ale to bardzo cenny i nasze możliwości korzystania z niego są niezmiernie ograniczone.

Pokiwiał głową, po czym odszedł i zasiadł za swoim biurkiem.

- Ucz się łaciny - rzucił jeszcze i wbił wzrok w ekran komputera. - *Disce, puer, Latinae* - wyszeptał pod nosem. - *Dominus tecum loquetur*.

Jurek usiadł powoli na swoim krześle. Z całych sił starał się opanować drzenie rąk.

Czy on powiedział: Pan będzie z tobą rozmawiał? - pomyślał w popłochu. O jasny szlag, oni powariowali naprawdę! Czas się stąd zabierać.

Wbił wzrok w ekran, uspokajając się usilnie.

Nagle zacisnął zęby, pokręcił głową.

Jasne, powinien zwiewać gdzie pieprz rośnie. Bo pokazano mu kilka filmów o wampirach, kapitan zmusza go do odrobiny wysiłku, a koledzy zachowują się trochę dziwnie. A on co? Ogon pod siebie i do domu, jasne. To dopiero bohater z niego, nie ma co.

To oczywiście, że sprawdzają, na ile jest tchórzem podszyty i czy już za chwilę spakuje walizkę. A przecież tak na dobrą sprawę nic się jeszcze takiego nie stało. Nic a nic.

Uśmiechnął się pod nosem. No, punkt dla nich. Nastraszyli go trochę, owszem. Wkręcili. Ale to normalne, młodym kotom robi się takie rzeczy. Zresztą bądźmy szczerzy, to jesz-

cze nic okropnego. Mogliby być bardziej brutalni i sprezentować mu jakąś kocówę na powitanie. I co wtedy? Może by płakał, co? Jak za dawnych, dobrych, podwórkowych lat...

Pokręcił głową jeszcze raz i zaczął klepać w klawisze z zawziętą prędkością.

Będzie wiedział wszystko, co trzeba, o tych pieprzonych wapiarach. Więcej niż oni, niż ktokolwiek w tej sekcji. Będzie pierdolonym wampirzym ekspertem, skoro nie ma innego wyjścia.

A potem, w stosownej chwili, może uda mu się odegrać.

Nie, nie „może”. Na pewno.



Tego wieczoru walił ze swojego glocka do czarnych sylwetek, aż rozboleły go ręce i całkiem załzawiły się oczy. Huk strzałów ogłuszył go tak, że kiedy kładł się spać, cały świat wydawał się być spowity ciężką, duszną mgłą. Ale nie śniło mu się nic. Jakby zapadł w czarną studnię bez dna.



Trzeciego dnia rano porzygał się już po drugim kilometrze.

Morawski przebiegł parę kroków z rozpędu, zawrócił i zatrzymał się przy podopiecznym.

- W życiu nie spotkałem jeszcze takiego patałacha. - Westchnął i zmarszczył brwi z dezaprobatą. - Kto tu pana do nas ściągnął?

- Nieważne - odparł zapytany, dysząc i ocierając usta ręką. - Na pewno nie miał racji.

- Nigdy pan niczego nie trenował oprócz tych paru skoków do wody, co? - rzucił kapitan bezlitośnie. - A koledzy na podwórku spuszczaali regularne manto?

Nie twój zasrany interes, pomyślał Jurek, prostując się.

- Tak jest! - rzucił słuźbiście.

Pobiegł przed siebie, potykając się prawie co krok.

- To nie ma sensu - rzucił Morawski, biegnąc lekkim, swobodnym truchtem tuż obok.

- Po co to panu? Tylko się pan ośmiesza tutaj. - Spojrzał spode łba i syknął cicho: - Wracaj do domu, dziewczynko.

Tamten zacisnął tylko wargi. Udał, że nie usłyszał ostatniej kwestii. Biegł dalej, zmuszając się rozpaczliwie do każdego kroku.

- To nie pana wina, że ma pan takie beznadziejne ciało. - Kapitan westchnął, kręcąc głową z udawanym politowaniem. - Nigdy za bardzo nie szło panu bieganie, co? No, ale mógł pan chociaż próbować coś z tym obić...

- Właśnie próbuję - wyrzeźbił Jurek z trudem.

Droga, którą biegli, zatętniła nagle od zwielokrotnionych rytmicznych kroków. Oddział czarno ubranych mężczyzn przemknął koło nich zwinnie. Jurek patrzył za nimi, ledwo zdążył policzyć, nim zniknęli za zakrętem.

Dziesięciu.

- Kto to? - spytał zdyszany.

Chciałby móc tak biegać, lekko i bez trudu. Niestety nie w tym wcieleniu. Musiałby umrzeć i narodzić się na nowo. I dostać zupełnie inny pakiet startowy niż ten, który obecnie przypadał mu w udziale.

- Operacyjni - rzucił Morawski krótko.

- Piątka? - W oczach Jerzego zaświeciło nieskrywane ożywienie zmieszane z zazdrością.

- Nieee... - pokręcił tamten głową. - Nasi. Nocarze.

- Że co? - nie zrozumiał szeregowy.

- Oddział specjalny do zwalczania wampirów - wymienił Morawski, przystając. - No to się wpierdoliłeś po uszy, młody. - Naraz odpuścił sobie oficjalną formę zwracania się do niego per „pan”. - Widziałeś nocarzy wiesz, że istnieją. Nie wyjdiesz stąd nigdy, chyba, że w trumnie. Gratuluję.

Arlecki stanął również. Popatrzył na przełożonego ważnie.

- Oni polują na wampiry, tak? - zapytał spokojnie. - my szukamy dla nich informacji.

Kapitan patrzył na niego kpiącym wzrokiem.

- I jak ci się podoba ta historyjka? - rzucił, po czym zaczął biec przed siebie. - No, zapierdalaj pan, Bondzie! - ponaglił, wracając do oficjalnej formy „pan”; w tym kontekście brzmiało to wyjątkowo szyderczo. - Znowu się pan spóźnisz na śniadanie i ojczyzna będzie cię szukała po kiblach, mdlejącego z głodu. Nie wypada, po prostu nie wypada, zwłaszcza kandydatowi na oficera ABW...

- Mylą się panu rekruci, kapitanie - odparł zimno Jurek, ruszając za nim. - Nigdy nie zemdlałem z głodu. Mam żołądek strusia i jem byle co.

- I dobrze - mruknął Morawski. - Jeszcze się to panu przyda. Jak zdasz, oczywiście - dodał cicho, znów przez „ty”. - O ile zdasz.

Rekrut milczał, biegnąc obok. Chwilowo nie zadawał żadnych pytań.

- Pozabijać skurwysynów, pozabijać - mamrotał Wojtek swą codzienną mantrę. - Wytłuc co do jednego.

- Czy one ci coś kiedyś zrobiły? - nie wytrzymał w końcu Jurek. - Skąd ta obsesja? Za co ich tak nienawidzisz? Spotkałeś w życiu wampira, chociaż raz?

- No jak możesz tak mówić! - ujęła się Maria natychmiast. - Czytasz przecież książki, oglądasz filmy. Rozumiesz chyba, że wampiry i ludzie zawsze byli wrogami. A na dodatek one są odrażające...

- Sprzeczność interesów, to dla mnie jasne - powiedział Arlecki spokojnie. - Skoro wampiry zabijają ludzi, ci mają wszelkie powody, by się bronić. Ale trudno mieć przy tym do kogokolwiek pretensje. Wampiry chcą żyć, a więc muszą jeść. Jak oglądasz na Discovery lwa goniącego antylopę, to komu kibicujesz? Po czyjej stronie jesteś, lwa czy antylopy?

Potrząsnęła głową w oburzeniu.

- To nie ma nic do rzeczy - rzuciła gniewnie. - Lew musi jeść, fakt. Trudno od niego wymagać, żeby zdechł z głodu ze względu na litość nad antylopą. Ale wampir to człowiek, który przeszedł na tę ciemną stronę poniekąd z wyboru. Mógłby się przecież zabić, żeby nie mordować.

- Z punktu widzenia zjedzonej dzisiaj na śniadanie szyneczki jesteś straszliwym seryjnym mordercą - odparował nieustępliwie. - I co? Zabiłaś się?

Popatrzyli na niego wszyscy troje... i nagle zrozumieli, że oto właśnie popełnił poważny błąd. Zdemaskował się: nie jest po ich stronie i nigdy nie będzie. Wiedzą już o tym, wiedzą na pewno. Może i lepiej, skończy się wreszcie ta gra.

- Jeżeli one nas atakują, musimy się bronić - wypalił więc wprost. - Ale nie dorabiamy do tego sztucznej ideologii, dobrze?

- Jesteś doskonałym kandydatem na wampira - odparła z przekąsem. - Właśnie takich... relatywistów potrzebują najbardziej!

- Och, pani porucznik! - rzucił sarkastycznie. - Jakże żałuję, że nikt mi tego jak dotąd nie zaproponował. Utraciłem, zdaje się, życiową szansę. A pani miała może taką okazję? Zaoferowano pani życie wieczne, niezniszczalne piękno i nieustającą młodość? Jak rozumiem, nie skorzystała pani... - urwał, rzut oka na jej twarz podpowiedział mu, że zapędził się za daleko.

Przez chwilę milczała z bardzo dziwną miną, silny rumieniec zabarwił jej twarz. W końcu otrząsnęła się i wybuchnęła głośnym śmiechem. Wojtek i Staszek dołączyli do niej, zaśmiewając się niczym z doskonałego dowcipu.

- Młody jest w porządku - stwierdziła Maria, wstając. - Ma poczucie humoru. No i nie jest łatwo go wkręcić, no, no, no.

Podeszła do Jurka, podała mu rękę. Uścisnął ją machinalnie, obserwując koleżankę uważnie, nie dowierzał bowiem tej nagłej przemianie. Maria usiadła na swoim miejscu, patrząc na niego promiennie. Potem rzuciła krótkie spojrzenie współpracownikom. Koledzy poszli czym prędzej w jej ślady, podeszli do niego, uścisnęli mu rękę, pokleпали po plecach, po czym wrócili za biurka.

Jurek zaczął układać papiery. Wysiłił się na miły, serdeczny uśmiech. Skoro to tylko taki mały chrzest bojowy, to dziękuję, cała przyjemność po mojej stronie. Miło było się z państwem powygłupiać.

Ale coś mu się wydawało, że to wcale nie były żarty. Intuicja wrzeszczała wręcz, ostrzegała przed wyjątkowo paskudną pułapką. Czuł, jakby coś nieuchwytnego oplatało go śliską, wilgotną siecią.

Co tu jest, kurwa, grane? - zachodził wciąż w głowę. Wrabiają mnie... Ale w co?

- No, to skoro możemy z tobą normalnie rozmawiać - powiedział Staszek - to słuchaj. Dziś w nocy, najpóźniej jutro, będzie poważna akcja.

- Tak? - Jurek wpatrzył się w niego z zainteresowaniem.

Poczuł, jak rośnie w nim nieśmiała nadzieja. Może rzeczywiście dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dowiedzieliśmy się, że w Warszawie pojawi się wampirzy Lord - obwieścił Staszek triumfalnie. - Ultor, Lord Wojownik, będzie tu krótko, może tylko przez jeden, góra dwa dni. Spotka się ze swoimi wampirami z Rodu. Może też z innymi, kto wie.

Arlecki przełknął ślinę, nadzieja na szczerą rozmowę zgasła błyskawicznie. A zatem bniemy w to dalej, ciekawe, jak to się wszystko skończy. Dobrze, chcecie, igramy. Raz kozie śmierć, nie ma już nic do stracenia.

- Jak rozumiem, zajmą się nim nocarze? - zaryzykował, obserwując bacznie kolegów.

Nie zdziwili się wcale, słysząc o nocarzach, ani też nie poruszyło ich, że on zna tę nazwę. Nocarze, normalna rzecz, każde dziecko o nich wie.

- O, to, to. - Staszek pokiwał głową gorliwie. - Nocarze, pewnie ich już widziałeś. Bardzo sprawni, świetnie wyszkoleni. Zajmą się Ultorem jak należy.

- Jak silny jest ten Lord? - rzucił Jurek, starając się, by w jego głosie brzmiało jak najszersze zainteresowanie. - I co on robi takiego, że aż tylu chłopów na jego jednego potrzeba? Zabija samym wzrokiem czy co?

- Nie zniesiesz jego spojrzenia - powiedział Staszek. - Nie dłużej niż jakieś parę sekund. Jeślibyś go kiedykolwiek spotkał, nie patrz mu w oczy.

- A jak go spotkasz, powiedz: *Salve, Domine!* - poradził Wojtek. - To go może usposobi do ciebie przychylnie, kto wie.

Popierdoliło ich, pomyślał Jurek po raz nie wiadomo który patrząc po kolegach z uprzejmym uśmiechem, chociaż wewnątrz dygotał, jakby zziębnięty do szpiku kości. Albo szykują jakiś grubszy przekręt.

- I w ogóle bądź grzeczny - dorzuciła Maria poważnie. - Pamiętaj, Ultor to nie jest byle pęta. W końcu ma te paręnaście setek lat. Trzymaj fason, jakby co.

Pokiwał głową gorliwie, starając się nie okazywać żadnych innych uczuć. To jednak jakiś przekręt, a oni go wrabiają, przemknęło mu przez myśl. Od dawna nie przyjmowali nikogo nowego, a teraz proszę, jaki ładny kozioł ofiarny się trafił. Specjalnie, jakby na zamówienie. A niech to szlag.

Przed oczami przemknęła mu twarz profesora Zielińskiego, który najpierw przy okazji każdej służbowej wizyty w szpitalu strasznie go gnoił. Potem wyłagodniał i pod pierwszym lepszym pretekstem skontaktował go z jakimś swoim znajomym. Ten zaś zrekrutował go do ABW, bez specjalnego trudu zresztą. Arlecki propozycję zostania funkcjonariuszem przyjął z zachwytem, od lat marzył, żeby się wyrwać z tej beznadziejnej, monotonnej egzystencji.

A teraz meł w zębach chińskie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach”, ubolewając przy tym nad własną głupotą. Zachciało mu się, pęta. Wyobraził sobie, że taki będzie wspaniały polski James Bond. A tu co, wykończą go po piętnastu minutach pierwszego aktu i koniec przedstawienia, dziękujemy. Przynajmniej koniec dla niego, oni zapewne będą się bawić dalej. Ale cóż, wiadomo, ABW to nie przedszkole. Przetrwają silniejsi. Słabi nie powinni pakować się w takie historie, inaczej sami są sobie winni. Przecież każdy wchodzi w to na własną odpowiedzialność.

- Dzięki za dobre rady - mruknął do kolegów, wracając do komputera.

Zabrał się do pracy, w ponurym milczeniu skanując wzrokiem kolejne dokumenty. Także i oni nie odzywali się już więcej. Tylko od czasu do czasu rzucali w jego stronę krótkie, zagadkowe spojrzenia.

Po raz kolejny zatopił się w przemyśleniach. Co tu się dzieje? W jakim celu, z jakiego powodu go zrekrutowano? Nigdy nie wykazywał się szczególną tężyzną fizyczną, ani też nie

uprawiał żadnych sportów, no może oprócz tych skoków do wody dawno temu. Wątpił jednak, żeby akurat dzięki tej niespecjalnie bojowej umiejętności uznano go za dobrego kandydata na funkcjonariusza ABW. A zatem walory fizyczne odpadały, co zresztą udowodnił mu Morawski ponad wszelką wątpliwość. Cóż więc innego brali pod uwagę, zapraszając go do siebie? Nie mógł przecież wykazać się nadzwyczajną inteligencją, owszem, na testach wypadł dobrze, aczkolwiek też nie przesadnie wysoko. Do Mensy nie miał szans startować, byłaby to zwyczajna strata czasu.

Jakieś predyspozycje psychiczne? Owszem, potrafił być dosyć elastyczny, a przy tym konsekwentny, być może to właśnie dostrzegł w nim profesor, skoro skontaktował go z ABW. Ale z drugiej strony Jurek nigdy nie wykazał się jakąś szczególną sprzedażą w swoim regionie, a to niezbyt dobrze świadczyło o skuteczności jego działań.

A zatem o co w tym wszystkim chodzi? Czemu oni go tutaj chcieli, do czego był im potrzebny? Po co ta cała szopka z wampirami, ich lordami i facetami ze speckomando, ganiającymi w czerni po lesie? Jakie jest jego miejsce, jego rola w tym przedstawieniu?

Ze swojej strony wiedział doskonale, czemu do nich przyszedł. Dusił się w tym bezbarwnym, nijakim życiu i desperacko potrzebował zmiany. Fura, skóra i komóra nie znaczyły nic, rzucił je w kąć natychmiast, kiedy tylko dostał propozycję pracy w ABW. Przyszedł tu za wyjątkowo śmieszne pieniądze, bo tęsknił do czegoś innego, wyjątkowego, i miał nadzieję, że to coś czeka na niego właśnie tutaj.

Ale czemu oni go wzięli?

Zadawał sobie to pytanie od samego początku i jak dotąd wciąż nie potrafił znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi.

Może oprócz jednej, o której myślał dopiero na końcu, kiedy odpadały wszelkie inne propozycje.

Wzięli go, bo był sam. Rodzice zginęli, dziewczyna odeszła jakiś czas temu, na żadną inną nie miał chwilowo ochoty.

Był sam jak palec, to fakt.

Więc w razie czego nikt nie będzie zadawał zbyt wielu niewygodnych pytań. Idealny kozioł ofiarny, ot co.

Bynajmniej nie była to pokrzepiająca myśl. Ale, jak na razie, innego rozwiązania po prostu nie było. Albo jeszcze nie zdołał na nie wpaść.



Reszta dnia upłynęła pod znakiem nieustępliwie narastającego niepokoju. Nawet zajęcia na strzelnicy, które tak zdążył polubić, nie przyniosły mu żadnej ulgi. Tego wieczoru wyniki miał najgorsze z dotychczasowych, wszystkie kule poza polem alfa, na dodatek w żenująco mizernym skupieniu. Po prostu nie mógł się skoncentrować, za nic.

Jakby zawisło nad nim jakieś złowrogie fatum, a on wyczuwał je, ale wciąż nie potrafił określić, skąd ani w jaki sposób może nadejść niebezpieczeństwo.



- Szeregowy Arlecki! Wstawaj! - Ktoś szarpnął go za ramię, budząc ze snu.

Jurek z trudem uniosł ociężałe powieki. Zobaczył Morawskiego, który pochylał się nad nim z bardzo poważną miną. Sięgnął więc niemrawo pod poduszkę w poszukiwaniu broni. Namacał kanciasty kształt, wyjął pistolet powolnym ruchem. Nie było sensu zgrywać teraz chojraka. I tak dał się zaskoczyć niczym niemowlę we śnie.

- Szef uznał, że musisz zobaczyć, żebyś uwierzył - rzucił kapitan pośpiesznie. - Bierzemy cię na akcję jako wsparcie.

Arlecki usiadł natychmiast, wbijając w niego pytające spojrzenie.

- Za pięć minut masz być w sali odpraw - oznajmił tamten. - Właściwa odprawa już się kończy, ale to dla ciebie nieistotne. Dostaniesz jakieś mało znaczące, bezpieczne zadanie. Chodzi tylko o to, żebyś się przyjrzał, uwierzył. Inaczej nie będziemy z ciebie mieli żadnego pożytku. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami w pośpiechu.

Jurek wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać czym prędzej. W końcu dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. I czy wkręcają go w jakąś paskudną aferę... czy też może istotnie mają mu coś do pokazania.

Po chwili wypadł na korytarz, ruszył w kierunku sali odpraw. Korytarz był prawie całkiem ciemny, ledwo rozróżniał biegnące tuż koło niego postacie. Zdziwił się ilością ludzi przebywających w tym budynku. Dotychczas spotykał tylko kolegów z pokoju, Morawskiego i personel techniczny: kucharki, sprzątaczkę, sekretarkę. Teraz jakaś czarna ludzka rzeka zalała korytarz, unosząc Jurka ze sobą.

„Światło, kurwa, kot wstał!” - błysnęła mu krótka myśl, kiedy zbliżał się do sali odpraw.

Wszedł do niej z pośpiechem. Tutaj było również dość ciemno, kilka słabych żarówek, najwyżej dwudziestek, słało mdły blask z sufitu.

Zaciemnienie taktyczne! - uznał w duchu. Ośrodek jest uznawany za placówkę białego wywiadu, nie może się wydać, że są tu też operacyjni...

Popatrzył na okna zasłonięte szczelnie żaluzjami i uśmiechnął się lekko pod nosem. A jednak nie jest taki beznadziejny, kojarzy przecież niektóre fakty.

„Kojarzy. Jak dziecko we mgle” - pojawiła się kolejna myśl.

Nocarze siedzieli już tam od jakiegoś czasu, odprawa miała się ku końcowi. Kilkadziesiąt par oczu uważnie wpatrywało się w obraz miotany z multimedialnego rzutnika. Teraz zaś odwrócili się wszyscy ku nowo przybyłemu.

- Właściwie odprawę już zakończyliśmy - zwrócił się do Jurka wysoki, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna w stopniu majora. - Streszczę tylko dla twojej wiadomości. Rozpoczynamy finalny etap operacji „Faust” - oznajmił z namaszczeniem. - Lord Ultor zawita do Warszawy za dwie godziny. Zamierza się spotkać z przedstawicielami tutejszej wampirzej społeczności.

Obecni pokiwali głowami w milczeniu.

Jurek poczuł, jak po plecach przebiega mu niespokojny dreszcz. Lord wampirów oficjalnie wymieniony na odprawie! Czyżby cała jednostka brała udział w przedstawieniu organizowanym dla jednego rekruta? Nie, to nieprawdopodobne, intryga musi sięgać głębiej...

- Impreza odbędzie się na prywatnej posesji, znajdującej się paręnaście kilometrów stąd. - Dowódca wrócił się ku ekranowi, na którym widniał plan budynku. - Odrestaurowany pałacyk w Wiązownej, jakich teraz wiele.

Czerwona kropka laserowego wskaźnika przebiegła po symbolach, w których Arlecki domyślił się poszczególnych oddziałów.

- Snajperzy zabezpieczają teren z okolicznych drzew, grupy szturmowe zajmują się wszelkimi otworami wejściowymi oraz korytarzami - streścił major. - Ty obstawiasz oranżery. Jest położona na uboczu, nie spodziewamy się tam więc wroga. Chodzi raczej o to, żeby jakiś ludzki element nie przyplątał się po nocy i nie wlaźł nam w paradę - oznajmił sucho. - Będziesz dysponował bronią konwencjonalną. Aha, i nie bądź zbyt skory do jej używania - zaznaczył. - Nie chcę żadnych ofiar wśród ludności cywilnej, trudno się z tego wykręcić potem. I bądź w kontakcie. Jak zobaczysz kogokolwiek, nie próbuj działać sam, wzywaj nocarzy. Zrozumiano?

- Tak jest! - potwierdził Jurek gorliwie.

- No to ruszaj! - powiedział dowódca. - Za piętnaście minut przy wozach, wszyscy. Pełne wyposażenie i uzbrojenie. Naprzód!

Nocarze poderwali się natychmiast i wybiegli z sali, równymi szeregami pędząc do magazynów. Jurek biegł razem z nimi, czując, jak łomocze mu serce. Sam nie wiedział, czy bardziej ze strachu, czy z podniecenia.

Oranżeria była ciemna, zimna i cicha.

Wypełniona pustymi kamiennymi donicami, nie była najłatwiejszym obiektem do upilnowania. Jurek pobłąkał się po niej trochę, zanim znalazł wystarczająco dogodne miejsce, by móc obserwować zarówno wszystkie okna, jak i drzwi wejściowe.

Stał teraz przyklejony plecami do kamiennego filaru. Na początku adrenalina sprawiała, że nie czuł zmęczenia. Wlepiął wzrok, wzmocniony noktowizorem, w jedno okno po drugim. Pełen napięcia obserwował okolicę. Strach narastał falami, trząsł nim, przynaglając serce do pośpiesznego łomotu. Po chwili strach opadał... a potem narastał znów.

Po mniej więcej półgodzinie czekania, kiedy wciąż nic się nie zdarzyło, odtajali powoli. Zaczął dotkliwie odczuwać, co się dzieje z jego ciałem. Przywalone kilogramami oprządzenia, pocilo się niemiłosiernie. Kamizelka kuloodporna była sztywna i niewygodna, narzucona na nią kamizelka taktyczna, wyładowana po brzegi zapasowymi magazynkami z amunicją, stanowiła dodatkowy ciężar. Uprząż pozapinana była fatalnie, śpieszył się, kiedy ją nakładał, zresztą miał w tym przecież prawie zerowe doświadczenie. A teraz kabura na udzie, w której miał pistolet, zwieszała się luźno, objijając nogę boleśnie. Za to drugie udo opasane było zbyt ściśle i zaczynało cierpnąć. Hi-Teki też zasznurował za ciasno i już zaczynały mu drętwieć stopy. Ściskany kurczowo w garściach pistolet maszynowy MP5A3, na podatku tak zachwycająco lekki, teraz ciążył, jakby jego konstrukcja oparta była głównie na ołowiu. Na domiar złego kewlarowy hełm na głowie był za luźno zapięty, chwiało się lekko, kiedy Jurek poruszał głową. A ponieważ noktowizor przymocowany był częściowo do hełmu, pole widzenia było bardzo ograniczone, na dodatek zmienne i nieprzewidywalne.

Do strachu dołączyła złość, wspierana poczuciem upokorzenia. Ot, proszę, komandos w akcji. Dupa do kwadratu, nie komandos. Najwyższy czas przestać się ośmieszać, panie Arlecki. W procesie oddzielania mężczyzn od drobiu już pan chyba wie, do której kategorii został pan zaliczony. A więc pora na pana. Trzeba wiedzieć, kiedy wstać i wyjść.

No, ale na pewno nie teraz. Nie w środku akcji. Tam są koledzy z oddziału. Nie zna z nich nikogo, to prawda, na dodatek wcale tak do końca nie jest pewne, czy grają po tej samej stronie. Ale pomimo wszystko nie zamierza się wycofać. Bo może jednak jest za tym wszystkim jakaś głębsza prawda, której on jeszcze nie pojmuje. Nie ucieknie więc, cokolwiek bądź by się nie stało. Nie ma mowy. Nie wybaczyliby mu... i on nie wybaczyłby sobie też.

Ciemność zapadła nad pałacykiem, jakby przetoczył się przezeń tuman gęstego, zalepiającego wszystko czarnego dymu i został tak na wieki.

Szuuut, szuuut, szuuut... wychynał z mroku jakiś dźwięk. Jurek nasłuchiwał, czując, jak serce znów przyspiesza rytm, a dłonie zaczynają lekko drżeć. Ten dźwięk... to śmigłowiec. Szuut, szuut, szuut, to przecinają powietrze łopaty wirnika. Na razie cicho, albo są bardzo daleko, albo śmigłowiec ma jakieś wytłumienie. Tak czy inaczej, zaczęło się.

Jurek wyprostował się, unosząc empepiątkę i przyciskając kolbę do ramienia. Przez holograficzny celownik zaczął obserwować okolice, wodząc po niej końcówką lufy, jakby zespoloną z ruchami całego ciała. Kółko z krzyżykiem przebiegało na tle okien, ścian, drzwi... Ani jednego ruchu, nic.

Nagle donośny dźwięk wypełnił mu czaszkę. Jakby wielki, chóralny powitalny okrzyk, przepojony pełną uniesienia radością.

Arlecki rozejrzał się w panice, dookoła wciąż było pusto. Dźwięk zdawał się nie mieć źródła, nie dochodził z jakiegoś konkretnego kierunku, był po prostu wszędzie, wdzierał mu się w mózg... Jurek zrozumiał nagle, zeszytniał, plecy pokryły mu się zimnym potem. Głosy brzmiały mu bezpośrednio w głowie, uszy nie wychwytywały niczego.

Salve, Domine! - pomyślał z mocą.

Zadrzał, uświadamiając sobie kolejny fakt. To nie była jego myśl. Ona też pochodziła z zewnątrz, z cudzych umysłów, tak jak i ten poprzedni dźwięk.

Salve, fratres! - zabrzmiał mu w głowie przepotężny głos.

A potem nagle wszystko ucichło.

Jurek przełknął ślinę. Strach gdzieś wyparował, uniknęła też frustracja i złość. Człowiek zaczął omiatać salę miarowymi, uważnymi spojrzeniami. Niczym automat oceniał, analizował, przetwarzał dane, podejmował decyzje. Odeszły emocje, zostało tylko pełne skupienie na celu. Zadanie. Wykonać zadanie.

Pałacyk nadal przepojony był głęboką ciszą. Jurek przeskakiwał wzrokiem z okna na okno, upewniając się, że nikt niepowołany nie zamierza wtargnąć do oranżerii. Zielony obraz przekazywany przez noktowizor sprawiał niepokojące, obce wrażenie, jakby pochodził z innej planety.

Arlecki wciąż lustrował okolice, zawzięcie, uważnie.

A potem, tknięty nagłym impulsem, odwrócił się w kierunku wejścia. Nogi ugięły się pod nim z przerażenia.

Obecność.

Na określenie tego, co poczuł, żadnego innego słowa nie potrafił w tej chwili odnaleźć.

Wielka, przejmująca obecność.

██████████

Wysoka postać w długim czarnym płaszczu pojawiła się w drzwiach.

- Stój, kto idzie? - wykrzyknął Jurek, zimny pot zrosił mu czoło.

Wezwany nie odpowiedział, postąpił parę kroków do przodu. Na pewno nie był to nikt z oddziału nocarzy... a zatem wróg.

- Stój, bo strzelam! - wychrypiął funkcjonariusz słabo.

Myśli pogoniły splątany chaosem. Co tam się jeszcze, kurwa, mówiło, czy powinien coś jeszcze krzyknąć, czy ma już strzelać teraz, kurwa, czy to nie będzie nieuzasadnione użycie broni, zaraz, a gdzie to pierdolone wsparcie, powinni go słyszeć przecież, może poczekać na nocarzy, lepiej strzelaj, durniu, zanim będzie za późno!

- Stój! - wyszeptał prawie.

Jak w transie zgrał drżące czerwone kółko celownika ze zbliżającą się powoli postacią. Strzelił dubletem. Szybko. Raz, dwa.

Huk rozległ się po sali. Odbił echem od ścian. Poraził uszy.

Czas przyśpieszył napędzany adrenaliną. Jurek widział jedynie urywki scen. Postać wciąż zbliżała się ku niemu, pomyślał więc, że spudłował, drżącą ręką przestawił empepiatkę na ogień ciągły. Władował w przeciwnika serią kilkunastu pocisków, aż odrzut nieomal wyrwał mu broń z ręki, a kule zaczęły kaleczyć sufit.

Tamten wciąż szedł, powolnym, nonszalanckim krokiem.

Jurek pociągnął po nim kolejną serią, bez żadnego efektu. Strzelił więc jeszcze raz i jeszcze... Kule poszarpały donice, ściany i szyby, siejąc gradem odprysków.

Tamten wciąż szedł powolnym, nonszalanckim krokiem.

Dziewięć milimetrów parabellum nie wywołało na nim najmniejszego wrażenia... A może ominęło go szerokim łukiem?

Broń kliknęła cicho, magazynek miał trzydzieści nabojów. Koniec amunicji. Bez szans na wymianę, nie tutaj, nie teraz. A wsparcia nie ma, nie słysząc tupotu biegnących na pomoc kolegów, żaden głos nie odzywa się w wetkniętej w ucho słuchawce. Nocarze zamilkli, zniknęli, jakby się rozwiiali we mgle. Zapomnieli o nim? Czy może już nie żyją... wszyscy?

Nieprzyjaciel stanął tuż o krok, na wprost. Nietknięty.

A jednak to wampir, pomyślał Jurek, puszcżając empepiatkę bezradnie. Nie kłamali, nie wkręcali mnie, to wszystko było prawdą. A wampiry są nieśmiertelne. Jestem bez szans.

W porywie desperacji poderwał broń, lewą ręką przycisnął włącznik latarki. Zaświecił przeciwnikowi prosto w oczy.

Przeraźliwie jasne tęczy ginęły niemal w jaskrawej bieli twardówek, znaczonych wąskimi szpilkami źrenic. Oczy jakby lśniły swoim własnym światłem, pod ich spojrzeniem Arleckiemu zawróciło się w głowie.

Zrozumiał nagle, że stoi przed nim Lord Ultor we własnej osobie. Ta wiadomość po prostu pojawiła się w jego umyśle i pozostała w nim jako niezaprzeczalny fakt.

Przybysz zamrugął, po czym jego surowa, poważna twarz rozciągnęła się w pełnym uznania uśmiechu.

- O, to było dobre, z tą latarką - powiedział z aprobatą. - Myślenie niekonwencjonalne. Rzadko który na to wpada. Sieją tylko bezsensownym gradem kul. Podobasz mi się, młody.

Jurek zadygotał, słysząc ten potężny głos. Osłabł nagle. Miał ochotę pokornie klęknąć przed Lordem i czekać na jego decyzję. Jakąkolwiek, byle dostać od niego jakiś rozkaz, do wykonania natychmiast.

Zamiast tego puścił empepiątkę i prawą ręką wyszarpnął glocka z kabury. Podniósł go, dołożył lewą dłoń i stanął w bojowej pozycji.

- Stój, bo strzelam! - wykrzyknął, wbijając spojrzenie w klapy płaszcza wampira.

Głupio, co z tego, kurwa, że głupio? Ma w ogóle jakiś wybór? Wyposażenie przeciw-wampirze nie zostało uwzględnione w planach na dziś. Gilotyny i kusz z kołkami chwilowo brak.

Ultor skrzywił się wzgardliwie.

- Zaskocz mnie czymś - poprosił. - Jedziesz na odruchach, na dodatek nie za dobrze wyćwiczonych. To takie banalne...

- Kołków osikowych niestety nie dowieźli - warknął Jurek, podnosząc wzrok i patrząc mu prosto w oczy.

Błąd, potworny błąd, mówili mu przecież, żeby tego nie robił. Pałające dziwnym blaskiem źrenice nakazały mu się cofnąć i opuścić broń. Usłuchał, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, że to robi. Opanował się dopiero, kiedy zaczął już powoli ugiąć kolana, by klęknąć przed Lordem w pokorze.

Wyprostował się czym prędzej, podniósł broń oburącz i z opuszczoną głową zaczął strzelać na ślepo.

Wywalił cały magazynek, siedemnaście kul. Może któryś pocisk trafi tamtego w serce albo w głowę, kto wie.

Wampir zaniósł się głośnym, nieco szyderczym śmiechem.

Trzymając wzrok wciąż wbity w podłogę, Jurek zobaczył, jak nienaruszone pociski suną ku niemu po drewnianym parkiecie. Zatrzymały się tuż przed nim, układając się w uśmiechnięte słoneczko.

Ogarnęło go poczucie całkowitej bezsilności. Miał ochotę się rozplakać.

- Dobrze, młody, kończymy tę zabawę i wracam na spotkanie - powiedział Ultor. - I tak już się dowiedziałem, czego trzeba.

Pistolet wyrwał się Arleckiemu z ręki, spadł na ziemię z hukiem. Człowiek pokiwał głową z rezygnacją, wyprostował się, wbijając wzrok w kołnierz czarnego płaszcza, otulający białą szyję. Byle nie spojrzeć wyżej, nie patrzeć wampirovi w oczy...

- Dlaczego chciałeś mnie zabić? - spytał Lord.

- Bo ty chciałeś zabić mnie - odparł Jurek natychmiast. - Wolałem być pierwszy.

- A myślałem, że w ramach obrony życia wdów i sierot i tak dalej - rzucił Ultor kpiąco. - I w celu utrzymania odwiecznej nieprzyjaźni ludzko-wampirzej na stosownym poziomie. No chyba, że jednak miałeś jakieś konkretne osobiste powody, żeby mnie zabić, co? Albo przynajmniej jakieś umocowanie prawne, rozkaz, wyrok, te sprawy...

Jurek przełknął ślinę. Położył ręce na bezużytecznej już empepiątce, zaciskając bezradnie palce na kolbie. Co ma robić, uciekać? Błagać o łaskę? A może rzucić się na tamtego z gołymi rękami? Bez sensu, uznał w duchu. Potęga Lorda przerasta wszelkie ludzkie wyobrażenie, i tak Ultor zrobi z nim, co zechce. Wszelkie działanie będzie tylko z góry skazaną na porażkę, zenującą histerią. Lepiej więc umierać, stojąc. Pokazać przeciwnikowi, że nie boi się śmierci... tak bardzo.

- Nie - wykrztusił wreszcie. - Nic do ciebie nie mam osobiście. Ani też nikt nie kazał mi do ciebie strzelać. Nie dostałem rozkazu, nie widziałem żadnego wyroku. Bałem się ciebie, po prostu.

- A czy zagroziłem ci bezpośrednio w jakikolwiek sposób? - zapytał Ultor spokojnie. - Przyszedłem tutaj tylko, a ty co? Stój, bo strzelam, i od razu seria z empepiątki. Nawet nie bardzo miałbym szansę się zatrzymać, gdybym chciał. Ładnie to tak?

- Wolałem być pierwszy - powtórzył Jurek. - Lepiej, żeby mnie czterech sądziło, niż sześciu niosło, wiesz.

Zaczął czuć się kompletnie nierealnie. Ta scena, ta rozmowa, była tak absurdalna... Śmierć nadchodziła wielkimi krokami, wyczuwał już jej obecność, ale stał tu przed ponadtyśiącletnim wampirem, przeprasząc, że strzelał doń bez wystarczającego powodu i uprzedzenia. Nagle zaniósł się szaleńczym, rozpaczliwym chichotem.

- Ale ty przecież chciałeś mnie zabić, po to tu przyszedłeś - oznajmił lekkim tonem, jakby to był żart. - Więc jesteście kwita. - Spoważniał nagle. - Zrób, co masz zrobić, i przestań pierdolić. Żenujące się to wszystko staje.

Podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy, twardo, z wyzwaniem. Niech tamten nie myśli, że Jurek będzie prosił o litość, czy też jęczał ze strachu. Godność. Jedyne, co jeszcze zostało do wywalczenia, to godność. Poza tym nic.

Ultor nie zaatakował go spojrzeniem jak poprzednio. Wzrok miał spokojny, zamyślny.

- Jeszcze nie wiedziałem, czy tego chcę - powiedział powoli. - Ale teraz już wiem. Tak, zabiję cię.

Arlecki pobladł, pozostał jednak wyprostowany. Puścił broń, zawisła swobodnie na pasku. Zdjął z głowy hełm, odpiął noktowizor. Sprzęt potoczył się po podłodze z głuchym łoskotem. Człowiek odetchnął głęboko.

- No to proszę - rzucił spokojnie.

- Zaslugujesz na to - mruknął Lord. - Z całą pewnością.

Nagle powietrze zaświzczało, Arlecki zdołał tylko uchwycić wzrokiem kilka krótkich ruchów tamtego, błysk stali... Fala gorąca spłynęła mu nagle po szyi, sięgnęła w górę, do prawego ucha.

Podniósł obie ręce, przycisnął palce do chlustającej krwią tętnicy szyjnej. Ogarnęła go niesamowita słabość, w oczach ciemniało mu w zastraszającym tempie. Zobaczył jeszcze, jak Ultor krótkim, zdecydowanym ruchem strąca krople krwi z miecza *wakizashi*, a potem, odchylając połą płaszcz, wkłada ostrze do pochwy zawieszanej u pasa.

Jurek osunął się na kolana, jego ciało zaczął ogarniać dojmujący chłód, w miarę jak czerwonymi kroplami wyciekało zeń życie.

- Szkoda - powiedział Lord Wojownik, stając nad nim. - Mogłeś być jednym z nas.

- Tak - wyszeptał Arlecki, układając się miękko na ziemi. - Szkoda. Mogłem być jednym z was... Chyba bym nawet wołał, wiesz?

Leżał na wznak, światło księżyca rzucało białe krzyże przez okna oranżerii, rozmazywało się w jego gasnących oczach. Potem pojawiła się nad nim surowa, poważna twarz Lorda Ultora... A potem narosła ciemność, w której nie było widać już nic.

- *Salve, frater!* - powiedział Ultor, pochylając się nad umierającym. - *Salve file Latentis.*



Jurek obudził się z krzykiem. Sięgnął rękami do szyi, szukając palcami rozdartej tętnicy... Nic.

Gładka, zdrowa skóra. Ani śladu rany, czy też blizny.

Usiadł na łóżku, rozejrzył się wokół gorączkowo.

Znajdował się w pustym pokoju, skąpanym w łagodnym blasku padającym przez szeroko otwarte okno. Wiatr wślizgujący się do środka niósł ze sobą żywiczny zapach iglastego lasu.

- Emów? - wymamrotał Jurek niepewnie. - Wciąż?

Wstał, oglądając śliski materiał czarnego dresu, w który był ubrany. Zmiał go lekko w palcach, był miękki i przyjemny.

Pochylił się nad łóżkiem, sprawdził, czy może pod poduszką ma jakąś broń... Nie, puisto. Powiódł jeszcze raz wzrokiem po pokoju. Oprócz metalowego łóżka nie było tu nic.

Podszedł do drzwi, pchnął je niepewnie. Ustąpiły.

Wyszedł na ogarnięty półmrokiem korytarz. Rozejrzył się. Czy to dalej Emów? Wciąż nie był pewien.

Podszedł do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Pchnął je lekko, wszedł do środka.

Dwudziestu kilku mężczyzn, ubranych w takie same czarne dresy, znajdowało się na sali. Porozsiadali się po sofach i fotelach, jeden z nich obsługiwał wciśnięty w kąt barek. Wielki, płaski ekran telewizora zajmował prawie całą ścianę. Również i tutaj szeroko otwarte okna wpuszczały łagodny blask.

Na widok wchodzącego mężczyźni odwrócili się, patrząc na niego przyjaźnie. Jurek postąpił parę kroków, po czym zatrzymał się speszony.

Z fotela pod oknem podniósł się Morawski, podszedł do niego, promieniejąc uśmiechem.

- Operacja „Faust” tysiąc sto trzysta zakończona sukcesem - obwieścił radośnie. - Witamy w klubie, Vesper.

Podał mu rękę. Jurek uśmiechnął się przelotnie, nadal nic nie rozumiejąc. Uścisnął dłoń kapitana nieco machinalnie, pokiwał głową.

- Siadaj, siadaj. - Morawski podprowadził go do stolika, usadził na kanapie. - Ej, ruszcie się, chłopaki! Dajcie młodemu pić, pewnie umiera z głodu.

Barman błyskawicznie wyjął wysoką szklanę, napełnił ją rubinowym płynem, postawił na blacie. Któryś z mężczyzn pochwycił ją, przyniósł do stolika i podał Arleckiemu niemalże ceremonialnym gestem.

Jurek przyjął napój, dopiero teraz czując, jak bardzo jest głodny i spragniony. Wychylił zawartość szklanki duszkiem. Napój był przepyszny, nieco słodki, odrobinę słonawy, nie-samowicie orzeźwiający. Arlecki od razu poczuł się lepiej. Uśmiechnął się z wdzięcznością i odstawił puste naczynie na blat.

- Dzięki - powiedział, nie kryjąc ulgi. - Tego mi było trzeba, faktycznie.

Na twarzach otaczających go mężczyzn pojawiły się pełne aprobaty uśmiechy. Kapitan spowaźniał nagle. Skinął na jednego z kolegów, ten podniósł się natychmiast i podszedł do szafki pod ścianą. Wydobył z niej plastikową teczkę. Wrócił i podał ją Jurkowi.

- Piękny był pogrzeb, ludzie płakali - stwierdził poważnie.

Arlecki otworzył teczkę, wydobył z niej plik papierów i zdjęć. Zaczął przeglądać, oczy otwierały mu się coraz szerzej w niekłamanym zdumieniu.

Jerzy Arlecki, zabity w akcji.

Świadectwo zgonu.

Zdjęcia z pogrzebu.

Salwa honorowa.

Nagrobek.

Zapłakana ciotka.

Podniósł wreszcie oczy na kolegów, powiódł po nich wciąż nierozumiejącym spojrzeniem.

- Sfingowaliście moją śmierć? - zapytał. - Ale po co? Aż tak tajna jest ta jednostka?

- Jednostka jest tajna, i owszem - powiedział major, wchodząc do sali.

Wszyscy obecni poderwali się, stanęli na baczność. Oprócz młodego, który wciąż siedział na kanapie i wpatrywał się w dokumenty osłupiałym wzrokiem.

- Spocznij - rzucił dowódca. - Tak, oddział jest bardzo niejawny - dodał spokojnie, podchodząc do stolika. - Ale nie sfingowaliśmy twojej śmierci. Ty umarłeś, Vesper, umarłeś naprawdę. A teraz dołączyłeś do nas, Lord Ultor przyjął cię do oddziału, ofiarował Dar Krwi. Umarłeś i obudziłeś się dla Nocy. I co ty na to?

Wezwany zaniósł się cichym, nerwowym śmiechem.

- Dar Krwi? - wybełkotał. - Umarłem i żyję? Znaczy, że... co? Jestem teraz wampirem? Ja?

Pokiwali głowami w poważnym, surowym milczeniu.

- I będę latał po mieście i napadał na ludzi - trajkotał więc dalej, nieco histerycznie. - I wysysał im krew, i w ogóle...

- Nawet nie próbuj - przerwał mu major zdecydowanie. - Ultor zetnie ci łeb za takie numery. Jedzenie dostajesz tutaj, nie wolno ci polować na własną rękę.

- Przecież mówiłem, jesteśmy oddziałem specjalnym do zwalczania wampirów - dodał kapitan cierpliwie. - Walczymy z wampirami, nie z ludźmi.

- Z wampirami reneгатami - uzupełnił major skwapliwie. - A ty przysięgałeś bronić obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, pamiętasz? Dalej jesteś w ABW, obecnie w stopniu porucznika. Szkolenie zakończone. Nie będzie więcej prób, zostałeś przyjęty przez Lorda, to wystarczy. Aha, i pamiętaj, Jerzy Arlecki nie żyje. Ty nazywasz się Vesper.

Wampir pokiwał powoli głową. Nagle zdał sobie sprawę, że żołądek ma pełen dopiero co wypitej krwi... Zrobiło mu się niedobrze, pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Zerwał się więc z kanapy, roztrącając kolegów gwałtownie, podbiegł do okna. Przechylił się przez parapet, oddychając ciężko. Mdłości jednak minęły, najwyraźniej organizm nie zamierzał się pozbyć cennego płynu.

Rozejrzał się wokół, wciąż dysząc. Po niebie pędziły chmury, słońce rzucało między nimi snopy światła. Wreszcie wychynęło spomiędzy obłoków na dłużej. Vesper popatrzył w górę z niedowierzaniem, czując, jak coraz silniej kręci mu się w głowie.

Słońca było pół.

I było takie dziwnie duże, poryte bliznami... I nie świeciło tak mocno jak zwykle.

Wreszcie zrozumiał, osunął się bezwolnie z parapetu i usiadł na podłodze. Popatrzył na poważne miny kolegów otaczających go kręgiem.

- A więc to tak... - rzucił półgłosem. - Obudziłem się dla Nocy.

- Operacja „Faust” zakończona sukcesem - potwierdził major spokojnie. - Zostałeś zwerbowany do nocarzy, III sekcji Biura Białego Wywiadu ABW. Od jutra zaczynasz swoją prawdziwą służbę Rzeczypospolitej.

Vesper znowu pokiwał głową. Zamknął oczy na parę chwil, żegnając w myślach Jerzego Arleckiego i jego życie.

A potem odwrócił się i zapatrzył na księżyc, wznoszący się triumfalnie na niebie.



Dostanę mundur, broń, do szafki kluczyk
Dowódca „bacznosc-spoznij” mnie nauczy
Butami naszą piękną ziemię zmierzę
Jak łatwo być żołnierzem
Żołnierzem

Wnet wszystkie ze łba spadną mi kłopoty
Nie trzeba mi wypłaty ni roboty
Gdy każą, idę, gdy nie każą, leżę
Jak łatwo być żołnierzem
Żołnierzem

A gdyby się historia jakaś działa
Ty jedno wiesz: Ojczyzna ci kazała
I możesz w swą niewinność wierzyć szczerze
Jak łatwo być żołnierzem
Żołnierzem

Bulat Okudźawa
„Piosenka amerykańskiego żołnierza”
(tłum. A. Bianusz)

Nielegalna krew



wóch wysokich, szczupłych mężczyzn podeszło do stolika. Wsunęli się w głąb swoistej niszy, zasiadając na czerwonych skórzanych kanapach. Każdy z okrągłych stolików, oddzielony od innych drewnianym ekranem, stanowił centrum niewielkiej łoży. Lokal nazywał się „Moonwalker”. Tuż przy wejściu widniał wielki plakat z okładką filmu z Michaeliem Jacksonem o tymże tytule. Jakby właściciel chciał wszem i wobec obwieścić, że jest wiernym fanem piosenkarza i że to właśnie na jego cześć nazwał pub w ten, a nie inny sposób. Mężczyźni rozejrzeli się wokół. Młodszy z nich bębnił niecierpliwie palcami po blacie okrągłego stolika, nakrytego zielonym, zwisającym niemal do ziemi obrusem. Kelnerka spostrzegła ich natychmiast, podeszła spieszonym krokiem. Uśmiechnęła się do starszego, widać był tu stałym bywalcem.

- Cześć, Michał - przywitała go pogodnie. - Co podać? - Obrzuciła uważnym spojrzeniem drugiego, nieznanego jej klienta.

- To, co zwykle, dwa razy - odparł zapytany, uśmiechając się szeroko.

Jego towarzysz potaknął krótko głową, wykrzywiając wargi w nieco sztucznym uśmiechu. Kelnerka nabazgrała coś w podręcznym notesiku i odeszła, obdarzając ich na pożegnanie nieco tylko mniej zdawkowym uśmiechem.

- No i jak? - spytał ten nazwany przed chwilą Michałem. - Radzisz sobie?

Młodszy mężczyzna odetchnął głęboko. Rozejrzał się dookoła ze źle skrywanym zdemotywaniem.

- Ciężko jest - przyznał niechętnie. - Ciężko. Tyle ludzi dookoła... Nieomal czuję ich krew.

- I tak nie jest źle - pocieszył go tamten. - Nie zabrałbym cię jeszcze w czysto ludzki tłum. Tutaj ponad połowa to nasi. Chwytasz to, Vesper? Widzisz różnicę? Czujesz?

Zapytany pokiwał głową.

- Jasne, Nidor - potwierdził. - Nie za dobrze wiem, na czym to polega... Ale to jest po prostu jasne. Kto jest nasz, a kto nie.

- Kelnerka? - rzucił tamten, jakby odpytując ucznia przed tablicą.

- Nasza - odparował Vesper natychmiast.

- Dobrze. Gość przy stoliku po prawej?

- Nasz.

- Ja? - zapytał Nidor, przechylając nieco głowę i patrząc spod lekko przymrużonych powiek.

- No przecież... - Vesper roześmiał się lekko, po czym spoważniał nagle. - O rany - powiedział w zdumieniu.

- Właśnie - rzucił kolega spokojnie. - To jest mój talent. Jestem chowańcem. Jeśli chcę, potrafię udawać człowieka, nawet przed naszymi.

Vesper popatrzył na niego, kręcąc głową z niedowierzaniem. Podniósł kufel piwa, napił się z niego. Skrzywił się odruchowo.

- Obrzydlistwo - westchnął. - Nie masz piersiówki? - spytał z nadzieją.

- Nie czas na krew - usłyszał suchą odpowiedź. - Jedziemy dalej. Para po lewej?

Odpytywany umilkł nagle, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Cholerny problem - wykrztusił wreszcie. - Ludzie, oboje. Bardzo... apetyczni.

Poczuł dojmujące, wyjątkowo przykre świerzbiecie w okolicy górnych dziąseł, jak swędzenie pod gipsem, którego nie można podrapać. Przeciągnął językiem po zębach. Kły wysuwały się niczym kocie pazury.

- Nigdy nie pozwól, żeby to ci się wyrwało spod kontroli - powiedział nagle Nidor bardzo zdecydowanym tonem. - Nie próbuj polować. Nie próbuj zabijać inaczej niż na rozkaz. Nie tykaj nielegalnej krwi.

- Wiem - rzucił Vesper krótko, nie patrząc na niego. - Wiem.

Spuścił głowę, chwycił serwetkę ze stołu. Skrył za nią część twarzy, udając, że starannie ociera wargi.

- To może być droga bez odwrotu - ciągnął tamten niezrażony. - Jak lejek, w który łatwo wejść, ale gdy się zwęzi, wyjść z niego już nie sposób. Jak przysłowiowe ruskie muzeum, gdzie bilet do wejścia kosztuje rubla, ale do wyjścia już sto. Każda podróż rozpoczyna się od pierwszego kroku - twoja w tym głowa, żeby akurat na tej ścieżce nigdy go nie postawić. Rozumiesz?

Vesper pokiwał potakująco głową. Skoncentrował się z całych sił. Spokój, nakazał sobie. Spokój.

Wreszcie kły schowały się posłusznie, wracając do kieszonek w dziąsłach. Młody nocarz zmiął chusteczkę i rzucił do popielniczki. Rozejrzał się wokół z wymuszonym uśmiechem.

- W porządku. - Kapitan odetchnął z ulgą. - No, to postarajmy się dzisiaj dobrze zabrać - rzucił znacznie weselszym tonem, mrugając do kolegi porozumiewawczo.

Podopieczny odpowiedział mu bardzo wymuszonym uśmiechem.

Żadna to zabawa, tylko się, cholera, męczę... - pomyślał. Może to jednak dla mnie za wcześnie? Może miesiąc szkolenia to za mało, żeby iść między ludzi?

- Zaczynj się, kurwa, maskować - warknął nagle Nidor ściszym głosem. - Jak na razie myślisz tak głośno, że odbiera cię, kto chce. Lustro, tworzysz lustro, pamiętasz?

Vesper natychmiast skupił się na wyobrażeniu lustrzanej kuli otaczającej go wokół. Jest gładka, śliska, wszystko odbija... Nawet światło, nawet myśl.

- Od razu lepiej. - Nidor uśmiechnął się z aprobatą.

Kelnerka podeszła do nich, niosąc na tacy dwa kufle piwa. Pochyliła się, postawiła je na stoliku.

- Coś jeszcze, Michał? - spytała, prostując się. - To, co zwykle?

Nidor popatrzył na kolegę z zastanowieniem.

- Owszem - powiedział. - Tak. Za chwilę.

Pokiwała głową z lekkim porozumiewawczym uśmiechem, po czym odmaszerowała z powrotem.

Vesper popatrzył za nią, starając się nie zerkać nawet w kierunku pary schowanej w sąsiednim zaułku. Pomimo drewnianej przesłony widział doskonale, co tam się dzieje. Jak młodzi, nieco podchmieleni, przytulają się do siebie coraz mocniej. Jak ręce chłopaka wędrują coraz wyżej pod bluzką dziewczyny.

Wstać. Rzucić człowiekiem o ścianę tak, aby tylko zsunął się po niej bezwładnie, znacząc na tapecie krwawy ślad. A dziewczynę zawieźć do domu, do Emowa. Kochać się z nią przez całą noc, mieć pod sobą jej młode, prężne ciało. A potem, na koniec, wbić jej w szyję kły. Pić świeżą, gorącą, pulsującą endorfinami krew.

Vesper zacisnął powieki.

Przestań, przestań natychmiast. Pamiętasz, jak to było? Ja, Obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków funkcjonariusza Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ślubuję...

Otworzył oczy, patrząc z napięciem na rozpartego wygodnie na kanapie Nidora. Pomocy, miał ochotę zakrzyknąć w głos. Pomocy.

- Spokojnie - powiedział tamten, obserwując go spod zmrużonych powiek. - Wszyscy przez to przechodziliśmy. Tak to jest, po prostu tak to jest.

Vesper wziął głęboki oddech, po czym powoli, miarowo wypuścił powietrze z płuc.

- Dam radę - zapewnił, dokładając sił, by nie zadrżał mu głos. - Jasne, że dam.

- Nie wątpię - odparł Nidor spokojnie. - Nie chciałbyś chyba, żeby Ultor musiał cię zabić drugi raz.

Ultor, Lord Wojownik. Vesper westchnął lekko w mimowolnym podziwieniu. Chwila, w której spotkał Lorda twarzą w twarz, dotąd śniła mu się po nocach. Ultor zabił go, wyciągnął go z bagna banalnej, codziennej egzystencji, w zamian ofiarowując wieczność. Vesper przyjął Dar Krwi ze zdumieniem, ale jak dotąd ani razu tego nie żałował. Ani razu.

Podniósł wzrok. Niezwykle piękna kobieta podeszła do ich stolika, kołysząc wyzywająco biodrami. Uśmiechnęła się i uwodzicielskim gestem odgarnęła z twarzy kosmyk długich rudych włosów. Vesper spiał się, patrząc na nią niespokojnie, po chwili jednak rozluźnił w poczuciu nagłej ulgi. Nasza. Nie będzie problemu.

- Witaj, Karina! - Nidor natychmiast podniósł się z miejsca, witając przybyłą szerokim, życzliwym uśmiechem. - Siadaj, czekaliśmy na ciebie.

- Cześć, Michał - odparła swobodnie.

Zręcznie wsunęła się za stół. Usiadła na kanapie pomiędzy nimi, zerknęła na Vespera ciekawie. Podniósł się z miejsca z krótkim ukłonem.

- Jerzy Malinowski - przedstawił się, na wszelki wypadek oficjalnie.

Malinowski. Bardzo przeciętne nazwisko, przyszyte jakby na siłę do jego nowego, nieprzeciętnego ja. Nic dla niego nie znaczyło, było tylko zlepkiem dźwięków zapisanych w dokumentach. W nowej kartotece, dowodzie osobistym, legitymacji porucznika ABW... Naprawdę nazywał się Vesper, tak, jak to postanowił Ultor, jego nowy ojciec i matka razem wzięci.

- Kolejny nabytek? - Karina zaśmiała się zalotnie i omiotła go zaciekawionym spojrzeniem. - No proszę... Ród Wojowników rozrasta nam się niespodziewanie szybko. Tylko trochę wolniej niż renegaci. - Zerknęła na Nidora złośliwie.

- Odkąd to Winorośle interesują się polityką? - odparował tamten natychmiast. - Lord Viticula wydała nowe zarządzenie? A nie zapomniała go ogłosić? - Spojrzał na nią przekornie.

Vesper uśmiechnął się pod nosem, słysząc ten komentarz. Już się przyzwyczył, że władca Rodu zawsze nazywany był Lordem, bez względu na płeć. Ale z tego, co słyszał o Viticuli, niewiele w niej było z władcy czy Lorda. Zachowywała się bardzo niepoważnie, zupełnie jak przysłowiowa blondynka. No, ale cóż, Winorośle, ród przede wszystkim artystyczny, zawsze takie były: trzpiotowate, niepraktyczne... I bardzo rozrywkowe.

Popatrzył na Karinę ze śladem nadziei w spojrzeniu. Pochwyciła jego wzrok natychmiast, bezbłędnie interpretując zawarte w nim przesłanie. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Vesper jestem - podał swoje prawdziwe imię, zaglądając jej w oczy.

Przysunęła się do niego, przeciągnęła prawą dłońią po jego króciuteńko przystrzyżonych włosach. Przechyliła głowę, przekręciwszy się nieco. Tuż przed twarzą miał jej wyjątkowo imponujący dekolt. Przełknął ślinę.

- To ja się przejdę - oznajmił Nidor, wstając. - Bądźcie grzeczni, dzieciaki.

Powędrował do baru i zasiadł na wysokim stołku, wdając się w rozmowę z innymi gośćmi.

Karina błysnęła rozbawionym spojrzeniem, po czym zanurkowała pod stół. Długi zielony adamaszkowy obrus maskował jej obecność doskonale.

Vesper poczuł, jak jej smukłe palce sprawnie rozpinają mu rozporek. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Tak szybko, tak od razu? Tutaj? Już?

Nie zamierzał jednak protestować, zwłaszcza, że dziewczyna doskonale знаła się na rzeczy. Sprawnie wydobyła ze spodni jego nabrzmiały aż do bólu członek. Po chwili spoczęły na nim miękkie, gorące wargi.

Jęknął cicho, przepełniony niewysłowioną ulgą. Nareszcie. Nie miał kobiety, odkąd... Cóż, właściwie to w tym życiu nie miał jej jeszcze ani razu.

Uciążliwa obecność pary ludzi obok zniknęła wreszcie z jego umysłu, zastąpiona przez uczucie dojmującej przyjemności. Karina przyspieszyła, jej usta obejmowały go u samej nasady, wędrowały w górę i w dół w rozkosznych rytmicznych ruchach. Vesper jęknął znów, pochwycił jej głowę, wplótł dłonie we włosy. Przymknął oczy.

- Juuuż... - poprosił cicho. - Juuuuuż.

Objęła członek dłońią, przesunęła nią kilkakrotnie w górę i w dół, wciąż przy tym tańcząc po nim językiem. Wreszcie przywarła doń ustami i zaczęła ssać z całych sił. Vesper eksplodował natychmiast, wraz z nasieniem zaczęło wypływać z niego zadawnione napięcie. W jego miejsce pojawiło się poczucie niesłychanej ulgi.

Puścił jej głowę, uniósł dłonie do twarzy i odchylił się w tył z głębokim westchnieniem.

Karina wynurzyła się spod stołu, usiadła na kanapie, poprawiła włosy. Popatrzyła na niego, po ustach błąkał jej się rozpustny uśmiezek.

Pokręcił głową pełen niedowierzania. Opuścił ręce, zaczął zapinać rozporek. Mimo wszystko to nowe życie wcale nie było takie złe, przemknęła mu przez głowę pełna ulgi myśl.

- Po wsze czasy sławił będę Ród Winorośli - powiedział z przekonaniem.

Uśmiechnęła się wyrozumiale, bez słowa. Roześmiał się więc i on, z niekłamaną ulgą. Głód zelżał, i to znacznie. Nawet ta cholerna para obściskująca się obok przestała już mu tak

bardzo przeszkadzać. Owszem, nadal chętnie rozsmarowałyby tego gościa po ścianie. Ale dziewczynie ewentualnie już mógłby odpuścić. Ewentualnie.

Ja, Obywatel Rzeczypospolitej... - zaszemrało mu w głowie. No to o czym ty tutaj myślisz, obywatelu.

Powrócił Nidor, wiedziony idealnym wyczuciem chwili. Popatrzył po nich poważnie.
- Mamy nieprzewidzianą akcję - powiedział.

~~_____~~

Samotny mężczyzna przy stoliku pod ścianą już na pierwszy rzut oka budził nieokreślony niepokój. Vesper obserwował go spod w półprzymkniętych powiek, zgodnie z zaleceniem kapitana. Przyglądał się uważnie, skanował wzrokiem... Starał się ustalić, co właściwie jest z tamym nie tak. Może to nieobecne spojrzenie, jakby bujające gdzieś poza ścianami lokalu, wśród ludzi na ulicy? A może ta postawa, niby rozluźniona, ale jakby pełna oczekiwania na ten jeden konkretny sygnał... Po którym rozpocznie się... Co?

Vesper przebiegł językiem po wargach, mimowolnym gestem zdradzając napięcie. Kątem oka spostrzegł pełen dezaprobaty ruch ramion Nidora. No tak, zawstydził się od razu. Pięknie się kamufluje, nie ma co.

„Teraz!” - zasygnalizował kapitan.

Podnieśli się jednocześnie, Vesper i Karina. Ona poszła przodem, kołysząc biodrami z wyzwaniem. Doszła do stolika obserwowanego mężczyzny i nagle zachwiała się, upadając w jego kierunku. Ten natychmiast wyciągnął ręce, przytrzymując ją za pośladki. Dziewczyna wyprostowała się od razu, w sali rozległ się odgłos siarczystego policzka.

- Ręce przy sobie! - krzyknęła z oburzeniem.

Mężczyzna popatrzył na nią niezbyt przytomnym wzrokiem. Po chwili jednak zmarszczył brwi, groźny grymas wykrzywił mu twarz.

- Co jest grane, koleś? - Vesper stanął za Kariną i zmierzył swój cel groźnym spojrzeniem. - Nie umiesz łap na miejscu utrzymać?

- Sama na mnie poleciała - warknął tamten, opanowując się z widocznym wysiłkiem.

Vesper pochylił się nad nim, pochwycił oburącz za klapy dzinsowej kurtki, podniósł go jednym ruchem. Ogarnęło go poczucie nierealności całej sytuacji. W poprzednim życiu starałby się negocjować...

- Nazywasz ją dziwką? - rzucił gniewnie, po czym pchnął go na stolik z całej siły.

Szklanki rozprysły się na boki, napełniając salę dźwiękiem tłuczonego szkła. Mężczyzna poderwał się natychmiast, oczy jarzyły mu się wściekłością. Rzucił się na przeciwnika, pochwycił go za ramiona, przybliżył twarz do jego ucha.

- Nie zaczepiaj starszych, gnoju! - wysyczał z naciskiem. - Widać, żeś jeszcze niewypierzony nietoperz...

- Nie twój zastrany interes! - warknął Vesper groźnie i odepchnął mężczyznę z całych sił.

Przeciwnik zatoczył się lekko, zgiął w pół, po czym z półobrotu wyprowadził nagły prawy prosty. Vesper wykonał sprawny unik, pięść przeleciała na pusto koło jego twarzy. Niewyhamowany pęd rzucił mężczyznę na sąsiedni stolik, siejąc zniszczenie w kolejnej niszy. Siedzący w niej ludzie zerwali się z głośnymi okrzykami protestu.

- Spokojnie, panowie, spokojnie! - rzucił szpakowaty mężczyzna, podchodząc spieszenie. - Nie ma o co robić aż takiego zamieszania. To na pewno jakieś nieporozumienie... Zaraz barman wezwie ludzi i po co nam to?

Za drzwiami rozległ się głos policyjnej syreny. Karina wycofała się natychmiast, znikając na zapleczu. Szpakowaty pokiwał głową i odsunął się nieco, patrząc na obu oponentów z dezaprobatą. Policjanci weszli do sali, omiatając ją bystrymi spojrzeniami. Dostrzegli winowajców natychmiast.

- Już w porządku - powiedział Vesper mitygującym tonem. - Nieporozumienie. Prawda? - Popatrzył bystro na przeciwnika.

Tamten pokiwał powoli głową, chociaż oczy wciąż jarzyły mu się wściekłością.

- Zapłacimy za straty - dodał Vesper skwapliwie. - Nie będzie problemów, słowo.

- W takim razie spiszemy panów i pouczymy - oznajmił jeden z policjantów. - Dowoddy proszę.

Wyciągnęli plastikowe karty i wręczyli mu je bez ociągania.

- Jerzy Malinowski - powiedział policjant, patrząc uważnie na Vespera.

Nocarz pokiwał gorliwie głową.

- Zgadza się - oznajmił.

- Grzegorz Kowalski. - Policjant przeniósł wzrok na mężczyznę, w odpowiedzi otrzymał potwierdzające skinienie.

Podał drugi dowód koledze, zajęli się obaj przepisywaniem danych. Skończyli, zwrócili dokumenty, popatrzyli na winowajców surowo.

- Żeby to się nie powtórzyło - ostrzegli poważnie, po czym odwrócili się i wyszli z lokalu, trzaskając drzwiami.

Szpakowaty od razu powrócił do przeciwników.

- Panowie, obaj macie już dość na dzisiaj - oznajmił kategorycznie. - Młody kolega wraca do domu natychmiast. Drugi po półgodzinie. I żadnego zaczajania się, żadnych burd w okolicy. Policja ma was na celowniku. Nie radzę się dekonspirować. - We wzroku zamigotała mu stal.

Wrócił do swojego stolika, nie zaszczycając ich już ani jednym spojrzeniem.

„Dobrze, młody, świetnie” - odezwał się wreszcie Nidor, obserwujący spokojnie akcję. „Mamy już dane delikwenta. Teraz wychodzimy, grzecznie i spokojnie”.

Vesper pokiwał głową. Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Wyszedł, nie spojrzawszy na przeciwnika ani razu. Tamten zaś powrócił do stolika. Wpatrzył się w dal, znowu tym dziwnym spojrzeniem. Spod przymrużonych powiek jego oczy błyskały bardzo drapieżnym wyrazem.



Czarne BMW mknęło trasą lubelską. Światła samochodu przeskakiwały chciwie z obiektu na obiekt, wyłapując rozmazane pnie drzew, sztachety płotów, siatki ogrodzeń. Vesper spojrział na deskę rozdzielczą, przerzucił wzrok na kolegę rozpartego wygodnie za kierownicą. Spojrział znów na prędkościomierz, lekko marszcząc brwi. Strzałka pokazywała sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a lublinianka bynajmniej nie była autostradą.

- Spokojnie, młody - rzucił Nidor, wykrzywiając wargi w nieznacznym uśmiechu. - W razie czego odepchnę nas. Nie bój nic.

Zamilkli na chwilę. Kolejne drzewa umykały w dal.

- Świetna robota - kapitan przerwał ciszę, dodając gazu, strzałka wspięła się o pięć kilometrów. - Panowałeś nad sobą, to najważniejsze. Tak trzymaj. Nie zdradź się z niczym, nie pozwól się zdemaskować. Ludzie o nas nie wiedzą i na razie tak ma zostać, *paniatno?*

Nowicjusz odwrócił głowę ku oknu, wpatrując się w uciekające do tyłu kształty. W szybach samochodu migotały odbicia przedmieść Warszawy.

W końcu przed nimi zabłysły światła zakrętu. Kierowca przyhamował lekko, skręcił w prawo w kierunku na Lublin. Opony zapiszczały niemiłosiernie.

- Naprawdę, spisałeś się świetnie! - Nidor spojrział w bok i mrugnął do kolegi porozumiewawczo.

„Patrz na drogę” - poprosił go Vesper w duchu. „Prawie dwie paki na blacie, patrz żesz na drogę, kurwa twoja mać!”

- Przecież patrzę - westchnął kapitan z wyrzutem. - Całym sobą. Co ja, tylko oczy mam do patrzenia czy jak? Ech, musisz się dużo jeszcze uczyć, młody. - Pokręcił głową, po czym nagle zahamował, mocno odbijając w lewo. - O, właśnie. Pies - stwierdził spokojnie, po czym powrócił płynnie na prawy pas.

Zwierzak zawrócił i pobiegł poboczem, podkulając ogon. Zaraz zniknął gdzieś z tyłu za nimi. Samochód pomknął dalej, połykając kolejne kilometry.

Vesper potarł łokieć, którym uderzył o drzwi przy hamowaniu. Westchnął w duchu. Niestety, nie potrafił jeszcze odpychać się umysłem od twardych przedmiotów zmierzających na niezapowiedziane spotkanie z jego ciałem. Wiele nauki jeszcze go czeka, zanim zostanie w miarę przyzwoitym nocarzem.

- Facet był napruty do granic możliwości - Nidor powrócił do zdarzeń z „Moonwalkera”. - Co oznacza, że na rynku znowu pojawiła się nielegalna krew.

- Nielegalna znaczy nieobojętna? - spytał młody nocarz od razu. - Prawdziwa, nie sztucznej produkcji?

- Dokładnie tak - potwierdził kapitan. - Ta, którą normalnie dostajemy, jest bezpieczna. Nie zawiera żadnych dodatkowych substancji. A mimo to sam widzisz, ile kłopotów sprawia utrzymanie na wodzy drzemiącego w tobie drapieżnika.

Vesper pokiwał głową z westchnieniem. Gdyby nie pomoc Kariny, uśmiechnął się w myślach na samo jej wspomnienie, byłoby mu cholernie trudno. Miał przecież ochotę polować, zabijać, chłeptać świeżą krew... Niczym w obłądnym pijackim szale.

- No i tego właśnie musisz się wystrzegać - powiedział - Nidor. - Krew człowieka ma w sobie pełno substancji działających narkotycznie. Adrenalina, noradrenalina, serotonina, oksytocyna, wazopresyna, angiotensyna, kortyzol, cholera wie co tam jeszcze. Do tego w różnych konfiguracjach, zależnie od samopoczucia ofiary. Inaczej smakuje i działa krew człowieka wystraszonego, inaczej podnieconego... A im silniejsze uczucia, tym wyższy poziom różnych substancji we krwi i co za tym idzie, mocniejsze działanie narkotyku. Raz spróbujesz... i już przepadłeś z kretesem.

Vesper pokiwał głową, przywołując wspomnienie twarzy tamtego mężczyzny z baru.

Faktycznie, miał takie dziwne, drapieżne spojrzenie, jakby szukał ofiary. A skoro był naćpany nielegalną krwią, mógłby być bardzo niebezpieczny, gdyby wpadł w szal zabijania. Wiadomo, nie brałby spośród swoich, wampirza krew jest wyjątkowo niesmaczna, no i całkiem obojętna. Ale byli tam również nieświadomi niczego ludzie. Ludzie, których młody porucznik ABW przysiągł bronić.

Nagle, tknięty jakąś myślą, odwrócił głowę do siedzącego obok kolegi, który nie odrywał uważnego spojrzenia od umykającej przed nimi drogi. Zbliźali się już do zjazdu na Emów, łatwo go było przegapić przy tej prędkości.

- Sądziysz, że on kogoś zabił? - zapytał z napięciem. - I napił się krwi ofiary?

Nidor pokręcił głową.

- Gdyby był zabójcą, po prostu wyciągnąłbym go stamtąd i zawlókł do Bunkra - stwierdził poważnie. - Ultor uciąłby mu łeb na najbliższym zebraniu Kapituły. Ale nie. Nie wyglądał mi na zabójcę. - Milczał przez chwilę, po czym dorzucił jakby z trudem: - To się czuje, wiesz, przy odrobinie doświadczenia. Więc zdecydowałem się zaryzykować...

- On tę krew kupił - pojął Vesper w lot. - Dlatego chciałeś, żebym go sprowokował. Policjanci spisali jego dane, a ty dzięki temu będziesz wiedział, kim jest, i będziesz mógł puścić za nim obserwację.

- Wprawimy w ruch całą maszynkę - potwierdził kapitan. - Musimy dotrzeć do diler. Bo pomyśl... - Obrócił się nagle, wpatrując się w kolegę z napięciem. - Skąd oni biorą taką krew? Na pewno jest bardzo mocna, co do tego nie mam wątpliwości. Pędzona bólem i strachem, facet miał oczy jak zaćpana barrakuda. A jak myślisz, jak oni coś takiego wytwarzają?

Vesper pokręcił głową powoli, odpowiadając sobie w duchu na to pytanie. Skurwysyny, poruszył bezgłośnie wargami.

Nidor odwrócił się z powrotem, patrząc na trasę. Skręcił w prawo na Emów. Zaraz potem odbił w las, w jedną z niepozornych piaszczystych dróg. Samochód toczył się po wybojach, podskakując niemiłosiernie.

Świtało.

Nie odezwali się już więcej, aż pojawiły się przed nimi znajome budynki siedziby Sekcji Trzeciej Biura do spraw Białego Wywiadu Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.



Vesper leżał na wznak na wodnym łóżku w swoim pokoju, wbijając oczy w sufit. Żaluzje przylegały do okna ściśle, nie wpuszczając do pokoju ani odrobiny zabójczego blasku. Aksamitna ciemność panująca w pomieszczeniu była miękkim, przytulnym rajem. Była domem. Najlepszym spośród wszystkich, jakie dotąd miał.

A jednak młody nocarz wciąż nie mógł zasnąć, dręczony niespokojnymi myślami.

Początki jego wampirzej kariery przebiegały jakoś... dziwnie. Nie tego się spodziewał, a przynajmniej niezupełnie.

Nidor był w porządku, nie można było na niego złego słowa powiedzieć. Vesper da-
rzył go znacznie większą sympatią niż swojego poprzedniego prowadzącego.

Na szczęście rzadko tamtego spotykał. Morawski, obecnie Umens, nie wchodził mu za-
często w drogę, wciąż zajęty swoimi sprawami. Przeprowadzał tylko raz na jakiś czas poga-
danki z całym zespołem, omawiając kluczowe tematy.

Kiedyś zobaczył dawnych kolegów z pokoju: Marię, Wojtkę i Staszka. Kiwnęli mu
głowami uprzejmie i zaraz odeszli w swoją stronę. Nie zdążył nawet zapytać, jak się napraw-
dę nazywają. Nie zdołał ich też wyczuć, nie był pewien, czy są ludźmi, czy nie. A oni najwy-
raźniej nie przejawiali żadnej ochoty na utrzymywanie z nim jakichkolwiek kontaktów. No
cóż, widać zakończyli swoje zadanie i nie potrzebowali się z nim bratać.

Inni nocarze traktowali go uprzejmie, nawet dosyć przyjaźnie. Odpowiadali na
wszystkie pytania, pokazywali, jak się posługiwać różnymi rodzajami broni. Jeżeli miał jakiś
problem, zawsze mógł się zwrócić do któregoś z nich i nikt mu nie odmówił pomocy.
Wciąż jednak nieprzenikniona bariera tkwiła pomiędzy nim a resztą zespołu. Nie był jednym
z nich, odczuwał to bardzo wyraźnie.

I nie miało to nic wspólnego z tradycyjną wojskową „falą”. Nikt go nie zameczał wy-
siłkiem ponad miarę, wręcz hamowano go, gdy próbował rozbrykać się za bardzo. To na wła-
sne życzenie wciąż wstawał wcześniej, kiedy tylko zapadał zmierzch. Biegał po lesie godzi-
nami, nie mogąc się nacieszyć smakowaną po raz pierwszy sprawnością. Nareszcie mógł po-
łykać znaczne odległości, kilometr po kilometrze, lekko i zwinnie, nie odczuwając zmęczenia.
Biegał, skakał i wspinał się bez wysiłku, serce biło równo, spokojnie, a oddech przyśpieszał
tylko nieznacznie. Napawało go to niewiarygodnym uniesieniem, niczym poczucie nigdy
przedtem nie zaznanej wolności. Zaprawdę, umarł był i narodził się na nowo.

A jednak nie był do końca szczęśliwy, coś gryzło go i uwierało, czaiło się na dnię
każdej chwili. Wciąż czuł się jakby w zawieszeniu pomiędzy dwoma światami.

Odszedł już od tamtego, ludzkiego, ale nie pojawił się jeszcze w tym. I wciąż nie wie-
dział, jak się w nim odnaleźć. Przyjmował więc ze spokojem rezerwę kolegów, nie mając
śmiałości, by zadać niektóre pytania. Dopiero teraz, kiedy wrócił z „Moonwalkera”, zrozu-
miał, skąd bierze się ta nieunikniona obcość.

Nie był jednym z nich. Nie był zabójcą wampirów.

W ogóle nie był zabójcą.

Nigdy nikomu nie odebrał życia, czy to w słusznej, czy w niesłusznej sprawie.

Liczył się z tym, że przyjdzie i na niego czas. W ciągu miesiąca po przebudzeniu nie
przejawiał nawet cienia ochoty, żeby rzucać się i mordować kogokolwiek. Dopiero teraz, kie-

dy wybrał się między ludzi, poczuł prawdziwy głód, zew krwi. Nagle usłyszał głuchy warkot przyczajonego gdzieś w środku łowcy, podnieconego, bo wreszcie ujrzał swoją ofiarę.

Na dodatek zdawał sobie sprawę, że tam, w „Moonwalkerze”, odczuł zaledwie przedsmak tego, kim się stał naprawdę. A raczej: kim się stawał z dnia na dzień.

I wcale nie był pewien, czy naprawdę chce się nim właśnie stać.

Ale przecież nie miał innego wyjścia. Już nie.

Wbijał więc oczy w sufit w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafił dobrze sformułować.



Nidor wychylił się przez okno, popatrzył po okolicy. Sosnowy las w Emowie szykował się właśnie na przyjęcie wiosny. Trawa przestała już pokładać się po ziemi żałośnie, a nabrzmiałe pąki krzewów zamierzały wybuchnąć zielenią lada dzień.

Zmierzchało. Słońce właśnie kończyło zalewanie świata oślepiającym blaskiem, fioletowe smugi zachodu kładły się na granatowym niebie.

- Vesper! - zawołał nocarz półgłosem, rozglądając się dookoła. „Vesper!” - powtórzył w myślach nagłaco.

Wezwany zwiesił się z gzymsu tuż nad nim i zawisł tak, do góry nogami, zatrzymując twarz dokładnie na wysokości jego oczu.

- Tak? - zapytał. - Co się dzieje, panie kapitanie?

- Tu jesteś - westchnął Nidor, odsuwając się nieco. - Bo myślałem, że znowu biegasz po lesie.

Vesper odepchnął się rękami od gzymsu, wywinął pół salta w powietrzu. Zamiast jednak lekko opaść na nogi, grzmotnął o ziemię całkiem solidnie i potoczył się po placu. Wstał zaraz z dosyć kwaśną miną. Zaczął otrzepywać dres z piachu i zeschniętych liści.

- No właśnie - mruknął. - Już się nabiegałem. Teraz trenuję skoki z dachu. Nie bardzo mi wychodzi.

- Za mało odpychasz ziemię - objaśnił mu tamten protekcjonalnie. - Popatrz! - Wyskoczył przez okno jednym zwinnym susem.

Stanął naprzeciw kolegi, uśmiechając się z odrobiną wyższości.

- Czym jest latanie? - rzucił, jakby odpytywał ucznia przed tablicą.

- Formą telekinezy - odparł adept szybko. - Tak samo jak przesuwasz myślą przedmioty, tak i tutaj musisz po prostu przesunąć samego siebie względem otoczenia. Odepchnąć się

od ziemi, budynku, czegokolwiek, byle było wystarczająco masywne. Inaczej odepchniesz to coś.

- Dokładnie - potwierdził Nidor. - Nie odepchniesz się od pudełka zapalek, prędej to ono ci poleci. - Uśmiechnął się. - No, to teorię masz opanowaną. Telekinezę też, całkiem sprawnie przesuwasz już dosyć duże rzeczy. W czym więc problem?

- Nie wiem - stwierdził Vesper markotnie. - Może w precyzji? Trzeba się odepchnąć nie tylko od ziemi, ale i od ściany, i trudno jest kontrolować kilka rzeczy naraz... A może kwestia wycucia czasu, robię to za wcześnie albo za późno?

Nidor wzbił się w górę i miękko wylądował na dachu.

- No, chodź - powiedział. - Chodź, chodź, młody.

Vesper zacisnął wargi, wpatrzył się w ścianę w skupieniu. Uniósł się na pół metra, po czym stracił równowagę, zamachał rękami, zwałił się na bok. Upadł, przeturlał się zwinnie. Zaklął, uderzył pięścią w ziemię i wstał z bardzo niezadowoloną miną.

- Na razie skorzystam z metody klasycznej - warknął ze złością. - Mam antytalent do latania. - Podszedł do drabinki prowadzącej na dach, zaczął się wspinać po szczeblach.

- Spokojnie - rzucił Nidor. - Trzeba się po prostu nauczyć, ot i wszystko. O ile wiem, nikt się z tą umiejętnością nie rodzi.

Począł, aż kolega dołączy do niego, obserwując go spod nieco przymrużonych powiek. Słońce świeciło jeszcze ostatkiem sił.

- No, zasuwasz - powiedział, gdy tamten wreszcie wdrapał się na dach. - Już.

Stanęli obaj na krawędzi. Popatrzyli w dół.

- Hm - stwierdził Vesper niepewnie. - No więc tak. Odepchnąć się od dachu, kontrolować bliskość ściany, pozwolić grawitacji, niech działa, tuż nad ziemią pchnąć silnie podłóżę... - Zatupał w miejscu, pochylił się nieco, jak przed skokiem do wody.

- Za dużo myślisz - oznajmił Nidor i pchnął go brutalnie.

Vesper poleciał w dół, rozpaczliwie młóćąc powietrze rękami i nogami. Nagle, zamiast uderzyć w betonowy chodnik, podskoczył, jakby odepchnięty niewidzialną siłą. Potem opadł lekko na ziemię.

Wyprostował się, twarz mu jaśniała radością. Zadarł głowę do góry i popatrzył na stojącego wciąż na dachu kolegę.

- Aha - rzucił niby niedbale. - To tak po prostu. Nie kombinować za dużo, tylko odepchnąć się, żeby nie przywalić w glebę. Aha.

Nidor skinął głową.

- Właśnie tak - powiedział, po czym odepchnął się od dachu, zakręcił błyskawicznie w potrójnym saltie i opadł miękko na ziemię tuż koło Vespera. - Tak po prostu - dorzucił równie niedbale.

Młodemu mina zrzędała natychmiast.

- Z czasem też się tak nauczysz - roześmiał się Nidor, poklepując go po ramieniu. - No, dosyć tej zabawy. Mam dla ciebie nowe wiadomości - dodał poważnie.

- Coś w naszej sprawie? - zapytał Vesper z ożywieniem.

- Tak. - Kapitan pokiwał głową. - Ale chodźmy do środka, głodny się zrobiłem. Zjemy coś, to pogadamy. No, ruchy, człowieku, ruchy!

- Człowieku! - prychnął tamten od razu. - Też mi coś... - Wzruszył ramionami z ostentacyjną pogardą.

- Stare nawyki słowne - rzucił Nidor. - Chodź!

Odwrócił się i swobodnie wskoczył przez okno do budynku. Po chwili zniknął w głębi pokoju. Vesper popatrzył za nim niepewnie. Wreszcie odbił się, skoczył. Nie poleciał nawet w połowie tak dobrze jak starszy nocarz. Z trudem dotarł do okna i wylądował na parapecie, chwytając się ramy, żeby utrzymać równowagę.

- Nigdy się tego, kurwa, nie nauczę - warknął przez zaciśnięte gniewnie zęby.



Siedzieli obaj w pokoju Nidora, sącząc rubinowy napój z wysokich szklanek.

- Na razie idzie dobrze - powiedział kapitan. - Biuro techniki załatwiło billingi z obu telefonów naszego naćpanego kolegi: stacjonarnego i komórki.

- Jak nie jest głupi, kupi sobie POP-a albo zwykłą kartę telefoniczną - zauważył Vesper natychmiast. - Nie będzie od siebie dzwonił na trefny numer. I tyle nam z jego billingów...

- Oczywiście, trzeba było jeszcze puścić za nim wydział obserwacji - odparował Nidor. - Chłopaki pilnują go dzień i noc. Jak tylko skorzysta z budki telefonicznej, dowiemy się, dokąd dzwonił. I porównamy to z billingami, czy to nie jest jakiś nowy numer.

- O - rzucił młody z uznaniem. - Z budki telefonicznej też można?

- Prosta sprawa - tamten wzruszył niedbale ramionami. - Przecież to też aparat telefoniczny z numerem. Każda budka ma swój billing. Prosisz operatora, żeby ci podał numer karty, z której dzwoniło z tej a tej budki o tej a tej godzinie. A potem sprawdzasz wszystkie telefony, jakie wykonano z tej karty. Zazwyczaj masz bingo już w pierwszym - drugim podej-

ściu, przecież nie po to facet kupił kartę, żeby z niej dzwonić do mamusi. Od tego ma komórkę.

- No dobrze. - Vesper przełknął ślinę. - Ale ten drugi telefon to też może być na kartę POP, bez identyfikacji osoby.

- Ty chyba spałeś na praktykach. - Prowadzący westchnął z ubolewaniem. - Przecież można ustalić lokalizację komórki co do paru metrów. Wystarczy, że ją widzą trzy nadajniki, prowadzisz linie między nimi i masz wynik. Wiesz, gdzie jest klient. Byle był włączony do sieci w danym momencie.

- No tak - wtrącił młody z ożywieniem. - A jak już go będziemy mieli w jakimś miejscu publicznym, na przykład w sklepie, zadzwoni się na ten numer: Cześć, tu Kazik, o, przepraszam, pomyłka. Krótka, byle obserwacja zdążyła zauważyć, kto odebrał telefon. Cyk, cyk zdjęcia i dalej za nim. I tak po kolei, po nitce do kłębka. Maszynka ABW odwali za nas większość roboty.

- No właśnie - uśmiechnął się kapitan z zadowoleniem. - A potem zajmijmy się sprawą sami, w swoim czasie i na swój własny sposób.

Vesper popatrzył na niego uważnie.

- Ucz się posługiwać bronią, młody - powiedział tamten, nagle bardzo twardym głosem. - Dilerzy mają czasem powiązania z renegatami... Co prawda wątpię, żeby którykolwiek z odstępców płatał się zbyt blisko takiej trefnej historii. Za duże ryzyko wpadki jak dla nich. Sam diler zapewne też nie próbuje swoich wyrobów, nie powinien więc być zbyt groźny. Ale tak czy inaczej, skoro idziesz do akcji, musisz uważać.

Młody pokiwał głową w zamyśleniu. Zamilkli obaj.

- No, to ja się zbieram na strzelnicę - oznajmił Vesper, wstając. - Na początek przydzielili mi PSG-1. Chcą ze mnie zrobić snajpera, masz pojęcie? - dodał z niedowierzaniem.

- I słusznie - odparł Nidor, podnosząc wzrok. - Każdy z nas od tego zaczyna. Czysto, elegancko, z dystansem. Nie nadajesz się jeszcze do bezpośredniego zabijania. Nie powinienś zawierać zbyt bliskiej znajomości z naturalną krwią. A już o takich rzeczach jak nóż zapomnij, przynajmniej na parę lat. Mógłbyś się strasznie wkopać, poranić psychicznie jak nie wiem co.

Vesper spoważniał natychmiast. Przypomniał sobie parę nastolatków w „Moonwalkerze”. I swój nagły, przemożny głód.

- To prawda - przyznał cicho. - Mogłoby być ciężko.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nidor popatrzył w ślad za nim.

- I tak się rewelacyjnie trzymasz, młody - rzucił półgłosem. - Mnie na początku musieli skuwać łańcuchami w Bunkrze, żebym nie oszalał.

Wstał, podszedł do okna, zapatrzył się na jaśniejący na niebie księżyc. Zatopił się we wspomnieniach, jak to było, kiedy on sam budził się dla Nocy.



Świat oglądany przez okrągły wizjer z krzyżykiem w tle ma zupełnie inny wymiar.

Dzieli wszystkie zamieszkujące go istoty na owce i wilki, na drapieżników i ofiary.

Vesper oglądał taki właśnie świat, leżąc na dachu willi w jednej z podwarszawskich miejscowości. Na szarawej papie dachu rozpostarł swój czarny płaszcz, ułożył się na nim wygodnie. Do ramienia przyciskał kolbę swojego PSG-1. Oparł karabin o trójnożną podpórkę, podpiął magazynek z dwudziestoma nabojami. Kaliber 7,62 x 51 mm NATO z tej odległości rozpruje nawet blachę pancerną.

Czekał, patrząc przez celownik optyczny na drzwi domu naprzeciwko. Dłońmi odzianymi w cieniuteńkie czarne skórzane rękawiczki ścisnął broń, opierając wskazujący palec nad spustem. Tylko czekał, aby go zsunąć i zgiąć szybko, jednym zdecydowanym ruchem. Takim, który wyśle przed siebie niespodziewaną śmierć.

Czekał, aż nadejdzie ta chwila, w której nieodwracalnie i nieodwołalnie stanie się drapieżnikiem.

Tuż obok przywarował Nidor, ścisnąjąc w dłoniach Wintoreza. Nie lubił zachodniej broni, uwielbiał za to specjalne przeciwpancerne naboje SP6, którymi mógł strzelać z rosyjskiego karabinka. Jak twierdził cynicznie, rzadko który wampir byłby w stanie nie stracić dla nich głowy.

Zamarli obaj w bezruchu. Jakby żaden z nich nie istniał w ogóle, jakby byli częścią otoczenia, może wentylatorem na dachu, a może stertą śmieci miotanych przez wiatr. Nie czuli, nie myśleli, nie istnieli. Istniał tylko cel, skryty za zamkniętymi na głucho drzwiami.

Niebo na wschodzie zaczynało się powoli rozjaśniać, wielkimi krokami nadciągał świt. Niedługo słońce pojawi się na niebie, zaleje ich powodzią zabójczego ultrafioletu. Trzeba się będzie zwijać. Ich miejsce zastąpi ludzka obserwacja, nocarze skryją się w zaimprovizowanej pobliskiej bazie, pozostając w bezustannej gotowości. Powrócą tu jednak wieczorem i kolejnego dnia, i kolejnego... W końcu obiekt wylezie ze swej nory.

Nagle drzwi drgnęły, otworzyły się. Snajperzy obstawiający dachy spięli się w oczekiwaniu. Wysłali niemy sygnał do grupy szturmowej, ukrytej w zaparkowanej nieopodal półciężarówce.

Na ganek wyszedł mężczyzna w piżamie, rozejrzał się dookoła, poziewując niedbale. Spojrzał na różowiące się niebo, pokiwał głową, po czym powrócił do środka. Drzwi zamknęły się za nim. Znow zapadła cisza.

Vesper oderwał głowę od karabinu, popatrzył pytająco na kolegę. Tamten kiwał krótko głową, najwyraźniej prowadząc ożywioną telepatyczną konwersację. Wreszcie popatrzył na młodego.

„Wszystko jasne” - przesłał mu wyjaśnienie. „Ma czuciowca. Tylko mi nie odpowiadaj w myślach!” - zastrzegł pośpiesznie. „Zacznieś nadawać na wszystkie strony i pół Polski cię usłyszy!”

Wykonał krótki przyzywający gest lewą dłonią. Vesper natychmiast puścił swój karabin i podpełzł do kolegi.

- To był człowiek - wyszeptał. - Prawda?

Tamten skinął krótko głową.

- Czuciowiec - rzucił cichutko. - Wyczuwa naszych. Bardzo rzadki dar, myśleliśmy, że jest zaledwie paru takich na świecie. Nie spodziewaliśmy się go tutaj, na usługach byle płotki. No to wiemy już, dlaczego obiekt dzisiaj nie wyściubił nosa z domu.

- Wie, że my tu jesteśmy? - zaszemrał Vesper z przejęciem. - Konkretnie: my, nocarze?

- Na pewno - odszepnął kapitan poważnie. - Czuciowiec rozpoznaje tylko zabójców. Nie rozpozna na przykład takiej Winorośli... O ile ta nie ma kogoś na sumieniu.

W ułamku sekundy Vesperowi mignęła przed oczami twarz Kariny, Winorośli z baru. Uśmiechnął się przelotnie na jej wspomnienie, zaraz jednak spowaźniał, powracając myślami do rzeczywistości. Na przyjemności będzie jeszcze czas. Może kiedyś.

Nidor prowadził kolejną niemą konwersację. Vesper mógł się tylko przyglądać, zabroniono mu porozumiewać się w ten sposób z resztą oddziału.

- Chłopaki się stąd zabierają - oznajmił wreszcie Nidor. - Będą czekać parę kilometrów dalej, poza zasięgiem czuciowca. Zostajemy we dwóch.

Vesper obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

- Ja jestem chowańcem - wyjaśnił tamten krótko. - A ty... Cóż, nie jesteś jeszcze zabójcą. Ciebie nie wyczuje. Zostajesz tu na dachu, sam - zaczął szybko omawiać nowy plan. - Ja teraz schodzę, będziesz mnie osłaniał. Jak tylko tamten się ruszy, zatrzymamy go. Jeśli będzie uciekać samochodem, strzelaj do kierowcy i w silnik. Ja będę blokował z dołu, póki nie przyjadą nasi. - Popatrzył mu w oczy. - Wszystko jasne?

- Tak jest! - odparł Vesper z przejęciem.

- No to do zobaczenia po drugiej stronie! - Nidor podniósł się nieco, podpełzł do krawędzi dachu i zeskoczył.

Vesper popatrzył za nim, powtarzając w myślach zasłyszane słowa. O jakiej drugiej stronie tamten mówił? Nagle zrozumiał, przejechał językiem przez zaschnięte wargi.

Rubikon drapieznika. Tuż przed nim. A zatem: *alea iacta est?*

Ruszył czym prędzej do swojej broni i ułożył się wygodnie, znów obserwując okolicę z krzyżem i podziałką w tle.

Półcieżarówka odjechała wkrótce, Vesper znowu poczuł się cholernie sam. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo przyzwyczyił się do monotonnego poszumu w głowie, świadczącego o nieustającej obecności swoich w pobliżu. Teraz byli tu tylko we dwóch. Wiedział, że Nidor jest gdzieś tam, niedaleko, ale nie wyczuwał go wcale. Widać tamten ukrył się już, wykorzystując swój dar.

Niebo płonęło coraz silniejszym blaskiem, napełniając Vespera coraz większym niepokojem. Jeszcze godzina i ultrafiolet będzie się lał z góry w zabójczych ilościach. Nic to, wytrzymasz, stary, wytrzymasz. Zaciśnął wargi, opanowując się z całych sił.

Wreszcie drzwi willi otworzyły się znowu. Na ganek wyszedł ten sam człowiek co poprzednio, teraz ubrany w elegancki ciemnoszary garnitur, spod którego wyzierała koszula z krawatem. Rozejrzał się wokół, przymknął oczy, jakby nasłuchując porannego śpiewu ptaków. Stał tak przez chwilę, wreszcie pokiwał głową z uśmiechem. Cofnął się znowu, zamykając za sobą drzwi.

Vesper zaklął ze złością. Kiedy to się wreszcie skończy, ta upiorna zabawa w kotka i myszkę? Jest już o krok od tej drugiej strony, boi się jej potwornie, a jednocześnie jej pragnie i sam nie wie, czego chciałby bardziej.

Czy żeby nagle wyskoczył ktoś z plastikowym pistolecikiem i chorągiewką z papieru, krzyżąc: bum, niespodzianka! Żartowaliśmy, wcale nie musisz tego robić?

Czy jednak, żeby rozszałało się wokół to piekło, w którym on zgubi, a może odnajdzie własną duszę?

Ale niech się wreszcie coś stanie, niech odbędzie się ten chrzest krwi.

Brama garażu otworzyła się, powoli wyjechało z niej czarne Mondeo. W mgnieniu oka wątpliwości i strach umknęły w dal. Vesper wyszukał kierowcę, wodząc po jego twarzy wpisanym w koło krzyżykiem. Począł, aż samochód wyjedzie z posesji, skręci w lewo i rozpędzi się nieco na podziurawionym zimą asfalcie.

„Teraz!” - szepnął mu Nidor w głowie.

Vesper nacisnął spust.

Tak łatwo, tak miękko i prosto. Przyciągnął do siebie wskazujący palec, pokonując leciuteńki opór. Odrzut broni uderzył go w ramię, prawie bezboleśnie. Jakby się nic nie stało, zupełnie nic.

Siateczka pęknięć rozbiegła się promieniście po przedniej bocznej szybie samochodu, wokół okrągłego otworu po kuli. Głowa kierowcy błyskawicznie opadła na ramię współpasażera, bryzgając dookoła krwią. Samochód skręcił gwałtownie i wgniół się w latarnię. Vesper dobił silnik rannej maszyny kilkoma strzałami. Z odległości niespełna trzydziestu metrów pociski weszły w stal jak w masło.

Uchyliły się szarpnięte rozpaczliwie drzwi - to pasażerowie próbowali wydostać się z samochodu. Wtedy postać leżąca dotychczas w bezpiecznym cieniu pod murem poderwała się i uniosła Wintoreza.

Kule poszatkowały opony na strzępy, wzbily wokół fontanny piasku. Kilka z nich prześlizgnęło się po dachu samochodu, zmuszając pasażerów do kulenia się płasko na siedzeniach. Nie uczyniły im jednak żadnej krzywdy. Ewidentnie strzelający zamierzał ich oszczędzić.

Nadjechała półciężarówka. Z piskiem opon zahamowała tuż przed samochodem, jej tylne drzwi otworzyły się błyskawicznie. Wysypał się z niej szereg czarno ubranych postaci. Pasażerowie zostali wywleczeni z samochodu szybkimi, zdecydowanymi ruchami.

Vesper chłonał rozgrywającą się poniżej scenę szeroko otwartymi oczami. Wciąż wodził po postaciach krzyżykiem lunety, sprawdzając, czy nie będzie potrzebny kolejny strzał. Więźniowie zostali jednak błyskawicznie zawleczeni do półciężarówki, nocarze wtoczyli się za nimi. Pojazd ruszył, chrzęszcząc oponami po asfalcie.

Vesper wstał, puścił karabin. Popatrzył z góry na Nidora, podnoszącego ku niemu pytająco głowę. Podniósł więc do góry zaciśniętą dłoń z triumfalnie uniesionym kciukiem.

Zamknął oczy. Właśnie kogoś zabił. Coś się zmieniło? Nie wiedział. Jeszcze nie. Może tak. A może nie, może nic.

Może to jego przeznaczenie, może zawsze tak miało być.

„Mam dla ciebie bardzo złą wiadomość, młody” - telepatyczny głos Nidora brzmiał zdenerwowaniem. „Mają od cholery kłopotów z zatrzymanymi. Tam jest renegat, bardzo silny. Dał się zaskoczyć, ale już się pozbierał. Teraz walczą psychicznie, jest niezła jatka. I wszyscy nasi są potrzebni”.

Vesper błyskawicznie złożył broń, zarzucił na plecy. Podbiegł do krawędzi dachu, zeskoczył bez cienia wahania. Potknął się przy lądowaniu, utrzymał jednak równowagę. Co sił w nogach popędził do kapitana.

- Mamy za nimi biec? - zapytał krótko.

- Nie - odparł tamten, patrząc na niego poważnie. - Mamy posprzątać.

Vesper popatrzył na niego, pytając niemo, w czym problem. Tamten spojrział na willę, różowiejącą w świetle poranka, pokręcił głową. Wrócił wzrokiem do kolegi.

- No pięknie. Renegat, kurwa jego w dupę jebana mać! - zawarczał, nie kryjąc zdenerwowania. - No cóż, młody, pójdziesz ze mną, nie mamy innego wyjścia. Trzeba posprzątać, zanim tu zacznie węszyć policja.

- Ale o co chodzi? - zapytał Vesper niepewnie. - Co mamy sprzątać i dlaczego tak szybko? Przecież nasza akcja jest legalna, mamy nakaz prokuratora, zgody poszczególnych dyrektorów i wszystko, co trzeba. Glinom nic do naszych spraw, najwyżej powiemy im, żeby uprzejmie spadali, bo Abwehra ma tu robotę.

Nidor popatrzył na niego, wziął głęboki wdech.

- Lepiej, żeby nie zobaczyli za dużo - wyjaśnił. - Spodziewasz się, że co tam jest w środku? A we dwóch możemy nie upilnować wszystkich ciekawskich, którzy się tu zwałą.

W oddali zawyła syrena policyjna. Okoliczni mieszkańcy otrząsnęli się najwyraźniej z szoku i drżącymi dłońmi wstukali dziewięć-dziewięć-siedem w klawiatury swoich telefonów.

- Ruchy! - krzyknął kapitan, odwrócił się i podbiegł do muru.

Przesadził ogrodzenie jednym susem. Vesper natychmiast poszedł w jego ślady, częściowo podlatując, częściowo wspinając się z mozołem.



Wnętrze willi było urządzone nad wyraz luksusowo. Mahoniowe meble, marmurowe posadzki, aksamitne zasłony, w sam raz dla jakiejś nowobogackiej rodziny.

Poza tym jednak nie podpadało tu nic. Obiegli wszystkie pokoje, omiatając je czujnie lufami pistoletów, zajrzeli do piwnicy... Żadnych śladów krwi, walki, nic. Za to policyjna syrena wyła coraz bliżej.

Krażyli po domu niespokojnie. Syrena ucichła, zapewne gliniarze dotarli już do bramy. Ale w tej sytuacji nie wejdą do środka, nie ruszą się nawet, póki nie dołączy do nich antyterrorka. A zanim tamci dojadą ze swojej siedziby... Jest trochę czasu. Niedużo, ale trochę jest..

Nidor przystanął na środku salonu. Gestem ręki nakazał koledze się zatrzymać.

- Stój, Vesper - powiedział cicho. - Stań i wczuj się. Ty, jako młody, możesz być bardziej wrażliwy... Czujesz gdzieś ból, czujesz strach?

Vesper przymknął oczy. Wsłuchał się uważnie. Dookoła niego narastał cichy szep, to mówiły ściany, potem odezwał się dom... A potem nagle w głowie rozwrzeszczał mu się nieopanowany, pełen obłądnego cierpienia krzyk.

Zadrzał, cofając się o krok.

- Nie - powstrzymał go Nidor natychmiast. - Nie uciekaj. Idź za tym głosem, niech cię poprowadzi.

Obrócił się więc dookoła, a kiedy zrozumiał, skąd pochodzi wezwanie, ruszył w jego kierunku. Przeszedł parę kroków, dotarł do wielkich balkonowych drzwi i wejścia na patio.

- Też to czuję! - rzucił Nidor i zaczął biec.

Wypadli razem na taras, rozglądając się spieszenie wokół. Tam, z prawej. Niewielki budynek rekreacyjny. Ogród zimowy, kryty basen. Prysnęła szyba, wdarli się do środka natychmiast. Przebiegli wzdłuż falującej tafli wody, ich ubłocone buty zachrzęściły na zimnych kafelkach. Rozejrzeli się dookoła w skupieniu.

Sauna. Wpadli do małej drewnianej klitki. Od razu zacisnęli wargi pod wpływem bólu, jakim promieniował świdrujący wrzask.

Urządzenie z prawej, dziwne, niby termostat, może zakamuflowany zamek. Nidor wymierzył z Wintoreza, strzelił dubletem. Rozległ się cichy syk, ściana sauny zachwiała się i zaczęła odsuwać powoli. Pchnęli ją niecierpliwie, wbiegli do sporego wybetonowanego pomieszczenia.

Od razu uderzył ich dojmujący zapach nabrzmiałej adrenaliną krwi. Głosy w głowach rozwrzeszczały się oszalałym chórem.

Storturowane ciała przykute do metalowych konstrukcji, półprzytomne oczy wbijające się w nich z przerażeniem.

Pokój niehumanitarnej kaźni.

I czyste, sterylne kroplówki skrzętnie zbierające skapującą krew.

Vesper miał ochotę krzyknąć. Pokręcił jednak tylko głową w przerażeniu, po twarzy popłynęły mu nagłe łzy.

Kolega trącił go w ramię. Weź się w garść, pewnie chciał przez to powiedzieć.

A potem podszedł do pierwszego człowieka i przyłożył mu pistolet do skroni. Naciśnął spust.

Fala uderzeniowa rozsiała dookoła natychmiastowy deszcz krwi. Mózg wyprysnął z drugiej strony głowy razem z kawałkami kości, barwiąc na biało-czerwono podłogę i ścianę. Nidor popatrzył na kolegę pytająco. Czerwone plamki na jego bladej twarzy nadawały mu wyjątkowo upiorny wygląd.

- Zaraz będzie tu policja - powiedział spokojnie. - I prasa - zrobią z tego cholerną aferę. Trudno nam się będzie utrzymać w cieniu. A ci tutaj... Oni są nie do uratowania, wiesz przecież. No i... widzieli za dużo. Pomożesz?

Vesper pokiwał głową, świat dookoła skrył się gdzieś za mgłą mimowolnych łez. Otarł szybko twarz rękawem i podszedł do resztek pociętego na paski ciała, które kiedyś było roslym mężczyzną. We wzroku ofiary zamigotała jakby wdzięczność, a może mu się tak tylko wydawało? Przyłożył lufę do skroni człowieka, tak jak to Nidor zrobił z tym drugim przed chwilą. Zamknął oczy, naciskając spust.

Krew rozbryznęła mu się po twarzy, mundurze i rękach, zadrzał pod jej silnym, obzładniającym zapachem. Kły wysunęły mu się natychmiast, niczym zwierzęciu znuconemu wonią polowania. Nocarz machinalnie podniósł okrwawione palce do ust, opamiętał się jednak, drżąc na całym ciele. Podszedł szybko do kolejnej ofiary, wycelował, nacisnął spust.

A potem jeszcze raz. I jeszcze.

Ja, Obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, ślubuję, plątało się Vesperowi po głowie niczym nieustępliwa mantra. Strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia.

Chodzili tak we dwóch niczym anioły śmierci, w sali rozlegał się ogłuszający huk strzałów, a przerażający wrzask słabł z sekundy na sekundę. Za to zapach krwi unosił się dookoła, wciąż potężniejąc.

Skończyli wreszcie, w sali zapadło głuche milczenie. Nidor zrzucił z siebie plecaczek, wygarniając z niego ładunki wybuchowe. Porozkładali je dookoła, zwijając się niczym w ukropie. Wreszcie wybiegli z pomieszczenia, wydostali się na zewnątrz, wybijając wielką tafłę szyby ogrodu zimowego. Krótkimi krokami przemierzili teren, dopadli ogrodzenia. Przesadzili je jednym susem.

Vesper nie zauważył nawet, jak mu to dobrze poszło. Pobiegli parę kroków w las, rozpoczynający się tuż za murem. Przystanęli zaraz i odwrócili się, wyęzając swój wyczulony słuch.

Antyterrorysty powoli, ostrożnie badali podejście do willi. Zanim jednak kolejne odziane w czerń postacie zdążyły wdrzeć się do środka, słup ognia uniósł do góry upiorną salę wraz z całą jej zawartością. Wnet poszarpane fragmenty zaczęły opadać, zaścielając okoliczne trawniki. Policjanci cofnęli się natychmiast, krzycząc do siebie przez radio z wyraźnym zdenerwowaniem.

Nidor popatrzył na detonator, wciąż ściskany kurczowo w ręku.

- No, stary będzie miał trochę roboty, żeby to wszystko wytłumaczyć - stwierdził zmęczonym głosem. - Da radę, jest w tym dobry. Napisze stosowny raport. Jeszcze dostaniemy nagrodę i premię za zlikwidowanie groźnych przestępców. Nic nie mogliśmy poradzić na to, że się w ostatnim momencie wysadzili...

Zawyła kolejna syrena. Kapitan wyprostował się, nasłuchując. Wreszcie pokiwał głową.

- Dobra, są już nasi - powiedział. - Major zajął się policją. A my mamy przekraść się lasem jakiś kilometr, tam przy drodze czeka furgonetka, zabiorą nas. Uważać na siebie, nie latać, nie ryzykować wpadki.

Spojrzał na dygoczącego tuż obok Vespera. Pokiwał głową bez dalszych słów. Odwrócił się i zaczął iść przez las.

Vesper popatrzył za oddalającym się kolegą. Chciał ruszyć jego śladem, ale nagle zeszywniałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jakby został sparaliżowany, nie mógł się ruszyć i nie czuł nic. Tylko kły sunęły mu powoli z powrotem w górę, chowając się w kieszonkach dziąseł.

Nidor przystanął, zauważywszy, że wciąż idzie sam. Spojrzał na Vespera, w oczach czaiła mu się mieszanka smutku i goryczy, jakiej młody nie widział u niego nigdy przedtem. A może po prostu nie potrafił zobaczyć.

- No chodź, nocarzu - powiedział kapitan spokojnie. - Już po wszystkim. No chodź.

Nie powiedział „człowieku”, uprzytomnił sobie Vesper nagle. Powiedział „nocarzu”. No tak.

Odwrócił się bez słowa, wciąż pełen tego samego emocjonalnego odrętwienia. Dołączył do Nidora. Ruszyli obaj przez las, śpiesząc do swoich, nim porazi ich bezlitosny żar.

Słońce wspięło się już niebezpiecznie wysoko.



Here are the young men,
a weight on their shoulders
Here are the young men,
well where have they been?
We knocked on doors
of hell's darker chambers
Pushed to the limits,
we dragged ourselves in
Watched from the wings as
the scenes were replaying
We saw ourselves now as
we never had seen
Portrayal of the traumas and
degeneration
The sorrows we suffered
and never were freed

Where have they been?

Weary inside,
now our hearts lost forever
Can't replace the fear
or the thrill of the chase
These rituals showed up
the door for our wanderings
Opened and shut,
then slammed in our face

Where have they been...

Joy Division „Decades”

Oto są młodzi
z ciężarem na ramionach
Oto są młodzi, lecz
gdzież oni byli?
Dobijaliśmy się do drzwi
najczarniejszych komnat piekła
Doprowadzeni do ostateczności
wdarliśmy się do środka
Zza kulis obserwowaliśmy
powtórkę przedstawienia
Zobaczyliśmy siebie samych
jakich nie widzieliśmy nigdy
przedtem
Był to obraz urazów i degeneracji
Oraz cierpień, od których nie
uwolniono nas nigdy

Gdzie oni byli?

Prześlągnięci żalem,
teraz nasze serca przepadły
na zawsze
Nie potrafimy pozbyć się strachu
i dreszczu zagrożenia
Te rytuały wskazały nam tylko
drogę do drzwi, do których
dążyliśmy
Otwartych i zamkniętych,
a potem zatrzaśniętych nam
prosto w twarz

Gdzie oni byli, gdzie oni byli...

Joy Division „Dekady”

tłum. T. Beksinski

Bunkier



esper popatrzył w dół.

Długi betonowy szyb zapadał w ziemię i nikł w całkowitych ciemnościach.

Nawet mając doskonały wzrok, nie sposób było dostrzec dna. - No, co się gapisz? - westchnął kapitan, stojąc tuż za nim. - Skacz! Mam cię do windy zaprowadzić czy co?

Wezwany pokiwał głową, spojrzął jeszcze raz w głąb prostokątnej studni. Owszem, spodziewał się windy jeszcze przed chwilą. Weszli we dwóch do nieznanego mu dotąd części budynku, Nidor oznajmił, że zapozna go z nowymi obowiązkami, potem wstukał kod dostępu, przebiegając palcami po ekraniku umieszczonym obok srebrzystych drzwi. Te otworzyły się z szelestem, rozległo się ciche „ping”, normalnie, jak to w windach bywa. „Przed wejściem upewnij się, czy za drzwiami jest kabina” - powinna głosić tabliczka, zawieszana zazwyczaj przy drzwiach elewatora. Tym razem napis byłby szczególnie na miejscu, bowiem kabiny nie było. Nie było też charakterystycznych kabli, świadczących o tym, że winda w ogóle jest, tylko przez roztargnienie pojechała sobie gdzie indziej. Vesper widział jedynie szyb, betonowy, o gładkich prostopadłych ścianach.

- Skaczesz? - ponaglił Nidor z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Słuchaj, młody, dolna zmiana nie będzie na nas czekała sto lat!

Vesper uśmiechnął się z nieco drapieżnym wyrazem twarzy. Ciemny szyb bez dna. Niepewność. Niebezpieczeństwo, być może. Wchodzisz? No jasne. Przebudzony tygrysie, w to mi graj.

Skoncentrował się, skoczył. Ściany mogą dać oparcie, trzeba je tylko lekko odepchnąć umysłem, tak nieco pod kątem w dół. Symetryczna sylwetka, nogi lekko ugięte w kolanach, ręce lekko odchylone na boki. To ważne, zwłaszcza podczas pionowego spadania, byle wachnięcie i wywiniesz salto, przed którym nie powstrzyma cię nawet opór ścian.

Wyczuł ziemię, chociaż jej nie widział. Odepchnął ją w myślach, wylądował miękko, stabilnie, na obie nogi. Coraz lepiej mu szło z tym lataniem, doprawdy. Zarówno w górę, jak i w dół.

No cóż, w końcu był już pełnoprawnym nocarzem.

Ta myśl przywołała wspomnienia, kluczowe sceny, niczym dźwięki ze zdartej płyty, odtworzyły się w jego głowie jeszcze raz. Pierwszy jaśniejący na niebie księżyc, pierwsze nieporadne kroki w powietrzu. Pierwszy głód krwi, pierwszy strzał, pierwszy trup.

Powitanie wśród swoich.

Pierwsze poczucie prawdziwej wspólnoty. Brzydkie kaczątko, które wreszcie odnalazło drogę do łabędzi.

Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak teraz.

Otrząsnął się, powrócił szybko do rzeczywistości. Nidor stał już obok, kolejny ciekłokrystaliczny ekranik świecił nikłym niebieskim blaskiem. Uderzeniami palców kapitan wpisywał w niego jakiś skomplikowany kod, wymagający niezliczonej ilości powtórzeń i potwierżeń. Wreszcie ekranik zamigał wielkim napisem „OK”, kolejne drzwi rozsunęły się przed nimi z sykiem.

Weszli do niedużego pokoju. Ogromna konsola umieszczona centralnie oraz kolorowe monitory błyszczące szeregiem na ścianach jednoznacznie wskazywały na charakter pomieszczenia: centrum monitoringu.

Na widok wchodzących dwóch nocyarzy powstało z obrotowych krzeseł.

- No, nareszcie! - powiedział jeden z nich. - Spóźniliście się! - dodał z lekkim wyrzutem.

- Młody bał się skoczyć - oznajmił Nidor, popatrując na Vespera złośliwie. - Wiecie, chłopczyk dopiero uczy się latać, a tam tak ciemno na dole... Zanim go skopałem do szybu, trochę mi to zajęło.

- Potem też nie było lepiej - odparował młody natychmiast. - Pan kapitan zapomniał kodu dostępu. Pięć razy wpisywał i tylko dopytywał, czy nie wiem, z czym on to miał skojarzyć, ze swoją datą urodzin czy z rozmiarami pewnej Winorośli. Gdyby kod był prostszy, na przykład jednocyfrowy, to by mógł sobie własny rozmiar zapamiętać, a tak to przepadło. No za trudne...

Roześmiali się wszyscy czterej, kręcąc głowami.

- Bezczelny małolat - mruknął Nidor. - Teraz jeszcze psie wachty dla niego odrabiam, a ten co? Zero wdzięczności. - Wskazał na jeden z ekranów. - No, jak tam się miewa nasz renegat?

Spoważniali natychmiast, popatrzyli na skuloną postać wciśniętą w kąt szarego pokoju.

- Niedługo zacznie szaleć - ocenił jeden z nocyarzy. - Jest coraz bardziej głodny, to wiadać. Ale wciąż nie chce naszego żarcia. Rozchlapuje tylko po ścianach, potem trzeba dezynfekować celę.

- Trzeci dzień - stwierdził Nidor w zamyśleniu. - No tak. Niedługo będzie cyrk.

Pokiwali głowami.

- To my się zbieramy - rzucił drugi nocarz, spoglądając na zegarek. - Ósma piętnaście, cholera jasna. - Westchnął z żalem. - Już po nocy. Nic, tylko iść spać. Raport z dyżuru masz wydrukowany, poczytaj sobie - zwrócił się do Nidora. - Ale tak naprawdę to nic się szczególnego nie działo. Stan więźniów bez zmian. Czuciowiec trzęsie się i szlocha, widać źle na niego działamy. - Uśmiechnął się złośliwie. - Diler współpracujący i posłuszny do obrzydliwości, pewnie liczy na to, że się wykupi. A renegat, cóż, sam widziałeś.

- Nic nie powiedział? - spytał kapitan poważnie. - Niczego nie próbował, nic a nic?

Obaj nocarze popatrzyli po sobie, pokręcili głowami. Nie dodali już ani słowa więcej. Podeszli do drzwi, pobiedzili się przez chwilę nad kodem, wyszli.

Vesper spojrzął na Nidora pytająco. Tamten odwrócił się, podszedł do obrotowego krzesła, usiadł na nim, rozpierając się wygodnie.

- Oto jest Bunkier - powiedział spokojnie. - Siadaj, młody. Opowiem ci.

Wezwany pośpieszył czym prędzej do drugiego krzesła. Usiadł, zakręcił się kilkukrotnie dookoła, starając się używać wyłącznie siły woli. Zatrzymał się w miejscu, pochwyciwszy karcące spojrzenie kolegi. Spuścił nieco głowę i przybrał poważny, skupiony wyraz twarzy.

- Jesteś jak szczeniak - roześmiał się Nidor odrobinę protekcyjnie. - Wciąż nie możesz się nabrykać, Tygrysku, co? - Spoważniał z powrotem. - A teraz popatrz. Bunkier. Co myślisz o tym miejscu?

Vesper prześledził obrazy widniejące na ekranach.

- Ponure, surowe - stwierdził po chwili. - Trzymamy tu więźniów. Poznają tych drani, których dorwaliśmy podczas ostatniej akcji.

Przed oczami znów zamigало mu ulotne wspomnienie. Pierwszy strzał, pierwszy trup. Chrzest drapieżnika, komunია nocarza. Przyjęcie do społeczności.

- Przecież ich nie wsadzimy do państwowego więzienia - powiedział kapitan. - Taki renegat rozszarpałby strażników na strzępy w parę chwil.

- I co gorsza, ludzie mieliby niepodważalny dowód na nasze istnienie - dodał Vesper natychmiast. - A tego ze wszystkich sił staramy się uniknąć. Nie ujawniamy się, póki nie nadejdzie ku temu czas. Kiedy to się stanie, Kapituła da znać.

- Dobrze, dobrze, oszczędź sobie propagandy, młody. - Nidor skrzywił się lekko. - Umens robi ci niezłe pranie mózgu na tych swoich zajęciach, jak widzę... No, ale w porządku, ma rację. Nie ujawniamy się. Między innymi dlatego wszystkich specjalnych więźniów trzymamy tu, w Bunkrze. - Wstał nagle. - Zresztą co ci będę gadał. Chodź, zrobimy obchód, zobaczysz sam.

Vesper zerwał się z krzesła natychmiast.

- Aha, słuchaj... - Starszy nocarz wciąż stał w miejscu, wodząc wzrokiem po ekranach.
- Gdy dojdziemy do renegata, bądź bardzo ostrożny. Utwórz dookoła siebie najlepsze lustro, jakie tylko potrafisz. Pamiętaj, że oni są bardzo dobrzy psychicznie. Krew ich wspomaga. Znacząca ta nielegalna krew... - urwał, patrząc na kolegę uważnie.

Ta prawdziwa, przemknęła Vesperowi przez myśl. Nie sztuczna, hodowlana, jaką my dostajemy na co dzień. Ta prawdziwa, ludzka krew.

Nie powiedział tego na głos. Wciąż pozostawał na cenzurowanym. Niemal bez przerwy Nidor był przy nim, obserwując uważnie. Teoretycznie wszystko było w porządku, był przecież jego prowadzącym. Młodemu nocarzowi zawsze przydawano starszego kolegę, który wprowadzał go we wszelkie tajniki i czuwał nad jego postępami. Ale nim samym wciąż zajmował się kapitan, jeden z trzech zastępców dowódcy jednostki. I nie przekazał go któremuś z poruczników zaraz po pierwszej akcji. Zostawił go przy sobie na dłużej, pod wyjątkowo staranną kontrolą. Owszem, życzliwą i przyjacielską, niemniej jednak bardzo skrupulatną.

Vesper wiedział doskonale, czemu tak jest. Nie miał cienia wątpliwości, że inni nocarze szepczą o nim po kątach. Jego chrzest bojowy nastąpił jak najbardziej zgodnie z procedurami - debiutant oddał elegancki strzał z oddali... A potem sprawy przybrały niespodziewany obrót. Zamiast powoli zmniejszać dystans, młody wszedł w bezpośredni kontakt z ofiarami. Zapach i smak świeżej prawdziwej krwi pojawiły się za szybko, kiedy jeszcze nie był na nie wystarczająco przygotowany. Mógłby teraz zapragnąć prawdziwego polowania, mógłby zostać renegatem... A nigdy jeszcze żaden nocarz nie przeszedł na tamtą stronę. Nigdy, nikt.

Nidor obserwował go więc z niepokojem, ale i z niekłamaną troską. Żeby w razie czego móc go powstrzymać i zapobiec nieszczęściu. Vesper zdawał sobie z tego sprawę, nie protestował więc i nie zadawał zbędnych pytań. Starał się zachowywać wyjątkowo spokojnie, nie przyznawał się do niektórych upiornych snów ani do ryzykownych myśli, kłębiących mu się czasem pod czaszką. Bardzo chciał udowodnić, że w niczym się od pozostałych nocarzy nie różni. Był przecież z nimi tak bardzo szczęśliwy. Odnalazł się w życiu, znalazł swoje miejsce, swoje stado, swoje przeznaczenie. Za nic nie chciał tego utracić, za nic.

I był głęboko przekonany, że jeżeli poczuje kiedyś, że może zdradzić, sam pójdzie do Lorda Ultora i nadstawi szyję pod jego miecz. Nie zostanie renegatem. Nigdy.

Popatrzył na Nidora spokojnie, nie okazując nawet cienia wahania.

- No, chodź! - powiedział kapitan, ani na chwilę nie spuszczać z niego oka. - Nie mogę cię tak w nieskończoność trzymać pod szkłem. Poznam cię z tym renegatem wreszcie. Ciekaw jestem, jak się sobie spodobacie. - Mrugnął zawadiacko.

Obaj wiedzieli, że to wcale nie był żart.



Cela renegata nie różniła się niczym od pozostałych. Trzy surowe betonowe ściany wyznaczały granice prostokątnego pomieszczenia. Czwarty bok był całkowicie przezierny, tylko dwie grube metalowe kraty, ustawione jedna za drugą w odległości kilkunastu centymetrów, odgradzały celę od korytarza. Pomiędzy nimi zwieszała się niebieska, świetlista siateczka. Vesper popatrzył na Nidora pytająco.

- Laser ultrafioletowy - mruknął tamten. - Nawet jakby drań ruszył kratę, nie przeszedłby dalej. Spaliłoby go na popiół. Jak każdego z nas zresztą.

Więzień, skulony dotychczas w kącie, poruszył się. Podniósł głowę. Wiedziony nieomylnym instynktem wpatrzył się w słabszego przybysza.

Vesperowi zakręciło się nagle w głowie, poczuł, że słabnie. Lustro, pomyślał z przerażeniem. Zaczął naprędce tworzyć naokoło siebie odbijającą tafłę... Po to tylko, by zobaczyć, jak pęka i rozpada się na kawałki, niemal słyszał dźwięk trzaskającego szkła. Ręce i nogi zaciążyły mu niczym ołowiem. Powoli, miękko, zaczął się osuwać przygniatany miazdzącą siłą. Nie mógł złapać tchu.

- Dość! - rzucił Nidor w kierunku więźnia. - Chyba, że chcesz się zapoznać z naszym salonem odnowy biologicznej... - zawiesił głos w nieskrywanej groźbie.

Nacisk zelżał natychmiast.

Vesper zaczerpnął łąpczywie powietrza, prostując się czym prędzej. Lustro, pomyślał i zaczął je składać z mozołem.

- Kogo mi tu przyprowadziłeś, nocarzu? - zasyczał renegat wzgardliwie. - Szczeniaczka do zabawy? Chodź, malutki, pomiziam cię po brzuszku. - Zaśmiał się, patrząc na Vespera szyderczo. - Bo do niczego innego się nie nadajesz. - Spoważniał nagle. - Dostałeś Dar Krwi i gówno z tym robisz, chłopcze. Ultor już z ciebie zrobił posłusznego pieska, co?

Vesper szarpnął głową w gorącym zaprzeczeniu. Nabrał powietrza w płuca, chcąc odpowiedzieć wampirowi...

- Lepiej być pieskiem Ultora niż Atroksa - oznajmił Nidor spokojnie. - Jak tam Lord Renegat? Trzeźwieje czasem?

Więzień wstał. Powolnym, chwiejnym krokiem podszedł do kraty. Wpatrzył się Nidorowi w oczy, potem przebiegł wzrokiem po jego naszywkach kapitana.

- A więc nareszcie przystali kogoś na poziomie, z kim można porozmawiać. - Zamilkł na chwilę, po czym wyskandował: - Lord Renegat Aranea przesyła czułe pozdrowienia Lordowi Ultorowi. - Uśmiechnął się z nieskrywaną satysfakcją. - Macie, kurwy, przesrane.

Zamilkł, patrząc uważnie na Nidora. Potem roześmiał się głośno, szyderczo.

- Zostań tu, Vesper - powiedział kapitan nieswoim głosem. - Pilnuj gnoja. Pamiętaj o lustrze. A ty... - zwrócił się do więźnia - nie próbuj dręczyć młodego, bo cię położę na solarium. Na piętnaście minut co najmniej.

Odwrócił się i poszedł w kierunku centrum bardzo spiesznym krokiem. Vesper nie miał cienia wątpliwości: Nidor był bardzo zdenerwowany.

Renegat przestał się śmiać. Podwinął pod siebie nogi, siadając po turecku w powietrzu. Twarz nadal miał na wysokości oczu Vespera.

- No proszę, co to się porobiło - wysyczał z nieskrywaną przyjemnością. - Powiedziałem raptem parę słów... I już pan nocarz zapierdala nagle z meldunkiem, jakby go gonila rakietą z głowicą z drewna osikowego. A drugi stoi poblądły, jak przerażona panienska. Zostałem sam na sam z prawdziwym wampirem, o mamusiu, co się teraz ze mną stanie? Zły renegat zje mnie w kanapce i nawet nie obetrze ust!

Vesper sięgnął odruchowo ręką do kabury, namacał uspokajający chłód pistoletu.

- Spokojnie, piesku - wycedził tamten. - Nie będziesz przecież strzelał tak bez wyroku, bez rozkazu. Na tyle już cię chyba wytresowali, co?

- Nie jestem niczym pieskiem - odparł Vesper zdecydowanie. - Jestem oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w służbie Rzeczypospolitej Polskiej. Jestem członkiem Oddziału do Zadań Specjalnych...

- Uważasz się za tygrysa, a jesteś tylko psem Pawłowa - przerwał mu tamten brutalnie. - Żyjesz, jesz, śpisz i zabijasz na znak, na hasło, które ci wymyślają twoi panowie. Jakie to ma znaczenie, których haseł używają przy tej okazji? Czym sobie wycierają gęby, Bogiem, Honorem czy Ojczyzną? I tak nie zadajesz zbędnych pytań, kiedy wskazują ci cel. Rozkaz, ruszaj, już!

Pchnął go nagle z daleka, samą siłą swojej woli. Vesper poleciał na ścianę, odbił się od niej, upadł bezwładnie.

Uderzenie go oszołomiło, wstrząsnął więc szybko głową, przywołując zawirowany świat na swoje miejsce. Nie spodziewał się takiej mocy, która nagle wychynęła znikąd i miotnęła nim niczym bezwolną kukłą. Zakłuło go w prawym boku, chyba złamane żebro, nic to, sprawdzi się później. Podniósł się czym prędzej, wrócił na swoje miejsce przed kratą.

Wierzchem dłoni otarł krew, powoli sączącą się z rozbitej brwi. Renegat wciąż patrzył na niego szyderczo, Vesper odpowiedział więc pełnym wyzwania spojrzeniem.

- Mów, co chcesz - zawarczał mu prosto w twarz. - Ja wiem swoje. Mocny jesteś... siłą swoich złudzeń. W rzeczywistości jesteś zniewolony przez żądzę krwi, której nie potrafisz się oprzeć. Jedyne, co ci zostało, to dorobić sobie do tego ideologię. Jakbyś to ty był wolny i nie miał pana, doprawdy. Lord Atroks też potrafi mieć nielekką rękę, jak słyszałem.

Więzień zamilkł na chwilę, uśmiechając się nonszalancko.

- Lord Atroks nie żyje - oznajmił wreszcie z satysfakcją. - Nie słyszałeś, co powiedziałem twojemu kapitanowi? Lord Renegat Aranea przejęła władzę. Generał Nex pomógł zorganizować przewrót, a teraz stoi u jej boku. Żadne z nich nie spocznie, póki prawdziwe Dzieci Nocy nie odzyskają należnego im miejsca na tym świecie - mówił coraz szybciej, oczy płonęły mu niekłamany podnieceniem. - A tacy zdrajcy jak wy, psy w służbie ludzi, będziecie gryźć ziemię, z odrąbanymi głowami ułożonymi u stóp.

- Taa, stara historia. - Vesper ziewnął ostentacyjnie. - Nareszcie wolni, pozbędziecie się nocarzy i będziecie sobie mogli swobodnie polować. Aż przyjdą wkurwieni ludzie i was podziabną kołkami osikowymi, a potem spalą zwłoki. W zamieszaniu ucieknie dwóch czy trzech i znowu założą kolejny Ród. I tak w kółko od tysięcy lat. Ile można? - Pokręcił głową. - Nie sądzisz, że najwyższy czas na zmiany?

- Zmiany? Ta wasza pokojowa koegzystencja to bzdura! - prychnął renegat wzgardliwie. - Wymyśliliście sobie raj, w którym spocznie jagnię obok lwa. A ten będzie ze smakiem zajadał marchewkę. Nie zamierzam być takim kastrowanym lwem, hodowanym na marchewkowej, sztucznej krwi.

- Poczekaj jeszcze parę dni - odparował Vesper perfidnie. - Kiedy twój głód urośnie na tyle, że zrozumiesz, kto tak naprawdę jest twoim panem. Twoja własna słabość, tylko to. I nawet sztuczna krew nie nasyci twojego szaleństwa. Nie przyniesie ci ulgi, nie zaspokoi żądzę zabijania. Zrozumiesz wtedy, w co się wpakowałeś swoją pychą i brakiem ostrożności.

Wampir popatrzył na niego bystro.

- Dużo wiesz o głodzie - powiedział nagle. - Zastanawiająco dużo jak na szczeniaka. - Pomyślał przez chwilę, po czym strzelił: - Czyżby spieprzyli twoją edukację i za wcześnie dopuścili cię blisko prawdziwej krwi?

Nocarz pobladł, wpatrując się w renegata. Chciał zaprzeczyć, krzyknąć, że to nieprawda, że wcale nie czuje głodu, że nigdy go nie czuł i że tylko tak powtarza to, co usłyszał na zajęciach. Nie mógł jednak wykrztusić ani słowa. Odezwało się znajome świerzbienie gór-

nych dźwięków, rozpaczliwym wysiłkiem starał się zatrzymać wysuwające się kły. Milczał, podczas gdy w duchu narastało mu głuche przerażenie.

- Czujesz to, Vesper - wyszeptał tamten, wpatrując mu się w oczy z napięciem. - Czujesz głód. Jest przy tobie wciąż, niczym twój własny cień waruje ci tuż za plecami. Czasem jest silniejszy, czasem słabszy, ale nie znika nigdy. A ty wciąż masz wrażenie, że jesteś taki nie do końca rzeczywisty, wyblakły, nie całkiem pełny. Jakbyś z boku obserwował życie i nie mógł się w nim całkiem zanurzyć. - Przerwał na chwilę, zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym pociągnął dalej: - I wiesz doskonale, że ożyjesz dopiero, kiedy spróbujesz prawdziwej krwi, kiedy zaspokoisz ten głód. A kiedy już to zrobisz, nigdy nie będziesz chciał powrócić do tej szarej, mdłej, bezsensownej wegetacji.

Niczym echo, pomyślał Vesper z drżeniem. Tak przecież wyglądało życie Jerzego Arleckiego, zanim nastąpiła ta doskonała przemiana... Czyżby czekał go kolejny jej etap? Czy kolejna zmiana byłaby porównywalnie dojmująca?

Nagle owładnęło nim dziwne poczucie, jakby został wypełniony niespotykaną wszechmocą. Sycił się władzą nad życiem i śmiercią, pozostawał poza dobrem i złem, poza jakąkolwiek oceną... Był drapieżnikiem doskonałym.

Przymknął oczy, zatapiając się w tym błogim stanie... Wtem otrząsnął się z przerażeniem. Nie daj się zwieść, wykrzyknął w duchu. Ta wizja jest dziełem renegata, zapewne wampir czyta go, jak chce. Tak oto kusi ciemna strona Nocy. Nie wolno tam iść, za nic.

- Nie jestem zainteresowany... - wykrztusił z trudem. - Nie mam najmniejszego zamiaru...

- Ależ jesteś - przerwał mu renegat natychmiast. - Albo wkrótce będziesz. Bo przeszedłeś dopiero połowę drogi. Wyrwałeś się z wyjątkowo banalnej ludzkiej egzystencji i wydaje ci się, że jesteś ponad miarę szczęśliwy. Ale to dopiero początek. - Uśmiechnął się łagodnie. - Prędzej czy później trafisz do nas. Dotrzesz do domu, bracie.

- Nie jestem twoim bratem! - warknął Vesper. - Ty... - Umilkł, nie chcąc, by tamten dostrzegł na wpół wysunięte kły.

- Mam na imię Attagen - powiedział renegat spokojnie. - I jesteś moim bratem, chcesz tego czy nie. W nas wszystkich płynie ta sama krew, przekazana Lordom przez Ukrytego. To wciąż ten sam symbiont, ten sam szczepek.

Odchylił się w tył, układając wygodnie w powietrzu, jakby tuż pod jego ciałem zawieszony był niewidzialny miękki materac.

- Chcesz wiedzieć, kim naprawdę jesteś? - rzucił z namysłem. - Tylko poczekaj. Prędkiej czy później będziesz musiał się tego dowiedzieć, będziesz musiał zmierzyć się sam ze sobą. Pamiętaj tylko, że od tej chwili nie będzie już odwrotu. Nigdy nie będziesz umiał być pudelkiem po tym, jak choć przez moment byłeś tygrysem.

Na korytarzu rozległy się kroki, Vesper odwrócił głowę. Pośpiesznym krokiem zdążył ku nim Nidor w towarzystwie kilkunastu innych nocarzy.

- Pewnie przywołają na pomoc Ultora - oznajmił renegat spokojnie, podążając wzrokiem za spojrzeniem Vespera. - Niewątpliwie Lord Wojownik bardzo się wzruszy na wieść, że jego była kochanka jest teraz jego największym wrogiem. Przyleci tu czym prędzej i odpyta mnie ze wszystkiego, co wiem. Nie wątpię, że zrobi to skutecznie, nieumarłych można przecież torturować nieskończenie długo. - Wykrzywił się w cynicznym uśmiechu. - A potem zetnie mi głowę tą swoją ukochaną japońską zabawką. Chcesz wiedzieć, czy się boję, bracie?

Vesper pokiwał głową powoli, znów patrzył na wyciągniętego niedbale w powietrzu renegata.

- Jasne, że tak. Boję się - powiedział więzień poważnie, siadając. - Ale wiem jedno. Żyłem jak na drapieznika przystało, w zgodzie ze swoim przeznaczeniem. Nie dałem z siebie zrobić psa w służbie ludzi. Ale ty też długo tego nie wytrzymasz - zniżył głos do szeptu. - Dlatego dobrze ci radzę: uciekaj. Zanim się zorientują, kim jesteś naprawdę. Zanim Ultor zdecyduje się po raz drugi cię zabić. Uciekaj do swoich, Nex przyjmie cię z otwartymi rękami. Potrzeba nam takich drapiezników jak ty...

Vesper przełknął ślinę. A potem skupił się, wzywając na pomoc całą swoją siłę woli. Uspokoił się, cofnął kły, niemalże wtłaczając je do środka.

- Jeżeli Lord Ultor uzna, że pomylił się, ofiarowując mi Dar - powiedział drżącym, urywanym głosem - sam położę głowę pod jego miecz. Jestem nocarzem. Żaden z nas nie zdradził. Nigdy.

Odwrócił się do Nidora, który był już blisko, o parę kroków. Pozostali nocarze szli za nim, błyskając niespokojnymi spojrzeniami. Vesper trzasnął obcasami, stając na baczność.

- Więzień cały i zdrowy - zameldował służbiście. - Nic się nie działo specjalnego. Hiperaktywny tylko się zrobił i niestabilny emocjonalnie.

Koledzy popatrzyli na jego rozbitą brew, nikt jednak nie wyrwał się z żadnym komentarzem.

- Dziękuję - mruknął kapitan. - Spocznij.

Vesper ponownie trzasnął obcasami. Nidor skinął mu głową, po czym zwrócił się do renegata, siedzącego wciąż po turecku na wysokości półtora metra nad ziemią.

- Na pewno się domyślasz, co cię czeka - rzucił spokojnie. - Lord Ultor przesłucha cię osobiście. Już teraz zacznij sobie przypominać wszystko, co wiesz. Lord może się poczuć rozczarowany, jeśli się okaże, że zrobił taki szmat drogi po to tylko, aby wyciągnąć strzęp nie niewartych informacji. A my nie lubimy, kiedy nasz pan się źle czuje. Więc się postaraj, osobiście cię proszę.

- Na twoim miejscu wstydziłbym się - odparł Attagen powoli. - Tak bez cienia żenady przyznawać, że jesteś czymś psem łańcuchowym... Zwłaszcza takiego dupka, jak jakiś Ultor. Aranea opowiedziała nam parę zabawnych historyjek w temacie waszego właściciela. Chcecie posłuchać, pieski? Zresztą posłuchacie i tak. Trzeba sobie jakoś umilić te długie godziny oczekiwania.

- Jedno słowo na ten temat i przypomnisz sobie, jak wygląda łóżko słoneczne - wycedził zimno Nidor. - Wierz mi, potrafię tak dobrać dawkę ultrafioletu, żeby nie był groźny, tylko wyjątkowo bolesny.

- Drogi piesku - roześmiał się renegat w odpowiedzi - nie szczekaj za dużo, bo ci się obroza poluzuje i nie będziesz wiedział, co masz ze sobą zrobić. A jeśli chodzi o mnie, znam swój los i jestem przygotowany. Musicie mnie w końcu zabić, tak czy inaczej. - Wzruszył ramionami. - Nie wlepicie mi przecież dożywocia. To by baaardzo długo trwało, dłużej, niż wasz budżet przewiduje. Podatnicy mogliby się zacząć dopytywać, na co idzie ta kasa. A tego przecież nie chcecie. Bo jeszcze mogłoby nie starczyć na super ekstra rafinowaną krew dla waszych właścicieli. - Prychnął wzgardliwie, poszybował pod sufit i ułożył się tam, odwracając się do nich plecami.

Nidor popatrzył na niego w milczeniu, widać było, że aż się gotuje w środku. Wreszcie wziął się w garść.

- Dwóch przy celi na stałe - polecił, wskazując pierwszych nocarzy ruchem ręki. - Reszta w centrum monitorowania. Zmiany co dwie godziny. - Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił, znów z trudem opanowując gniew: - Jak ta kurwa piśnie chociaż słowo na temat Lorda...

- Spokojnie, Nidor, wiemy, co wtedy robić - rzucił jeden z nich spokojnie. - Bardzo szybko się z takich pomysłów rozmyśli.

Kapitan pokiwał głową.

- Vesper ze mną na górę - powiedział dużo spokojniej. - Ty, młody, masz już na dzisiaj dość. Teraz pomożesz w przygotowaniach do wizyty Lorda.

Vesper potaknął, przełykając ślinę i wbijając posłuszny wzrok w kapitana. Miał ogromną ochotę odwrócić się jeszcze, popatrzeć na zawieszzonego w górze Attagena... Opanował się jednak i nawet nie zerknął w jego kierunku.

- Ruszaj! - rzucił Nidor i spiesznym krokiem podążył do wyjścia.

Vesper popędził za nim bez słowa.

„Ratuj się, bracie!” - dobiegła go myśl renegata. „Uciekaj do naszych, zanim będziesz tak zniewolony, jak te psy tutaj. Upodlony jak oni. Ratuj się!”

Lustro, pomyślał Vesper z mocą. Lustro.

I ani razu nie spojrzął wstecz.

Zasłonili okna mocnymi stalowymi żaluzjami i chociaż słońce lało z nieba niemiłosierny blask, zasuwali cały dzień. Sprzątali pokoje, prali mundury, czyścili broń. Po jakimś czasie wszystko wokół wręcz lśniło, a oni zaczęli żartować z lekkim zdenerwowaniem, że chyba jednak warto by było jeszcze pomalować tę trawę na zielono.

Major miotał się po całej bazie, sprawdzając każdy szczegół, który tylko przyszedł mu do głowy. Każdego, kogo tylko spotkał, natychmiast odpytywał z procedur, w nieprzyjemny, nieco histeryczny sposób. Potem zamknął się u siebie i zaczął sprawdzać stosy papierów, wzywając co chwila któregoś z kapitanów.

W bazie zapanował posępny, nasycony niepewnością nastrój. Nocarze posnuli się jeszcze po korytarzach, skontrolowali szczegóły, wymieniając pesymistyczne uwagi, że te najważniejsze detale i tak wyjdą dopiero w praniu. Wreszcie rozeszli się po pokojach zmęczeni.

Vesper otworzył oczy, ciche pukanie do drzwi wybudziło go z pierwszego snu.

- Proszę! - powiedział głośno.

Do pokoju wszedł Nidor z bardzo zmęczonym wyrazem twarzy.

- Lord będzie tu jutro - powiedział powoli. - Z samego wieczora.

Vesper usiadł na łóżku, trąc palcami piekące powieki. Spojrzął na spiętą, niespokojną twarz przełożonego.

- Chcesz o czymś ze mną porozmawiać - rzucił domyślnie. - Siadaj. - Machnął ręką w kierunku fotela, a potem minibaru. - Częstuj się... czym tam chcesz. I tak nie ma zbyt wielkiego wyboru. - Uśmiechnął się lekko. - Sama hodowlana, ma się rozumieć.

- Jak ty się czujesz, młody? - zapytał tamten, siadając na fotelu i odchylając głowę w tył. - Co?

- Żebro mam złamane - stwierdził Vesper spokojnie. - Zrośnie się, do jutra nie będzie śladu. Lord zobaczy mnie w pełnej gotowości bojowej.

- Wiesz, o co pytam - powiedział Nidor cicho, podnosząc głowę i wpatrując się w kolegę uważnie. - Doskonale wiesz.

Vesper zamknął oczy. Otworzył je po chwili, pokiwał głową powoli. A więc stało się, Nidor i tak wie wszystko. Niech zatem będzie, co ma być.

- Ciężko jest - wyznał po prostu. - Ciężko jak jasna cholera. Głodny jestem, co tu kryć.

- Domyślam się - oznajmił tamten. - Każdego z nas to dotyczy. Raz trochę silniej potrzyma, potem znowu popuści i tak w kółko. Jak byłem młodym, musieli mnie czasem w bunkrze zamykać, bo szalałem z bólu. Potem mi przeszło. Ale ty się zachowujesz inaczej. Jakbyś wcale nie był głodny... Albo wręcz przeciwnie, bardzo się z tym męczył, bez przerwy.

- Nie mam tej sinusoidy - pokiwał głową Vesper. - Tak, to prawda. Mnie to trzyma cały czas. I nie odpuszcza ani na chwilę.

Nidor pokiwał głową. Widać było, że się mocije z jakąś bardzo trudną kwestią, która nie chce mu się wydobyć z gardła.

- Wybacz, ja cię muszę zapytać - wydusił z siebie wreszcie. - Czy ty tam, wtedy... Wiesz... Spróbowałeś? Uniosłeś rękę do ust...

Vesper znowu zamknął oczy. Przypomniał sobie tę straszną i zarazem cudowną chwilę, ten zapach świeżej, buchającej adrenaliną krwi. I tę dojmującą tęsknotę, która zbudziła się wtedy i wciąż nie chciała odejść, za nic.

- Nie spróbowałem, Nidor - wyszeptał w udręce. - Słowo honoru, że nie.

Kapitan popatrzył na niego, na twarzy malowała mu się wyraźna ulga.

- To dobrze, chłopaku - powiedział. - To bardzo dobrze.

- Gównu tam dobrze! - wybuchnął nagle Vesper. - Ten renegat, tam na dole, i tak się na mnie poznał. Powiedział, że jestem jednym z nich. Że to tylko kwestia czasu, kiedy zdradzę... - W gardle zadrapało go zdradziecko, odchrząknął więc. - Kiedy się przebudzę, tak powiedział. Tak samo, jak się już raz przebudziłem z tamtego życia. To teraz jeszcze raz. Zostanę prawdziwym drapieżnikiem i już od tego nie wrócę. Bo nie będę umiał. Ani nawet chciał.

- No i co ty na to? - rzucił Nidor nieswoim głosem. - Co zamierzasz z tym zrobić?

- Pójdę jutro do Lorda - odparł porucznik, ocierając oczy nagłym ruchem. - Poproszę, żeby znalazł trochę czasu i żeby na mnie popatrzył tak jak wtedy jeszcze raz. Bo może się pomylił, może się wcale na nocarza nie nadaje. Albo się popsulem w międzyczasie.

- No a jeśli Ultor tak właśnie powie? - zapytał kolega cicho. - Co wtedy?

- Poproszę go, żeby mnie zabił jeszcze raz - wyszeptał Vesper w odpowiedzi. - Tylko już bez żadnych dodatków tym razem.

Nidor spuścił głowę. Zapadło ciężkie, przygnębiające milczenie.

- Tak trzeba zrobić - potwierdził wreszcie kapitan z wyraźnym trudem. - Wybacz, młody, ale nie będę ci teraz ściemniał, że wszystko w porządku i że nie ma problemu. Problem jest, i to duży. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Wiesz przecież, że dlatego ze mną zostałeś.

- Tak, wiem. - Vesper zamknął oczy. - Pilnujesz mnie cały czas.

- To ja jestem za to wszystko odpowiedzialny - powiedział Nidor gwałtownie. - Ustawilem akcję tak naiwnie, tak beztrosko... Nie spodziewałem się tam renegata, myślałem, że ta sprawa to drobiazg. Ot, drobna dilerka nielegalną krwią. Tymczasem okazało się, że wdepnęliśmy w coś znacznie grubszego. - Westchnął ciężko. - Powinienem był się zorientować od razu, kiedy pojawił się czuciowiec. Skąd drobny diler miałby mieć czuciowca, jak nie od renegatów albo, co gorsza, od watykańskich? Ale ja chciałem skończyć sprawę czym prędzej, ochrzcić cię w boju i mieć wszystko z głowy.

- I przekazać jakiemuś porucznikowi, niech się z młodym buja? - rzucił Vesper goryczą w głosie. Nidor pokiwał głową.

- Tak - przyznał ze wstydem. - Tyle miałem spraw na głowie, jeszcze mi i ciebie do walili. Owszem, zdolny byłeś, nie miałem z tobą za wiele kłopotu. Ale jednak wiesz, jak jest, trochę pochodzić koło młodego trzeba.

- Tak. - Vesper otworzył oczy. - Wiem, jak jest. Dopilnować gnoja, żeby z dachu nie spadł. - Uśmiechnął się lekko. - I żeby na słońce nie wychodził za często.

- Spieprzyłem sprawę - powiedział Nidor, nie reagując w ogóle na uśmiech przedmówcy. - Powinienem był dużo wcześniej wezwać posiłki, a nie strugać bohatera. A tu nagle renegat mi przytrzymał wszystkich, i tak cudem go tam utrzymali. A ty musiałeś pójść ze mną i posprzątać cały ten burdel. Wpierdoliłem cię po uszy, młody. Nikt inny, tylko ja.

- Cóż, popełniłeś błąd - powiedział Vesper po prostu. - Każdemu się zdarza.

- Ale to ty za ten błąd płacisz! - Nidor zacisnął ręce w pięści w bezradnej złości. - I nic z tym nie mogę zrobić, nic.

Milczeli obaj przez chwilę.

- Słuchaj, pójdę z tobą do Lorda - zdecydował nieoczekiwanie kapitan. - Jeżeli będzie źle, poproszę go, żeby cię oszczędził i pozwolił mi cię pilnować. Najwyżej będziesz mnie miał na głowie do końca dni swoich, trudno. Zresztą kiedyś w końcu ci przejdzie. Nic nie trwa wiecznie, żaden, nawet największy głód.

- A upilnujesz mnie? - rzucił Vesper ostro. - Taki jesteś dobry? Jesteś tego pewien?

- Jeżeli nawet nie jestem... To BĘDĘ dobry - odparł Nidor z mocą. - Zobaczysz. Dla ciebie będę jak najlepszy.

Wstał z fotela, podszedł do łóżka, usiadł obok kolegi, klepnął go po plecach.

- Będzie dobrze - oznajmił. - Zobaczysz. Damy sobie radę we dwóch. - W jego głosie nie było jednak całkowitej pewności.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - wyszeptał Vesper, zwieszając głowę i chowając twarz w dłoń. - Jestem tym wszystkim przerażony, co tu kryć - zaczął mówić szybko, nieskładnie. - W głowie mi dźwięczą słowa renegata i czasem wydaje mi się, że miał rację. Jakaś część mnie kupiła te argumenty. Ja już zdradziłem, przynajmniej trochę, i nie jestem w stanie dać ci żadnej gwarancji...

- Przestań - rzucił Nidor posepnie. - Każdy z nas niejednokrotnie się zastanawiał, czy aby renegaci nie mają racji. Ale jak na razie wszyscy ciągniemy ten wózek. I nikt się póki co nie rozmyślił. A że masz wątpliwości, cóż, to normalne. Ja też je mam... czasami.

Vesper opuścił dłonie, patrząc na niego z nadzieją.

- Wygląda na to, że tak czy inaczej, jesteście na siebie skazani - stwierdził. - W sumie cieszę się, że to akurat na ciebie padło, Nidor. - Uśmiechnął się blado.

- Ja też - odparł tamten poważnie. - Ja też.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Vesper opadł na poduszkę, wpatrzył się w sufit, jakby tam mógł znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Zamiast nich jednak przed oczami zamajaczyło mu wyzywające spojrzenie renegata. A zaraz potem na jego miejsce nasunęła się surowa, poważna twarz Lorda Ultora.

Zasnął niemal natychmiast. Jakby myśl o Ultorze dodała mu nadziei i nowych sił.

I tym razem nie przyśnił mu się żaden z tych ociekających świeżą, pachnącą krwią snów.



Stali na płycie równym czarnym dwuszeregiem. Patrzyli, jak Bell 412 EP podchodzi do lądowania, błyskając światłami. Łopaty wirnika przecinały powietrze ze świstem, był to

najgłośniejszy dźwięk, jaki docierał do ich uszu. Wyciszony silnik pracował, jakby to nie średniej wielkości helikopter, lecz tylko jego model zawisł nad bazą nocarzy w Emowie.

- Oddział... bacność! - zakomenderował major. - Lord przybywa.

Wyprostowali się natychmiast, stuknęli równo obcasami, przycisnęli do piersi broń. Wpatrzyli się z napięciem w zawisły tuż nad ziemią śmigłowiec.

Pilot był ekspertem.

Posadził maszynę szybko i zręcznie, bez najdrobniejszego wahnięcia. Silnik ucichł, łopaty zataczały coraz wolniejsze kręgi, aż wreszcie zatrzymały się zupełnie.

Obecni wstrzymali oddech. Drzwi ładowni otworzyły się, ukazała się w nich wysoka postać w długim czarnym płaszczu.

- *Salvete, fratres!* - zabrzmiał im w głowach wyczekiwany głos.

- *Salve, Domine!* - wykrzyknęli jednogłośnie, salutując.

Lord Ultor wyszedł z maszyny, rozglądając się dookoła. W ślad za nim wysypali się jego pretorianie.

Major i kapitanowie natychmiast podążyli ku przybyłym. Zatrzymali się przed Lordem, stając na bacność w pełnej szacunku postawie.

- Spocznij - rzucił Ultor. - Wejdźmy do środka, panowie.

Skinęli głowami posłusznie, kierując się natychmiast ku budynkom. Lord szedł wśród nich, z majorem u swego prawego boku. Uważnie wodził wzrokiem po wyprostowanych jak struny nocarzach, uśmiechając się lekko. Jasnym było, że pamiętał każdego.

Vesper czekał na swoją kolej, serce waliło mu niczym oszalałe, a usta wyschły nagle na wiór. Wreszcie Ultor powitał go wzrokiem, ta chwila zajaśniała młodemu nocarzowi nagłym wzruszeniem, nieporównywalnym z niczym, co kiedykolwiek czuł dotychczas. Przełknął ślinę. Lord roześmiał się lekko, po czym poszedł dalej, przesyłając kolejne powitania. Pretorianie szli za nim krok w krok, również pozdrawiając kolegów krótkimi skinieniami głów.

Wreszcie przybysze weszli do budynku. Nidor zatrzymał się na progu, odwrócił się, rzucił krótkie „Spocznij, rozejść się!” i podążył za gośćmi. Zapewne skierowali się od razu do gabinetu majora.

Nocarze odetchnęli z ulgą, po czym jak jeden mąż ruszyli do sali spotkań. Tam powyciągali z lodówki torebki z hodowaną krwią i zaczęli ssać pośpiesznie, nie troszcząc się o przelewanie jej do szklanek.

To Ultor zabił każdego z nas, pomyślał Vesper, unosząc torebkę z krwią do ust. Każdy z tu obecnych jest jego dziełem, jego darem, jego Przebudzeniem...

- To tak, jakbyś spotkał Stwórcę - powiedział głośno Alacer, kręcąc głową w uniesieniu. - Ja pierdole, zupełnie tak...

Weszli pretorianie. Najwyraźniej Lord odesłał ich, czując się całkowicie bezpieczny w bazie nocarzy.

- Hej, panowie, podzielicie się? - rzucił jeden z nich swobodnie, spoglądając w kierunku barku. - Ciężka droga była, nie powiem. Stary się śpieszył jak jasna cholera i pilot wyciskał z maszyny, ile fabryka dała. Dwieście dwadzieścia na godzinę... Trochę nami rzucało po drodze.

Nocarze popatrzyli na niego, niektóre twarze natychmiast pojaśniały w uśmiechach.

- Celer! - zakrzyknęło kilkanaście głosów.

Otoczyli go wszyscy. Starzy znajomi zaczęli się witać, poklepywać po ramionach. Młodszy nocarze, nie znający kolegi, stworzyli drugi krąg, trzymając się w powodowanym onieśmieleniem oddaleniu. Kilku z nich rzuciło się w kierunku baru, zaczęli napełniać szklanki.

- Jak to jest, chodzić za Lordem, mów! - posypały się wnet pytania.

- Ej no, odrobinę kultury! - zmitygował kolegów Celer, patrząc wymownie na pozostałych pretorianów, stojących przy wejściu z nieco skrępowanymi, aczkolwiek uprzejmymi uśmiechami. - Może najpierw zajmijmy się gośćmi, dobrze? I przejdźmy na międzynarodowy, bo buractwo z nas wychodzi.

- Jasne, jasne! - przytaknęli skwapliwie nocarze. - *Salvete, fratres! Venite...*

- *English highly appreciated* - oznajmił jeden z pretorianów, wciąż uśmiechając się uprzejmie. - *Latin for official use only...* - Mrugnął porozumiewawczo.

- *Of course* - pokiwali głowami nocarze. - *English much better, definitely.*

Całe szczęście! - pomyślał Vesper z ulgą. Z angielskim sobie poradzę. Jakbym miał po łacinie zdania kleić, nigdy bym się nie dowiedział, jak to jest, być koło Szefa.

Najwyraźniej jego zdanie podzielali wszyscy obecni, atmosfera bowiem rozluźniła się w mgnieniu oka. Pretorianie zostali doprowadzeni do centralnego, honorowego stolika i usadzeni na kanapach. Wnet wciśnięto im do rąk wysokie szklanki napełnione czerwonym płynem. Nocarze poprzysuwali fotele i sofę i rozsiadali się dookoła. Zapadła chwila napiętej, pełnej oczekiwania ciszy.

- *So tell us, please* - wyrwał się wreszcie Alacer, pałając niecierpliwością. - *What is he like?*

Pretorianie popatrzyli po sobie, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy. Zapewne w każdej bazie przechodzili przez to samo. I mieli już na podorędziu standardowy zestaw historyjek do zabawiania gawiedzi.

- *Well, brothers...* - rozpoczął wreszcie jeden z nich.

Popłynął ciąg barwnych opowieści. O Lordzie Ultorze i jego wyczynach, o oddziałach nocarzy, powoływanych do życia w coraz to nowych krajach. O powolnej, skrytej działalności Kapituły, tworzącej Nowe Przymierze.

Vesper słuchał i słuchał, szeroko otwierając oczy, policzki mu płonęły. Czuł się, jakby nagle trafił do Orwellovskiego roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Po prostu kochał Wielkiego Brata.



Było już dobrze po północy, kiedy do sali zajrzał Nidor. Odszukał wzrokiem Vespera, skinął na niego bez słów. Ten poderwał się natychmiast. Wyszedł odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami. Stał na korytarzu, czując, jak znowu przyśpiesza mu serce, a na piersiach kładzie się dławiący niepokój. Popatrzył na kapitana. Nidor miał zaczerwienione, spuchnięte oczy. Jakby płakał, ale to chyba nie było możliwe?

- Lord chce cię widzieć - powiedział Nidor cicho. - Chodź. - Ruszył korytarzem bez dalszych komentarzy.

Vesper podążył za nim. Przesunął językiem po nagle zaschniętych wargach. A więc... to już?

Doszli do gabinetu majora, Nidor zapukał krótko, weszli obaj.

Ultor stał przy oknie, wpatrując się w pozieleniałą wiosną las. Wciąż miał na sobie swój długi czarny płaszcz, jakby nie rozstawał się z nim nigdy.

Odwrócił się ku nocarzom, gdy tylko przestąpili próg. Obrzucił ich uważnym, surowym spojrzeniem.

Pod Vesperem ugięły się nogi. Od wczoraj obiecywał sobie, jaki to będzie dzielny, jak przekona Lorda, że przecież potrafi, że da z siebie wszystko... Teraz już niczego nie był pewien. Poczul się mały, słaby i nic nieznaczący.

Zerknął ukradkiem na Nidora. Ten stał ze spuszczoną pokornie głową, z miną zbitego, nie, wręcz skatowanego psa.

Powiedział mu już, pojął Vesper w przebłysku myśli. I wziął wszystko na siebie. Lord z pewnością nie był z niego zadowolony.

Podniósł wzrok, spoglądając na Ultora nieśmiało, z obawą. Ten wpatrywał się w niego w milczeniu, czytając go uważnie, powoli.

- Co zrobisz, jeśli ci powiem, że już nie możesz być nocarzem? - rzucił nagle.

Fala ostrego, przenikliwego bólu rozlała się Vesperowi po całym ciele. Zamknął oczy i zacisnął wargi, starając się opanować ich drzenie. A więc to tak, pomyślał. To już koniec, a więc to tak. Pod powiekami zamrowiły mu nagle łzy.

Nagle przyszła ogromna, kojąca jasność. Wszystko stało się takie oczywiste i proste. Otworzył oczy, podszedł parę kroków w przód. Klęknął przed Lordem, odrzucił kołnierz do tyłu. Wyciągnął głowę w przód, położył ręce na kolanach.

- Tnij, Panie - poprosił spokojnie.

Ultor wypuścił z siebie powietrze z długim, cichym sykiem.

- No tak - powiedział. - Zapomniałem. Ty wręcz uwielbiasz bardzo spektakularnie umierać.

Vesper podniósł wzrok i popatrzył na niego od dołu, zszokowany.

- Poprzednim razem stanąłeś dumnie, kazałeś mi przestać pierdolić i wziąć się do roboty - westchnął Lord, kiwając głową. - O ile dobrze pamiętam, ale to było coś w tym stylu. - Popatrzył w dół, skinął dłonią, wykonując przecinający gest. - Wstań, Vesper, nie wygłupiaj się. Jeszcze mi tu tylko dramatycznych scen brakuje.

Spojrzał w kierunku biurka, znalazł się za nim w ułamku sekundy, usiadł w fotelu. Popatrzył, jak młody nocarz podnosi się z kolan, rozglądając się wokół w osłupieniu. Westchnął raz jeszcze, przeniósł wzrok na Nidora. Ten natychmiast skurczył się w sobie jeszcze bardziej.

- Bardzo dobry młody nocarz - oznajmił Ultor z naciskiem. - Z ogromnym potencjałem, wręcz tryskający Mocą. Miałem co do niego bardzo poważne plany. A teraz wszystko szlag trafił, a młody znalazł się w wyjątkowo paskudnej sytuacji... Przez czyjeś lenistwo i głupotę!

Kapitan spuścił głowę jeszcze niżej.

- Jeżeli tylko mogę zrobić cokolwiek... - poprosił pokornie. - Pozwól mi, Panie. Może da się go uratować, przyłożę się ze wszystkich sił.

- Nie wiem, czy stać nas na takie ryzyko - stwierdził Ultor chłodno. - Dopiero co dowiedzieliśmy się przecież... - Zamilkł na chwilę.

Popatrzył na Vespera, stojącego niepewnie w tym samym miejscu, gdzie podniósł się z kolan. Uśmiechnął się do młodego, najwyraźniej chciał go pokrzepić.

- Nikt z mojego Rodu nigdy dotąd nie zdradził - wyjaśnił. - Żaden wojownik nie stał się renegatem. Aż do niedawna. Dowiedzieliśmy się właśnie, że Aranea... - znowu przerwał, mocując się ze słowami. - Jeden z moich generałów, bardzo bliski współpracownik... - Przełknął ślinę, pokręcił głową. - Zdradziła. Przeszła do renegatów. Roztrzaskała tamtejszego Lorda błyskawicznie, teraz ona nimi rządzi. - Nagle posypał zdania jak z karabinu. - Możemy się spodziewać wszystkiego najgorszego. Jest dobra, co do tego nie ma wątpliwości. Dobra jest. Atroks był głupim, wiecznie pijanym bydlakiem. Aranea jest inteligentna, ma talent do intryg. Do tego dyszy żądzą zemsty. Będzie nam teraz ciężko. - Znow zamilkł, po czym dorzucił: - Nie wiem, czy stać nas jeszcze i na zdradę nocarza.

- Przecież Nidor będzie mnie pilnował - powiedział nagle Vesper bardzo spokojnie. - W razie czego zdąży zabić, prawda?

Ultor popatrzył na kapitana z niemym pytaniem malującym się na twarzy. Tamten przełknął ślinę i pokiwał głową z wyraźnym trudem.

- Jeżeli wątpisz w moje kompetencje, Panie... - wychrypiał słabo. - Nie dziwiłbym się, ale chciałbym zareczyć, że będę się bardzo starał...

- Dobrze już - westchnął Lord, podnosząc dłoń do czoła i trąc je zmęczonym gestem. - Odpuszczę ci, Nidor. Każdemu zdarza się coś spieprzyć. - Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił ponuro: - Sam przecież, na własne życzenie, sprezentowałem renegatom nowego władcę.

Spuścili głowy natychmiast, kryjąc zadziwione spojrzenia. Lord Wojownik przyznawał się publicznie do błędu, i to tak poważnego... Niepojęte.

Ultor otrząsnął się nagle.

- Dobrze, dość tej polityki - rzucił stanowczym tonem. - Vesper!

Wezwany wyprostował się natychmiast.

- Tak, Panie! - zameldował słuźbiście.

- Co się stało, to się nie odstanie - oznajmił Ultor poważnie. - Ale masz *psyche*, chłopcze, więc uważam, że warto spróbować. Będziesz się musiał po prostu bardziej starać. Żeby wyjść z tego jak najszybciej.

- Będę unikał wszelkich kłopotów... - młody nocarz zaczął mówić szybko, ale Lord uciszył go jednym ruchem ręki.

- Wręcz przeciwnie - rzucił zdecydowanie. - Będziesz się z nimi konfrontował jak najczęściej. Tylko że z niańką na plecach. Nidor!

Kapitan wyprostował się natychmiast.

- Zdejmę z ciebie większość obowiązków. Awansuję kogoś, przejmie od ciebie prowadzenie części spraw. - zapowiedział Lord. - Twoim priorytetem będzie opieka nad mło-

dym. Jak kichnie, masz pięć minut na dowiedzenie się, jaki szczep wirusów zasiedlił mu drogi oddechowe.

„Wampiry nie łapią kataru...” - chciał zaprotestować Vesper, ale skulił się pod miazdzącym spojrzeniem Lorda.

- Trenuję swobodne poruszanie się między ludźmi - wycedził Ultor powoli. - Wam też by się to od czasu do czasu przydało, zanim zapomnicie, jak i o czym się tam mówi.

- Tak jest, Panie! - odparli obaj natychmiast.

- Idźcie mi już stąd - powiedział Lord, odprawiając ich ruchem ręki. - Za godzinę macie tu być z powrotem, obaj. Pomożecie mi w Bunkrze. Chcę, żeby młody zobaczył, czym się kończy nałóg krwi.

- Tak jest, Panie! - powtórzyli niczym własne echo.

Odwrócili się i wymaszerowali z gabinetu. Stanęli na korytarzu. Popatrzyli na siebie, twarze jaśniały im powoli.

- Udało się - wyszeptali obaj naraz.

Wyciągnęli dłonie i połączyli je w mocnym braterskim uścisku.

- Dziękuję, młody - powiedział Nidor nieco schrypniętym głosem. - Dziękuję i... przepraszam.

- Nie powiem ci: nie ma za co, bo jest - odparł Vesper poważnie. - Ale wiesz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jeszcze zobaczymy.

- Zobaczymy - zgodził się Nidor i raz jeszcze uściśnął mu dłoń.



Kiedy stanęli we trzech pod celą renegata, Vesper nie mógł się oprzeć zdumieniu. Więzień był teraz zupełnie inną istotą. Zniknął gdzieś dumny tygrys, w jego miejsce pojawił się żaloszny kłębek, trzęsący się i pochlipujący w kącie. Dwadzieścia cztery godziny dokonały niesamowitych spustoszeń w jego psychice. Na skinienie Lorda Nidor wpisał kod. Kraty uniosły się natychmiast, lasery zamigotały krótko i zgasły. Weszli do celi.

Fotokomórka odczekała chwilę, a gdy nikt więcej nie przekroczył bariery, wysłała sygnał do centrali. Jedna z krat opadła za nimi na wszelki wypadek.

Attagen podniósł wreszcie głowę. Popatrzył na nich przekrwionymi, zażawionymi oczami. Przez twarz przebiegł mu przeblask zrozumienia. Dźwignął się i usiadł z wyraźnym wysiłkiem. Kły wysunięte miał daleko za dolną wargę. Starał się schować za siebie ręce, ale i tak zdążyli zauważyć, że palce ma pogryzione do krwi.

- Twoja własna krew cię nie nasyci - rzucił Ultor. - Potrzebujesz czegoś innego... nie-prawdaż?

Renegat skrzywił się tylko. Vesper zobaczył, że jego twarz pokrywają liczne drobne pęcherze. A więc jednak gnój pyskował, pomyślał szybko. I chłopaki wzięli go na solarium. Wzdrygnął się lekko, wyobraziwszy sobie palące promienie.

- O, Lord przyprowadził szczeniaczka - wychrypiał nagle Attagen, patrząc na Vespera.
- Co, będzie go teraz tresował, że nie opłaca się stawiać? Że nie warto być wolnym, bo można dostać w łeb?

- Dokładnie tak - potwierdził Lord spokojnie. - Będę go warunkował jak psa Pawłowa. Żeby miał odruch wymiotny, gdy tylko pomyśli, co robi z wampira nielegalna krew.

Skinął na Nidora, ten podał mu niewielki czarny skórzany neseser. Ultor otworzył go, powolnym ruchem wyjął plastikową torebkę z krwią.

- Sztuczna - wykrzywił się renegat. - Pudło. Taka mnie nie bierze.

Lord uśmiechnął się. Usiadł w powietrzu, położył neseser na kolanach. Woreczek z krwią zawiesił w powietrzu tuż powyżej walizeczki. Potem powolnym ruchem wyjął niewielką, dwumililitrową strzykawkę, wypełnioną białym, przezroczystym płynem.

- *Epinephrine hydrochloride* - przeczytał napis na nalepce. - *Adrenalinum*.

Rozerwał opakowanie, wstrzyknął całą zawartość do torebki z krwią, przekłuwając ją na górze, żeby nie wylać zawartości. Rzucił strzykawkę na podłogę, potoczyła się po niej z cichym stukotem plastiku.

- No, a jak ci się to teraz widzi? - rzucił swobodnie. - Smaczniejsze?

Renegat wpatrzył się w niego osłupiałym wzrokiem. Przeciągnął językiem po rozbitych, pogryzionych wargach.

- No dobrze, dorzucę coś jeszcze. - Ultor wyjął kolejną strzykawkę. - *Dopamine hydrochloride* - przeczytał.

Kilkoma zręcznymi ruchami odpakował specyfik i dodał go do krwi. Zakołysał torebką, mieszając płyn powoli. Popatrzył na kolejną strzykawkę w neseserze.

- O, to ci z pewnością zasmakuje - powiedział, puszcżając torebkę z krwią, która pozostała w powietrzu, kołysząc się wciąż. - *Hydrocortisonum*. Pycha.

Dodał do mieszanki hydrokortyzon. Popatrzył na renegata, który siedział na betonowej posadzce i wpatrywał się w niego głodnym, przerażonym wzrokiem. Po policzkach spływały mu łzy.

- No, nie maź się tak - rzucił Ultor z westchnieniem. - Jak dziecko, normalnie jak dziecko. Chcesz, dorzucę ci jeszcze coś. O, to będzie unikat. W życiu nie próbowałeś, założę

się. - Podniósł strzykawkę z napisem *Oxytocin*. - Spodoba ci się, gwarantuję. - Dostrzyknał zawartość, po czym zamknął neseser zdecydowanym ruchem. - Starczy tego dobrego. - Oddał walizeczkę Nidorowi.

Wstał, trzymając w ręku torebkę z krwią. Renegat pozostał na podłodze, kiwając się w przód i w tył.

Ultor rozerwał róg torebki, wylał odrobinę czerwonego płynu na prawą dłoń. Po celi rozszedł się intensywny zapach.

Vesper przełknął ślinę.

Dokładnie tak pachniała tamta krew w sali tortur, kusząc ukrytym, mrocznym szaleństwem. Ciało nocarza przeszył dreszcz, odezwało się znajome swędzenie dziąseł... Ustąpiło jednak pod jedną krótką, zdecydowaną myślą: nie!

Powolnym, wyrafinowanym gestem Ultor podniósł dłoń do ust i przeciągnął po niej językiem.

- Ja to umiem mieszać te koktajle - mruknął z zadowoleniem.

Renegat u jego stóp zaczął głucho wyć. Lord popatrzył na niego w dół, wreszcie wyciągnął ku niemu okrwawioną rękę.

- No jak tam, piesku? - spytał wzgardliwie. - Chcesz polizać panu dłoń?

Tamten zacisnął powieki, zaniósł się rozdzierającym szlochem. Uniósł ręce do twarzy, potem oplótł nimi głowę ramionami w bezradnym, rozpaczliwym geście.

Vesper poczuł, jak króciuteńko obcięte włosy jeżą mu się na głowie. Spojrzał ukradkiem na Nidora. Kapitan stał spokojnie, ale jego nagła bladość świadczyła niewątpliwie o targających nim emocjach.

- Nie, to nie. - Ultor wzruszył ramionami, podnosząc znowu dłoń do ust.

Wtedy renegat rzucił się ku niemu, łkając. Pochwycił jego rękę, przyciągnął ku sobie i zaczął zlizywać z niej krew szybkimi, rozpaczliwymi ruchami. Lord stał spokojnie, milcząc.

Złamał więźnia. Nie musiał już robić nic więcej.

Wreszcie Attagen puścił jego dłoń. Opadł na podłogę, kładąc się na wznak na chłodnym betonie. Na twarzy wykwitał mu powoli wyraz niesłychanej ulgi.

- Bardzo mało tego było, wiesz o tym - powiedział wtedy Ultor, ocierając dłoń o płaszcz. - Zaraz przestanie działać. I wszystko się zacznie od nowa.

- Tak, wiem - wyszeptał renegat, wbijając oczy w sufit. - Masz mnie, to jasne. Jesteś panem mojego cierpienia... i ulgi. Czego chcesz? Powiedz.

- I tak zrobisz wszystko, co zechcę - stwierdził Ultor bez cienia triumfu, w jego głosie brzmiał smutek. - A ja chcę, żebyś zdradził. Żebyś nam powiedział wszystko, co wiesz.

Attagen zamknął oczy, znów zanosząc się cichym, rozpaczliwym szlochem.

- Zrobisz to - powiedział Ultor spokojnie. - To tylko kwestia czasu. Prędzej czy później to zrobisz, ten głód jest od ciebie silniejszy. Przecież wiesz.

Renegat przewrócił się na bok, zwijając się w pozycji płodowej. Popatrzył na nich, pokiwał głową ponuro. Ulga zniknęła, z jego oczu znowu zaczęły wyzierać głąd.

- Masz. - Lord rzucił mu całe opakowanie. - Mam wrażenie, że lepiej nam się będzie rozmawiało, kiedy będziesz w bardziej... radosnym nastroju.

Torebka uderzyła leżącego w ramię, rozchlapując dookoła część zawartości. Wampir rzucił się na nią natychmiast, łapczywie wysysając płyn. Rozbieganym wzrokiem oceniał plamy zasychające szybko na betonie. Może to je powinien najpierw zlizać?

Nagle zamarł w bezruchu, popatrzył na Ultora. Zrozumiał, że tamten doskonale zna każdą jego myśl.

I że trzyma go w garści. Całego.

A więc to nie ma żadnego znaczenia, czy zdąży zlizać czerwone kałuże. Bo jeżeli będzie współpracować, dostanie tyle szprycowanej krwi, ile tylko będzie chciał. A jeżeli nie... To te kilka plam i tak nie ma żadnego znaczenia.

Lord powoli pokiwał głową.

- Proszę cię tylko o jedno - wychrypiął nagle Attagen, odejmując torebkę od ust. - Kiedy już nadejdzie czas i będziesz chciał mnie ściąć... Daj mi przedtem pić. Pozwól mi umrzeć z godnością. Nie w takim stanie... Nie na głodzie.

- No, nie wiem - odparł Ultor z wahaniem. - Twój przykład jest bardzo kształcący, rozumiesz. Ot, chociażby ten tutaj młody nocarz... - Obrzucił Vespera przelotnym spojrzeniem. - Z pewnością wiele razy się zastanowi, zanim ulegnie chwilowemu pragnieniu nielegalnej krwi.

Vesper pokiwał głową gorliwie. Koszmar, który dane mu było obejrzeć, z pewnością miał niewiele wspólnego z dumnym bytem tygrysa.

- Głupcze... - wyszeptał renegat, kołysząc się miarowo. - Nie rozumiesz jednego. Teraz jest mi źle, nawet bardzo. Ale było dobrze, tak dobrze... I to jest cena, jaką się płaci. Nie żałuję, nic a nic. Czego mam żałować? Tych nocnych lotów, kiedy księżyc świecił nade mną, a ja mknąłem po niebie i cały świat leżał w trwodze u mych stóp?

- Cały świat, jasne - westchnął Lord Wojownik. - Banda przerażonych gówniarzy najwyżej. Bzdury ci się plotły w głowie, bo byłeś napruty. Ot i wszystko. Świat nie leży nikomu u stóp, za duży jest na takie głupie zabawy. Może jeden Ukryty mógłby go sobie

wziąć... Ale on go po prostu nie chce. - Zamilkł, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Attagen też nie odezwał się już ani słowem. Leżał na wznak, wbijając wzrok w szare betonowe sklepienie. Stali nad nim we trzech, patrząc, jak w miarę upływu czasu jego twarz wypogadza się powoli.



Renegat zamrugał powiekami, usiadł. Oczy zaświeciły mu niesamowitym blaskiem, krew zaczynała działać. Po chwili wstał zwinnie, jakby przeistoczony. Roześmiał się szyderczo, z wyzwaniem.

- No dobrze, hyclu - rzucił nagle, patrząc na Ultora. - To czego się chciałeś dowiedzieć, ludzki przydupasie? Chcesz usłyszeć, jak żyją prawdziwi drapieźcy, nie ta kastrowana, żałosna hołota, której wmawiasz, że jesteście warci więcej niż psy?

„Jak on się zwraca do Lorda!” - zawrzasnął nagle w głowie Vespera oburzony głos. „Zabij skurwiela, zabij natychmiast!”

Młody nocarz zatrzęsł się od nagłej wściekłości. Postąpił krok do przodu, wyszarpnął glocka z kabury, strzelił błyskawicznie. Raz, dwa, trzy: dwa strzały na korpus, jeden w głowę Attagena. Wampir czy nie, dziewięciomilimetrowe Lugery, Full Metal Jacket, z odległości niespełna paru metrów powinny mu rozsmarować mózg na ścianie. A na to nie pomogą nawet najlepsze zdolności regeneracyjne.

- Niezły chwyt - roześmiał się Ultor z uznaniem.

Pełnopłaszczowe pociski zawisły w powietrzu, a potem bezwładnie opadły na ziemię. Vesper zamrugał, rozglądając się wokół, jakby nagle przebudzony. Popatrzył na wciąż wyprostowaną przed sobą broń. Opuścił ręce powolnym ruchem.

- Przynajmniej próbowałem - westchnął ciężko Attagen. - Przewidziałeś to, rzecz jasna. Przechwyciłeś kule. Niech cię szlag, Ultor. Niech cię szlag.

- Schowaj broń - polecił Lord, patrząc na Vespera. - Cofnij się. I załóż lepsze lustro, młody.

„Nie zakładaj żadnego lustra” - usłyszał Vesper w myślach. „Dobrze... Bardzo dobrze. Niech sobie renegat myśli, że jesteś słaby. Że może z tobą zrobić, co chce”.

- Tak, Panie - powiedział Vesper, cofając się i chowając pistolet do kabury.

Zadrżał mimowolnie. Kto do niego przed chwilą mówił w myślach? Lord? Czy doskonale go naśladowający renegat?

„Nidor i ja zaatakujemy go za chwilę. Będzie się bronił” - usłyszał znów ten sam głos. „Będzie cię próbował przeciagnąć na swoją stronę. Pozwolisz mu na to. Współczujesz mu przecież: taki dumny, wolny tygrys... zmuszony do lizania ręki prześladowcy. Nie taki powinien być los drapieżnika”.

Vesper przymknął oczy na chwilę. Myśli jak oszalałe goniły mu pod czaszką.

Ultor. To na pewno mówi Ultor. Ma plan.

Ale może to jednak Attagen. Też ma plan. Musi mieć, gra o ostateczną stawkę. Podszycia się pod Lorda, żeby znowu przejąć kontrolę...

Nie wiem, kurwa, nie wiem! - pomyślał Vesper z przerażeniem.

Stanął wyprostowany w lekkim rozkroku, ręce złączył z przodu, kładąc jedną dłoń na drugiej. Podniósł głowę, wbił beznamiętne spojrzenie w więźnia.

- No więc czym to się ostatnio zajmują renegaci? - zapytał Ultor na głos. - Dorabiacie sobie dilerką nielegalną krew? Nie wystarcza wam obrabianie banków?

„Spokojnie, młody. Dasz radę” - zabrzmiał głos. „Jesteś twardszy, niż ci się wydaje” - przez myśl przemknęła nuta uśmiechu. „Niewielu ludzi było w stanie powiedzieć mi prosto w oczy, że bym przestał pierdolić”.

Fala ulgi rozlała się w umyśle Vespera. Lord, to jednak był Lord.

„Tak, Panie!” - potwierdził natychmiast. „Dam radę... Spróbuję!”

- Wiesz, trzeba z czegoś żyć - odparł powoli Attagen. - Taki był plan: dorobić trochę...

- A jednak nie chcesz współpracować - oznajmił Ultor gniewnie. - Wciskasz mi jakieś bzdury. Myślisz, że darmo dostałeś tę krew?

„Nie będzie się przed tobą bronił zajęty nami” - polecił głos w głowie Vespera. „A ty masz tylko słuchać. Jest naćpany, może powiedzieć o wiele za dużo... Ruszaj!”

- No to masz, co chciałeś - wycedził Lord.

Przez twarz renegata przebiegł skurcz bólu, Ultor z Nidorem przypuścili psychiczny atak. Attagen zgiął się wpół, potem osunął na kolana, wreszcie upadł na podłogę. Zaczął się wić w męce.

„Pomóż mi...” - usłyszał Vesper. „Niech mi tego, kurwa, nie robią... Niech chociaż grają honorowo, jak na Dzieci Nocy przystało... Pierdolone psy!”

Renegat trząsł się w drgawkach, jego poranione palce szarpały spazmatycznie gładki, szary beton. Vesper poczuł, jak zalewa go fala współczucia.

„To mój Pan!” - odparł jednak. „Cokolwiek czyni, jest słuszne”.

„Jesteś tylko zniewolonym psem!” - wybuchł renegat. „Psem Pawłowa, tresowanym, by torturował, by zabijał na znak!”

- Vesper, weź się, kurwa, do roboty! - huknął Lord głośno. - Jesteś nocarzem czy nie, do cholery? Bierz go!

„Służyć, piesku, służyć!” - dodał Attagen natychmiast. „Chciałeś się wyrwać z banału, nie słuchać rozkazów byle dupka, który tobą pomiatał? To masz! Jesteś nocarzem...”

„Nie masz do zaoferowania nic lepszego!” - odparł Vesper. „Przynajmniej nie liżę niczyjej ręki na kolanach jak ty przed chwilą!”

„Poczekaj tylko!” - wybuchł renegat nagle. „Już niedługo to oni klękną u naszych rąk! Zaćpamy ich wszystkich, rozdamy za darmo wzmacnianą krew każdemu wampirowi! Wejdą w to niczym ciekawe dzieci... A potem będą błagać o jeszcze, wszyscy! W końcu przyjdzie pora i na nocarzy! Jak ja teraz, Ultor będzie wił się u stóp Aranei!”

- Starczy ci? Będziesz mówił? - zapytał Ultor spokojnie, odpuszczając atak.

Attagen leżał na ziemi, ciężko dysząc.

- Po co dałeś mi tę krew? - zapytał, z trudem obracając językiem w poranionych ustach. - Równie dobrze mógłbyś mnie tak zostawić, tu na ziemi... Po co?

- Nie zauważyłbyś różnicy - odparł Lord spokojnie. - Tylko dołożyłbym ci bólu, którego przy tym, co cię trzymało, nawet byś nie poczuł. Za to teraz... - Pchnął go z całej siły, aż tamten przeleciał przez celę, uderzył o ścianę, osunął się bezwładnie.

Ultor podszedł do niego, obaj nocarze natychmiast podążyli za nim.

- Słuchaj, zaćpana szmato! - wycedził Lord, chwytając renegata za włosy i podnosząc mu twarz ku sobie. - Jeżeli trzeba będzie pokroić cię w plasterki, zrobię to, i to tak, żeby cię nie zabić. Będziesz cierpiał setki lat, jeżeli zechcę. Z bólu i z głodu krwi na przemian. Czy to do ciebie dociera?

Więzień zamrugał oczami, nie będąc w stanie poruszyć głową.

„Teraz!” - wysłał do Vespera rozpaczliwe wezwanie. „Jest zajęty, nie spodziewa się, nie zauważy. Zdązysz mnie zabić! Nie martw się, nasi zrobią, co trzeba, wszystko jest przygotowane. Fabryki prawdziwej, pełnej krwi tylko czekają na znak Aranei, to była ostatnia placówka, którą sprawdzałem. Zwycięzimy! Tylko pomóż mi teraz...”

- Mam to rozumieć jako „tak”? - zapytał Ultor.

Attagen spróbował potaknąć, krzywiąc się z bólu.

„Błagam...” - wyszeptał w myślach. „Długo już nie wytrzymam...”

- Nie musisz - powiedział nagle Lord. - Mam nasłuch na młodym. Właściwie to wiem już wszystko, czego mi potrzeba. Puść go, Nidor, starczy. - Rozwarł palce, głowa ofiary opadła.

Wyprostował się, cofnął o krok i popatrzył z góry na więźnia. Nocarze wycofali się również, stając z tyłu za Lordem.

Renegat oparł czoło o chłodny beton. Wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze z płuc. Przez jego ciało przebiegł dreszcz, który wnet przerodził się w nieopanowane silne drgawki.

- Założyliście kilka wytwórni nielegalnej krwi - oznajmił Ultor. - A ty pilnowałeś rozruchu interesu, jak się domyślam. Plan Aranei: rozdystrybuować narkotyki jak najszerzej, rozdając go prawie darmo. Rozpoznaję jej geniusz... i głupotę zarazem.

Attagen podniósł głowę, popatrzył na niego. Pojął, że przegrał również i tę rozgrywkę. Z oczu powoli zaczęły kapać mu łzy.

- Tego nigdy nie mogła zrozumieć - ciągnął Ultor spokojnie. - Że jak coś jest darmo, to jest niewiele warte, a zatem mało cenione. Gdyby za tę krew trzeba było zapłacić, i to słono, wampir, który ją kupił, zamknąłby się w domu na cztery spusty, zanim by jej skosztował.

Pozasłaniałby zasłony, wyłączył telewizor, wyrzucił przez okno komórkę. A tak... Jakiś dupek dostał towar okazji, to zapodał go sobie czym prędzej. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - W barze, wyobraź sobie, przy ludziach. Bardzo nieostrożnie.

Renegat zamknął oczy.

- A więc to tak - wyszeptał z rezygnacją. - To stąd żeście się dowiedzieli...

- Kapitan Nidor zauważył klienta natychmiast - rzucił Ultor swobodnie. - Nadał sprawę o narkotyki machinie ABW, a ta już podziałała swoimi ścieżkami. Wiesz, jak to jest z takimi instytucjami. Wkładasz kartkę z pytaniem z jednej strony, a maszynka pomięli, pomięli i wypluje ci odpowiedź z drugiej. Jestem wręcz zachwycony, mając moich nocarzy umocowanych akurat tutaj. Dzięki temu ludzie robią dla nas, co chcemy. Naprawdę nie wiem, czemu ci się nie podoba nasza współpraca z nimi.

Wcale nie jest mi go żal... - pomyślał Vesper, patrząc na trupioblada, zastygłą w bólu twarz Attagena. Nic a nic. To renegat, to wróg. Miał ochotę się rozplakać.

- Jakie są wasze dalsze plany? - spytał Lord. - Albo nie, czekaj. - Uniósł rękę. - Pano wie, wysilcie szare komórki. Ciekaw jestem, co zaproponujecie. Nidor, ty raportuj tylko w myślach. Vesper? - Popatrzył na wezwanego uważnie.

Ten przełknął ślinę. Skąd ma wiedzieć, co knują renegaci... Przecież, do diabła, nie jest jednym z nich!

- Spokojnie, nocarzu - powiedział Ultor łagodnie. - Przed chwilą wykonałeś kawał świetnej roboty. Musisz umieć rozpoznać wroga, przewidywać jego kroki, myśleć tak jak on.

Wczuj się w renegata jeszcze przez chwilę, przypomnij sobie, posłuchaj go. Co byś zrobił, będąc na jego miejscu?

Vesper przymknął oczy. Przywołał na myśl całą nienawiść, pogardę dla zdrajców, kahlających się współpracą z ludźmi, niegodnych szlachetnego imienia Dziecięcia Nocy...

- Zarazić głodem kogo tylko się da - zaczął sypać niczym serią z karabinu. - Odciąć ich od dostaw obojętnej krwi: wysadzić fabrykę, zniszczyć magazyny. Zostawić część zapasów, niech myślą, że są neutralne, naszprycować je ukradkiem. Stworzyć własne bojówki, wyeliminować nocarzy. To jest wojna, nie zabawa! - Przerwał, dysząc ciężko.

Dźwignął w górę powieki, popatrzył na Lorda ze zmęczeniem. Ten milczał przez chwilę, kiwając powoli głową.

- Tak - powiedział. - Zgadza się. Czytałem renegata przy okazji, kiedy mówiłeś... Właśnie takie mają plany.

- Neeee! - wykrzyknął nagle Attagen w męce. - Nie! - Chwycił głowę w obie ręce, szlochając w głos.

- Masz coś jeszcze do dodania? - zapytał go Ultor spokojnie. - Słucham... Bo wiesz, musimy śpieszyć do Kapituły. Ja, ty, diler i czuciowiec. Pozostali Lordowie powinni się dowiedzieć o wszystkim, i to jak najszybciej. Przecież mamy wojnę.

Renegat podniósł się, z trudem stając na chwiejnych nogach. Popatrzył na niego zrozpaczonego wzrokiem.

- Wygrałeś, Ultor, wygrałeś całkowicie - powiedział łamiącym się głosem. - I tak wiesz już wszystko, co chciałeś. Więc zabij mnie tu i teraz, proszę. Nie rzucaj mnie tamtym Lordom do stóp. Diler nie pił tej krwi, jakoś się wymiga. Czuciowiec... Na pewno będziecie chcieli go wykorzystać, zresztą on i tak będzie pracował z tym, kto mu więcej zapłaci. A ja... - Odetchnął głęboko, głos mu wciąż drżał. - Wyobrażam sobie, co oni mi tam będą chcieli zrobić. To, co się działo tutaj, to dopiero przygrywka, ja wiem. - Przełknął ślinę. - Masz przecież prawo wykonywania wyroków w terenie. Zlituj się, Ultor... Wojowniku... Panie... - Umilkł, trzęsąc się cały. Lord popatrzył na niego w zamyśleniu. Wreszcie pokiwał głową.

- Klękniij - powiedział. - Ja wiem, renegaci nie klękają przed nikim, tak samo jak i moi wojownicy... Ale zrób to. Klękniij, Attagen, przede mną.

Tamten popatrzył mu w oczy z napięciem, wreszcie na twarzy błysnęło mu zrozumienie. Opanował się, skupił. Osunął się na kolana, wychylając głowę w przód. Zamknął oczy.

Ultor postąpił krok do przodu i w skos, tak że znalazł się z boku renegata. Odsłonił poły czarnego płaszcza, wy dobył z pochwy swój miecz. Uniósł go do góry. Popatrzył przez chwilę na zbieiałą twarz tamtego, na jego poruszające się bezgłośnie wargi... po czym opuścił

kataną z całych sił. Klinga świsnęła w powietrzu, ostra stal przedarła się przez skórę, mięśnie, ścięgna, zazgrzytała o kręgi. Pomknęła dalej, zrzucając w dół odciętą głowę, która potoczyła się po betonie. Korpus bezwładnie zwałił się na ziemię, krew rozbryznięła dookoła, znacząc szkarłatem beton i wspinając się na płaszcz Lorda.

- Nie budź się już więcej, bracie - wyszeptał Ultor, krótkim ruchem strząsając czerwone krople z miecza.

Schował katanę do pochwy, popatrzył na nieruchomych, niczym wykutych z kamienia nocarzy. W jego wzroku malowało się olbrzymie zmęczenie.

Rzucił Nidorowi niemy rozkaz. Ten otrząsnął się, schylił, podniósł głowę renegata z podłogi, unosząc ją za włosy. Przerzucił ją kawałek dalej, tak że, znajdowała się u stóp skaźca.

- Nie budź się już więcej, bracie - powtórzył za Lordem.

Popatrzyli obaj na Vespera.

Młody nocarz pokiwał głową, wbijając wzrok w martwe ciało renegata.

- Nie budź się już więcej - wykrztusił z trudem przez zaciśnięte gardło - bracie.

Naprawdę nie masz po co, dodał w myślach.

Krew rozlewała się coraz większą szkarłatną kałużą. Lord wciąż stał w miejscu, zapałtrony na ciało Attagena. Wreszcie odwrócił się do swoich wojowników, pokiwał głową. Krótkim pokrępiającym gestem poklepał pobladłego Vespera po ramieniu.

Podszedł do kraty. Uniosła się z sykiem, choć nawet nie dotknął niebieskiego ekraniku. Wyszedł z celi, nocarze podążyli za nim.

Ciemność słała się po ścianach, rozświetlana przez krótkie niebieskie błyski ultrafioletowych laserów. Wojownicy szli korytarzem Bunkra powolnym, zmęczonym krokiem.

Ich buty zostawiały na podłodze krwawy ślad.



§3.

1. Policjanci przed użyciem broni palnej są obowiązani:

- 1) po uprzednim okrzyku POLICJA wezwać osobę do zachowania się zgodnego z prawem, a w szczególności do natychmiastowego porzucenia broni lub niebezpiecznego narzędzia, zaniechania ucieczki, odstąpienia od bezprawnych działań lub użycia przemocy;
- 2) w razie niepodporządkowania się wezwaniom określonym w pkt 1 zagrozić użyciem broni palnej, wzywając: STÓJ - BO STRZELAM;
- 3) oddać strzał ostrzegawczy w bezpiecznym kierunku, jeżeli wezwania określone w pkt 1 i 2 okażą się bezskuteczne.

2. Przepisów ust. 1 nie stosuje się w sytuacjach, o których mowa w art. 17 ust. 1 pkt 1, 3, 5 i 8 ustawy, a także w innych przypadkach, gdy z zachowania osoby posiadającej broń lub niebezpieczne narzędzie wynika, że wszelka zwłoka groziłaby bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia lub zdrowia ludzkiego.

3. Użycie broni palnej w sytuacji, o której mowa w ust. 2, musi być poprzedzone okrzykiem POLICJA.

*ROZPORZĄDZENIE RADY MINISTRÓW z dnia 19 lipca 2005 r.
w sprawie szczegółowych warunków i sposobu postępowania
przy użyciu broni palnej przez policjantów oraz zasad użycia
broni palnej przez oddziały i pododdziały zwarte Policji
(Dz. U. z dnia 22 lipca 2005 r.)*

Asymetryczna wojna



zarnie BMW przejechało powoli ulicą Fleminga, zatrzymało się tuż przed CV Liceum Ogólnokształcącym im. Zbigniewa Herberta w Warszawie. Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni ubrani w dżinsy i swetry. Wyglądali na trzydzieści lat, może ciut więcej, wątpliwym zatem było, że przyjechali tutaj szukać swoich pociech. Zresztą pora była dość późna jak na odbiór uczniów ze szkoły. Słońce już zaszło, na początku maja oznaczało to przynajmniej godzinę dwudziestą pierwszą.

Przybysze zlustrowali budynek szkoły długim, uważnym spojrzeniem. Nie weszli jednak do środka. Poszli dalej, aż do skrzyżowania z Kątskiego, skręcili w prawo. Powolnym, spacerowym krokiem podążyli wzdłuż metalowej siatki wspartej na betonowej, przynajmniej czterdziestocentymetrowej podmurówce. Po jakimś czasie siatkę zastąpiła metalowa, pięciometrowa przegroda.

- Z tej strony chamówka odpada - mruknął jeden z nich. - Czołg może by i wjechał, owszem. Ale zanim dojedzie przez pół miasta... - Pokręcił głową. - Nie jest źle.

- Żadna ciężarówka nie wchodzi w grę - przytaknął jego towarzysz. - Zgubi zawieszenie na tej podmurówce. No, ale zobaczmy ciąg dalszy. - Przyśpieszył nieco kroku.

Szli dalej, aż przegroda skończyła się, a w jej miejsce powróciła siatka. Na górze ogrodzenia wił się trzykrotny splot drutu kolczastego.

- Popatrz, Nidor - rzucił pierwszy mężczyzna z dezaprobatą. - To się nazywa ochrona. - Wskazał na miejsce, gdzie siatka została przerwana bądź przecięta i połączona z powrotem dość niedbałymi pętlami drutu. - Sam bym to mógł rozerwać.

- Co chcesz, taki kraj - westchnął tamten.

Poszli dalej wzdłuż ogrodzenia, skręcili znów w prawo. Po drugiej stronie błotnistej ulicy powyrastały małe domki, kryjące się wśród świeżo pozielieniałych drzew. Gdzieś pomiędzy zabudowaniami czekał pies.

Mężczyźni doszli do końca ślepej uliczki, podeszli do siatki. Popatrzyli na rozciągające się za nią budynki Polfy Tarchomin.

- No, młody, melduj - powiedział Nidor. - Jak ci się podoba ochrona obiektu?

Wezwany porozglądał się jeszcze przez chwilę. Wskazał na błotniste kałuże widniejące po drugiej stronie ogrodzenia.

- Chujówka, co tu kryć - stwierdził z pełnym dezaprobaty sapnięciem. - Nie robią żadnych obchodów. Ani śladu buta, nigdzie. Żadnych odcisków psich łap. - Podniósł głowę, popatrzył wzwyż. - Ciekawe, jak często w ogóle oglądają to ogrodzenie. - Wskazał na jedną z wiązek drutu kolczastego, zwieszającą się beładnie. - To nie wygląda, jakby oderwało się przed chwilą.

- A ten bluszcz tutaj zarasta siatkę na szerokości przynajmniej czterech metrów - dorzucił kolega. - Nawet nie trzeba koca rzucić na druty, żeby przejść. Wiesz co, Vesper, ciężko będzie z nimi. Oj, ciężko.

Tamten pokiwał głową. Zapatrzył się znów na budynki fabryczne połączone siecią przekładników i rur. Gdzieniedzie wzyierały spomiedzy nich wielkie cysterny.

- Chodź, podejźmiemy od przodu - zaproponował Nidor.

Zawrócili, poszli z powrotem wzdłuż ogrodzenia. Popatrzyli na lampy, kilka z nich było popsutych. Całe połączenie terenu niknęły w półmroku.

- *Polnische Wirtschaft* - warknął Nidor, nie wiedząc czemu po niemiecku.

Doszli z powrotem do szkoły, pomaszzerowali dalej, do głównego wejścia. Zanotowali w myślach: podjazd na planie okręgu, z lewej wysoki budynek Zarządu, na wprost budynek portierni, po jego obu stronach stalowe bramy.

Strażnik był dość czujny, wyszedł ze stróżówki, jak tylko się zbliżyli. Vesper podszedł do bankomatu widniejącego w ścianie na zewnątrz. Powolnymi, niespiesznymi ruchami wsunął swoją kartę kredytową do szczeliny urządzenia. Wstukał PIN. Skrzywił się odruchowo, patrząc na stan konta.

Oj, słabizna, panie Malinowski, pomyślał. Ojczyzna, jak się zdaje, niespecjalnie docenia pańskie poświęcenie.

Uśmiechnął się przelotnie z odrobiną goryczy. Na szczęście prawdziwa pensja nocarza przelewana była do banku w Szwajcarii. Dlatego też rzadko zdarzało mu się zaglądać na ubożuchne konto Jerzego Malinowskiego, porucznika Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Ochroniarz cofnął się, tracąc zainteresowanie przybyszami. Być może obserwował ich jeszcze za pomocą kamer zainstalowanych na zewnątrz budynku. O ile mu się, oczywiście, chciało.

- Ciężarówka mogłaby przejechać przez którąkolwiek z tych dwóch bram - mruknął Nidor. - Albo jeszcze przez tę w rogu parkingu, po prawej. Widzisz?

Vesper skinął głową krótko. Wyjął sto złotych z bankomatu, poczekał, aż maszyna skończy drukować kwit. Konto porucznika Malinowskiego właśnie zostało drastycznie uszczuplone.

- Chodź, objedziemy jeszcze teren od strony Płochocińskiej - rzucił Nidor, odwrócił się i pomaszerował w kierunku samochodu.

- Nie spodziewam się, żeby tam było choć odrobinę lepiej - odparł Vesper, ruszając za nim. - Myślisz, że z jednej strony obiektu ochrona leży i kwiczy, a z drugiej jest na medal? - Pokręcił głową.

- Skądże - odparł tamten. - Ale sprawdzić trzeba. Lord będzie chciał mieć wszystkie dane, zanim podejmie decyzję.

Poszli do samochodu spiesznym krokiem, wychlapując błoto spod butów. Wreszcie wsiedli do beemki, zatrzasnęli drzwi.

- Nie damy rady zabezpieczyć tego sami - powiedział Nidor i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik zaskoczył i zaczął pracować, napełniając powietrze głuchym, niemalże kocim pomrukiem. Samochód cofnął się nieco, a potem zjechał na jezdnię, zataczając wąski półokrąg. Potoczył się ulicą powoli.

- Nie ma mowy. Za nic nie ogarniemy tego obiektu - zgodził się Vesper, patrząc przez okno na budynki fabryki. - Trzeba się będzie dogadać z ateciakami, tak myślę...

- Ultor o tym zadecyduje - powiedział kapitan ABW poważnie. - Ale na moje wyczućie masz rację. - Zamilkł, jakby nie śmiał komentować ewentualnych decyzji Lorda.

Samochód potoczył się powoli wzdłuż zabudowań, a oni milczeli, obserwując obiekt uważnie. Bardzo łatwo będzie go zaatakować, wyjątkowo trudno obronić, płątały im się po głowach niewesołe myśli.



- Sytuacja przedstawia się następująco - mówił major na odprawie parę godzin później. - Mamy wszelkie powody, by podejrzewać, że renegaci zaatakują nas w najbliższej przyszłości, być może w przeciągu tygodnia. Wiecie, co to oznacza.

Nocarze popatrzyli po sobie, wymieniając się porozumiewawczymi spojrzeniami. A więc to prawda, jest wojna.

Dotychczas w tajnym ośrodku nocarzy w Emowie, zakamuflowanym jako sekcja III Biura Białego Wywiadu, krążyły na ten temat tylko domysły i plotki. Pewnym było jedynie, że w czasie jednej z ostatnich akcji niespodziewanie zgarnięto renegata, w dodatku obstawianego przez czuciowca. Wpadła też pomniejsza plotka, miejscowy diler nielegalną krwią. Sprawa była jednak na tyle poważna, że zawitał do nich sam Lord Ultor, choć tylko na jedną noc. Przesłuchał więźniów, dokonał połowej egzekucji renegata i odleciał natychmiast swoim

śmigłowcem, zabierając czuciowca ze sobą. I nie zostawił żadnego wyjaśnienia, nic. Dwaj funkcjonariusze, którzy brali udział w pojmaniu odstępcy, a potem pomagali w jego przesłuchaniu, milczeli jak grób. Ani kapitan Nidor, ani też Vesper, nie powiedzieli ani słowa na temat wydarzeń, których byli świadkami. Nie dawali też się nabrać na żadne podchwytliwe pytania, czy też wieloznaczne aluzje.

Coś jednak się szykowało, i to z pewnością była jedna z tych grubszych spraw. Wyczuwali to wszyscy, kierowani nieomylnym instynktem drapieżników.

A teraz wreszcie sam major zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy. Renegaci. Wojna. W sumie, czegoż innego można by się było spodziewać?

I czy trzeba było wiedzieć cokolwiek więcej? Czas konfrontacji musiał nadejść prędzej czy później.

Raczej prędzej, jeżeli prawdą miałyby się okazać kolejna z plotek. Podobno Lordem Renegatem została generał Aranea, bliski współpracownik Lorda Ultora... Chodziły nawet słuchy, że wyjątkowo bliski, również na gruncie osobistym. Aranea zdradziła, z jakiego powodu, nie wiadomo. Może to Ultor zdradził ją pierwszy? W każdym bądź razie generał przeszła do renegatów i błyskawicznie wykończyła tamtejszego Lorda, zajmując jego miejsce. A teraz dyszała żądzą zemsty na samym Ultorze i jego całym Rodzie. Nocarze mieli więc poważnego przeciwnika.

O ile to wszystko prawda, oczywiście.

- Mówię o wojnie totalnej - podkreślił major, patrząc na podwładnych poważnie. - I, na nieszczęście dla nas, całkowicie asymetrycznej.

Pokiwali głowami. Wojna asymetryczna, określenie ukute przez politologów w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W starciu dwóch stron - z których jedna jest niewspółmiernie silniejsza pod względem militarnym od drugiej - słabszy chwytą się metod absolutnie niekonwencjonalnych, osiągając zarazem przy minimum środków maksimum efektu. Jedna strona osiąga wymierne efekty niskim kosztem, druga potrzebuje wielkich środków, by je neutralizować. Czyli praktycznie mówiąc, partyzantka... albo terroryzm.

- Na co się rzucą najpierw, Szefie? - spytał natychmiast Alacer, nocarz z całkiem sporym stażem. - Co musimy obstawić?

- Jak na razie ustaliliśmy trzy podstawowe cele - odparł major. - Ale po kolei. Przede wszystkim ich plan opiera się na przeciągnięciu jak największej ilości naszych spokojnych obywateli na swoją stronę. Chcą to osiągnąć za pomocą wprowadzenia na rynek dużej ilości nielegalnej krwi oraz zniszczenia takiej ilości zapasów obojętnego pokarmu, jakiej tylko zdolają osiągnąć. Jeżeli chodzi o ich strategiczne cele zatem... - zawiesił głos na chwilę, po

czym zaczął wyliczać szybko: - Po pierwsze, zagrożony jest magazyn sztucznej krwi. Po drugie, fabryka, która lada chwila miała rozpocząć produkcję tego specyfiku na rynek polski. Po trzecie, no cóż, panowie - uśmiechnął się lekko - my.

- Z całą pewnością stoimy im na drodze - oznajmił kapitan Nidor. - I chyba nie możemy liczyć na to, że nie wiedzą, gdzie stacjonujemy.

- Skąd mieliby się dowiedzieć! - zawrzał oburzeniem Alacer. - Żaden nocarz nie zdradził... Nigdy!

- Śmiem przypuszczać, że generał Aranea miała dostęp do paru dokumentów - rzucił Vesper dość głośno. - I wybierając się na tamtą stronę, chyba nie zapomniała zabrać ze sobą pracy domowej.

Zamilkli wszyscy. Popatrzyli na niego wymownie. Młody nocarz poczerwieniał nagle.

- A o tym jeszcze nie mówiłem, prawda? - powiedział major spokojnie. - Świetna robota, poruczniku. Doskonale trzymanie języka za zębami... Szkoda tylko, że o parę sekund za krótko.

Vesper spuścił głowę, przytykając oczy. A to się wkopał, niech to szlag.

- Przepraszam - wykrztusił.

Dowódca pokiwał głową.

- Jak wam już z niektórych plotek wiadomo... - mocno podkreślił słowo „plotek” - nastąpiła zmiana na stanowisku Lorda Renegata. Obecnie godność tę piastuje znana niektórym osobiście, a niektórym tylko ze słyszenia była generał Aranea.

- Zajmowała się wywiadem, o ile mi wiadomo - powiedział kapitan Umens. - I była w tym świetna. Natomiast jej talenty bojowe są, jak by tu powiedzieć, znikome.

Major pokiwał głową.

- Jej zbrojnym ramieniem jest generał Nex - stwierdził głosem, w którym pobrzmiwała ledwo uchwytna nuta zdziwienia. - Ona zaplanowała ten przewrót, a on go w iście mistrzowski sposób wykonał.

- Nex? - zapytał Alacer z niedowierzaniem, - Przecież on... On jest z Rodu Winorośli! To zwykły grajek! Skąd takiemu do roboty operacyjnej?

- Najwyraźniej nierozpoznany talent - włączył się do dyskusji Clam, trzeci kapitan nocarzy. - To się zdarza przecież... Zwłaszcza jeżeli jakiś inny Ród dopadnie klienta przed nami.

- Ale... z Winorośli? - pokręcił głową Alacer. - Taka zmiana, z playboya i szarpidruta na generała renegatów? Świat się kończy... - westchnął ciężko.

- Nie wzywaj Ukrytego - mruknął Umens odruchowo.

Zamilkli na chwilę, przetrawiając w myślach zasłyszane informacje.

- No cóż, panowie - major powrócił do prowadzenia odprawy - ewidentnie jesteśmy na pierwszej linii ognia, chociażby ze względu na lokalizację geograficzną i bliskość siedziby renegatów. Wypróbują swoje pomysły najpierw na nas, potem krok po kroku zaczną poszerzać swoje imperium. W następnej kolejności pójdą Czesi i Słowacy. Tamtejsze oddziały nocarzy również zostały postawione w stan gotowości. Na razie jednak zajmijmy się swoim podwórkiem. - Odchrząknął, po czym mówił dalej równym, spokojnym głosem. - Sytuację przedyskutowano na nadzwyczajnym posiedzeniu Kapituły. Rozkazy dla naszego regionu są następujące.

Po pierwsze, zabezpieczenie magazynu krwi. - Spojrzał na Clama. - Kapitanie, będzie pan za to odpowiedzialny osobiście.

- Tak jest! - odparł tamten natychmiast.

- Obiekt jest ściśle tajny, nie będziemy więc mieszać do tego żadnych instytucji ludzkich. Dostanie pan dwudziestu nocarzy do pracy w systemie zmianowym.

Clam pokiwał głową bez komentarzy.

- Z kolei kapitan Umens zajmie się zabezpieczeniem tutejszej bazy w Emowie - zarządził major. - Również dwudziestu, na zmiany.

- Tak jest - potwierdził Umens, uśmiech zadowolenia przemknął mu przez twarz.

- Kapitanie Nidor - zwrócił się major do ostatniego z zastępców - zajmie się pan zabezpieczeniem zakładów Polfa Tarchomin. Dostanie pan pozostałych dziesięciu nocarzy.

- Będzie trudno - westchnął wezwany. - Ten obiekt to plaża pod względem zabezpieczeń.

- Może pan liczyć na funkcjonariuszy Zarządu Operacji Antyterrorystycznych - odparł major. - Mamy zwrócić się do nich z oficjalną prośbą ze strony ABW o pomoc i wsparcie.

Nidor pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Współpraca może być problematyczna - rzucił. - Z pewnością woleliby to zrobić sami. Wspólna akcją policji i ABW to raczej rzadkość. Nie mówiąc już o tym, że i dla nas praca operacyjna z ludźmi będzie pewną nowością...

- Nie odmówią, nie mają na to szans - stwierdził dowódca zdecydowanie. - Lordowie poruszyli już niektóre brukselskie sznurki. K4 COREPER, Europol, nawet Police Cooperation Working Group przycisną naszą Komendę Główną Policji, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście wszystko w rękawiczkach, delikatnie... - Major uśmiechnął się lekko.

Ten i ów odpowiedział pełnym zrozumienia uśmiechem. Delikatne naciski ze strony Brukseli były już tu i ówdzie porównywane do tak zwanej propozycji nie do odrzucenia skła-

danej przez Ojca Chrzestnego. Ale cóż, taki świat. Trzeba się z tym pogodzić... Albo umrzeć. Byle nie drugi raz.

- No cóż, panowie - oznajmił major. - Konkretnie plany zostaną opracowane w poszczególnych podgrupach. Jak na razie to by było na tyle. Jakies pytania?

Rozejrzał się po sali, napotykać spokojne, zamyślane spojrzenia. Nikt się nie odzywał.

„Taaa...” - przemknęło Vesperowi przez głowę. „Brakuje nam tylko jakiegoś napaleńca, który by teraz wstał i spytał: no to kiedy idziemy im skopać tyłki, Szefie? I byłoby jak w kiepskim amerykańskim filmie...”

- W takim razie dziękuję - dowódca zakończył spotkanie.

Milczeli nadal. Pytania padną, owszem. Kiedy będzie więcej informacji. I kiedy będzie się rozmawiać konkretnie i na temat.

Na razie wszystkim błąkała się po głowie ta sama myśl.

A więc jednak: wojna.

Totalna. I całkowicie asymetryczna.



- Produkcja sztucznej krwi, która ma się tu niedługo rozpocząć, wcale nie jest taka prosta - powiedział Alacer, patrząc w okno.

Znajdowali się w jednym z pokojów budynku Zarządu Polfy Tarchomin. Po dłuższych negocjacjach z personelem administracyjnym okazało się, że jedyny w miarę nie podpadający pokój znajduje się na trzecim piętrze. Zajęli go więc wspólnie, nocarze i policjanci, urządając sobie w nim mini zaplecze.

Dyżur trwał dwanaście godzin, snajperzy na dachu zmieniali się co dwie godziny. Razem na dyżurze było pięciu nocarzy, czterech operatorów plus dowódca. Antyterrorysty w sile dziesięciu osób mieli stanowić grupę bojową. Na razie tkwili w dyżurce, nie ujawniając swojej obecności. Ze względu na ściśle tajny charakter sprawy nie poinformowano okolicznych posterunków policji. Dobrze, że chociaż zapewniono, by pobliski Szpital Bródnowski miał wolne miejsca.

- Wytwarzanie jej opiera się na zastosowaniu samej hemoglobiny. - Alacer popatrzył na policjantów, po czym błyszczał dalej: - Zawartego w czerwonych krwinkach białka przenoszącego tlen i dwutlenek węgla. - Pokiwał głową z ożywieniem. - Cząstki hemoglobiny są za małe, by można je było wstrzykiwać do ludzkiego układu krążenia. Doprowadziłoby to do zatkania kanalików nerkowych i śmiertelnej niewydolności tego narządu. Dlatego łączy się

hemoglobinę w większe struktury, polimeryzuje, mówiąc inaczej. Polimery są na tyle duże, że nie uszkadzają nerek, a zarazem nie są atakowane przez układ odpornościowy. Ej, dobrze mówię, Vesper? - Odwrócił się w kierunku siedzącego w kącie kolegi. - Ty byłeś lekarzem, no powiedz! Dobrze mówię?

- Może i tak - burknął Vesper niechętnie. - Nie wiem, nie znam się. Krótko pracowałem w zawodzie... Wolałbym o tym zapomnieć, szczerze mówiąc. - Popatrzył po zgromadzonych z drugiej strony pokoju ateciakach.

„Ci to są dopiero pierdolnięci” - odczytał ich myśli. „Kogo tam przyjmują do tej Abwehry? Jajogłowych, naukowców, lekarzy? Do operacyjnego?” - ich umysły pulsowały oczywistą niechęcią.

Od razu widać było, że zespoły nie są w stanie się dogadać. Obie grupy rozlokowały się w przeciwnych częściach pokoju i co rusz popatrywały na siebie wilkiem.

- Sztuczna krew nie zawiera komórek, można z niej usunąć wszystkie zbędne substancje. - Alacer dalej prowadził swój wykład. - Odpada też problem grup krwi. Wytwarza się ją, stosując „recykling” krwi ludzkiej, która straciła przydatność do transfuzji wskutek zbyt długiego przechowywania. Bo ta naturalna pomimo przechowywania w chłodziarkach przestaje się nadawać do użytku zaledwie 42 dni po pobraniu. A trwałość sztucznej liczona jest w latach... - Popatrzył na ateciaków triumfalnie.

Kurwa, kogo to obchodzi, Alacer! - westchnął Vesper w duchu, ukrył jednak tę myśl, nie śmiał bowiem zwracać uwagi starszemu koledze. Popisujesz się, jacy to jesteście mądrzy? Odpuść sobie, stary, dobra?

- No, to by nam się nawet przydało, parę woreczków takiej krwi - powiedział jeden z policjantów, najwyraźniej siłąc się na uprzejmość. - Ostatnio mieliśmy szkolenia z pierwszej pomocy. Jakby się rannemu dało od razu transfuzję, to pewnie by pomogło... - skończył wypowiedź lekko znudzonym westchnieniem.

- Amerykańska armia jest jak najbardziej zainteresowana zastosowaniem sztucznej krwi na polu walki. - Nocarz odwrócił się od okna, patrząc z aprobatą na gliniarza. - O ile wiem, wspierają w badaniach firmę Northfield Labs, która jest producentem preparatu Poly-Heme...

- Chyba czas na zmianę - powiedział Vesper, wstając pośpiesznie. - Chłopaki na pewno już pomarzli tam, na zewnątrz.

W tę ciepłą majową noc, dodał w myślach. No tak, teraz ja dałem ciała. Prawdziwy komandos nigdy nie marznie, najwyżej jest mu rześko.

Wychwycił cień dziękczynnego spojrzenia rzuconego mu przez Depsa, obecnego partnera ze zmiany. Najwyraźniej ten też już miał dosyć bredzenia Alacera i nawet nie uważał kompromitującej uwagi o marznięciu. Vesper uśmiechnął się lekko, ukradkiem. Wykłady o krwi, symbiontach i innych podstawach ich nowej egzystencji mieli w domu na co dzień, Umens pilił ich niemiłosiernie. A teraz ten dureń postanowił zaspanować przed ludźmi. No dość, po prostu dość.

„Gotowi do zmiany?” - rzucił w myślach do snajperów na dachu.

„Nareeeszcie!” - potwierdzili Ebur i Falx z wyraźną ulgą.

Vesper uśmiechnął się, popatrzył pytająco na Alacera, który był dowódcą zespołu. Ten skinął głową, wyjął z kieszeni nadajnik.

- Cegła Jeden do Cegła Dwa, jak mnie słyszysz? - powiedział szybko. - Gotowi do zmiany?

- Tak jest! - odparł natychmiast Cegła Dwa.

- Cegła Trzy w drodze - rzucił nocarz i rozłączył się.

„Bez odbioru, oni jeszcze mówią: bez odbioru!” - jęknął Vesper ukradkiem. „Skoro już robimy ten teatrzyk, to przynajmniej przyłożmy się choć trochę! A teraz gliniarze mają dodatkowy argument, żeby uważać nas za bandę wyjątkowo niekompetentnych kretynów”.

Wzruszył nieznacznie ramionami, jakkolwiek by się nie zżymał, sprawa była z góry przegrana. Alacer tak się już przyzwyczaił do telepatii, że w sprawach operacyjnych chyba nie był w stanie powrócić do żmudnych ludzkich sposobów porozumiewania się. Zaś atacy od początku nie kryli, że uważają kolegów z ABW za oddział specjalny do spraw napadów na śmietnik. Teraz już tylko utwierdzali się w tym mniemaniu.

No cóż, takie podejście nie ułatwia współpracy. Wcale a wcale.

Vesper westchnął raz jeszcze, poprawił broń i wymaszerował za drzwi wraz z Dapsem. Wspinali się po schodach w milczeniu. Po schodach, piechotą, zamiast spokojnie podlecieć sobie na dach. A niech to jasny szlag.



„Tutaj produkują antybiotyki” - powiedział w myślach Daps. Leżał na brzuchu na poduszce powietrznej, pięć centymetrów nad dachem, i obserwował budynki fabryki przez celownik optyczny. „Ciekawe, czy kiedyś zrobią też taki, który nam wytłucze z krwi symbionta”.

„Chciałbyś?” - Vesper przycisnął kolbę PSG-1 do ramienia, poprawił pozycję. „Wtedy pewnie można by było wrócić na tamtą stronę... Tylko po co?”

Przekreślił się nieco, układając się wygodniej na twardej powierzchni dachu. Póki co nie potrafił jeszcze położyć się miękko na powietrzu. Owszem, latał już całkiem nieźle, ale nadal kosztowało go to sporo wysiłku. O swobodnym tworzeniu poduszek powietrznych pod sobą na razie nie mogło być mowy.

Westchnął w duchu. Wiele się jeszcze będzie musiał nauczyć, zanim uzna się za pełnoprawnego nocarza. Oj, wiele.

„A nie chciałbyś przeżyć tego jeszcze raz, Vesper?” - odparł kolega z namysłem. „Umierasz... I budzisz się do całkiem nowego życia”.

„Ale mnie się obecne życie bardzo podoba” - odparł tamten zdecydowanie. „Za nic nie chciałbym wracać do poprzedniego” - wzdrygnął się na samą myśl o żmudnej i jałowej pracy reprezentanta firmy farmaceutycznej. „Co to, to nie. Teraz przynajmniej we własnych oczach jestem kimś”.

„Atecy tego nie potwierdzają, bynajmniej...” - zaśmiał się Daps nieco złośliwie. „Czytałeś ich? Zwłaszcza ten duży, co to na niego mówią Puszek Okruszek czy jakoś tak... Ten to jest pełen odrazy dla takiego kaleczenia rzemiosła!”

Vesper uśmiechnął się lekko.

„Alacer stara się jak może, żeby ich z błędu nie wyprowadzić” - przyznał, uważnie przesuwając kolimatorowym celownikiem po dachu pobliskiego budynku. „Panowie z policji mają nas za niedoświadczone panienki i martwią się, że będziemy im się plątać pod nogami. A przecież jak przyjdzie co do czego, to oni nam sprawią więcej kłopotu, niż my im. W konfrontacji z renegatami są niczym dzieci we mgle” - urwał, posępniejac.

Daps zamilkł na chwilę, przeżuując gorzkie myśli.

„Mają przesrane” - powiedział wreszcie. „Tkwią tutaj niczym bydlęta na rzeź... I nie mają o niczym pojęcia.

Vesper zamarł nagle. Wpatrzył się w jakiś cień na dachu, powiększony przez lunetę celownika. Czy mu się wydawało, czy cień poruszył się nieco? Zacisnął wargi w skupieniu, przyjrzał się uważniej... Nie, nic. To tylko lampa zamrugala. Dach hali produkcyjnej wciąż był czysty.

„Nawet nie wiem, czy da się dla nich cokolwiek zrobić” - kontynuował Daps. „Jeżeli tu się zwalą renegaci, to my sami będziemy mieli pełne gacie strachu. Nie będziemy w stanie niańczyć panów policjantów...” - w jego telepatycznym głosie zabrzmiała odrobina smutku.

Vesper przełknął ślinę.

„Wiesz co? Obawiam się, że wiem, o co chodzi z nimi tutaj...” - zamilkł nagle.

„Nasze cele są oczywiste” - mówił dalej Daps, jakby nie odebrał wypowiedzi kolegi. „Mamy nie dopuścić do aresztowania jakiegokolwiek renegata. Zabić ich wszystkich, bez wyjątku. To jak tu się jeszcze przejmować ludźmi? - ledwo dostrzegalnie pokręcił głową - No sorry, nie da się”.

„Aresztowany renegat zapewne dostałby wyrok za zabójstwo, od dwunastu do dwudziestu pięciu lat” - westchnął Vesper. „W tym czasie zeżarłby pół więzienia, o ile nie więcej. No i oczywiście cały szlachetny plan przyczajania się, póki nie nadejdzie czas pojednania, wzięłby w łeb”.

„Wierzysz w to?” - zapytał Daps gwałtownie. „Wierzysz w pojednanie, w tę całą pokojową koegzystencję? To bzdura! Weź poczytaj książki o naszych, pooglądaj filmy. Znajdziesz tylko jedną formułę: wampir to wróg człowieka. Trzeba go zabić za wszelką cenę. I tak już od tysięcy lat. Myślisz, że ludzie zmienią podejście jak za dotknięciem czarodziejkiej różdżki?”

„Przedtem nie było takich możliwości technicznych” - odparł Vesper niechętnie, wydawało mu się bowiem, że cytuje pogadanki Umensa. „Nie było sztucznej krwi...”

„Dupa tam. Tu nie chodzi o technikę. Mentalność, stary” - odparował kolega natychmiast. „Mentalność ludzi się nie zmieni tak szybko. Zawsze będą woleli nas zabić, na wszelki wypadek. Może dlatego, że w gruncie rzeczy nam zazdroszczą. Który z nich nie chciałby żyć wiecznie?”

„To po co to robisz?” - zapytał Vesper. „Po co jesteś nocarzem, narażasz się na utratę wieczności, cierpisz ten nieustanny głód? Skoro nie wierzysz w to, co robisz.

Tamten milczał przez chwilę.

„A jakie mam inne wyjście?” - odparł wreszcie. „Przystać do renegatów, dać się zaćpać, przecież to piekło. To już wolę tak, jak teraz jest”. Zamilkł znów, po czym dodał po chwili: „Wiesz, skoro wynaleźli sztuczną krew... To może kiedyś wymyślą taki lek, który mi wykopie z organizmu tego cholernego pasożyta. I już nie będę bał się światła, i będę mógł mieć dzieci i rodzinę, i w spokoju się zestarzeć”. - Westchnął ciężko. „Byłoby pięknie, co?”

„To nie jest pasożyt, to symbiont” - Vespera stać było jedynie na taką odpowiedź.

„Dla mnie pasożyt” - odburknął tamten, po czym nagle zaczął sypać gradem słów: „I to wszystko wcale nie jest takie śmieszne, jak się chce. Młody jesteś, zachłystujesz się bajerami, telepatią, lataniem. Ale mijają lata i to życie robi się coraz bardziej puste, bez celu i znaczenia. Wiesz, czemu Ultor ma taki ponury wzrok?”

Vesper milczał przez chwilę.

„Chyba się domyślam” - powiedział wreszcie. „Bo wciąż podejmuje wyjątkowo paskudne decyzje. Jak na przykład ta nasza akcja teraz. Wiesz przecież, po co są tutaj ci policjanci”.

Daps uspokoił się od razu.

„Wiem” - odparł pośpiesznie. „No przecież, że wiem”.

Zamilkli obaj. Skupili się na dokładnym, uważnym przepatrywaniu okolicy, wodząc po niej celownikami karabinów wyborowych. Żaden nie wypowiedział myśli, które natychmiast pojawiły się w głowach.

Wspierający ich oddział dziesięciu antyterrorystów ma wyjątkowo marne szanse w walce z renegatami. Zwłaszcza jeżeli tamci mieliby wysłać co potężniejszych żołnierzy, a na to się z pewnością zanosi.

Chłopaki zginą. Może nie wszyscy, ale przynajmniej część z nich na pewno.

Ich poświęcenie nie pójdzie oczywiście na marne. Policja się wścieknie, zaprzysięgnie renegatom - o których na razie wiedzą tylko tyle, że to wyjątkowo niebezpieczni terroryści - krwawą zemstę. A wtedy nocarze będą ich mieć po swojej stronie. Po ewentualnym ujawnieniu się odwieczna przyjaźń ludzko-wampirza zyska solidny wkład w budowę swoich podstaw. Do idei przyszłej pokojowej koegzystencji będzie to pasowało jak ulał.

Zaś w siedzibie antyterrorystów, na tablicy, przed którą zawsze stoją kwiaty, pojawi się kilka nowych nazwisk.

Ot i wszystko.



„Gotowi do zmiany?” - zabrzmiał znajomy głos Nidora.

Vesper uśmiechnął się natychmiast.

„Tak jest!” - odmeldował, nie kryjąc radości.

Nidor wrócił, zastępując Alacera na stanowisku dowódcy zespołu. Bardzo dobrze. Vesper od razu poczuł się bezpieczniej, wiedząc, że przyjaciel jest tuż obok i że to on podejmuje decyzje.

Począł chwilę na dachu, aż dotrą do nich zmiennicy. Wraz z Dapsem zdali im dyżur czym prędzej, po czym popędzili w dół po schodach.

Nidor uśmiechnął się na widok podopiecznego. Mrugnął do niego porozumiewawczo, choć sytuacja bynajmniej nie nastrajała do żartów.

Vesper usiadł w fotelu, rozparł się wygodnie. Sięgnął ręką do kieszeni kamizelki taktycznej, wymacał piersiówkę. Zaraz jednak cofnął dłoń. Jeszcze by tylko brakowało, żeby

policjanci pomyśleli, że pije na służbie. I chyba nie na wiele by się zdało tłumaczenie, że to przecież nie alkohol, tylko krew.

Dźwignął się więc z miejsca, poszedł do toalety. Zamknął się w kabinie i wyjął piersiówkę. Dopiero kiedy zaczął pić, zdał sobie sprawę z tego, jaki już był głodny.

- Ty, ale co to właściwie są za goście? - doszedł do niego cichuteńki szept.

Vesper zeszywniał, sięgnął umysłem w kierunku źródła głosu. Rozluźnił się po chwili. To dwóch ateków skryło się w zakamarku za kabinami, wymieniając szeptem uwagi.

- Dziwni, nie? - zaszemrał drugi w odpowiedzi. - Niby oddział bojowy, a patrz, sami oficerowie. Wszyscy w stopniu porucznika, teraz doszedł jeden kapitan. I to nie są chłopaki z piątki, na pewno.

- A jaki mają sprzęt, full wypas, widziałeś? - westchnął ten pierwszy z nieskrywaną zazdrością w głosie. - Empepiątki oryginalne, niemieckie, nie ten turecki, podrabiany chłam, którego ostatnio wszędzie pełno. Glocki nówki sztuki. I nie taszczą na sobie kamizelek kulo-odpornych jak my, tylko taktyczne... Co nie oznacza bynajmniej, że wcale ich nie mają.

- Założę się, że noszą je pod spodem - przytaknął mu kolega. - Widziałem raz taką kamizelkę. Leciuteńka, możesz ją włożyć pod koszulę i garnitur i w ogóle nie widać, że ją masz. Ale chroni lepiej niż nasza.

- Kurwa, Gawron, co to za goście? Skąd mają taki sprzęt? Toż to kotlet, mówię ci, istny kotlet!

- No, grubo smarowany! - sapnął Gawron w odpowiedzi. - Albo te ich rękawiczki, widziałeś? Niby zwyczajne, ze skóry, założę się, że gówno prawda. Widziałem takie w Internecie. Friskmastery, odporne na cięcie nożem...

- Wiesz, co ja myślę? - przerwał mu kolega. - Że panienki pierwszy raz trafiły do jakiejś akcji. Cholera wie, może ta sprawa jest dla nich jakoś tam polityczna. Ile było nacisków, żebyśmy ich wzięli ze sobą, słyszałeś, jak się dyrektor kłócił? No, ale tak czy owak, chłoptasie są tu, gdzie są. Więc narobili krzyku, że bez wyposażenia nie pójda. No i dla państwa oficerstwa od razu znalazła się kasa. Zresztą to przecież ABW, oni wszystko mają tajne, myślisz, że sobie budżetu nie ukręcą, jak trzeba?

- Pewnie masz rację, Okruszek - zgodził się tamten z westchnieniem. - Pewnie tak.

Milczeli przez chwilę. Vesper dopił resztkę krwi z piersiówki, schował ją do kieszeni. Wyszedł z kabiny, starając się tak otworzyć drzwi, żeby nie skrzypnęły.

- Może być ciężko - rzucił Okruszek ponuro. - Chuj wie, w co żeśmy tu wdepnęli. Jeszcze trzeba będzie tych panienek dopilnować, żeby sobie krzywdy własną klamką nie zrobiły.

- Kurwa, jeszcze czego - zapienił się Gawron. - Sami się w to pchali, to niech mają. Ja mam swoją robotę do zrobienia i przy okazji zamierzam pilnować własnej dupy. I swoich kolegów. A jak ktoś wpycha nos w nie swoje sprawy, to niech to robi na własny rachunek.

- Nie musicie się nami przejmować - powiedział Vesper, podchodząc do policjantów. - Naprawdę nie trzeba.

Wyprostowali się nagle, odwrócili, patrząc na niego wyjątkowo nieżyczliwie.

Vesper przyjrzał im się uważnie. Jeden z nich był wielkim, misiowatym facetem, drugi również wysoki, za to chudy jak tyka.

- No tak - warknął misiowaty, po głosie Vesper rozpoznał Okruszka. - Szpiedzy wszędzie. Jasne, przecież to ABW.

- Daj spokój, człowieku. - Vesper machnął ręką pojednawczym gestem. - Jedziemy przecież na tym samym wózku. Zwłaszcza teraz.

Policjanci milczeli, popatrując na niego nieufnie.

- Nie przejmujcie się nami - powtórzył nocarz z naciskiem. - I uważajcie na siebie, uważajcie jak jasna cholera. Kiedy zobaczycie terrorystę, nie myślcie o aresztowaniu. Od razu strzelajcie w łeb. Oni są wyjątkowo niebezpieczni, nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo.

- Mamy swoje procedury - odparł Okruszek lodowatym tonem. - I będziemy się ich trzymali. Nie mamy najmniejszej ochoty wysłuchiwać czyichkolwiek wykładów w tym temacie. - Zamilkł, jego wyraz twarzy bynajmniej nie zachęcał do dalszej dyskusji.

- No cóż - odparł Vesper dużo chłodniej niż poprzednio. - Żebyście potem nie mówili, że nikt was nie ostrzegął. - Odwrócił się i wyszedł, z trudem opanowując się, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Wrócił do dyżurki, popatrzył na znieruchomiałego przy oknie Nidora.

„Co jest?” - zapytał kapitan od razu, kiedy tylko poczuł na sobie jego wzrok.

„Umrą, głupie, zadufane w sobie gnojki!” - wybuchł Vesper natychmiast. „Umrą, bo wciąż jeszcze nie wierzą, że ktoś może się okazać cwańszy, silniejszy i dużo bardziej zdeterminowany niż oni!” Powolnym, pozornie niedbałym krokiem podszedł do fotela, zapadł weń z powrotem.

„Nie gorączkuj się, młody” - odparł przyjaciel spokojnie. „W ich pojęciu ładujemy się na ich teren, na dodatek z wyjątkowo kiepskimi listami uwierzytelniającymi. Nic dziwnego, że nie chcą słuchać naszych świetlanych rad”.

„Ale to się dla nich źle skończy!” - warknął Vesper w odpowiedzi. „Na ich własne życzenie!”

„Wszystko, co trzeba, zostało powiedziane na odprawie” - w telepatycznym głosie Nidora nagle pojawił się chłód. „Wiedzą, że mają do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem, który będzie się posługiwał niekonwencjonalnymi metodami”.

„Jasssne” - syknął młody. „Że im rozchlasta szyje i będzie pił krew, o tym też było na odprawie? Nie przypominam sobie, niestety. Nic a nic”.

„Renegaci nie przyjdą tu polować” - oznajmił kapitan beznamiętnie. „Tylko zabijać. Tylko i wyłącznie to”.

„To my ich ładujemy w to gówno, wiesz o tym dobrze” - rzucił Vesper ponuro. „Powinno ich tu być ze stu, może by mieli jakieś szanse. Tak, wiem, sami zadecydowali, że dziesięć osób z ich strony wystarczy. Ale mogliśmy chociaż nalegać...”

„Nalegaliśmy” - odparował Nidor. „Sam widzisz, jak nas słuchają. Wiedzą lepiej, no cóż. W końcu to tylko ludzie. Mają prawo do błędów”. Odwrócił się od okna, popatrzył na kolegę poważnie. „A ty się przestań pieklić. I nie bądź taka Matka Teresa. Bo sam nie wiesz, czy własną dupę z tej całej awantury wyniesiesz w całości”.

„Przynajmniej wiem, co jest grane, i świadomie w to wchodzę” - porucznik podniósł twarz, odpowiadając dowódcy twardym spojrzeniem. „A oni nie”.

„Jaki ty jeszcze jesteś młody...” - westchnął w myślach tamten, podchodząc do niego i siadając na fotelu obok. „Naprawdę sądzisz, że jesteś czymś więcej niż tylko pionkiem? Wiesz, co jest grane, doprawdy? To mi powiedz, bo ja na przykład wcale nie mam takiej pewności.

Vesper odwrócił głowę w kierunku okna, zapatrzył się w noc. Milczał przez chwilę.

„Niezbadane są ścieżki Lordów” - stwierdził wreszcie dużo spokojniejszym tonem. „Masz rację, stary. Robimy, co swoje, a reszta... To już po prostu nie nasza sprawa”.

„Grzeczny chłopczyk” - rzucił Nidor, zamykając dyskusję.

Vesper popatrzył na zegar zawieszony na ścianie. Trzecia nad ranem. Jeszcze cztery godziny i po sprawie. Szczęście, że się załapał na nocną wachtę. Dzienni będą się potwornie męczyli, wysmarowani *Total Sun Blockiem* od stóp do głów i z wciśniętymi na oczy kontaktami z filtrem UV.

Ale może renegatom też się nie będzie chciało atakować w dzień. W końcu muszą mieć jakieś plany awaryjne, a te mogłyby zostać wyjątkowo brutalnie zniweczone przez majowe słońeczko, przygrzewające co sił.

Westchnął, powrócił wzrokiem za okno. Ot, nuda.

Okruszek i Gawron weszli do pokoju, kończąc swoje łazienkowe konferencje. Podeszli do kolegów, siedzących na ławie pod ścianą równym szeregiem. Dołączyli do nich, nie

zmieniając ani na chwilę kamiennego, uprzejmego wyrazu twarzy. Być może dźwiganie na sobie broni i oporządzenia przez całą noc dawało im się już we znaki, nie zamierzali jednak pozwolić sobie na uwidocznienie tego w jakikolwiek sposób. Czekać, wszystkim pozostawało tylko jedno. Czekać.

„Szefie, jedzie tu jakaś cysterna z benzyną” - zameldował przyczajony na dachu Ebur. Nidor poderwał się od razu. Przyłożył do ust radiostację.

- Cegła Dwa, tu Cegła Jeden, co tam u was słychać? - zapytał na potrzeby widowni.

- Jedna, nie, dwie cysterny jadą ulicą Ekspresową w naszym kierunku - odparł nocarz.

- Mają napis „Statoil”, więc wiozą benzynę... albo gaz.

- Sprawdź, czy w okolicy nie ma ich więcej - rozkazał Nidor niezwłocznie. - Baczność, panowie! - zwrócił się do obserwujących go w napięciu ateków.

Poderwali się natychmiast, stając w równym szeregu. Zaczęli poprawiać poluzowane tu i ówdzie elementy oporządzenia, sprawdzać broń.

Vesper i Daps podnieśli się również z foteli, dużo bardziej powoli i spokojnie. Nawiazali telepatyczną łączność z kolegami na dachu. W razie czego tamci przekażą im wiadomość bezpośrednio. Kapitan zaś będzie koordynował działania.

- Nie, nie ma żadnych innych, są tylko te dwie. Jadą spokojnie, powoli - raportował dalej Ebur przez radio. - Skręciły we Fleminga.

„Jeżeli skręcają na podjazd, bądźcie czujni. Jak spróbują sforsować bramę, strzelajcie do kierowców” - rozkazał Nidor. - Wy dwaj, na górę - polecił głośno, rzucając krótkie spojrzenie na Vespera i Dapsa. - Zabezpieczajcie obiekt. Natychmiast!

Nocarze ruszyli do okna. Spojrzeli na dowódcę pytająco.

- Dobra - zgodził się kapitan. „Tylko bez przesady!” - dorzucił w myślach. „Trzymamy kamuflaż ile się da”.

Wyszli więc przez okno. Zaczęli udawać, że błyskawicznie wspinają się po gładkiej ścianie, podczas gdy w rzeczywistości podlatywali sobie wygodnie.

Nidor popatrzył po policjantach, skrywając lekki uśmiezek satysfakcji. Ich miny bezsprzecznie świadczyły o tym, że nagle zaczynają nabierać szacunku do partnerów z ABW. W ich pojęciu tamci dwaj poszli przeciw na żywca, bez żadnego zabezpieczenia.

- Być może te cysterny tylko przewożą paliwo z jednej stacji do drugiej - powiedział spokojnie. - Statoilów jest tu w okolicy sporo. Ale może nie... Musimy więc być czujni.

- Schodzimy? - zapytał Gawron wprost.

Nidor pokręcił głową.

- Jeszcze nie - odparł. - Bo może to jest tylko podpucha, zaplanowana dla odwrócenia uwagi. Pobiegniemy na parking, a w międzyczasie prawdziwy problem wystąpi gdzie indziej. Czekamy.

Policjanci pokiwali głowami, zgadzając się z tokiem jego myślenia. I jakby pociepleli troszkę, nabierając odrobiny zaufania do Nidora jako dowódcy. Odrobiny, nie więcej.

- Pojechali dalej - zameldował nocarz przez radio. - Nawet nie zwolnili.

Wśród ludzi dało się zauważyć ledwo uchwytnie odprężenie, jakby w poczuciu ulgi.

- Poczekajcie jeszcze chwilę - powiedział kapitan spokojnie. - Popatrzcie za nimi. Cegła Trzy, jak u was?

- U nas czysto - zameldował Vesper od razu.

- Dobrze. Cegła Dwa?

- Skręcili w Pułaskiego - stwierdził nocarz. - Utrata widoczności.

„Wyczuleś kierowcę? To ktoś z naszych?” - zapytał Nidor.

„Nie” - odparł Cegła Dwa. „Człowiek. Na pewno”.

- Cegła Trzy, wracajcie na dół - zażądał kapitan. - Cegła Dwa, z powrotem na stanowisko. - Przełączył nadajnik na inną częstotliwość. - Ochrona... Proszę o dodatkowy obchód, natychmiast.

- Tak jest! - odparł ochroniarz z nieskrywaną niechęcią. - Robi się.

- Potwierdzam - rzucił Nidor i wyłączył nadajnik.

Po chwili przez okno weszli Vesper z Dapsem, udając, że w ogóle nie zauważają ukradkowych spojrzeń rzucanych im przez policjantów.

- Niepotrzebne ryzyko, można było po schodach! - zgromił ich Nidor natychmiast.

- Się trenuje, szefie! - odparł Vesper bezczelnie. - Szczerze mówiąc, łatwizna - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

„Nie ma jak szpan” - rzucił Nidor do nich obu w myślach. „Ale kto wie, może trochę pokazówki się przyda. Będą bardziej skłonni do współpracy”.

Uśmiechnęli się obaj, Vesper i Daps.

- Szefie - głos nocarza z góry brzmiał wyjątkowo niespokojnie - coś mi się zdaje, że wracają!

- Ci sami? - zapytał kapitan natychmiast.

- Ehm, szefie... Tu ich, kurwa, jedzie cała armia!

- Na górę - powiedział Nidor spokojnie, patrząc na Vespera i Dapsa. - Już.

Kilka cystern, wymalowanych w logotypy różnych koncernów naftowych, zbliżało się na pełnym gazie do zakładów Polfy Tarchomin, otaczając je ze wszystkich stron.

„Renegaci za kierownicą!” - zameldował Daps natychmiast, jak tylko dotarł na górę. „Sto procent pewności”.

„Strzelać przy każdej okazji!” - rozkazał Nidor. „Nie dopuścić ich do obiektu!”

Popatrzył na zastygłych w niemym pytaniu antyterrorystów. Zaklął w myślach. I na co mu się przyda ich dziesięciu w takiej sytuacji? Stu, owszem... ale dziesięciu?

- Idźcie obstawić obiekt kluczowy - zarządził zdecydowanie. - Ruszaj!

Wysypali się na schody równym szeregiem, stopnie zadudniły pod rytmicznymi uderzeniami ich butów. Nidor podbiegł do okna, wyszedł na zewnątrz. Wspiął się po ścianie i dołączył do kolegów na dachu.

Rozejrzał się błyskawicznie, oceniając sytuację.

„Tamtych nie powstrzymamy!” Machnął ręką w kierunku torów kolejowych odgraniczających teren od wschodu. „Zajmijmy się podjazdem!”

Nocarze przebiegli na zachodnią krawędź dachu. Błyskawicznie porozumieli się między sobą, każdy namierzył swój cel. Cichuteńki świst strzałów zagubił się w ryku nacierających silników.

Dwie cysterny, z tych będących najbliżej, zaczęły nagle jechać bardzo dziwnym, chwiejnym torem. Przejechały przez trawnik na podjeździe, dojechały do budynków, uderzając w nie z impetem. Nic jednak nie wybuchło, pojazdy zastygły w miejscu. Nikt nie poruszał się w środku zmiażdżonych kabin. Wszystkie strzały były celne, w chwili zderzenia kierowcy już nie żyli.

W międzyczasie kolejna cysterna staranowała ogrodzenie od północy. Wysoka metalowa przegroda zasłoniła kierowcę przed strzałami snajperów, nie zatrzymała jednak rozpełzonego pojazdu. Cysterna straciła zawieszenie na podmurówce, zdołała jednak wdrzeć się przynajmniej kilkanaście metrów na teren zakładu.

Antyterrorysty dobiegali już do budynku, w którym miała być produkowana sztuczna krew.

Nocarze na dachu ponownie złożyli się do strzału. Kolejna cysterna była już na podjeździe. W ogłuszającym hałasie ryczących silników i dartych blach można się było tylko domyślać następnych strzałów. Dziwnym, chybotliwym torem cysterna skierowała się wprost do posterunku granicznego. Uderzyła w beton z trzaskiem, gruchocząc częściowo ścianę.

W oddali, na południowym krańcu, też coś się działo. Mogli się tylko domyślać, że następni renegaci podejmują atak od strony ulicy Płochocińskiej.

Nagle wszystko ucichło. Cysterny stały nieruchomo tam, gdzie się zatrzymały. Jakby to już był koniec przedstawienia.

W nozdrza nocarzy uderzył charakterystyczny zapach rozlewającej się benzyny.

A potem rozszalało się piekło.

Idealnie skoordynowane zapalniki umieszczone w wozach wybuchły jednocześnie. Rozpłomieniły wylewającą się rzekę etyliny. Kilkaset metrów sześciennej łatwopalnej cieczy popędziło przed siebie, roznosząc ogień po obrzeżach terenu i tworząc jaśniejące ogrodzenie.

„Ebur, zostajesz tutaj, na dachu, obserwujesz halę, nie dopuszczasz do niej nikogo” - zarządził Nidor. „Falx, lecisz na drugą stronę budynku, obstawiasz go. Vesper i Daps za mną do środka!” Ruszył do krawędzi dachu i skoczył w dół.

Nocarze popędzili za nim. Okruszek, obserwujący od wewnątrz okno sali administracyjnej, zobaczył, jak cztery sylwetki, wyraźnie odcinające się na tle nieba, skaczą z dachu budynku Zarządu i nikną w ciemnościach. Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Po chwili Nidor wszedł do sali, za nim w drzwiach pojawili się Vesper i Daps.

- Wszyscy do mnie - zakomenderował dowódca.

Wykonali rozkaz natychmiast.

- Ty i ty, wystąp. - Nidor wskazał dwóch ateków. - Ty pójdziesz z nim. - Ruchem ręki przyporządkował Gawrona do Dapsa. - Obstawiacie klatkę schodową.

- Tajest! - odpowiedzieli obaj.

- Ty i ty - połączył Okruszka z Vesperem - do wind. Reszta za mną. Ruszaj!

Zabrzmiały pośpieszne uderzenia butów.

Nidor wraz z oddziałem pomknęli do schodów. Zbiegli w dół, do wpuszczonej w ziemię właściwej hali produkcyjnej.

Daps z Gawronem pozostali na straży na klatce schodowej.

Vesper i Okruszek przebiegli na drugą stronę budynku, gdzie znajdowało się centrum pakowania. Towar, wyprodukowany w podziemiach, dostarczany był na górę za pomocą wielkich szybów windowych. Rozejrzeli się szybko, skryli w uskoku pomiędzy windami. Nisza dawała im całkiem niezłą osłonę, pozwalając również na obserwację pomieszczenia.

- Poczekaj! - rzucił nagle Vesper i wrócił do drzwi, którymi weszli przed chwilą.

Po drodze zgrał szklankę po kawie, pozostawioną na jednej z szafek. Wyjął granat z kieszeni, wyciągnął zawleczkę. Uważnie przytrzymując łyżkę, by nie odskoczyła, włożył granat do szklanki. Ustawił naczynie na lekko uchylonych drzwiach.

Okruszek popatrzył na ten manewr z uznaniem.

- Tacy całkiem beznadziejni to nie jesteście - obwieścił łaskawie.

- Ci, którzy tu przyjdą, będą dużo lepsi - odparł Vesper poważnie, wracając do niszy. - Zapomnij o swoich policyjnych bzdurach typu: „Stój, bo strzelam!”. Od razu wal w łeb.

Ateciak popatrzył na niego uważnie, nie mówiąc nic.

- W głowę, powtarzam - Vesper nie dał się zbić z pantałyku. - Strzały na korpus nie dadzą.

- Dlaczego? - rzucił tamten spokojnie.

Vesper milczał przez chwilę.

- Mają zajebiste kamizelki kuloodporne - odparł wreszcie.

Nagle jakby dreszcz przebiegł mu po plecach. Przeczucie, że to już. Zaciśnął palce na broni, uważnie obserwując wejście do sali pakowania.

„Są!” - usłyszał wiadomość od Ebury.

„Potwierdzam desant renegatów!” - dołączył Falx. „Przynajmniej dwunastu”.

„Teraz jedenastu!” - wtrącił nocarz z zadowoleniem.

Z tej odległości nie usłyszeli ani jednego strzału. A jednak tam na górze z pewnością toczyła się zacięta walka.

„Dziesięciu!” - pochwalił się drugi snajper.

Sala administracyjna wypełniła się nagłym hukiem. Trzask tłuczonego szkła, wybuchy granatów... Renegaci rozpoczęli szturm.

„Dziewięć!” - oznajmił Ebur.

„Osiem!” - nie ustępował mu Falx.

Nagle obaj snajperzy umilkli i nie odezwali się więcej. Vesper przełknął ślinę, czując, że zaczynają go piec oczy.



„Vesper, uważaj!” - krzyknął Daps. „Są już w środku!”

Drzwi otworzyły się szarpnięte zdecydowanym ruchem. Nocarz z policjantem przywarli natychmiast do przeciwnego krańca niszy. Szklanka opadła, rozpryskując się w drobiazgi. Granat potoczył się do sali administracyjnej i wybuchł, siejąc dookoła odłamka-

mi. Nie było widać, czy zranił któregokolwiek z renegatów, ale może powstrzymał ich chociaż na chwilę.

Vesper popatrzył na Okruszka, który prostował się właśnie. Miał dziwnie uśmiechniętą, rozjaśnioną nieopisanym szczęściem twarz.

- Ale grubo! - wykrzyczał policjant, kręcąc głową z zachwytem. - No, po prostu koltet!

Vesper uśmiechnął się uprzejmie w odpowiedzi. Idiota, pomyślał krótko.

A potem zobaczył, jak ateciak puszcza empepiatkę, wyjmując glocka z kabury i rozbawiony zagląda do lufy pistoletu, niecierpliwymi palcami gmerając przy spuście. W mgnieniu oka Vesper zrozumiał, co się dzieje: któryś renegat przejął kontrolę nad człowiekiem. Najpierw naładował go euforią, a potem chciał zabić jego własną bronią.

Nocarz natychmiast uderzył rękę Okruszka kolbą pistoletu maszynowego. Padł strzał, kula przeleciała obok głowy tamtego, nie czyniąc mu krzywdy.

Porucznik puścił broń, podleciał ciut wzwyż. Uniósł prawą rękę, po czym niczym młot spuścił ją z góry w sam środek hełmu ateciaka. Ten zwiotczał pod wpływem uderzenia i osunął się miękko na ziemię.

Nagle świat zatańczył, zawirował dookoła. Dojmująca słabość opanowała ciało Vespera, powieki opadły bezwładnie na oczy.

„Klęknij!” - usłyszał stanowczy głos. „Klęknij, ty półludzkie ścierwo!”

Nocarz opadł na kolana. Z trudem dźwignął powieki i popatrzył na wprost.

Czarno ubrana postać weszła do sali, zatrzymała się o parę metrów z przodu. Zimne oczy drapieznika pały przemożną mocą. Ich wyraz był ludzaco podobny do tego, który wciąż prześladował Vespera po nocach.

- Renegat - wyszeptał, z trudem obracając językiem w na wpół sparaliżowanych ustach.

Tamten uśmiechnął się z wyższością. Niezrównanie szybkim ruchem wyciągnął przed siebie obie ręce. Z prawej wycierała ku nocarzowi lufa pistoletu. Na lewej spoczywał woreczek z krwią. Na pewno nie sztuczną, co do tego nie mogło być wątpliwości.

- Masz pięć sekund na decyzję - oznajmił renegat. - Dołączasz do nas albo umierasz drugi raz. Czas start.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa...

Nocarz spróbował podnieść się z kolan, szarpnął się w lewo, w prawo... Na nic, jakby krępowały go jakieś niewidoczne więzy. Renegat trzymał go mocno.

- Sto dwadzieścia trzy, sto dwadzieścia cztery... - liczył tamten dalej. - Sto dwadzieścia pięć. Stop. Decyzja?

Vesper przełknął ślinę. Podniósł wzrok. Powoli, zdecydowanie pokręcił głową.

- Dobranoc - powiedział renegat, patrząc mu prosto w oczy.

Padł strzał.

Vesper wstrzymał oddech, zacisnął mimowolnie powieki... Uświadomił sobie jednak, że wciąż żyje, otworzył więc oczy czym prędzej. Zobaczył, jak twarz renegata zalewa się krwią, po czym jego ciało wali się bezwładnie na podłogę.

- No nie lubię, jak ktoś mi mierzy do kolegi - powiedział Okruszek zza jego pleców, ściskając glocka w wyciągniętych rękach. - Nawet bardzo nie lubię.

Vesper z sykiem wypuścił z siebie powietrze. Znaczący wielkolud nie dał się ogłuszyć na długo. Całe szczęście.

Wstali obaj, chwiejąc się nieco na nogach. Popatrzyli po sobie poważnie.

- Co to, kurwa, było? - spytał człowiek, wskazując na trupa leżącego przed nimi. - Co on nam zrobił, co?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparł nocarz po prostu. - Na twoim miejscu zacząłbym się przyzwyczajać do myśli, że był to wyjątkowo duży pies, na którego widok wpadliśmy w chwilową panikę. Pod wpływem silnego stresu, oczywiście. I nie zmieniałbym zeznań, choćby nie wiem co.

Okruszek pokiwał głową bez dalszych pytań.

„Melduję: jeden renegat mniej” - rzucił Vesper w myślach. „Nidor, odbierasz?”

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Poszperał więc umysłem, szukając dowódcy... Nic, jakby tamten zniknął ze świata żywych.

Vesper poczuł, że blednie.

„Daps, jak schody?” - zapytał, starając się opanować zdenerwowanie.

Również cisza.

Nocarz popatrzył na człowieka. Przełknął ślinę.

- Musimy zejść na dół - powiedział.

- Oszalałeś? - odparł tamten natychmiast. - Nie było rozkazu.

- Tam się źle dzieje - wykrztusił Vesper nieco drżącym głosem. - Nawet bardzo źle.

- Rób, jak uważasz. - Okruszek pokręcił głową zdecydowanie. - Ja nie schodzę z posterunku, póki nie dostanę rozkazu. Sorry, stary. Takie mamy procedury.

- ABW prowadzi tę akcję - oznajmił nocarz zimno. - Jestem porucznikiem. Wykonaj mój rozkaz. Schodzimy.

Tamten popatrzył na niego, ważąc coś w myślach.

- Tajest! - odparł po chwili.

Vesper popatrzył na windy. Nie, nie tędy. Zasilanie siadło, na awaryjne lepiej nie liczyć. Zresztą ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależy, jest narobienie hałasu.

- Do schodów! - zakomenderował. - Już!

Ruszyli obaj jednocześnie. Dotarli do drzwi poszatkowanych wybuchem granatu, przywarowali przy nich. Okruszek omiótł salę administracyjną pośpiesznymi ruchami lufy, w tym czasie Vesper dobiegł, kuląc się, do najbliższego, pogruchotanego biurka. Schował się za nim. Dał sygnał koledze, ten skoczył do przodu, podczas gdy nocarz zabezpieczał jego przejście.

W ten sposób w kilku skokach przemierzyli zdemolowaną salę.

Nie napotkali nikogo na swojej drodze.

Vesper zaczął się poważnie bać. Na dole musiało być bardzo źle.

Dotarli do klatki schodowej, weszli przez ziejący w ścianie szeroki otwór. Popatrzyli na dwa ciała leżące na schodach z roztrzaskanymi głowami. Z trudem rozpoznali w poległych Dapsa i Gawrona. Po stopniach ściekała krew, łącząc się we wspólny strumień wypływający z obu ciał.

Minęli ich bez słowa, pośpiesznie, ostrożnie schodząc w dół.



Vesper z Okruszkiem weszli do śluzy sterylizacyjnej. Przemknęli przez nią błyskawicznie, przywarowali w rogu, gdzie jedna ze ścian łączyła się z murkiem, w którym osadzone były rozsuwane przezroczyste drzwi. Teraz oba ich skrzydła były całkowicie zniszczone. Wychylając się lekko zza murka, miało się całą salę jak na dłoni.

Podłoga i ściany wyłożone były białą zmywalną terakotą. Pod sufitem podążała płytana rur, łącząc się tu i ówdzie ze skomplikowaną maszyną wypełniającą pomieszczenie.

Maszyny zajmowały prawie całą salę, prócz dwóch dwumetrowej szerokości przejść po bokach oraz jednego na środku. Tu i ówdzie widać było bezwładnie rozciągnięte na podłodze postacie.

W samym centrum sali widniał wolny kwadratowy placyk, z którym łączyły się wszystkie przejścia.

Kłęcząco tam siedmiu mężczyzn w pełnym oporządzeniu bojowym. Broń swobodnie zwisała na paskach, puszczone luzem. Ręce mieli założone z tyłu za głowę.

Naprzeciw nich stał wyprostowany dumnie renegat. Zapewne to on przejął nad nimi kontrolę, zmusił ludzi do poddania się. Ludzi? Vesper skupił się, po chwili pokiwał głową. Z całą pewnością byli to ludzie, nie wyczuwał wśród jeńców ani jednego nocarza.

Obok renegata stało dwóch jego podwładnych. Pozostałych pięciu krzątało się wśród maszyn. Zakładali ładunki wybuchowe.

Renegat wydawał im polecenia, nie wysilając się zbytnio kontrolowaniem umysłów pojmanych ludzi. Wystarczyło mu, że klękli, patrzą otepiałym wzrokiem i nie zamierzają wstać. Dla niego to nie byli żadni przeciwnicy, tylko bydłeta na rzeź. Trzymał ich jeszcze przy życiu jako swoiste zabezpieczenie. Jeżeli sprawy pójdą źle i odsiecz nadejdzie zbyt szybko, będzie miał zakładników. Ale jeżeli wszystko się uda, wystarczy, że rozkaże im się zabić, kiedy będzie opuszczał obiekt. Zrobią to. Mięso armatnie, oto czym są, niczym więcej.

Vesper cofnął się. Myśl, kolego, myśl! Skoro pojmanych jest siedmiu, to skąd tyle trupów po bokach? Ateków było ośmiu, plus nocarz, to dziewięć. A na ziemi leży przynajmniej jednaście ciał.

Ochroniarze, pewnie trafili się tam jeszcze ochroniarze.

Pokiwał głową. Wstępnie zakładali, że ochrona da nogę od razu i nikt z nich nie okaże się przesadnie skłonny do narażania życia za trzy złote pięćdziesiąt groszy na godzinę. Ale nie, część ochroniarzy została, kierując się jakimś dziwnym kodeksem, współczesną wersją bushido. Skoro zgodzili się przyjść do pracy za ustaloną stawkę, wypełnią swoje zadanie do końca.

A teraz leżeli bez życia na ziemi. Oni albo antyterrorysty... no i nocarz.

Nidor... któregoś z tych ciał to Nidor. Vesper pomyślał o tym bez cienia jakiegokolwiek uczucia, odłożył rozpacz na później.

Wrócił do planów, analizując sytuację chłodno i jasno niczym robot. Co można zrobić? Fabryka i tak nie ruszy w najbliższym czasie, nieważne więc, czy renegaci wysadzą tę salę, czy nie. A zatem, czy jest w stanie wyciągnąć stąd tych ateciaków? Albo zabić generała? Najlepiej jedno i drugie.

No cóż, trzeba próbować.

- Zostań tutaj - polecił koledze. - Słuchaj, najważniejsze to zlikwidować tamtego gościa, co stoi na środku. Tego najważniejszego, widzisz, który to? - Popatrzył na niego pytająco.

- Jasne - potwierdził policjant spokojnie.

- Ja pójdę górą - wyszeptał Vesper, wskazując na płataninę rur zawieszoną dobre pół metra pod sufitem. - Spróbuję zdjąć go stamtąd. Wtedy chłopaki będą się mogli ruszyć i może coś zdziałamy. Będziesz wtedy zabezpieczać odwrót, tak?

- Jasne - powtórzył Okruszek.

- Jeżeli by mi się nie udało... - Nocarz zamilkł na chwilę. - Przede wszystkim postaraj się zlikwidować przywódcę. Potem możesz wiać.

Przez twarz mężczyzny przemknął dość pogardliwy grymas. Żadnego wiania, póki tu są koledzy, oznajmiał.

- Jeżeli mi się nie uda, pewnie już nie będzie dla kogo tu zostawać - rzucił Vesper. - Wycofaj się wtedy, poczekaj, aż nadejdą posiłki. Bywaj!

Wymknął się ze służy, błyskawicznie wspiał po ścianie. Wślizgnął pomiędzy rury, wreszcie znalazł się nad nimi. Nie położył się na nich jednak, tylko zawisł w powietrzu. Zaczął pośpiesznie sunąć do przodu. Tak było znacznie ciszej.

Zerkając w dół, starał się obserwować renegata i pojmanyh ludzi. Nagle zatrzymał się, opadł na rury. Przycisnął do nich twarz, wyglądając w napięciu spomiędzy płataniny metalu.

Nidor. Tam, pomiędzy ateciakami. Kurwa mać, to na pewno on!

Vesper wyczulił zmysły, próbując odbierać charakterystyczne fale wysyłane przez poszczególne osoby. Ci, co stoją, i tamci, uwijający się przy maszynach, to z pewnością renegaci. Ale ci kłęczący to ludzie, żaden z nich nie pojawia się w umyśle jako nasz.

O smętny idioto, przecież Nidor jest chowańcem!

Vesper westchnął przeciągle, ogarnięty poczuciem dojmującej ulgi. Zrozumiał natychmiast. Zapewne dowódca renegatów (Nex? byłzeby to sam Nex?) użył swojej mocy i rozkazał ludziom, by uklękli. Nidor natychmiast zorientował się w sytuacji, groziło mu, że zostanie sam na placu boju, na dodatek wystawiony na strzał. Wolał zatem zamglić swoją prawdziwą osobowość, udać człowieka i klęknąć wraz z pozostałymi. A potem czekać na sprzyjającą okazję.

Vesper parł do przodu, rozmyślając gorączkowo, jak by tu zawiadomić kapitana o swojej obecności. Na razie telepatia nie wchodziła w grę, osłona chowańca nie przepuszczała myśli. Może jednak uda mu się wychylić zza rur tak, żeby tamten go zobaczył, zaatakują wtedy we dwóch.

Spóźnił się tylko odrobinę.

Nidor poderwał się, pociągnął serią z empepiątki. Władował w renegata pełen magazynek, trzydzieści pocisków.

Nex został odrzucony w tył, po czym zwałił się na ziemię bezwładnie. Jego przyboczni rzucili się na niego natychmiast, osłaniając go własnymi ciałami i jednocześnie strzelając w kierunku napastnika.

Wszystko zaczęło się dziać jednocześnie, niczym na przyśpieszonym filmie. Nidor upadł, zalewając się krwią. Antyterrorysty ocknęli się, wstali, chwycili za broń. Pozostali renegaci rzucili się w ich kierunku, zagrzechotały kolejne kule. Vesper wyplątał się zza rur i zaatakował, strzelając z góry.

Renegaci zsunęli się ze swojego dowódcy. Podnieśli go czym prędzej i popędzili do wyjścia.

Okruszek zobaczył, jak dwóch mężczyzn sunie ku niemu w powietrzu, podtrzymując ramionami trzeciego, zwieszającego się pomiędzy nimi bezwładnie. Wychylił się więc zza framugi i wycelował do nich z uniesionej broni.

- Policja! - krzyknął zgodnie z przepisami.

Nie zdążył oddać ani jednego strzału. Mężczyźni przemknęli koło niego błyskawicznie. Mijając go, jeden z nich wyprostował rękę. Z niesamowitą siłą uderzył policjanta w klatkę piersiową.

Okruszek przeleciał dobry metr, uderzył plecami o ścianę, zsunął się z niej powoli. Przerażliwy ból zagościł mu w piersiach, na ustach zapieniły się bąbelki krwi.

Tamci zniknęli w górze klatki schodowej niczym duchy.

Kanonada ucichła. W sali słychać było jedynie metaliczne odgłosy uderzających o siebie połamanych części maszyn i cichy syk wydobywającej się skądś pary.

Vesper zeskoczył z rur, przywarł natychmiast do Nidora. Przebiegł po jego twarzy uważnym, pełnym niepokoju spojrzeniem. Po chwili rozjaśnił się nieco.

Żyje. Skubany, jednak żyje. Owszem, poszatkowany jest jak się patrzy... Ale głowa cała. Serce też nie przebite. Wylize się.

Omiótł spojrzeniem pozostałych policjantów. Trzech pełzło ku niemu na czworakach z wyraźnym trudem. Dwóch leżących nieopodal podnosiło głowę, patrząc zszokowanym wzrokiem. Cała reszta pozostała rozciągnięta nieruchomo na ziemi. Również spośród renegatów nie poruszał się nikt.

Trzeba się zabrać za rannych, zrozumiał Vesper. I to już.

„Okruszek, rusz się!” - zawołał w myślach. „Jesteś mi tutaj potrzebny!”

W odpowiedzi odebrał jedynie zszokowany, przepelniony bólem, poplątany ciąg myśli tamtego. No tak, przypomniał sobie. Przecież Okruszek nie jest telepatą. To tylko człowiek, usłyszeć usłyszy, ale na precyzyjną odpowiedź z jego strony liczyć nie można. Chyba, że się

przejdzie na nasłuch i coś może wyłowi... Nie, Vesper pokręcił głową zdecydowanie. Wcale nie był ciekawy, co tamten myśli w obecnej sytuacji. Jest ranny, na pewno, stąd ten ból. I może znowu wspomina coś o kotletach, głodomór jeden.

Zaśmiał się trochę histerycznie. Wstał, tocząc wzrokiem po sali.

Nagle jeden z renegatów poruszył się.

Vesper doskoczył natychmiast, kierując ku niemu broń.

Ciało renegata odturlało się na bok, spod niego wydobył się oszołomiony ateciak. Lewe przedramię miał rozdarte do kości, krew buchała strumieniem.

- Co to było? - wybełkotał. - Co to, kurwa, było... kolego?

- Desant - odparł nocarz zdecydowanie, przyklękając przy nim. - Terrorysty. - Z kieszeni na ramieniu wyszarpnął opaskę uciskową, zaczął szybko tamować krwotok, rozglądając się wokół pośpiesznie.

- Ty i ty - wskazał na policjantów, którzy doczołgali się do niego i patrzyli w miarę przytomnie - zajmijcie się tymi na ziemi. Pierwsza pomoc, już.

Zacisnął opaskę, owinął przedramię tamtego bandażem.

Udało się, krew przestała płynąć. Tym obfitym, pachnącym, naładowanym adrenaliną strumieniem...

Pokręcił głową, zacisnął wargi. Wstał, podbiegł do trupa jednego z funkcjonariuszy. Zdjął z niego plecak z artykułami pierwszej pomocy, otworzył go jednym zdecydowanym pociągnięciem.

Starannie, metodycznie, zaczął opatrywać rannych ludzi.



Nidor dźwignął powieki. Świat przed oczami zawirował, obraz docierał doń jak przez mgłę.

- Nex... - wyszeptał z trudem.

„Witamy z powrotem!” - rzucił Vesper, zakładając wkłucie kolejnemu rannemu. „Poczekaj, zajmę się najpierw słabszymi. Ciebie to, jak widzę, siekierą nie zarąbie...”

„Co z Nexem?” - powtórzył kapitan uparcie.

„Położyłeś go” - odparł nocarz posłusznie, podłączając ateciakowi kroplówkę z płynem wieloelektrolitowym. „Ale tamci zabrali go ze sobą, widać w ich mniemaniu nadał się jeszcze do reanimacji. Czyli za bardzo bym nie liczył na to, że go już więcej nie spotkamy”.

Nidor zamknął oczy.

„Porażka, cała ta akcja to jedna wielka porażka. Nic nie udało się osiągnąć, nawet mniej niż nic. Tylko masa niepotrzebnych śmierci, to wszystko.”

„Przynajmniej nie mogą liczyć na to, że odpuścimy im bez walki” - pocieszył go porucznik. „No i sami też nieźle dostali w skórę. Generał ciężko ranny, prawie cały zespół wyeliminowany... Nie jest najgorzej, naprawdę”.

Tamten westchnął, nie mówiąc nic.

Vesper skończył się biedzić z ostatnią kroplówką. Wstał, podszedł do Nidora. Zaczął opatrywać mu rany.

„Jak myślisz, jak uciekli?” - zapytał krótko.

„Tak samo, jak tu przylecieli” - odparł tamten, bez protestu poddając się jego zabiegom. „Wystarczyło, że mieli jakiś samolot albo śmigłowiec. Wysadził ich na dwustu- trzystu metrach, a potem mógł tu krążyć do woli. Tuż za Wisłą jest lotnisko na Babicach, nikogo nie dziwi obecność statku powietrznego w tej okolicy. A potem trochę zniżył lot... Dla renegatów podlecieć sto metrów to pestka”. - Zamilkł wyczerpany.

„Tak czy inaczej, Nex wypadnie z gry na jakiś czas” - stwierdził Vesper. „Aranea sama nie będzie się brała za akcje bojowe, jestem tego pewien. Zyskamy trochę czasu, przygotowujemy się lepiej. No i mamy nowych przyjaciół, bez wątpienia”.

Podniósł wzrok. Powoli, potykając się co krok, szedł ku nim Okruszek. Oddychał ciężko, z wyraźnym trudem, krew barwiła mu wargi z każdym świszczącym oddechem. Z pewnością miał połamane żebra i odnę na dodatek.

Dotarł do nich wreszcie, zwałił się na ziemię, która głośno zadudniła pod jego ciężarem. Popatrzył na obandażowanych kolegów, pokiwał głową. Wreszcie przeniósł spojrzenie na Vespera. Ten uniół brwi i otworzył usta, chcąc oznajmić, że...

- Nic nie mów - ubiegł go policjant. - Sam wiem.

Nabrał powietrza w płuca, wypuścił je, znów wypluwając z ust bąbelki krwi. A potem dokończył spokojnie:

- Tym razem to był zakurwiście duży pies.



Podstawowe warunki, jakie stają przed systemem antyterrorystycznym Rzeczypospolitej Polskiej, sprowadzają się do możliwości prowadzenia skutecznych działań przez:

- permanentne monitorowanie terrorystów i organizacji terrorystycznych w celu uniemożliwienia dokonania przez nich ataków terrorystycznych;
- posiadanie sił i środków do właściwej reakcji na zaistniały zamach terrorystyczny;
- minimalizowanie strat dokonanych w wyniku ataku terrorystycznego;
- sprawną likwidację skutków ataku terrorystycznego;
- nieuchronność odpowiedzialności karnej za prowadzenie działalności terrorystycznej;
- elastyczność wobec ewolucji charakteru współczesnego terroryzmu, a także form oraz metod przez niego stosowanych.

*Kuba Jałoszyński „Koncepcja współczesnych działań antyterrorystycznych”, rozprawa habilitacyjna;
Zeszyty Naukowe Akademii Obrony Narodowej,
Warszawa 2003*

Rekrutacja



Okruszek pokazywał Vesperowi swoje zasinione przedramię.

- Widzisz to? - dopytywał ze wzburzeniem. - Widzisz, co mi zrobiła, piguła cholerna? Siedem razy się wkłuwała, w końcu zaproponowałem, że sam to zrobię. Mieliśmy przecież kursy pierwszej pomocy, zakłułbym się raz dwa pięć. Ale ona na to, że jej procedury nie pozwalają, i dłużyła do skutku. Jak ja teraz wyglądam?

Z niejakim trudem poprawił się na szpitalnym łóżku. Syknął z bólu, połamane żebra dawały mu się we znaki przy każdym ruchu.

Vesper pokiwał głową z uśmiechem. Ulotne wspomnienie z poprzedniego wcielenia pojawiło mu się przed oczami. Przecież na tym polegał szpital, między innymi.

- Daj spokój, taki byk jak ty, żeby się tak mazał? - powiedział spokojnie. - Słuchaj, one muszą na kimś trenować. Wolałbyś, żeby pokłuła biedną, schorowaną staruszkę?

Okruszek sapnął gniewnie. Żaloszny obraz zasuszonej staruszki nie robił na nim większego wrażenia. Za to jego zmasakrowane przedramię i owszem.

- Mnie, bohatera! - zabiadolił. - Taką grubą igłą, siedem razy pod rząd.

- Oj, nie rób scen. - Vesper podniósł się z drewnianego stołka, podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz. - Przeżyjesz - dorzucił, nie odwróciwszy się nawet.

Wpatrzył się w miasto. Warszawa spała twardym, zmęczonym snem. Ulica Wołoska była całkiem pusta, nawet taksówki pochowały się gdzieś tej nocy. Niebo zasnuło się czarnymi chmurami, nie wyzierał zza nich ani skrawek księżyca. Na dodatek równymi, posępnymi strumykami padał deszcz.

Wymarzona pora dla renegatów. Wręcz idealny czas.

Vesper sięgnął prawą dłońią pod marynarkę, namacał broń skrytą w kaburze zawieszanej w szelkach na lewym boku.

- No nie, stary - zareagował Okruszek natychmiast. - Aż tak dużego żalu do niej nie mam, daj spokój. - Uśmiechnął się lekko.

Nocarz odwrócił się ku niemu.

- Skoro tak uważasz... - mruknął, siląc się na żart. - Damy jej jeszcze szansę. Może następnym razem wkłuże ci się za ledwie po sześciu próbach, kto wie.

- To miło, że się tak o mnie troszczysz - odparł ateciak. - W ogóle to bardzo miło, że się tak o nas wszyscy troszczycie. Chłopaki z Wydziału koczują tu dzień i noc w przyjaźni swoim... - urwał, popatrzył bystro na kolegę.

Powiedział: z Wydziału, pomyślał Vesper szybko. Starzy ateci mówili tak o swojej robocie, kiedy jeszcze byli Wydziałem Zabezpieczenia Komendy Stołecznej Milicji do zwalczania aktów przemocy. Ale to było w siedemdziesiątym szóstym, Okruszek wtedy ledwo co się urodził. Potem, w dziewięćdziesiątym, milicja została przemianowana na policję, a Wydział Zabezpieczenia na Wydział Antyterrorystyczny. W dwutysięcznym trzecim kolejna zmiana nazwy: Biuro Operacji Antyterrorystycznych Komendy Głównej Policji, wreszcie w dwutysięcznym czwartym Zarząd Operacji Antyterrorystycznych. Pogmatwali to tak, że żaden porządny atek już nie wie, jak jednostka się będzie nazywała za piętnaście minut. I niekoniecznie mówią o niej jako o Wydziale.

A zatem Okruszek, być może, nie ma na myśli swoich. Dopytuje delikatnie, czy Vesper i jego koledzy są z „Piątki”, byłego Wydziału Zatrzymań UOP, obecnie zwanego Wydziałem Działań Antyterrorystycznych i Zabezpieczenia Realizacji ABW. Zwariować można z tym nazewnictwem. Tak czy inaczej, kolega tylko trochę się myli. Zresztą niech sobie myśli, co chce.

- No wiesz, wciąż mamy nadzieję, że może zdołamy się czegoś od was nauczyć - odparł, nie komentując w ogóle wzmianki o Wydziale. - Jak należy profesjonalnie chorować z godnością itepe, itede.

Okruszek zrozumiał od razu: niczego się ode mnie nie dowiesz, stary, nawet nie próbuj. Westchnął ciężko.

- To naprawdę wzruszające - odparł nieco zmęczonym głosem. - Taka współpraca pomiędzy firmami.

Vesper wrócił do stołka, zasiadł na nim. Popatrzył na Okruszka wymownie.

- Wiesz, trochę popsuliśmy plany paru złym chłopcom - stwierdził z powagą. - Może będą chcieli się odegrać, kto wie.

Policjant najwyraźniej nie przejął się zbyt tą wieścią.

- Główny wasz problem tam, w Abwehrze, to przemądrzałość - rzucił swobodnie. - Wyobraź sobie, że akurat to wykonywałem sam. I wiesz, nie zostawiłem klamki w depozycie szpitalnym, chociaż bardzo mnie naciskali. Mam ją przy sobie cały czas.

Zamilkli obaj na chwilę, patrząc na siebie poważnie. Każdy pilnie utrzymywał nieprzenikniony, kamienny wyraz twarzy.

Jednocześnie odwrócili głowy ku drzwiom, gdy te otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Vesper wsunął dłoń pod marynarkę, obrzucając uważnym spojrzeniem kobietę w białym fartuchu wchodzącą do pokoju. Byłaby może całkiem niebrzydka, gdyby nie wielkie, grube okulary nadające jej wygląd chodzącego mikroskopu.

- To ta? - mruknął, mrugając do Okruszka porozumiewawczo i zaciskając ukradkiem palce na kolbie.

- Eee, nie - odparł tamten szybko. - Ta to stażystka, czyli prawie lekarz. W sumie w porządku. - Machnął ręką niedbale.

- Widzę, że siostra Marta zaopiekowała się panem - powiedziała kobieta, wskazując na posiniaczoną rękę Okruszka. - Zmieniła wenflon, dobrze, dobrze... - Spojrzała mu bystro w oczy, wyraźnie prosząc, żeby nie awanturował się z powodu tych paru dodatkowych ukłuc, w końcu jest przecież komandosem.

Okruszek odchrząknął, popatrzył na kolegę spłoszonym wzrokiem. Przebieg krótkiej wewnętrznej walki wyraźnie odmalował mu się na twarzy, Vesper niemalże widział jego myśli. Cokolwiek by tamten teraz powiedział, okaże się mięczakiem. Albo wobec kolegi, grzesząc niekonsekwencją, albo wobec dziewczyny, utyskując na taki drobiazg.

- Taaak, od razu mi lepiej - zdecydował policjant wreszcie. - Nowy wenflon pasuje mi jak ulał, wielkie dzięki.

Vesper uśmiechnął się w duchu. Znaczy Okruszek dosyć jest wrażliwy na swoją opinię u płci przeciwnej, trzeba zapamiętać.

Stażystka błysnęła dziękczynnym spojrzeniem, kiwnęła im obu głową i wyszła z pokoju.

Vesper wstał, podszedł do okna.

Znów zapatrzył się w noc, wciąż siejącą deszczem nad Warszawą. Czarna warstwa chmur odcięła miasto od światła księżyca i gwiazd, pogrążając je w posepnym półmroku, dość ciemnym nawet dla jego wrażliwych wampirzych oczu.

Nocarz oglądał ulicę uważnie, intuicja wciąż migąła mu w głowie czerwonym światłem alarmu. Gdzieś tam czaili się renegaci. I szykowali zemstę.

Na Okruszku, na Nidorze, na nim samym wreszcie: za to, że poszatkowali generała Nexa, kiedy już był prawie pewien wygranej. I na pozostałych ateciakach, leżących na chirurgii. Że ośmielili się przeżyć, choć przecież już klęczeli pokornie w oczekiwaniu na wyrok.

A дума Lorda Aranei chyba nie zamierzała pozostawić tego bilansu na takim wstydlwym minusie. Z całą pewnością nie.

██████████

Kiedy wracali do jednostki, słońce stało już dość wysoko nad horyzontem. Deszczowe chmury umknęły wraz z nocą, niebo pałało oślepiającym błękitem. Vesper, wraz z kolegami ze zmiany, smarował co chwilę twarz i ręce *Sun Blockiem*, klnąc pod nosem i poprawiając okulary przeciwsłoneczne.

To była bardzo ciężka noc, wszyscy wyraźnie wyczuwali niebezpieczeństwo czające się tuż za oknami. Podrywali się co chwila w gotowości na odparcie ataku... który jednak nie nadchodził. Czekali więc, po jakimś czasie podrywali się znów, również niepotrzebnie. I tak na okrągło. Wymęczyło ich to okrutnie, marzyli już tylko o własnych łóżkach i świeżej krwi.

Dotarli wreszcie do bazy, zostawili samochody w garażu, pomknęli przez las w kierunku budynków mieszkalnych.

„Piechotę!” - warknął Umens. „Mam młodego na placu!”

Opuścili się na ziemię rozgoryczeni. Piechotą, niech to szlag. Całą noc musieli się pilnować, kryć przed ludźmi... i nawet tutaj, w domu, nie mają odrobiny wytchnienia.

Wyszli na plac, obserwując ukradkiem rekruta.

Kogóż to nowego kadry im przysłały w łaskowości swojej?

Wysoki blondyn stał przed Umensem, spocony i poczerwieniały na twarzy. Klócił się o coś z kapitanem zawzięcie. Wyglądało na to, że dysponuje dogłębną, fachową wiedzą na temat, jak powinno się wykonywać pompki, i nie może się zgodzić na proponowane przez przełożonego kaleczenie rzemiosła. Postawa oponenta wskazywała zaś na niebezpieczne zbliżanie się do granicy cierpliwości.

- Jak się gówniarz tak postawi Lordowi, będzie po nim - westchnął Fulgur. - Zero dyscypliny w tym człowieku. Szkoda by było, bo potrzebujemy nowych nocarzy. Zresztą jeszcze zobaczymy, może młody da się wychować, zanim będzie za późno... Dla niego, oczywiście.

- Zastanawiałeś się kiedyś, czym się właściwie kieruje Ultor, podejmując decyzję? - mruknął Vesper w zamyśleniu. - Zabija wszystkich... Ale swoją krew daje tylko niektórym.

- Mówił kiedyś, że to chodzi o symbionta - powiedział Alacer. - Trzeba mieć wyczuć. Czasami się nie przyjmie, choćby nie wiem co.

Dotarli wreszcie do domu, z ulgą witali łagodny półmrok zaciemnionego przedsionka. Nidor już czekał na nich, wskazując na zegarek z wyrzutem.

- Ale żeście się spóźnili, chłopaki! - oznajmił i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Się nie czepiaj, mumia - odburknął Alacer. - Czekaliśmy, aż się ludzie wygrzebią. Antyterrorka zmieniała nas na stanowiskach - zaraz ci opowiem, co i jak. Ale zjedźmy coś najpierw, dobrze? - Wszedł do środka, kierując się od razu do sali telewizyjnej.

Nidor podrapał się odruchowo po bandażach owijających dosyć szczelnie jego twarz. Skrzywił się, po czym ruszył za Alacerem. Pozostali nocarze poszli za nimi.

Przeszli do telewizyjnej. Stłoczyli się dookoła barku, krzyżując spojrzenia na plastikowym pojemniku z krwią opatrzonym wielkimi czerwonymi stemplami. Testowana. Nieskazona. Zaczęli więc nalewać życiodajny płyn do szklanek, wzdychając z ulgą. Nareszcie można się najeść porządnie. Ukradkowe pociąganie z piersiówki w szpitalu to zdecydowanie nie to, co tygrysy lubią najbardziej.

Alacer wypił duszkiem zawartość swojej szklanki, po czym z dość głośnym stukiem odstawił naczynie na blat.

- Nie powinniśmy zostawiać ich sobie samym za dnia - oznajmił głośno. - Ludzie nie dadzą sobie rady, jeżeli renegatom przyjdzie do głowy zaatakować właśnie teraz.

Na czas rekonwalescencji Nidora dowodził jego oddziałem i widać było, że już niemalże czuje się kapitanem. Co zresztą było bardzo prawdopodobne, Ultor nie ukrywał, że zamierza dołożyć polskim nocarzom jeszcze jeden taki etat, a Alacer był zdecydowanie najlepszym kandydatem.

- Nie damy rady obstawiać ich dzień i noc - odparł Nidor spokojnie. - Skąd weźmiesz tylu funkcjonariuszy? Upilnować magazyn krwi to raz, Clam ma pełne ręce roboty. Bazę, to podstawa, to dwa. Jeszcze szpital po nocach... A jest nas tylko pięćdziesięciu.

- Czterdziestu siedmiu - przerwał mu Fulgur posępnie.

Zamilkli wszyscy, dzieląc jednakową myśl.

Daps, Ebur, Falx... Trzy trumny w podziemiach w Emowie, i to takie, z których się nie wstaje. Szczęście, że Nidor z Vesperem śpią jeszcze w łózkach, normalnie. Bo mogło tych trumien być pięć.

- Renegaci nie zaatakują za dnia - przerwał milczenie Nidor, po czym nagłym ruchem ręki podrapał się po przysłoniętym bandażami policzku. - Nie wytrzymam, jak to się beznadziejnie wolno goi... - Westchnął, pokręcił głową, po czym kontynuował: - Przecież męczą się w świetle tak samo jak my. To nie jest dobry czas do przeprowadzania akcji.

- Wiesz doskonale, że jeżeli będą chcieli, zdobędą się na ten wysiłek - przerwał mu Alacer ostro. - Ale wolisz się ludzić tą bezpodstawną nadzieją, niż...

- Niż osłabić posterunki gdzie indziej - dokończył Nidor spokojnie.

- Bo tam są tylko ludzie, a tu jesteśmy my, prawda? - nie ustępował oponent. - I bliższa koszula ciała. A przecież powinniśmy ich bronić, od tego jesteśmy!

- Daj mi spokój, stary - poddał się wreszcie kapitan. - W końcu czy to moja decyzja? Zadzwoń do majora na gorącą linię, niech zmieni rozkazy. Siedzi u Lorda już trzeci dzień, może coś wymyślili.

- A żebyś wiedział, że tak zrobię! - Nocarz poderwał się z miejsca i wyszedł z sali.

Zapadło ciężkie, przytłaczające milczenie.

- Włączcie pudło - rzucił Vesper, chcąc ratować sytuację. - Zobaczymy, może coś pokażą nowego.

Fulgur podniósł pilota, pstryknął. Telewizor pojaśniał, zalewając salę strugą blasku.

- Rany boskie, kto to oglądał? - skrzywił się Nidor, odruchowo zmrużywszy oczy. - Na tyłu luksach?

- Nowy - rzucił Umens od progu. - Doksztalcał się w nocy.

Pokiwali głowami ze zrozumieniem. Jasne, nowy ma normalne, ludzkie oczy. Żeby cokolwiek zobaczyć, musi je niemalże zbombardować światłem.

Fulgur poprzyciskał guziczki pilota. Ekran pociemniał, dostosowany z powrotem do normalnego poziomu.

Nie zobaczyli jednak niczego nowego. Telewizja wciąż obsesyjnie trzymała się tego samego tematu. Jak już przez prawie cały tydzień, na każdym kanale co i rusz pokazywano Polfę Tarchomin. Obrazy budynków smaganych ogniem na tle nocnego nieba przeplatały się ze smętnym pogorzeliem, na którym stacjonowały niezliczone pojazdy straży pożarnej, wojska i policji. Do tego gadające głowy, które omawiały zdarzenie z niesłabnącym ożywieniem. Polska nareszcie miała swój zamach terrorystyczny z prawdziwego zdarzenia i czasami trudno było się zorientować, czy komentujący ten fakt specjaliści są bardziej z tego powodu dumni, czy zmartwieni.

- Wyłączcie to! - westchnął Nidor z niesmakiem. - Aż mózg boli, jak się słucha tych bzdur. Zresztą i tak niczego o renegatach nam nie powiedzą.

- Bo powinniśmy tam mieć swojego człowieka! - odparł żywo Fulgur, wyłączony telewizor. - A tak to ciągle nic o nich nie wiemy. Możemy tylko czekać na ich ruch, a to jest...

- Aranea zdemaskuje agenta natychmiast - przerwał Umens sucho, siadając w fotelu. - Ma dar prawdomowy, wiesz przecież. Jeżeli wyślemy jej kogoś, to na pewną śmierć. Mało ci pogrzebów w rodzinie?

Drzwi otworzyły się nagłym wahanieniem, pchnięte bardzo zdecydowanym ruchem. Do sali wszedł Alacer z bardzo zadowolonym wyrazem twarzy.

- Lord i major przyznali, że ochrona ludzi jest podstawowym zadaniem naszej jednostki - oznajmił triumfalnie. - Mamy oddelegować do szpitala pięciu nocarzy. A skoro kapitan Umens i tak jest teraz na dziennej zmianie, może zaglądać do nich co parę godzin.

Umens i Nidor popatrzyli po sobie. Z pewnością wymienili się uwagami, co do których nie można było mieć żadnej pewności, czy aby są pochlebne w stosunku do nadgorliwego kolegi.

- No cóż, rozkaz to rozkaz - mruknął Umens, wstając. - Idźcie już spać, panowie. Będziemy się musieli teraz częściej rotować, wypoczywajcie więc czym prędzej.

- Racja - potwierdził Nidor, również podnosząc się z fotela. - Rozejść się, już.

Powstawali wszyscy, z nieszczególnie zadowolonymi minami. Częstsze rotacje, jeszcze więcej roboty. A niech tego Alacera... No, ale skoro trzeba, to trudno.

Drzwi otworzyły się pchnięte niecierpliwą dłonią. Do sali wpadł Staszek, człowiek z komórki rekrutacyjnej.

- Kapitanie - człowiek zwrócił się do Umensa pełnym napięcia głosem - pomocy! Ten nowy... Co on wyprawia! Kto go tu ściągnął? To jakiś sabotaż albo dywersja!

- Chłopak ma temperament - rzucił Umens z niechęcią, po czym odwrócił się i popatrzył na kolegę.

- Idź, idź - westchnął Nidor. - Obudzę ci ich. Kogo chcesz?

Rozmawiali przez chwilę w myślach, po czym Umens wyszedł z sali spiesznym krokiem. Nidor skierował się do drugich drzwi, wiodących do części sypialnej.

- Jeszcze was tu widzę? - zapytał nocarzy, wciąż zgromadzonych na sali. - Czy mi się tylko wydaje?

- Halucynacja - zgodzili się chórem i ruszyli do drzwi. - Pan kapitan wychodzi, halucynacja również. Dobranoc, kapitanie!

- Dobranoc, halucynacjo! - odparł Nidor, przepuściwszy ich przed sobą.

Spojrzał jeszcze na Staszka, który opadł na kanapę i włączył telewizor.

- Sorry, szefie, zaraz tam wracam - wyjaśnił człowiek. - Za chwileczkę, niech tylko nabiorę sił. Ten nowy potrafi dać popalić, słowo daję. Sądny dzień, a to dopiero rano... - Westchnął ciężko, kręcąc głową z ubolewaniem.

Kapitan skinął głową i zamknął drzwi. Sądny dzień, faktycznie. Był tego nie powiedział w złą godzinę.



Vesper obudził się nagle. Stało się coś złego.

Nie wiedział co, ale intuicja znowu rozkrzyczała mu się alarmem.

Coś złego, coś bardzo złego. Coś jest nie tak.

Wstał z łóżka, podniósł broń z nocnego stolika. Postać przez chwilę, nasłuchując uważnie. Niby nic, cisza, spokój. A jednak coś jest nie tak.

Wyszedł z pokoju cichutko, ukradkiem, stawiając powoli krok za krokiem w półmroku korytarza. Zaciemniona baza spała jak co dzień spokojnym, zmęczonym snem. Ale coś mu mówiło, że należy być ostrożnym. Że dzisiaj tu nie jest bezpiecznie.

Wśliznął się ukradkiem do telewizyjnej, omiół ją wzrokiem. Nic, pusto, spokojnie. Tylko szklanki z resztkami niedopitej krwi stały samotnie na barku. Widocznie nocarze z kolejnej zmiany, wyrwani nagle ze snu, nie mieli nawet czasu, żeby się najeść dobrze, tylko od razu ruszyli do roboty.

Spojrzał na ekran kontrolny. Czujki ruchu, porozstawiane w krytycznych miejscach, płonęły spokojną zielenią. Centrum monitoringu też nie zgłaszało żadnych zastrzeżeń. Nie było obcych w bazie, sami swoi. Znaczący wszystko jest w jak najlepszym porządku.

A jednak nie jest. Po prostu nie jest i już.

Już od jakiegoś czasu Vesper miewał prześliski kontaktu z jakąś taką dziwną, falującą mocą. To dzięki niej przeczuwał czasem, że niebezpieczeństwo jest blisko albo przeciwnie, że wciąż może spać spokojnie. Roboczo nazywał to intuicją, nie znajdując na razie innych określeń. Teraz to „coś” wręcz krzyczało. Pomimo pozornego spokoju panującego dookoła.

Vesper przeszedł do drugich drzwi, wyszedł na korytarz, który łączył ludzką część bazy z nocarzami. Postawił krok, drewniany parkiet zaskrzypiał niemiłosiernie. Nocarz uniósł się więc nieco i zaczął bezszelestnie płynąć w powietrzu.

Jakieś głosy w pokoju obok. Wzburzone, krzyjące. Vesper przywarł do ściany, wyostrzył słuch.

- No to może wreszcie powiedziałaś mi prawdę! - gorączkował się Umens, Vesper rozpoznał go natychmiast. - Przestań mnie wreszcie zwodzić, określ raz a dobrze, jak się sprawy mają!

Vesper otworzył szeroko oczy w zdumieniu. Umens wściekły, to bywało, ale dający to poznać po sobie? On, zazwyczaj tak nienagannie opanowany? Co tu jest grane?

- Może i tak - odpowiedziała wreszcie jakaś kobieta powoli.

Podśluchujący zmarszczył brwi. Znał ten głos, znał z pewnością. Ale na razie zupełnie nie mógł skojarzyć go z osobą właścicielki.

- No więc? - napierał kapitan, wściekłość wręcz wylewała się z każdego jego słowa.

- Nie dołączę do ciebie - wyrzuciła z siebie kobieta z wyraźną desperacją w głosie. - Przemyslałam sprawę. Nie masz na co liczyć, nie dołączę. Nigdy.

- To idiotyczne. - Mężczyzna opanował się nagle, zaczął mówić bardzo rzeczowo, wyraźnie. - Nic nie masz do stracenia. Wszystko do zyskania. Przemysł to jeszcze.

- Wręcz przeciwnie, mam wszystko do stracenia - odpowiedziała z przekonaniem. - Wszystko, w co kiedykolwiek wierzyłam. Wszystkie lata spędzone w tej służbie. Nie, nie przekonasz mnie. Podjęłam decyzję. Koniec dyskusji w tej sprawie.

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Vesper przywarł do ściany, w przytłaczającej ciszy jego serce wydawało się łomotać z hukiem.

- Muszę już jechać - powiedział Umens powoli, bardzo nieswoim głosem. - Chłopaki czekają w wozach. Muszę iść.

- Ja też - odparła kobieta. - Mam swoje obowiązki. Jak my wszyscy tutaj.

Rozległy się szybkie kroki. Vesper ledwo zdążył odkleić się od ściany i dać porządnego susa w tył. W samą porę, drzwi otworzyły się gwałtownie, na korytarzu ukazał się Umens. Spozrzegł nocarza natychmiast, obrzucił go wyjątkowo niezyczliwym spojrzeniem.

- A ty co tutaj robisz? - warknął. - Miałeś spać. Wolisz dostać następną wachtę?

- Chciałem zobaczyć nowego. - Vesper uśmiechnął się przepraszająco. - Dość mam już bycia kotem, może nareszcie ktoś inny przejmie tę zaszczytną pozycję w stadzie.

Umens pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nie histeryzuj mi tutaj, dobrze? - rzucił sucho. - Już nie jesteś kotem, nie zauważyłeś? Zwłaszcza od czasu tej akcji w Polfie... - Machnął ręką wyraźnie zniecierpliwiony. - Idź spać, nocarzu. - Odwrócił się i poszedł w dół korytarzem, co chwilę przyspieszając kroku.

Na progu pokoju stanęła kobieta, Vesper obrócił się ku niej szybko i sapnął machinalnie pod wpływem kolejnej porcji zdziwienia.

Maria. Człowiek. Z komórki rekrutacji. Patrzyła na niego zaczerwienionymi, zapłakanymi oczami.

- Idź spać, nocarzu - powtórzyła jak echo za kapitanem, który zniknął już za zakrętem.

O co tu chodzi, chciał zapytać, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. To nie jest dobry moment na przyznawanie, że cokolwiek usłyszał.

- Ooo, Mario! - uśmiechnął się uprzejmie. - Rany, ileż ja cię czasu nie widziałem. Co i rusz obiecuję sobie, żeby do was zajrzeć, no ale wiesz, ta praca...

- Wiem - powiedziała krótko, nie odpowiadając uśmiechem. - Nie przejmuj się, zaden z was tu nigdy nie zagląda. Jakbyście chcieli za wszelką cenę zapomnieć, że kiedykolwiek mieliście jakieś inne życie.

- To nie tak - zaprotestował. - Tylko, rozumiesz, praca... - urwał zażenowany.

Miała rację, uświadomił sobie nagle, całkowitą rację. Właśnie, że tak. Nigdy już nie chce wracać do tamtego życia, czemu miałby chcieć. Do tego żalostnego stanu, kiedy był taki słaby, nieważny, kiedy był zwykłym ludzkim zerem?

- Jasne, że nie tak - powiedziała martwym, bezosobowym głosem. - Idź już spać, nocarzu - powtórzyła niczym mantrę. - Musisz dobrze wypocząć, żeby być zdolnym do tej swojej pracy. - Odwróciła się i odeszła korytarzem powoli.

Chciał jeszcze zawołać za nią, ale wszelkie słowa uwięzły mu w gardle.

Odwrócił się więc również i wrócił do telewizyjnej. Podszedł do barku, czując, jak każde z zasłyszanych przed chwilą słów kładzie mu się na mózgu dziwnym ciężarem.

Wyjął czystą szklankę, nalał krwi do pełna. Podniósł ją do ust...

Ulotny znajomy zapach uderzył go w nozdrza. Vesper zatrzymał szklankę w miejscu, patrząc na nią z niedowierzaniem. Ręka zaczęła mu drżeć, po powierzchni płynu rozeszły się czerwone fale.

Ta krew jest... Jakże rewelacyjnie, słodko, kusząco pachnąca.

„Nidor!” - rozwrzeszczał się mentalnie. „Nidor, chodź tu, szybko!”

Odstawił szklankę na blat, wpatrując się w nią z przerażeniem.

Nieczysta. Skażona. Zatruta krew.



- Nic nie czuję - stwierdził Nidor, drapiąc się znów po bandażach. - Vesper, naprawdę, nic a nic. - Uniósł szklankę i powąchał jej zawartość jeszcze raz. - Ani trochę. - Pokręcił głową z przekonaniem.

- Tylko nie pij, proszę cię - oznajmił Vesper z napięciem. - Nie chcesz, to nie wierz. Ale nie pij. Daj to zbadać, proszę.

Nidor pokiwał głową.

- Jasne - powiedział spokojnie. - Nie wolno mi zlekceważyć takiego alarmu. Dam to na testy, naturalnie. Póki co wyjmujemy nowy zbiornik.

- Też może być skażony. - Vesper pokręcił głową z nieskrywaną obawą. - Skoro ten tutaj jest...

Kapitan popatrzył na niego z rozdrażnieniem.

- Posłuchaj, przyjacielu - powiedział. - Zbiornik jest sprawdzony, widzisz? Ostemplowany. Sam piłeś z niego parę godzin temu. Teraz twierdzisz, że czujesz w tej krwi nieobojęt-

ne domieszki. Ja nic nie czuję, ale dobrze, dam to do analizy. Tylko powiedz mi, jakim cudem ktoś to mógł skazać? - Popatrz na niego uważnie. - U nas, tutaj?

Vesper nabrał powietrza w płuca, po czym wypuścił je powoli.

- Umens zachowuje się jakoś dziwnie - wyrzucił z siebie z determinacją.

Nidor syknął, po czym popatrz na niego bardzo uważnie.

- Co masz na myśli? - powiedział szybko.

Jednym tchem Vesper powtórzył całą zasłyszaną rozmowę. Skończył, widząc, jak oczy kolegi w szparach pomiędzy bandażami robią się coraz bardziej wąskie i zagniewane.

- Nie mamy tutaj w zwyczaju podsłuchiwanie osobistych rozmów kolegów - oznajmił Nidor poważnie. - Pamiętaj, żaden nocarz nigdy nie zdradził. Nigdy! - dodał z naciskiem. - To, co sugerujesz, godzi w honor nas wszystkich! Ale kładę to na karb twojego zmęczenia. - Złagodniał nieco. - Jesteś przepracowany i zestresowany, to widać. Zaczynasz łąpać paranoję. No cóż, to normalne. Każdy przez to przechodzi po jakimś czasie spędzonym tutaj. Wracaj do siebie, zajmę się tą krwią.

- Uznałeś, że podsłuchuję czyjeś osobiste rozmowy, a potem wołam cię na ploty? - zapytał Vesper z niedowierzaniem. - Co ty mi usiłujesz wcisnąć, Nidor? Poza tym to nie ma sensu przecież: Umens i Maria w osobistej rozmowie, akurat! - zezłościł się nagle. - A jak ci mówię, że czuję tę domieszkę we krwi, to czuję, koniec i kropka! Pod tym względem mam najbardziej wyczulone powonienie w całej jednostce. Kto jak kto, ale akurat ty nie powinieś się temu dziwić! - urwał, zdawszy sobie sprawę poniewczasie, że mogło to zabrzmieć jak wyrzut.

Nidor, oczywiście, właśnie tak to potraktował.

- Nie chciałem przecież, żeby tak się stało. Żebyś się zrobił taki... nadwrażliwy - powiedział ze złością. - I bardzo mi przykro, wiesz o tym. Ale jak długo zamierzasz mi to jeszcze wypominać? Dorośnij wreszcie! I przestań histeryzować, dobrze?

Vesper popatrz na niego z mieszanymi uczuciami. Nidor równie agresywny jak Umens przed chwilą - co tu się dzieje, do cholery?

- Piłeś tę krew? - zapytał przyjaciela niespokojnie.

- Owszem - odparł tamten natychmiast. - Ty też. Jeszcze dziś rano. Tak samo jak wszyscy z twojej zmiany!

- Rano tak nie pachniała! - odparował Vesper gwałtownie. - Nidor, ty też jesteś jakiś dziwny! - oznajmił wprost. - W życiu na mnie nie wrzeszczałeś, nie mówiąc już o tym, żebyś mi nagle nie wierzył. Myślałem, że akurat tobie mogę zaufać. Co tu się dzieje, do cholery?

- Jeżeli o mnie chodzi, jestem dziko wkurwiony - stwierdził tamten otwarcie. - Dookoła wszystko się sypie, tracimy punkty jeden po drugim. Aranea ma plan i realizuje go powoli, krok po kroku, a my możemy tylko siedzieć i czekać na jej ruch. Ona wie o nas wszystko, my o niej nic. Trzyma nas za jaja po prostu. A ja jestem tutaj, kurwa, uziemiony! - wybuchnął wreszcie. - Siedzę na dupie jak stara ciota i nosa za drzwiami nie wychylam! Jeszcze taki Alacer będzie mnie pouczał, jak się akcje prowadzi, a ja co?! Pilnuję domciu! Ja, kapitan nocarzy! Niedługo zacznę gotować, sprzątać i malować sobie paznokcie!

Vesper uśmiechnął się z ulgą. Faktycznie, jak na taką trudną sytuację, Nidor i tak nieźle się trzymał.

- I jeszcze tak mnie wszystko, kurwa, swędzi! - pożałował się kapitan na końcu. - No wytrzymać nie idzie, nie masz pojęcia...

- Spokojnie, jestem lekarzem - odparł tamten odruchowo. - Mam niejakie pojęcie.

- Byłeś lekarzem - zaripostował Nidor. - Teraz jesteś w nocnej służbie ABW. Zapomnij o tamtym życiu, przeszedłeś na tę stronę i nie oglądaj się wstecz. - Spoważniał nagle. - To jest właśnie problem Umensa - dodał ciszej.

Vesper patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- On i Maria poznali się, kiedy oboje jeszcze byli ludźmi - powiedział Nidor. - Potem Umensa wypatrzył Lord i zaprosił go do nas. A ona została po tamtej stronie. Po jakimś czasie on zaczął tęsknić. Poprosił Lorda, żeby i ją zwerbował. Owszem, przysłała tu... Ale stwierdziła, że nie zamierza przejść na stronę Nocy.

- Dlaczego? - Vesper otworzył szeroko oczy w zdumieniu.

- Bo znając siebie i swoją wrodzoną agresję, uznała, że wkrótce dołączyłaby do renegeatów - oznajmił Nidor, kręcąc głową z dezaprobatą. - Moim zdaniem bzdury, kobieta ma jakieś chore kompleksy. Ultor powiedział, że z pewnością przyjąłby ją któryś z Lordów, ale nic na siłę. Trzeba poczekać na jej świadomą decyzję. No i tak zostało. Umens czeka jak głupi, że może jednak ona się namyśli. A kobita, jak to kobita, czasami zmienia zdanie, chce do niego dołączyć, zaraz potem się z tego wycofuje... Nie dziwię się, że się chłopak wkurwia - urwał, popatrzył na kolegę ze zmęczeniem. - No i jak, panie Teoria Spisku? Wystarczy takie wytłumaczenie?

Vesper potaknął wyraźnie zawstydzony. Faktycznie, chyba się trochę za bardzo nakręcił. Nic dziwnego, w końcu wszyscy dookoła chodzą nabuzowani, należy się i jemu jakiś mały kryzys emocjonalny. Westchnął ciężko.

- Ale ta krew... - wymamrotał nieśmiało. - Ona naprawdę tak dziwnie pachnie...

- Sprawdzimy, nie bój się - obiecał kapitan. - Ale weź pod uwagę, że też możesz być przewrażliwiony. Ze zmęczenia, ze stresu... Poza tym ciągle rozwijasz swoje zdolności parapsychiczne, to też destabilizuje twoją równowagę psychiczną. Czujesz jakieś takie dziwne przyływy falującej mocy? - Popatrzył na niego uważnie.

Vesper pokiwał głową gorliwie.

- No właśnie - potaknął Nidor. - Dojrzewasz, bracie. - Ziewnął, zakrywając usta dłonią. - Dobra, żebyś miał spokój sumienia, sprawdzimy jeszcze coś - dorzucił. - Jestem przekonany, że nikt obcy nie dostał się na teren jednostki. Ale zapytajmy Staszka na wszelki wypadek. Kiedy nas nie było, on tu siedział w telewizyjnej. Może coś zauważył, kto wie. Na przykład niespodziewany, ukradkowy desant renegatów - zażartował nieco złośliwie.

Vesper odetchnął z ulgą.

- Tak, właśnie tak, chodźmy - powiedział. - Może histeryzuję jak baba, przepraszam. Ale... Wiesz, nie mógłbym spać spokojnie. A tak to może coś się wyjaśni.

- Nie ma sprawy - westchnął Nidor, podchodząc do drzwi. - Panie przodem. - Wykonał zapraszający ruch ręką.

Vesper spojrział na niego wilkiem, przeszedł jednak przez próg bez protestów.



- Wampiry, jeżeliby istniały, byłyby słabymi, bezradnymi istotami - dowodził rekrut, kiedy Nidor z Vesperem weszli do pokoju. - Wrażliwymi, w trwodze kryjącymi się przed światłem. Bez szans w konfrontacji ze współczesnym człowiekiem, wyposażonym w cuda nowoczesnej techniki. Byłyby przetrzymywane w rezerwach jak Indianie północnoamerykańscy po zdominowaniu ich przez białego człowieka.

Maria i Wojtek siedzieli zapatrzeni w ekrany swoich komputerów, nie odzywając się do niego dosyć demonstracyjnie. Na widok nocarzy poderwali się natychmiast z miejsc z wyraźną ulgą.

- Kapitanie... - wyprężyła się Maria służbiście na użytek rekruta.

Ten dźwignął się również z miejsca, dosyć niechętnie. Popatrzył na Nidora z powątpiewaniem. Zapewne rozważał, czy ten facet w wymiętym dresie to rzeczywiście kapitan, czy może kolejna podpucha kolegów.

- Spocznij - rzucił Nidor, po czym spojrział w kierunku pustego biurka. - A gdzie Staszek? Mieliśmy do niego sprawę.

- Wyszedł na miasto z pilnym zadaniem - powiedział Wojtek powoli. - Mówił, że otrzymał je od pana, kapitanie.

Nocarze wymienili się niespokojnymi spojrzeniami.

„Urwał się beczelnie” - wykoncypował Nidor, choć bez zbytniego przekonania. „Korzystając, że Umensa nie ma, a ja śpię...”

„Wierz, w co chcesz” - odparował Vesper natychmiast. „Ale mnie to wszystko coraz bardziej śmierdzi reneгатami”.

- O, nareszcie jakiś kapitan - stwierdził nagle rekrut, najwyraźniej przekonany. - Dobrze, że kolega powiedział, bo w tym dresie to bynajmniej nie wygląda pan na wyższe szarże. Kiedy dostanę jakieś porządne zadanie? - Spojrzał na Nidora z naciskiem. - Ile jeszcze będziecie mnie tu trzymać z nosem wbitym w Internet w pogoni za jakimiś bzdurami? To czysty idiotyzm, takie marnowanie moich zdolności. Zarządzanie zasobami ludzkimi stoi tu na wyjątkowo żenującym poziomie, czuję się zobowiązany stwierdzić.

- Dostał pan przydział od swojego oficera prowadzącego - odparł Nidor niewzruszenie. - Proszę wykonywać zadanie.

- Naprawdę moglibyście sobie darować! - prychnął tamten z pogardą. - Znalazły się Bondy leśno-klasztorne z pełnym pakietem do zwalczania przerośniętych nietoperzy. Czy ja się wreszcie dowiem, o co tu naprawdę chodzi? Bo na pewno nie o te bajki, którymi mnie usiłuje nakarmić szacowne towarzystwo... - Potoczył wzgardliwym ruchem ręki po współpracownikach.

- Dowiesz się - nie wytrzymał Vesper, obrzucając go wyzywającym spojrzeniem. - I umrzesz w chwilę potem. Pasuje?

- Ty mnie, kolego, nie strasz - odparował tamten natychmiast. - Nie jestem taki znowu bojaźliwy. Funkcjonariusz ABW musi mieć stalowe nerwy i umie się znaleźć w każdej sytuacji...

- To znajdź się teraz - zaproponował Nidor. - Dostałeś zadanie, wykonuj. Rozkaz! - szczechnął krótko, ostro.

- Nie jesteś moim prowadzącym, więc nie wydawaj mi rozkazów - obraził się rekrut, ale zasiadł z powrotem przed komputerem i dużymi literami wstukał „GŁUPIE WAMPIRY” w Google’a.

Wyniki 1-10 spośród około 1,530 dla zapytania GŁUPIE WAMPIRY. (Znaleziono w 0,39 sek.), odpowiedziała wyszukiwarka.

- Śądny dzień - warknął Nidor, wychodząc z pokoju.

Vesper podążył za nim niezwłocznie.

- Co teraz robimy? - rzucił półgłosem.

Nidor zatrzymał się w pewnej odległości od pokoju, oczy gorzały mu wściekłością. Nawet stąd słyhać było przytłumione gniewne trajkotanie rekruta.

- Najpierw zastrzelimy tego przemądrzałego gnojka, żeby się Ultor nie obraził, że mu takie gówno pod nos podtykamy! - wściekł się kapitan. - I ty się dziwisz, że Umens chodzi wkurwiony? Przebywa z nim codziennie po parę godzin! Co-dzien-nie!

- Już się nie dziwię - przyznał Vesper. - Wszystko jasne. Tylko...

- Tylko co? - zapytał Nidor gwałtownie.

- Tylko ta krew dalej mi śmierdzi - powtórzył Vesper uparcie. - I to nagłe zniknięcie Staszka też. Nic na to nie poradzę, taką mam upierdliwą, nieufną naturę.

Tamten patrzył na niego w milczeniu.

- Obyś nie miał racji - stwierdził ponuro. - Ale dobrze, sprawdźmy to. Przeleć się, tfu, co ja gadam, przecież już dzień, przejedź się do szpitala. Zobaczyć kolegę Okruszka, bo... kurwa, bo tak. Nikt nie zabroni dwóm dorosłym facetom spotykać się w miejscach publicznych. Nawet bez wyraźnego powodu.

- Tym bardziej, że on ocalił mi życie - dorzucił Vesper poważnie. - Mam prawo zapalać do niego zgoła braterskim uczuciem.

- W tym fachu dużo będziesz miał takich braci - westchnął Nidor z lekką goryczą. - No, ale jasne, jedź. I przypatrz się chłopakom i Umensowi, czy coś z nimi może nie tak. I melduj natychmiast.

- Tak jest, kapitanie! - odparł Vesper ze śladem ulgi w głosie.

Drzwi otworzyły się, młody rekrut wyszedł na korytarz energicznym krokiem.

- O, X-Meni made in Poland - rzucił drwiąco. - I na co tak czekacie? Nie zbawiacie świata przypadkiem?

Vesper podszedł do niego powoli. Nagle błyskawicznym ruchem położył prawą rękę na jego ramieniu. W mgnieniu oka przemknął za plecami rekruta i położył lewą dłoń na swojej prawej, przyciskając ramię do jego pleców. Zacisnął szyję przeciwnika w klasycznym nelsonie, pochylił się nieco w dół, co spowodowało, że tamten klęknął bezzwłocznie, dławiąc się i krztusząc.

- Zjem cię, jak nie przestaniesz mnie wkurwiać - oznajmił Vesper spokojnie, po czym puścił ofiarę, odwrócił się i odmaszerował z powrotem.

Człowiek chciał coś odpowiedzieć, ale tylko zacharczał boleśnie. Przyłożył obie ręce do zaciśniętej krtani i zaczął ją sobie masować pośpiesznymi ruchami. Popatrzył w ślad za Vesperem z niechęcią, ale i pewnym uznaniem.

Obaj nocarze zniknęli w ciemnym korytarzu.

██████████

Vesper mknął trasą lubelską, układając w głowie plan jak najszybszego dojazdu do Wołoskiej. Klął przy tym zajadle. Nie ma szans, żeby mu się udało ominąć korki. Chyba, że jego BMW nauczy się latać razem z nim.

Komórka zabrzęczała w kieszeni, natarczywym dźwiękiem dopominając się uwagi. Wyjął ją niechętnym ruchem. Znowu zapomniał zestawu głośnomówiącego, a wciąż nie lubił rozmawiać przez telefon, prowadząc. Zwłaszcza przy prawie dwustu kilometrach na godzinę, jakie rozwijał na tym króciuteńkim odcinku, zanim kończyła się trasa lubelska.

- Słuchaj, czy ci wasi goście powariowali? - To był Okruszek, wyraźnie zaniepokojony.

- Co się dzieje? - rzucił Vesper, czując, jak na plecy wypełza mu nieprzyjemny dreszcz.

- No, zaczęli się ciskać jak nigdy dotąd. Chłopaki dzwonili do mnie z chirurgii pytać, czy coś z tego rozumiem. Bo w życiu się nie spotkali z takim zbiorowym odpałem na służbie. Wasi zaczęli się zachowywać, jakby byli wstawieni. Zrobili się agresywni i nieprzyjemni troszkę... Nasi nie zostali im dłużni, towarzystwo pokotłowało się nieco. - W głosie Okruszka słyhać było coraz większe wzburzenie. - No to ci twoi stwierdzili, że pierdolą taką robotę i nie będą niewdzięcznych chujów ochraniać, niech ich spotka zasłużony los czy coś w tym stylu. Więc idą na miasto. I poszli. Słuchaj... - Policjant przełknął ślinę. - Czy to u was normalne?

- Nie - powiedział nocarz, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. - Absolutnie nie.

- No to co tu jest, do kurwy nędzy, grane? - zapytał Okruszek. - Ktoś ich kupił? Miasto? Tamci... Terroryci?

- Posłuchaj, stary. Przede wszystkim ostrzeż kolegów - poprosił nocarz poważnie. - Niech się mają na baczności.

Okruszek zamilkł na chwilę. Vesper skrzywił usta w odruchowym półuśmiechu, oczekując na komentarz. Pewnie tamten znowu rzuci coś w swoim gastronomicznym stylu, że to niezła jazda, grubo smarowany kotlet albo co...

- Jest gorąco? - spytał policjant rzeczowo.

- Tak - odparł nocarz natychmiast. - Tak, jest bardzo gorąco. Uważaj na siebie. - Ślad uśmiechu uciekł mu z twarzy. - Przyjadę z kawalerią na odsiecz. Najszybciej jak się da.

- Okej - potwierdził tamten spokojnie. - Mam wezwać więcej swoich, jak myślisz?

Vesper zastanowił się przez chwilę. Więcej policjantów to większa ochrona. Ale i bardziej obfite łowy dla renegatów, jakby co. No, ale w dzień ludzie mają większe szanse. Może wampiry nie dadzą im rady tak łatwo.

- Tak - zdecydował. - Wzywaj.

- Jaki podać powód? - pytał dalej ateciak. - Bo wiesz, nie bardzo mogę powiedzieć, że Abwehra się zbiesiła, a ja się boję sam spać.

Nocarz wstrzymał oddech. Powiedzieć mu o renegatach? Cholera, ale wtedy Okruszek będzie musiał przejść na stronę Nocy. A przecież nie wiadomo, czy będzie chciał.

- Słuchaj, poczekaj, aż się skontaktuję z moim dowództwem - wydusił wreszcie nie-swoim głosem. - Nie wiem, ile ci mogę powiedzieć. Po prostu nie wiem. Wybacz, stary. - Umilkł na chwilę, pozwalając tamtemu przetrwać zasłyszana wiadomość, po czym dodał pośpiesznie: - Dobra, to ja spadam. Nie traćmy czasu. - Wyłączył się.

Wyczekał odpowiednio długą przerwę między samochodami, po czym zawrócił gwałtownie, piszcząc przeraźliwie oponami po rozpalonym asfalcie. Drżącą ręką wstukał numer Nidora. Piiiik, piiiik, piiiik... Nie odbiera, niech to szlag.

„Nidor!” - zakrzyknął w myślach.

Gdzie tam, za daleko. Może Lord dogadałby się na taką odległość, ale nie on, zwykły nocarz. Ale kapitan musi się dowiedzieć o wszystkim jak najszybciej.

Zaklął więc i zaczął pruć w kierunku Emowa co sił. Włączył radio dla uspokojenia nerwów.

„*Nadciąga noc komety, ognistych meteorów deszcz*” - zabrzmiała Budka Suflera hitem sprzed lat. „*Nie dowiesz się z gazety, kto przeżyje swoją śmierć...*”

- Kurwa mać - zawarczał, wyłączając radio natychmiast. - Nielegalna rekrutacja. Tylko tego nam brakowało.



Nie miał czasu na objazdy dookoła, główną trasę i garaż. Pojechał na skróty zapuszczoną drogą przez las, którą dawno temu po raz pierwszy dostał się do jednostki. Staranował zardzewiałą bramę, roztrzaskała się przed nim ze zgrzytem. Pognał dalej w przód, wrywając z ziemi kępy trawy i piachu. Zahamował tuż przed budynkiem, zarzucając tyłem samochodu w gwałtownym poślizgu.

Wybiegł z wozu, w dwóch susach dopadł drzwi. Wciąż nawoływał Nidora w myślach. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Przelknął ślinę. Klucha nabrzmiewająca mu w gardle

od rana zaczęła go wręcz dławić. Przeczucia okazały się prawdziwe: to był wyjątkowo paskudny dzień i z chwili na chwilę stawał się coraz gorszy.

Machnął ręką strażnikowi, ten niezwłocznie otworzył przed nim drzwi. Vesper pognął korytarzami ludzkiej części budynku. Byle szybciej dopaść do nocarzy, byle szybciej...

Nagle stanął w miejscu, tknięty kolejnym z przeczuć. Cicho tutaj, bardzo cicho... Co jest, młody zmęczony się pyskowaniem?

Zawrócił pod drzwi numer dwanaście. Zawahał się przez chwilę, po czym pchnął je zdecydowanym ruchem. Zajrzał do pokoju i przyklęknął na progu, natychmiast wyszarpując z kabury broń.

Maria leżała na środku pokoju w kałuży czerwieni. Umens pochylał się nad kobietą, jej krew barwiła mu wargi i kły. Rozdarty nadgarstek swojej prawej ręki zatrzymał tuż nad rozchylonymi wargami Marii i z wyraźnym wyczekiwaniem wpatrywał się, jak jego własna krew ścieka powoli do jej ust.

Pod ścianą w grzecznym rzędzie klęczeli Nidor, Wojtek i rekrut. Ten ostatni miał szeroko otwarte, niemalże oszalałe z przerażenia oczy. Vesper błyskawicznie rozejrzał się po pokoju. Może gdzieś tu czai się renegat? Przecież to niemożliwe, żeby Umens, kapitan nocarzy... Przełknął gwałtownie ślinę. A jednak.

- Nielegalny werbunek czyni z ciebie renegata - oznajmił drżącym głosem. - Puść ją, kapitanie. I uwolnij pozostałych spod kontroli. Jesteś aresztowany.

Tamten popatrzył na niego nieobecny wzrokiem, jakby nie rozumiejąc jego słów.

- Ile można czekać - powiedział spokojnie. - Trzeba jej było wreszcie pomóc w tej decyzji. Musiałem, rozumiesz przecież. Musiałem.

Vesper z sykiem wypuścił z siebie powietrze. Oczy Umensa... Nieobecne, szalone. Dokładnie takie, jakie miał tamten zaćpany wampir w „Moonwalkerze”. Dokładnie takie same.

- Jesteś aresztowany - powtórzył z wysiłkiem. - Zhańbiłeś siebie i nas wszystkich. Jesteś renegatem.

- Żaden nocarz nie był, nie jest i nie będzie renegatem - odparł tamten spokojnie. - Nie wiesz o tym, młody? Ja tylko... - urwał, popatrzył w dół. - Ja tylko zawołałem ją do siebie - wyszeptał z ogromną czułością w głosie. - Bo się bała przyjść sama. Jak to baba, rozumiesz. Gdzie tam, nic nie rozumiesz. Żaden z was tutaj nic nie rozumie.

Vesper wpatrzył się w muszkę ze szczerbinką, zgrał przyrządy z gorejącymi oczami Umensa w tle. Ręce mu drżały, czuł się jak w koszmarnym śnie. Ma strzelić do kapitana? Ale przecież musi... Musi!

Umens wpatrzył się weń uważnie, zapewne usłyszał jego myśli. Na twarz wypełził mu przerażający, desperacki grymas: ni to rozpaczy, ni uśmiechu. Nagle kapitan podniósł się, z błyskawiczną szybkością porwał Marię na ręce i wyprysnął z nią przez okno, siejąc wokół odłamkami szkła.

Vesper strzelił, zanim jeszcze zdołał zrozumieć dobrze, co się właściwie dzieje. Kula wyleciała przez puste już okno i zabłądziła gdzieś wśród drzew.

Ciemny punkt zniknął błyskawicznie za lasem.



Klęczący mężczyźni otrząsnęli się jednocześnie. Nidor wstał i rzucił się ku oknu, Vesper ruszył w ślad za nim. Dopadli ostrych kawałków szkła wystających z ramy, przywarowali po obu stronach otworu. Wychylili się na zewnątrz ostrożnie, z bronią gotową do strzału. Zaczęli uważnie lustrować okolicę.

- Silny był, nie spodziewałem się - wydyszał Nidor z udręką. - O żesz kurwa mać, jaki on był silny... Rzucił nas na kolana, nawet nie zdążyłem pisnąć.

- Jak to naćpany - powiedział Vesper drżącym głosem, omiatając wzrokiem okolicę. - A ty jeszcze jesteś słabiuteńki. Zdrowiejesz dopiero.

- Miałeś rację - rzucił kapitan, przełykając nerwowo ślinę. - Miałeś rację. Ta krew była skażona.

Odwrócili się ku ludziom. Wojtek jak gdyby nigdy nic powędrował za swoje biurko i usiadł na krześle. Był błydy jak prześcieradło i nie odzywał się w ogóle.

Rekrut z początku wodził po nich błędnym wzrokiem, potem wpatrzył się w Vespera. Oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej.

- Nie jedz mnie - poprosił nagle nienaturalnie spokojnym głosem. - Dobrze?

- A będziesz grzeczny? - upewnił się Vesper, czując się coraz bardziej absurdalnie. - Obiecujesz?

Tamten pokiwał głową gorliwie.

- Chuj tam obiecuj - rzucił Nidor ze zdenerwowaniem. - Starczy mu tej obietnicy na piętnaście minut. Potem jak wytnie w pole, to dopiero w gazetach się dowiemy. Trzeba go unieszkodliwić, nie ma co - westchnął ciężko. - Tylko jak? Nie będziemy go przecież trzymać w Bunkrze do końca życia.

- Ale ja naprawdę obiecuję - powtórzył młody błagalnym tonem. - Naprawdę!

Powiódł rozpaczliwym wzrokiem dookoła, szukając pomocy. Zatrzymał spojrzenie na ekranie swojego komputera, na którym wciąż widniały wyniki jego ostatniego wyszukiwania. „GŁUPIE WAMPIRY”, głośił nieubłagany napis.

Rekrut zamknął oczy, wargi mu zadrżały.

„Poczekaj, Nidor” - wysłał nagle Vesper. „Mam pomysł”.

Wybiegł z pokoju, dopadł do telewizyjnej, gdzie, jak pamiętał, była apteczka. Wyszarpnął ją ze ściany, wrócił czym prędzej.

Nidor i Wojtek przytrzymałi wspólnymi siłami rekruta, wyjącego i wierzgającego co sił. Zgodnie z przewidywaniami, nie zamierzał zbyt długo dotrzymać obietnicy.

- Rękę, dajcie mi jego rękę! - krzyknął Vesper.

Wyrzucił zawartość apteczki na pobliskie biurko, pośpiesznie powybierał potrzebne rzeczy.

- Nie rzucaj się - oznajmił, nie patrząc nawet na rekruta. - To jest twoja jedyna szansa na przetrwanie.

Młody uspokoił się natychmiast, dysząc ciężko i patrząc na nocarza szeroko otwartymi oczami. Vesper odwrócił się do biurka. Po chwili podszedł do rekruta, trzymając w ręku napelnioną strzykawkę. Człowiek wpatrzył się w nią z przerażeniem. Szarpnął się znowu, bezsilnie.

- To albo kula w łeb - stwierdził Vesper poważnie.

Nidor z Wojtkiem pojęli jego zamiary, przytrzymali rekrutowi lewą rękę w wyproście. Vesper zacisnął mu stazę na ramieniu. Chłopak szarpnął się znów.

- Chcesz, żebym cię podziobał niepotrzebnie, to proszę - rzucił nocarz, szukając żyły.

Wkłuł się od razu, nie tak dobrze jak kiedyś, ale i nie najgorzej. Podawał płyn powoli, obserwując uważnie twarz rekruta. Tamten zacisnął wargi, z oczu popłynęły mu łzy.

- No dobrze - westchnął Vesper, odwiązał stazę i wyjął igłę. - To teraz druga część przedstawienia. Możecie puścić mu rękę, panowie. A ty sobie przytrzymaj dziurkę palcem, żebyś się nie wykrwawił.

Odwrócił się znów do biurka, przygotowując kolejny zastrzyk.

„Co ty, kurwa, robisz, stary?” - nie wytrzymał Nidor. „Oszalałeś już całkiem? Eksperymentów medycznych ci się zachciało? Nie mamy czasu!”

„Spokojnie, zaufaj mi” - odparł Vesper z napięciem i podszedł ku ofierze.

Schwycił skórę na ramieniu pomiędzy dwa palce, wkłuł się cieniutką insulinówką w powstały fałd. Jednym ruchem tłoka wstrzyknął zawartość.

- I już po wszystkim - powiedział, cofając się. - Możecie go puścić, panowie.

Uślu­chali go niechętnie, wciąż czujnie obser­wując rekruta.

- Gorąco mi - wyszeptał młody, patrząc na nich błędnymi oczami. - Co to było... Co?

- Oglądałeś „Ucieczkę z Nowego Jorku”? - zapytał Vesper, modląc się w duchu o odpowiedź twierdzącą.

Rekrut pokiwał głową powoli, po czym siąknął nosem dość rozpaczliwie.

- No to teraz wiesz mniej więcej, jak się czuł Snake Plissken - wyjaśnił oprawca. - To, co dostałeś dożylnie, to była trucizna. Zabójcza, dodam dla porządku.

Młody zwiesił głowę jak ścięty. Zaczął drżeć na całym ciele.

Nagle zniknął James Bond, któremu marnują talent, każąc szukać informacji o głupich wampirach.

Teraz był już tylko zwykły, wystraszony, mały człowieczek, któremu właśnie śmierć zagląda z ciekawością w oczy.

Vesper pochwycił go za włosy, podnosząc głowę ku sobie.

- A to, co dostałeś w ramię - wycedził powoli - to była właśnie twoja szansa. Odtrutka.

Tamten zamrugnął pośpiesznie oczami.

- Ta dawka wystarczy ci na dwanaście godzin - ciągnął nocarz powoli. - Jeżeli uciekniesz, zdradzisz czy zrobisz coś równie głupiego... nie dostaniesz następnej, po prostu. I nikt inny ci jej nie da, nie licz na to. Zginiesz w męczarniach. To wszystko. - Puścił mu głowę, pozwalając jej opaść swobodnie.

Rekrut kołysał się przez chwilę w przód i w tył.

- Jak długo to będzie trwało? - zapytał nagle. - Odrobnię tu swoje, rozumiem, ale potem... Kiedy mnie odtru­jecie... na stałe?

- Nigdy - oznajmił Vesper brutalnie. - Jesteś związany z nami do końca życia. To albo kula w łeb.

„I niech teraz Lord decyduje, co z nim zrobić i gdzie go umieścić” - dorzucił w myślach z ulgą.

Nidor nie powiedział nic, pokiwał tylko głową.

- To... co mam teraz zrobić? - wykrztusił rekrut przez łyżę. - Czego chcecie... Czego sobie życzy­cie? - poprawił się natychmiast.

Wychował się, pomyśleli ze zdumieniem. Takie to było proste, nie do wiary.

- Kapitanie? - Vesper skinął głową przelozonemu.

- Na razie idź do swojego pokoju - zdecydował Nidor. - I zostań tam, póki cię nie zawołamy. Musisz odpocząć.

- Tak jest! - odpowiedział człowiek pokornie, ocierając oczy wierzchem dłoni.

- No to ruszaj! - zakomenderował nocarz.

Rekrut wypadł z pokoju czym prędzej, slaniając się na nogach. Wnet usłyszeli jego nierówne kroki łomoczące na korytarzu.

Wtedy dopiero Nidor wbił pytające spojrzenie w Vespera.

- Pierwsze słyszę, że mamy takie straszliwe specyfiki na składzie, i to w publicznie dostępnej apteczce - rzucił. - Powiesz mi o tym coś więcej?

- Musiałem improwizować - odparł nocarz, wzruszając ramionami. - Dożylnie dostał pyralginę. Przyda mu się, przecież się poobtłukiwał tutaj niezgorzej. No a podskórnie to tylko sól fizjologiczną, tu jakoś zabrakło mi finezji...

- Doskonała robota - powiedział kapitan ze śladem ulgi w głosie. - A właśnie, Vesper, co ty tu właściwie robisz? - przypomniał sobie nagle. - Miałeś być u Okruszka.

Vesper streścił mu pokrótce rozmowę z ateciakiem.

- A niech to szlag! - stwierdził Nidor. - Znaczy, że jest jeszcze gorzej, niż sądziłem... - Zamyślił się na chwilę, widać było, że boryka się z wyjątkowo trudną decyzją. - Słuchaj, jedź do niego teraz - powiedział wreszcie. - Zabezpieczaj teren jak się da. Dotrzemy do ciebie... Najszybciej jak to tylko będzie możliwe.

- Wysyłasz mnie samego? - nie mógł uwierzyć Vesper. - Bez wsparcia?

- Kogo ci mam dać? - odparł tamten. - Sześciu naćpanych nocarzy, w tym jeden kapitan, szwenda się po mieście. Musimy ich zdjąć, zanim się zrobi z tego grubsza afera... i zanim chłopaki naprawdę staną się renegatami. - Przełknął ślinę. - Poza tym ktoś musi zostać w bazie, żebyśmy się nie wystawili na strzał, bezbronni jak ostatni idioci. No i nie ściąganiemy nikogo z magazynu, nie ma mowy. Więc...

- Więc idę sam - podsumował Vesper cicho.

Tamten pokiwał głową, patrząc mu w oczy poważnie.

- Aha, i pamiętaj... - rzucił i znów umilkł na chwilę, jak zawsze, kiedy musiał wydusić z siebie nieprzyjemne decyzje. - Jesteś tam, żeby chronić Okruszka. Nikogo więcej. To na niego renegaci są najbardziej zawzięci, dla nich to kwestia honoru. I dla nas też.

- A pozostali? - spytał Vesper, odwzajemniając mu spojrzenie.

- Jak sobie poradzą, to się będę bardzo cieszył - odparł tamten powoli.

- Rozumiem, panie kapitanie - odpowiedział nocarz spokojnie.

A potem odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia, układając w głowie kolejny plan przedzierania się przez korki.



Vesper wbiegł przez wielkie drzwi głównego wejścia do szpitala MSWiA. Zawahał się na chwilę. Pamiętał rozkaz Nidora, ale... Może by jednak najpierw sprawdzić pozostałych ateków, tych leżących na chirurgii, a potem zostać przy Okruszku? Wyjął komórkę z kieszeni, wstukał numer kolegi.

- Tu numer... - oznajmił oschły kobiecy głos. - Zostaw wiadomość.

Nocarz popatrzył na komórkę zmieszany. Sprawdził połączenie, na pewno był to ten numer. Zapisany w kontaktach jako Okruszek. Co tam, do cholery, robi ta baba?

No cóż, może coś źle przeskoczyło na łączach. Spróbujmy jeszcze raz.

- Tu numer... - znowu ta sama kobieta.

Vesper przełknął ślinę, rozłączając się. Pobiegnął dalej korytarzem.

Czyżby renegaci zhakowali połączenie i przekierowali je gdzie indziej? W takim razie nie ma mowy, żeby nagrywać się na pocztę głosową. Jesteśmy w kłopotach, ale to nic nowego.

Ruszył po schodach, nie chcąc ryzykować pułapki windy. Wbiegł na czwarte piętro bloku E, gdzie znajdował się oddział ortopedii. Przebiegł korytarzem, dotarł do pokoju ateciaka... Pusto.

Serce zaczęło mu bić przyspieszonym, niespokojnym rytmem. Miał już dość przeczuć na dzisiaj. I tej paskudnej świadomości, że wszystko jest nie tak. Ale nic na to nie mógł poradzić.

Podszedł do dyżurki pielęgniarek.

- Przepraszam, gdzie leży... - urwał stropiony.

Cholera jasna, jakżeż się ten Okruszek nazywa naprawdę? Piotr chyba... Albo Marcin? Nie, raczej Piotr. Kurde, może Łukasz?

- Nie wiem - odparła kwaśno pielęgniarka, nie czekając nawet, aż padnie nazwisko pacjenta. - Jestem tu tylko w zastępstwie, na krótko. - Jej mina wskazywała wyraźnie, że nie życzy sobie, by ktokolwiek zawracał jej głowę w tej chwili.

Vesper postanowił nie poddawać się tak łatwo.

- Proszę się dowiedzieć - powiedział spokojnie. - Pacjent Piotr Jaźwiński - przypomniał sobie z ulgą. - Poszedłem do jego pokoju, łóżko puste, karty nie ma. Czyli przeniesiony. Muszę wiedzieć, gdzie jest.

- Pan poczeka, to się pan dowie - odburknęła. - Przyjdzie koleżanka, poszła z dzieckiem do lekarza, wróci za dwie, może trzy godziny. Nie będę się na ten krótki czas wszystkich pacjentów uczyła. Zresztą nie mam od kogo, sama tu jestem. Rotujemy się co

chwilę, każda zmienia oddział, jak jest potrzebna... Grypa panuje. Wie pan, my też chorujemy czasem. - Spojrzała na niego wrogo.

Wycofał się, rozumiejąc już, że nic u niej nie wskóra. Zacisnął zęby, opanował gniew. Przeszedł parę kroków, zapukał do dyżurki lekarskiej. Wszedł, nie czekając na „proszę”.

- Szukam pacjenta Jaźwińskiego - oznajmił od progu. - Przeniesiono go?

- Na enemer pojechał - odparł lekarz, nie odrywając wzroku od telewizora. - Stażystka go wzięła. Wróć co najmniej za godzinę.

- Gdzie jest rezonans? - spytał szybko Vesper z niejaką ulgą.

Lekarz odwrócił się wreszcie, z wyraźnym żalem tracąc cenne minuty meczu.

- Coś pan taki w gorącej wodzie kąpany? - rzucił niechętnie. - Wróć, to będą. Nie martw się pan, nie zginą.

Vesper wyjął czarną legitymację ze srebrnym orzełkiem w koronie i tłoczonymi napisami „Rzeczpospolita Polska” i „Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego”. Machnął nią lekarzowi przed oczami.

- Potrzebuję wiedzieć, gdzie jest ten człowiek - powiedział. - Natychmiast.

Tamten spowaźniał od razu.

- Zakład Diagnostyki Radiologicznej. Budynek główny, parter - odparł szybko. - Tuż przy Izbie Przyjęć i Oddziale Ratownictwa Medycznego. Koło Polikliniki.

- Dziękuję. Proszę nikomu więcej o tym nie mówić, dobrze? - Vesper wypadł z pokoju, nawet nie zamykając za sobą drzwi.

Popędził schodami w dół. Enemer, nuklearny rezonans magnetyczny. Jeżeli Okruszek jest już w trakcie badania, to jasne, że ma wyłączoną komórkę. Pole magnetyczne powoduje zbyt silne zakłócenia.

Dotarł do Zakładu, rozejrzał się po korytarzyku. W poczekalni siedziała ta sama okularnica o mysio - blond kolorze włosów, która miała dyżur w nocy.

- Jaźwiński jest w środku? - zapytał bez wstępów.

Pokiwała głową, po czym ziewnęła, zakrywając usta ręką. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Zmieniliście mu pokój? - upewnił się jeszcze.

- Bardzo się tego domagał - potwierdziła. - W tamtym nie czuł się bezpiecznie.

Westchnął lekko w poczuciu dojmującej ulgi.

- Dawno wszedł? - zapytał już znacznie spokojniej.

- Pięć minut - odparła. - To jeszcze trochę potrwa. Cały kręgosłup mu robią, no i mózg.

Zawahał się przez chwilę. Powinien tu usiąść razem z nią i pilnować Okruszka, jak mu nakazano. Ale z drugiej strony... Ryzyko, że renegaci zaatakują właśnie teraz, że dowiedzą się o tym, że Okruszek jest tutaj, nie jest zbyt duże. Natomiast ci atacy tam, na górze... Skoczy do nich tylko na chwilę, ot tak, dla wszelkiej pewności.

Przestań, nie wygłupiaj się, pomyślał. I tak nic im nie pomożesz sam. I jeszcze zawa-
lisz sprawę tutaj.

Westchnął ciężko, podszedł do stażystki, usiadł obok niej na ławce. Wpatrzył się obo-
jętnie w ścianę naprzeciwko, nie mając ochoty na uprzejmą wymianę banalnych zdań. Na
szczęście dziewczyna była wystarczająco zmęczona, by również się nie odzywać. Siedzieli
więc w całkowitym milczeniu.

Nagle Vesper podniósł głowę, zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Znowu to cholerne, dojmujące przecucie. Coś jest źle. Coś jest bardzo, bardzo źle.
U chłopaków tam, na górze. Naprawdę wyjątkowo paskudnie.

I to tak bardzo, że nie może tego zlekceważyć. Po prostu nie może.

- Przepraszam - powiedział, podnosząc się z ławki.

A potem zaczął biec.



Czwarte piętro, blok B. Chirurgia.

Wpadł do kliniki, roztrzając drzwi gwałtownym pchnięciem. Od razu napotkał zanie-
pokojone spojrzenia chłopaków z obstawy. Podszedł do nich spiesznym krokiem.

- Co się dzieje? - zapytał szybko. - Cześć, Adaś.

- Cześć, Jurek - odparł Adaś, wyraźnie zdenerwowany. - Z Heńkiem, Marcinem
i Karolem niedobrze. Wiesz, oni byli w dosyć ciężkim stanie, a przed chwilą im się pogorszy-
ło. Poważnie.

- Słyszałem, jak jeden z lekarzy powiedział, że właściwie to reanimują już trupa - do-
rzucił drugi. - Kurwa mać... - głos mu się załamał nagle.

Vesper rozejrzał się wokół, serce waliło mu niespokojnie. W ustach narastał gorzki
smak bezradności. Co może zrobić, nic. A już na pewno nie będzie się plątał przy reanimują-
cych lekarzach, wyproszą go bez pardonu bez względu na legitymację.

Uważnym wzrokiem zlustrował okna, drzwi. Popołudniowe słońce przelewało się
przez firanki, boleśnie raniąc mu oczy pomimo wciśniętych na nie filtrowanych kontaktów.
Ale nigdzie nie było ani śladu renegatów. Cisza, spokój, nawet odgłosy reanimacji nie docie-
rały tutaj z sali. Tylko jakaś pielęgniarka szła korytarzem, oburącz niosąc sporą tackę

z probówkami z krwią. Słońce miała za plecami, Vesper przymknął więc oczy, trudno mu było na nią patrzeć. Przeszła tuż obok, nie zwracając zupełnie uwagi na stojących pod ścianą policjantów. Dopiero kiedy już była przy drzwiach, spojrzała na nich prosząco.

- Może mi któryś z panów otworzyć? - rzuciła, wskazując oczami na zajęte tacą ręce.

- Oczywiście - Vesper ruszył się od razu.

Otworzył jej drzwi z uprzejmym uśmiechem. Podziękowała krótkim skinieniem głowy, spojrzała mu w oczy... Omal się nie zachłysnął z wrażenia. Na pierwszy rzut oka dziewczyna była dosyć nijaka. Błada, nieumalowana, ze standardowo szpitalnym zmęczeniem malującym się na twarzy. Dopiero kiedy jej powieki uniosły się w górę i błysnęła ku niemu spojrzaniem, poczuł, jakby spotkał się oko w oko z utajonym dzikim żywiołem. Miał nieprzebraną ochotę wniknąć w ten sztorm, dowiedzieć się o nim więcej, pobyc w nim przynajmniej przez chwilę...

Przelknął raptownie ślinę. Chciał coś powiedzieć, cokolwiek, nawiązać chociaż cień kontaktu. Ale ona odwróciła wzrok i wymknęła się przez uchylone drzwi. Spiesznym krokiem dotarła do otwierającej się właśnie windy, weszła do środka. Za chwilę metalowe drzwi zamknęły się... i czar przysł.

Vesper zamrugał, wracając do rzeczywistości. Zaklął pod nosem, wyrzucając sobie od ostatnich skurwysynów. Koledzy umierają, a on się tutaj za dupami ogląda. Na dodatek ludzimi, zupełnie nie dla niego.

Renegaci, gdzie ci cholerni renegaci? Rozejrzał się znowu, jakby oczekując strzałów, wybuchów... Nic. Tylko wciąż to poczucie, że stało się coś bardzo złego.

Lekarz wyszedł z sali, popatrzył na policjantów. Powoli w milczeniu pokręcił głową. Gardła zacisnęły im się w nagłym żalu. Zrozumieli go bez słów.

Vesper zwiesił głowę, westchnął ciężko. No cóż, zrobiło się, co się dało. Więcej nic.

- Wracam do Piotrka - powiedział ateciakom. - Jakby się coś działo, dzwońcie.

- Jasne - przytaknęli cicho. - Jasne.

Skinął im głową w odpowiedzi, po czym odwrócił się i wyszedł z oddziału. Zbiegł na dół schodami. Dotarł do Zakładu Radiologii i zeszywniał w nagłym przerażeniu.

Stażystki nie było. Okruszka też.

Wbiegł na ortopedię, dopadł pierwszych z brzegu uchylonych drzwi. Zerknął do środka. Nie, to nie tu, tutaj kilku mężczyzn, ogipsowanych niemalże w całości, leżało i cierpiało sobie w spokoju.

Dotarł do kolejnych lekko uchylonych drzwi, zajął do środka... Zatrzymał się natychmiast. Wyszarpnął glocka z kabury, przywarował do framugi w absolutnej ciszy, zerkając w głąb pokoju.

Niepozorny mężczyzna w dzinsach i swetrze stał na parapecie wysokiego szpitalnego okna. Lewą ręką przyciskał do siebie stażystkę. Prawą rękę miał uniesioną wysoko, jakby od zewnątrz trzymał się framugi szeroko otwartego okna. Vesper przebiegł językiem po zaschniętych nagle wargach, rozpoznając wroga natychmiast. Renegat, a niech to szlag.

Okruszek mierzył do intruza ze swojego glocka, ręce mu drżały z wysiłku.

- Strzelisz do mnie, to spadniemy oboje, ja i dziewczę w bieli - powiedział renegat spokojnie. - Czwarte piętro, wystarczy. Dwa trupy na miejscu.

- Czego chcesz? - Okruszek gwałtownie przełknął ślinę.

- Ciebie - odparł tamten. - Chodzi nam tylko o ciebie. Dziewczyna jest nieważna, oczywiście. Ale jak będzie trzeba... - Machnął głową na zewnątrz. - Sztuka latania. Pa pa.

- Zginiesz sam - rzucił wściekle ateciak.

- Jak džihad, to džihad - uciął tamten krótko. - Ale jest inne rozwiązanie.

Policjant popatrzył na niego pytająco.

- Sam wyjdiesz przez to okno - zaproponował renegat. - To nie będzie długi lot. Za ten twój numer w Polfie wystarczy w sam raz.

Okruszek ponownie przełknął ślinę. Popatrzył w niebo za oknem, pałające nieskazytym błękitem. Postąpił krok w przód.

Zrobi to! - uświadomił sobie Vesper, patrząc na niego. Zrobi to, obrońca wdów i sierot pieprzony! Skierował wzrok na skupioną twarz renegata, myśli jak szalone pogoniły mu przez mózg. Im wcale nie zależy na samobójstwie ateka. Jest ich tam więcej, czekają na niego. Dopilnują, żeby nie rozwalił sobie głowy, zabiorą go do siebie. Okruszek zostanie renegatem. Już jest wyszkolonym, sprawnym zabójcą... Takich im trzeba, takich im brak.

Okruszek szedł w kierunku okna powolnym, zdecydowanym krokiem. Renegat patrzył nań, uśmiechając się szeroko, niczym w powitaniu dobrego znajomego. Jakby sprawa była wygrana, i to już. Tak był pewien, że policjant bez protestu wypełni jego życzenie?

On wcale nie musi wyskoczyć, zrozumiał Vesper. Mają tam snajpera, czai się gdzieś pod dachem naprzeciwko. Okruszek dostanie strzał. Renegat i tak puści pannę w dół, za dużo już widziała... A potem zabierze człowieka.

To nie była decyzja, to był odruch. Nocarz błyskawicznie naparł na drzwi ramieniem, wpadł do pokoju. Strzelił do renegata, dublet między oczy, dublet na serce. Rzucił się na

Okruszka, powalając go na ziemię, podczas kiedy wampir zniknął za oknem razem z dziewczyną.

Jakaś ogromna siła szarpnęła Vesperem, raz, potem drugi i trzeci, rzucając go na kolana. Po piersi rozlała mu się fala gorąca.

Miałem rację, pomyślał, mieli snajpera na zewnątrz.

Powietrze wdarło mu się do płuc, paląc żywym ogniem, po czym wybiegło na zewnątrz, porywając ze sobą kropelki krwi. Oparł się rękami o podłogę, w głowie zakręciło mu się lekko.

Nie słyszałem świstu kuli, przemknęło mu przez myśl. A więc to prawda, co mówią. Świszczą tylko kule dookoła, tej, która jest dla ciebie, nie słyhać.

Okruszek podnosił się właśnie, patrząc na niego z przerażeniem. Ręka powędrowała mu w kierunku przycisku wzywającego pomoc pielęgniarce.

- Nie - powstrzymał go Vesper chrapliwym głosem. - Spadamy stąd. Jest ich za dużo. Nie damy rady tutaj... sami.

Ateciak pokiwał głową, podpełzł do niego, nie wystając za linię parapetu. Co za szczęście, że jest taki przytomny, pomyślał Vesper z ulgą. Nie wykrzykuje bzdur w stylu, że przecież jestem ranny i szpital to dla mnie najważniejsze miejsce. Niegłupi chłop ten Okruszek. Całe szczęście, że nie został renegatem... Na razie.

- Idziemy - wyszeptał zdecydowanie. - Korytarz, schody, parking. Ruszaj!



Schody. Półmrok, w każdym zaułku mogą czaić się wrogowie. Słabość, dojmująca słabość, miękkie nogi, które jednak muszą nieść do przodu. Maszeruj, stary, kto nie maszeruje, ten ginie.

Biała koszula Vespera cała we krwi. Nawet zapięta szczelnie marynarka nie bardzo jest w stanie ukryć ten fakt. Obok Okruszek w szpitalnej, pasiastej piżamie, słaniający się na nogach. Zdziwione spojrzenia ludzi, nikt jednak nie wtrąca się ani słowem. To przecież szpital, gdzie tacy dwaj mieliby być, jak nie tu?

Wmieszali się w większą grupę ludzi, strażnik nie namierzył ich przy wyjściu. Teraz najgorsze. Otwarta przestrzeń, parking. Gdzieś tam na górze zapewne czają się snajperzy renegatów.

Szczęście, po prostu szczęście. Nie zauważyli ich... A może zajęci są czymś innym?

Nieważne, to wszystko już nieważne. Ani Okruszek, ani Vesper nie uratują już dzisiaj nikogo. Jeżeli uda im się ocalić samych siebie, będzie to cud.

Czarne BMW nocarzy stoi na parkingu, wygląda na nietknięte. Jeżeli jednak renegaci byli tu pierwsi, jeżeli jest pod nim bomba... To trudno, mają pecha. I tak nie mają żadnego innego wyboru, muszą wsiąść. Pancerne blachy i kuloodporne szyby to ich ostatnia nadzieja, namiastka bezpieczeństwa.

Wsiadają więc. Kluczyk w stacyjce przekręca się z łatwością, silnik zaczyna pracować cichym, kocim pomrukiem. Vesper zamyka odruchowo oczy...

Wszystko w porządku, żaden potok ognia nie wrywa się z samochodu.

Vesper rusza powoli. Świat przed oczami ciemnieje co chwila, by potem znów niesłychanym wysiłkiem przywołać z powrotem swoje naturalne barwy.

Samochód wytacza się z parkingu, skręca w Wołoską, nabierając prędkości.

Do domu, w głowie Vespera tłucze się już tylko ta jedna myśl. Do domu.

Okruszek siedzi obok, milcząc. Jakby mu było wszystko jedno właściwie.



Po raz drugi tego dnia Vesper przejechał przez roztrzaskaną bramę. Zatrzymał samochód tuż przed wejściem dla ludzi.

- Witaj w domu - powiedział do Okruszka. - Witaj w bazie nocarzy.

Tamten powiódł wzrokiem po koronach sosen, szumiących wokół łagodnie. Pokiwał głową, szarpnął za klamkę i wypadł z samochodu.

Podniósł się, zanim Vesper zdążył do niego dokuśtykać, machnął głową w odmownym, niechętnym geście: dam sobie radę sam.

Dowlekli się do wejścia. Strażnik spojrzał na Vespera, w jego wzroku odmalowała się wyraźna ulga.

- Chociaż ty wróciłeś - rzucił, otwierając drzwi. - Dobrze, że chociaż ty.

Nocarz miał ochotę się rozplakać.

Poprowadził Okruszka za sobą długim korytarzem, przytrzymując go, kiedy tamten potykał się w ciemnościach. Wreszcie weszli do sali telewizyjnej.

Jeden rzut oka na dziedziniec i twarz Vespera pojaśniała w nieśmiałym poczuciu ulgi. Na placu stał czarny Bell 412 EP.

- *Dominus* - wyszeptał. - *Pater advenit. Salvati sumus. Safoati.*

Okruszek popatrzył na niego pytająco. Chyba nie rozumiał po łacinie.

- Ultor przyleciał - wyjaśnił Vesper, śmiejąc się nieco histerycznie. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zaopiekuje się nami. Tobą, mną.

Drzwi od strony mieszkalnej otworzyły się, do sali czarnym szeregiem wbiegli pretorianie.

- Strażnik zawiadomił, że wróciłeś - powiedział Celer, chwytając Vespera za ramiona.
- Całe szczęście. *Go get'em somefood* - rzucił do kolegów pośpiesznie.

Dwóch pretorianów dopadło barku, nalali pełne szklanki, podali im obu. Vesper pochwycił, wypił duszkiem. Okruszek poszedł w jego ślady, jednak po kilku łykach odstawił szklankę od ust.

- Obrzydliwe - skrzywił się. - Lekarstwo czy co?

Popatrzyli na niego w zdumieniu.

- O co ci chodzi, stary? - powiedział Celer niecierpliwie. - Normalna, obojętna krew. Nie bój się, podwójnie testowana, bez domieszek.

Okruszek zbladł.

- Krew? - zapytał, wpatrując się w zawartość szklanki.

- No a czego byś chciał? - westchnął pretorianin. - Pewnie, że krew. Dobra jest, pij i nie marudź.

- Aha - powiedział Okruszek, osunął się na kolana i zwymiotował na dywan.

- O kurwa - zrozumiał Celer wreszcie. - Człowiek. Przyprowadziłeś tu człowieka? - Spojrzał na Vespera ze zdumieniem.

- Nie dało rady inaczej - wykrztusił nocarz z trudem. - Naprawdę, nie dało rady.

- Przepraszam, nie wyczułem cię - powiedział Celer do ateciaka, który klęczał wciąż na podłodze, ocierając usta. - Kompletnie nie spodziewałem się człowieka tutaj. Przepraszam. Zaraz znajdziemy coś... ludzkiego. Jeszcze raz przepraszam.

- Muszę się wreszcie, kurwa, obudzić - odparł Okruszek i zemdłał, osuwając się na dywan bezwładnie.

Vesper popatrzył na niego z politowaniem: zemdłał, cienias jeden...

I nagle zakręciło mu się w głowie.



Świat majaczył mu przed oczami, tonąc w lepkiej mgle.

- Jest źle - wyszeptał Vesper z trudem. - Jest źle...

- Bardzo źle - potwierdził Nidor, pochylając się nad nim, jego oczy błyskały zatroskaniem. - Ale nic się nie bój, wyciągniemy cię z tego. Ultor, jak tylko wróci z miasta, zajmie się tobą, zobaczysz. - Usiadł obok na łóżku, poprawiając koc.

- Powiedz... - poprosił nocarz, po policzku spłynęła mu łza. - Powiedz, niech wiem...
A nie się domyślam... Chłopaki?

- Ściągnęliśmy ich z miasta - odparł Nidor powoli. - Na szczęście nie zabili nikogo. Siedzą teraz w Bunkrze i wyją z głodu. Może z tego wyjdą, krew była tylko trochę skażona, na dodatek sztucznie. To w sumie nie to samo, co prawdziwa.

Vesper chciał zadać kolejne pytanie, ale nie starczyło mu sił. Popatrzył więc tylko prosząco.

- Wciąż szukamy Umensa - pokręcił głową kapitan. - Zaszły się gdzieś z Marią, pewnie czeka, aż ona wstanie. Standardowo trzy dni.

Nocarz zamknął oczy. Taki się czuł słabiuteńki... Jak nigdy dotąd.

- W szpitalu spokój - dodał Nidor ponuro. - Trzech ateków zmarło z ran, ale oni byli w ciężkim stanie. Stażystki nie odnaleziono, pewnie zabrali ją renegaci... Do siebie, na swoją stronę.

Vesper chciał westchnąć, porażający ból zatrzymał mu jednak klatkę piersiową w połowie oddechu. Wypuścił więc powietrze powoli, znów czując na wargach słonawy smak własnej krwi.

- Straciliśmy magazyn - wyrzucił z siebie kapitan z desperacją. - Wyleciał w powietrze razem z wszystkimi nocarzami. Nie wiemy, jak to się stało. Major siedzi tam teraz... Sprząta.

Vesper zamknął oczy, kolejna łza spłynęła mu po policzku.

Drzwi skrzypnęły, otwierając się powoli. Nidor spojrzał na przybysza i poderwał się z łóżka od razu. Do pokoju wszedł Lord.

- *Domine...* - wyszeptał kapitan błagalnie. - *Salve eum...*

Ultor pokiwał głową. Oczy miał przekrwione, widać było, że on też jest zmęczony. Nocarz zamilkł. Odsunął się nieco, robiąc miejsce Lordowi.

Ten podszedł do łóżka, odchylił koc. Przeciagnał dłońmi nad piersią Vespera.

- Nic się nie bój, nocarzu - oznajmił spokojnie. - Będzie dobrze. Poboli przez chwilę, a potem już będzie dobrze... - Uśmiechnął się. - W porządku?

Vesper skinął głową powoli, gardło zacisnęło mu się nagłym szlochem.

- Nie mogę oszczędzić ci bólu i pozwolić ci spać - oznajmił Lord. - Musisz mi pomóc. Musisz trzymać życie z całych sił, żeby nie uciekło.

- Jak... - wymówił tamten z trudem - jak to się robi, Panie... - Rozkaszłał się, siejąc dookoła kroplami krwi.

Ultor usiadł na łóżku i zaczął rozwiązywać bandaż.

- Zobaczysz - powiedział cicho. - Dasz sobie radę, twardy jesteś. Od razu wiedziałem, jak tylko cię zobaczyłem. - Podniósł bandaż, popatrzył na klatkę piersiową rannego, pokręcił głową. - Trzymaj. - Podał Nidorowi materiał przesiąknięty krwią.

Położył ręce nad pierwszą, poszarpaną raną. Kule snajpera przebiły kamizelkę kuloodporną. Wdarły się w ciało wraz z potrzaskanymi warstwami płyt zabezpieczających, czyniąc w środku prawdziwe spustoszenie.

Ultor milczał, jego twarz przybrała skupiony, surowy wyraz. Przycisnął palce do brzegów rany, wbił wzrok w sączącą się krew.

Vesper krzyknął, jakaś siła bezlitośnie szarpnęła jego wnętrznościami. Rozżarzony splot bólu wyrwał się gdzieś ze środka i wędrował ku powierzchni powolnym, ślimaczym ruchem. Nocarz dygotał cały, po twarzy strumieniem popłynęły mu łzy.

- Wytrzymaj, dzieciaku, wytrzymaj - powiedział Ultor łagodnie.

Szarpnął ponownie, jeszcze mocniej. Na wezwanie Lorda kula zaczęła wędrować ku powierzchni. Ból przeszył Vespera na wskroś, zaczął narastać w zawrotnym tempie, wydzierając mu z gardła zwierzęcy ryk. Nagle opadł, a świat otuliła ciemność, przynosząc ze sobą poczucie niewysłowionej ulgi.

Vesper rozluźnił się, na poranej łzami twarzy rozlał się szeroki uśmiech. Wtulił się w otaczający go mrok, z radością podążając mu na spotkanie.

- Nigdzie nie pójdziesz - oznajmił Ultor twardo. - Wracasz tutaj, nawet nie myśl, że może być inaczej.

Szarpnął jeszcze raz, nocarz poczuł, jakby coś pękło i rozlało się gorącym po jego ciele. Lord zacisnął dłoń, a potem podniósł ją triumfalnym gestem. Podsunął ją nocarzowi pod twarz. Wyprostował palce, pokazując zakrwawioną bryłkę ołowiu.

- No to pierwszą mamy z głowy - powiedział. - Świetnie się trzymasz. Dalej już będzie tylko lepiej, ta była najgorsza. Siedziała tuż koło aorty.

Vesper opadł na poduszkę, łkając w głos bez cienia żenady. Ultor wyciągnął dłoń do Nidora.

- Weź mu to, niech sobie schowa na pamiątkę. - Podał mu kulę, którą tamten pochwycił skwapliwie. - Potem już to będzie olewał, musiałby sobie złomowisko w pokoju założyć... Ale tę pierwszą niech sobie ma.

Nidor pokiwał głową, oczy zaszklily mu się zdradziecko. Nie odezwał się jednak ani słowem.

- No jak tam, gotów? - zapytał Ultor, poważniejąc. - Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będziemy to mieli za sobą. - Popatrzył na Vespera uważnie.

Zapytany westchnął lekko, znów siejąc bąbelkami krwi. Pokiwał głową, zaciskając wargi w oczekiwaniu na ból.

Lord położył dłonie na kolejnej z ran.



Świat powrócił wraz z żywicznym zapachem sosen, wpadającym przez uchylone okno. Vesper otworzył oczy. Nabrał głęboko powietrza w płuca, po czym wypuścił je z ogromną ulgą. Nie zabołało go przy tym nic.

Odwrócił głowę na bok. Serdeczny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Nidor siedział na fotelu obok łóżka, głowa opadła mu na ramię. Spał. Zapewne zamierzał go pilnować w ten sposób.

Vesper dźwignął się do pozycji siedzącej. Od razu zakręciło mu się w głowie. Omal nie opadł z powrotem na poduszkę, czując, jak bardzo jest słaby.

Nidor natychmiast otworzył oczy.

- Witamy wśród nieumarłych - rzucił, mrugając zaspanymi oczami i otrząsając się pośpiesznie. - Jak się czujesz? Bierzesz dzisiejszy dyżur czy powylegujesz się jeszcze trochę? - Uśmiechnął się z nieudolnie skrywaną ulgą.

- Ku chwale ojczyzny - odparł nocarz słabo. - Wołałbym się jeszcze trochę poopierdalać.

Przyjaciel odniósł się do tej kwestii z całkowitym zrozumieniem.

- Przynieść ci jeść? - zapytał rzeczowo.

Vesper pokiwał głową powoli. Głodny, tak, zdecydowanie jest głodny.

- Ale poczekaj... - rzucił, widząc, że Nidor natychmiast podrywa się z miejsca. - Weź mnie ze sobą do sali. Tam pewnie jest Lord i wszyscy, co?

Tamten wzniosł oczy do góry w udawanym ubolewaniu.

- Ale masz wymagania - powiedział. - Rozrywek ci się zachciało, akurat teraz. Nie wiem, czy cię tam dotaszczyć... Ale zawołam młodego, niech pomoże. - Zamilkł, wydając w myślach stosowny rozkaz.

- Rekrut został przyjęty? - zdziwił się Vesper. - I zdążył się obudzić? Już?

- Eee, nie. Lord stwierdził, że póki co, gówniarz się absolutnie na nocarza nie nadaje - wyjaśnił mu kapitan. - Ale że rokuje i skoro stało się, jak się stało, to niech pobędzie tu przez jakiś czas. Może się jeszcze wyprostuje. I tak przecież nigdzie nie pójdzie. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Ułtorowi bardzo się podobał twój numer z pyralginą. Pięknie wrobiłeś młodego, nie ma co.

Vesper pokiwał głową.

- A sam zainteresowany wie już o tym?- spytał ciekawie. - Że to bzdura?

- Na razie zostawiliśmy go tak, jak było. Dostaje zastrzyki podskórne z soli fizjologicznej co dwanaście godzin - odparł Nidor. - Strasznie panikuje, jak zbliża się pora zastrzyku, i prosi, kogo tylko zdoła, żebyśmy przypadkiem o nim nie zapomnieli. Chcieliśmy przejść na system dwudziestoczwierogodzinny, bo to cholernie męczące, tak go kłuć co chwila. Ale uparł się, że to ty musisz potwierdzić te dwadzieścia cztery godziny, inaczej nie zamierza ryzykować. Najwyraźniej uważa cię za jakąś wielką szychę, nie wiedzieć czemu... - Pokręcił głową, podśmiewając się lekko.

- A co z Okruszkiem? - spytał Vesper niespokojnie. - Weźmiemy go do siebie? Do Nocy?

Nidor westchnął cicho.

- Nie wiem - odparł. - O tym zadecyduje Lord. Na razie umieściliśmy chłopca w pokoju gościnnym, niech leży i zdrowieje. A potem, cóż... Zobaczymy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Po chwili powtórzyło się jeszcze raz.

- Wejść! - rzucił Nidor głośno.

Rekrut wyprężył się na progu służbiście.

- Melduję się, panie kapitanie! - powiedział z wyraźnym szacunkiem.

- Trzeba przenieść nocarza do telewizyjnej - oznajmił Nidor surowo. - Tylko ostrożnie. Zrobimy to we dwóch.

- Tak jest! - potaknął młody, popatrując nieśmiało na Vespera.

W jego oczach czaił się nabożny podziw. I - odrobinę - strach.



Kiedy Ultor pojawił się w drzwiach sali, wszyscy nocarze powstali z miejsc. Nawet Vesper spróbował unieść się nieco. Tylko pretorianie pozostali w fotelach, obserwując pozostałych z lekkim rozbawieniem.

- Siadajcie - powiedział Lord.

Podszedł do barku, nalał sobie szklanekę krwi. Odwrócił się ku zgromadzonym. Nocarze śledzili w napięciu każdy jego ruch.

- I przestańcie się tak podrywać co chwilę, jak mnie tylko widzicie - rzucił z westchnieniem. - Będziecie się musieli trochę przyzwyczaić do mojej obecności. Na jakiś czas przenoszę się tutaj, póki sytuacja się nie uspokoi. Pretorianie dostali już rozkazy. Zaczynają się intensywnie uczyć polskiego, mam nadzieję, że im w tym pomożecie. - Rozejrzał się

dookoła, napotykać kolejne spojrzenia pełne aprobaty. Postać chwilę przy barze, pociągając krew ze szklanki drobnymi łykami. Nagle spowaźniał, odstawił naczynie na blat.

- Trzeba tu będzie zrobić trochę porządków - oznajmił. - Nie znaleźliśmy jeszcze kapitana Umensa. Kapitan Clam nie żyje. Musimy uzupełnić szarżę. Nowym kapitanem zostaje Alacer. - Skinął wymienionemu głową. - Gratulacje.

Awansowany nocarz skłonił się Lordowi w milczeniu. Ten ponownie skinął głową. Nadal stał w miejscu, wodząc wzrokiem po zebranych. Patrzyli nań w oczekiwaniu. To chyba nie było wszystko, co miał im do powiedzenia.

- Ciała trzech zmarłych antyterrorystów zniknęły z kostnicy - oznajmił Ultor powoli. Szmer wzburzenia rozszedł się po sali.

- Wykradli je renegaci? - spytał Alacer od razu. - Ale po co, czemu?

Vesper poczuł, jak silny dreszcz ogarnia całe jego ciało. Przeczucie, znów to cholerne przeczucie...

- Nie wykradli ich ciał - wycedził nagle przez zaciśnięte kurczowo zęby. - Oni ich... zrekrutowali. Trzy dni temu.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku. Ultor podszedł doń ciężkim, zmęczonym krokiem.

- Też tak myślę - powiedział. - Byłeś tam chwilę... Masz jakikolwiek pomysł, jak to się mogło stać?

Nocarz potrząsnął głową, ciężko dysząc. Znów ogarnęło go to przedziwne uczucie, jakby jakaś oczywistość wciskała mu się do głowy, a on bał się ją wpuścić. Chciał ją poznać, i to bardzo, a jednocześnie jakaś jego część niezmiernie się przed tym wzdragała.

- Spokojnie, Vesper - powiedział Lord łagodnie. - Wiesz przecież, co tam się stało, czuleś to przez cały czas. Nie bój się, to przecież nie twoja wina. W żaden sposób nie mogłeś temu zapobiec.

Nocarz drżał coraz silniej, łzy napłynęły mu do oczu. Zamrugał gwałtownie.

- Pielęgniarka - powiedział nagle, wargi mu drżały. - Weszła do nich, zabiła ich, podała krew z symbiontem. A potem wyszła, jakby nigdy nic. Niczym anioł śmierci... *Mulier amicta sole.*

Twarz Ultora stężała nagle w bardzo dziwnym wyrazie.

- Jak powiedziałaś? - wyszeptał. - Dlaczego właśnie tak?

Fala osłabienia ogarnęła nocarza. Przestał drzeć, głowa bezwładnie opadła mu na ramię, oczy skierowały się w sufit.

- Widziałem ją - powiedział powoli. - Szła korytarzem z tacą pełną krwi... Ich krwi. Słońce świeciło jej za plecami, jakby otaczało ją swoim blaskiem. Może dlatego właśnie takie słowa pojawiły mi się teraz w głowie: niewiasta obleczona słońcem, *mulier amicta sole*.

Utor pokiwał głową powoli.

- *Et signum magnum paruit in caelo* - wyszeptał. - *Mulier amicta sole*.

Usiadł w fotelu naprzeciwko Vespera i zamknął oczy.

- *Et luna sub pedibus eius* - mówił dalej głosem, z którego przebijał smutek. - *Et in capite eius corona stellarum duodecim*. - Skrył twarz w dłoniach i umilkł.

Zapadła cisza. Tylko wiatr uderzał o szyby, wydobywając z nich cichutki jęk.

- *Apocalypsis Johannis* - powiedział Nidor wreszcie.

- *Domine*. - dorzucił Vesper nieśmiało, podnosząc głowę.

Utor wziął się w garść. Opuścił dłonie, ułożył je na kolanach. Popatrzył po otaczających go pretorianach i nocarzach.

- Tak, to Apokalipsa - stwierdził równym, mocnym głosem. - Ulubiony fragment Aranei.

- Co to znaczyło? - zapytał rekrut Nidora cichutko. - Nie umiem po łacinie ani w ząb.

- I ukazał się cud wielki na niebie: niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod nogami jej, a na głowie jej korona z dwunastu gwiazd - objaśnił tamten zmęczonym głosem. - Objawienie świętego Jana, rozdział dwunasty, pierwszy wers.

- Widziałeś ją tam? - spytał Utor, patrząc na Vespera. - Jak wyglądała?

Nocarz zmarszczył brwi w namyśle.

- Trudno powiedzieć dokładnie, była przecież w tym szpitalnym kitlu, do tego z chustą na głowie - powiedział niepewnie. - Nawet nie zwróciłem na nią uwagi, póki na mnie nie spojrzała. Oczy miała piękne. I groźne niczym sztorm. Ale myślałem, że to zwykła kobieta, w ogóle nie było w niej nic z naszej...

- To mogła być ona - powiedział Lord. - Potrafi się kryć, jest nawet lepszym chowającym od naszego Nidora. No i jest piękna, jest bardzo piękna... - Zamilkł na chwilę, zanurzając się w myślach.

Nocarze popatrywali po nich obu stropieni.

- Dostyc na dzisiaj - powiedział Utor wreszcie. - Świta już, idźcie spać. Zostają tylko strażę. Reszta do siebie. Ruszaj!

Lekki szum rozległ się po sali. Nocarze podnieśli się z miejsc, popatrując na Utora niepewnie. Major nie miał lekkiej ręki, ale życie pod jednym dachem z Lordem może się okazać jeszcze bardziej niełatwe... Skierowali się więc czym prędzej ku drzwiom.

Nidor i rekrut pochylili się nad Vesperem, dźwigając go z kanapy.

- On zostaje - oznajmił krótko Lord.

Tamci spojrzeli nań szybko, skłonili się, puścili kolegę i dołączyli do pozostałych. Sala opustoszała.



Vesper popatrzył na Ultora z lekkim drżeniem. Czemu... Dlaczego tak?

- Mam do ciebie prośbę - powiedział Lord powoli. - Chciałbym na nią... popatrzeć.

Nocarz przeciągnął językiem po wargach, po czym pokręcił głową z wyraźnym brakiem zrozumienia. Popatrzeć? Jak?

- Przez twoje myśli, jeśli mi pozwolisz - wyjaśnił tamten. - Spojrzę na te chwile w twojej pamięci. Będę ją też wtedy widział.

Vesper rozluźnił się. Pokiwał głową z uśmiechem.

- Oczywiście, Panie - odparł pogodnie. - Oczywiście, proszę. Patrz.

Oczy Lorda wbiły się weń natychmiast, paraliżując go całkowicie. Vesper poczuł, jak kamienieje, nie mogąc nawet drgnąć, nie mogąc oderwać wzroku od tych pałających źrenic... Nagle przez jego ciało przetoczyła się fala gwałtownego uczucia, przedziwnej mieszaniny bólu, tęsknoty i pożądania. Owładnęła nim do szpiku kości, wydawało mu się, że przestaje istnieć, że cały jest tym jednym dojmującym uczuciem. Zaczął drzeć, jakby każde włókienko mięśniowe spinało się i krzyczało w proteście. Jakiś ciężar usadowił mu się na piersiach, gardło zacisnęło się, a głowa opadła bezwładnie. Świat dookoła zawirował, a potem zaczął pogrzązać się w ciemnościach.

- Dziękuję - powiedział Ultor, uwalniając go od swojego spojrzenia. - Bardzo dziękuję.

Vesper wciągnął powietrze do płuc z raptownym świstem. Zaczął ciężko dyszeć. Ślina pociekła mu kącikiem ust.

- Przepraszam - rzucił Lord nieco zmieszany. - Chyba byłem tam zbyt długo. Zapomniałem, że jesteś taki słaby. Przepraszam.

Nocarz podniósł głowę, spróbował się uśmiechnąć. Nie udało mu się. Wciąż z trudem chwycił powietrze otwartymi ustami.

- Nic nie szkodzi, Panie - wydyszał, ocierając wargi ręką. - To ona? Rzeczywiście widziałem... Panią Renegatów?

Ultor pokiwał głową powoli.

- Tak, to była Aranea - potwierdził z westchnieniem. - Tak. Chyba tylko ona ma takie rozszalałe oczy... - urwał nagle.

Niekoniecznie tylko ona, przemknęło Vesperowi przez myśl.

Bardzo podobne oczy miała tamta stażystka, kiedy leciała w dół. Przez niego, bo to on przecież podjął tę decyzję i skazał ją na śmierć.

Otrząsnął się z tej myśli natychmiast. Zrobił, co swoje, wykonał zadanie. Miał przecież chronić Okruszka. I zrobił to najlepiej jak potrafił. Nie może się tak przejmować wszystkimi dookoła, bo zwariuje przecież. I tak jest na najlepszej ku temu drodze.

Odwrócili się obaj na dźwięk otwieranych drzwi. Do sali weszli pretorianie, prowadząc Umensa, który niósł na rękach nieruchome ciało Marii.

- Chciał się z tobą widzieć, Panie - powiedział Celer, krótkim ruchem głowy wskazując nocarza. - Przyszedł sam, bez broni...

Ultor wstał, wykonał zapraszający gest ręką.

- Wejdźcie - powiedział. - Czekałem na ciebie - dodał, patrząc wprost na kapitana.

Tamten postąpił parę kroków ku niemu.

- Przyniosłem ją, Panie - powiedział drżącym głosem. - Chciałem prosić, by leżała tutaj, z naszymi. Nie obudziła się, więc... - urwał, po twarzy powoli spłynęło mu parę łez.

Lord pokiwał głową, nie mówiąc nic. Umens położył Marię na podłodze, klęknął obok i wpatrzył się w nią oszalałym z bólu wzrokiem.

- Zabiłem ją - wykrztusił. - Kazałeś mi czekać, Panie. Ale ja już nie mogłem czekać, już nie. Tak się bałem, że umrze nagle, jak człowiek. I już nie wstanie. A ja chciałem, żebyśmy nareszcie byli razem... - urwał, gardło zacisnął mu szloch.

- Poczekałbyś - powiedział Ultor miękko, przyklękając obok. - Kochałeś ją, poczekałbyś, ile by było trzeba. To nie była twoja wina, że nie zdołałeś wytrzymać. To przez tę skażoną krew, napiłeś się jej i nie byłeś już sobą, zrozum.

- Skażona krew? - zapytał tamten, nie rozumiejąc. - Kto, jak?

- Podejrzewamy, że to Staszek - odparł Lord. - Od dawna chciał zostać nocarzem. Uważałem jednak, że on się po prostu nie nadaje. Jeżeli renegaci obiecali mu, że go przyjmą w swoje wojownicze szeregi... - urwał z westchnieniem. - Wkrótce się przekonamy. Jeżeli zobaczymy go po tamtej stronie - pokręcił głową - nie będziemy mieli litości. Ale ty nie jesteś niczemu winien - powtórzył z naciskiem. - Nie byłeś sobą, rozumiesz?

- To nieważne, Panie - powiedział kapitan, kołysząc głową miarowo. - To po prostu nieważne. Może i nie byłem sobą, myśl sobie, co chcesz. A może właśnie wtedy byłem sobą najbardziej, może ta cała cywilizowana, ugrzeczniona nocarska otoczka to tylko złudzenie.

A takiego, jakim miałbym być, to już nie chcę. Już siebie nie chcę, rozumiesz? Przecież wszystko to, co tutaj robimy, to jedno wielkie kłamstwo! - Podniósł wzrok, wpatrzył się w Ultora. - Twoje kłamstwo, Panie. Wiesz o tym doskonale! - Oczy zajarzyły mu się wściekłością i rozpaczą, ręka zacisnęła się w pięść.

Niczym doskonale wyczulony pies, Celer zareagował natychmiast na zagrożenie, jakie pojawiło się w pobliżu jego pana. Błyskawicznym ruchem wy dobył bojowy nóż i przystawił ostrze do gardła nocarzowi.

- Żadnych głupich ruchów - ostrzegł poważnie.

- Dziękuję - wyszeptał Umens, uśmiechając się z ulgą.

I gwałtownym ruchem pochylił się w przód.

Ostrze weszło w ciało jak w masło. Momentalnie zazgrzytało o kręgosłup, przecinając rdzeń. Dopiero wtedy zatrzymało się, spływając strumieniem krwi.

Pretorianin krzyknął i odskoczył w bok, wyszarpując rękę z nożem. Ciało Umensa zważyło się bezwładnie do przodu. Głowa, nie całkiem odcięta, chwiała się jeszcze na boki.

- Dokończ go - powiedział Lord pobladłymi ustami, wstając. - Już.

Celer pochylił się posłusznie. Drżącymi rękami odciął głowę kapitana, podniósł ją i rzucił do stóp. Wyprostował się, patrząc w przerażeniu na Ultora, powolnymi ruchami ocierającego z twarzy krew.

- Panie, ja... - wybełkotał wstrząśnięty. - Ja tylko... Ja...

- Tak, wiem - odparł Lord Wojownik odrętwiałym głosem. - Wiem.

Popatrzył w dół na rozpostarte przed nim ciała. Nie wypowiedział jednak ani słowa.

Wreszcie spojrział na Vespera, skulonego nieruchomo na kanapie.

- Idź spać, nocarzu - powiedział powoli. - Nic tu po tobie, za słaby jeszcze jesteś. Posprzątam sami. - Skinął głową na jednego z pretorianów. - *Acies, help him get to his room.*

Acies podszedł do kolegi, wyciągając ku niemu pomocną dłoń. Vesper pochwycił ją i dźwignął się z trudem.

- Tak jest, Panie - oznajmił posłusznie, starając się nie patrzeć na ciała rozciągnięte na podłodze w kałuży czerwieni. - Pójdę już spać. Tak jest.

Ultor pokiwał głową w milczeniu.

Vesper wsparł się na Aciesie, drepcząc razem z nim ku drzwiom. Siłą hamował drżenie warg i nacierające do oczu łzy. Czuł się słaby, zmęczony i wyczerpany jak nigdy dotąd. Tak bardzo miał już tego dość... Tego wciąż od nowa pojawiającego się bólu, wiecznego głodu i wszechobecnej krwi.

Ale przecież nie rozplacze się przy Lordzie i przy pretorianach.

Może u siebie w pokoju, kto wie.

Ale na pewno nie tu.



Take a little walk to the edge of
town
Go across the tracks
Where the viaduct looms,
like a bird of doom
As it shifts and cracks
Where secrets lie in the border
fires,
in the humming wires
Hey man, you know
you're never coming back
Past the squares, past the bridge,
past the mills, past the stacks
On a gathering storm comes
a tall handsome man
In a dusty black coat with
a red right hand
He'll wrap you in his arms,
tell you that you've been a good
boy
He'll rekindle all those dreams
it took you a lifetime to destroy
He'll reach deep into the hole,
heal your shrinking soul
But there won't be
a single thing that you could do
He's a ghost, he's a god,
he's a man, he's a guru
They're whispering his name
across the disappearing land
But hidden in his coat

is a red right hand
You ain't got no money? He'll get
you some
You ain't got no car? He'll get
you one
You ain't got no self-respect,
you feel like an insect
Well don't you worry buddy,
cause here he comes
Through the ghetto and the barrio
and the bowery and the slum
A shadow is cast wherever he
stands
Stacks of green paper in his
red right hand
You'll see him in your nightmares
you'll see him in your Dreas
He'll appear out of nowhere
but he ain't what he seems
You'll see him in your head,
on the TV screen
And hey buddy,
I'm warning you to turn it off
He's a ghost, he's a god,
he's a man, he's a guru
You're one microscopic cog
in his catastrophic plan
Designed and directed
by his red right hand

Nick Cave „Red Right Hand”

Krótki spacer weź na sam miasta
kres
Tam przez tory przejdź
Pod wiaduktem idź
Co jak burzy ptak
Wśród łopotu gna
A sekrety wciąż w ogniu barier
śpią
W szmerze drutów drżą
Hej, stary, nigdy już
Nie wrócisz, wiesz.
Poprzez plac, poprzez most
Poprzez młynów, prętów moc
Razem z burzą bieży on,
Ten wysoki, piękny gość
W zakurzonym czarnym płaszczu
Kryje krwawą prawą dłoń
Weźmie cię w ramiona swe
Powie: „Dobry z ciebie chłop”
I rozbudzi wszystkie twe sny
Mordowane z takim trudem dzień
po dniu
Sięgnie śmiało w głąb
I uzdrowi duszę twą
A ty nie poradzisz na to
nic a nic
Oto bóg, oto duch,
Oto człowiek, oto guru
Jego imię niesie szept
Ziemi, która znika stąd
Lecz pod płaszczem skrywa on
Swoją krwawą prawą dłoń

Jeśli kasy ci brak, on się zajmie
tym
Furę jakąś byś chciał, wal do
niego jak w dym
Ważnym wreszcie czuć się chcesz,
Choć wciąż żyjesz jak wesz
Cóż, nic się nie martw, bracie,
Oto on
Idzie z getta, z dzielnic złych,
Z tych szemranych stron
Gdzie zatrzymać się chce pada już
złowrogi cień
A zielonych pełna jest
Jego krwawa prawa dłoń
W swych koszmarach ujrzysz go
W marzeniach będzie też
Jakby znikąd się wziął
Jego wygląd zwiedzie cię
W głowie twej zagnieździ się
W telewizor wnuknie wnet
Hej, bracie, mówię ci,
Czym prędzej wyłącz to
Oto duch, oto bóg
Oto człowiek, oto guru
A tyś ledwie pionkiem jest
Zamotanym w planów toń
Które wciąż reżyseruje
Jego krwawa prawa dłoń

*Nick Cave „Krwawa prawa dłoń”
tłum. M. Kozak*

Kapitula



arina stała przed stolikiem w barze „Moonwalker”. Patrzyła na Vespera, przechylając lekko głowę i marszcząc brwi.

- Skądś cię pamiętam... - zastanawiała się usilnie. - Faktycznie.

Uśmiechnął się speszony. No tak, głupi był, oczekując, że dziewczyna zapamięta jakiś przelotny numerok sprzed... Zaraz, ile to czasu minęło? Miesiąc? Dwa? Chyba nawet ze trzy. A on pracował ciągle, nawet nie zajrzał, nie zadzwonił ani razu... To i nic dziwnego, że go zapomniano. Odchrząknął, pokrywając zmieszanie.

- Nieważne - rzucił, siląc się na swobodny ton. - Tak czy inaczej, masz pozdrowienia od Nidora.

Rozpromieniła się natychmiast.

- Ach, Nidor! - powiedziała, oczy jej zabłyśły. - Pozdrów go ode mnie i w ogóle od nas wszystkich, dziewczyn z „Moonwalkera”. Przedtem bywał tu dosyć często... - Uśmiechnęła się przelotnie do któregoś ze wspomnień. - Ale strasznie dawno się nie pokazywał, myślałyśmy, że już o nas zapomniał.

- Ranny był - wyjaśnił krótko Vesper. - Leczył się. Długo i paskudnie.

Załamala ręce pełnym współczucia gestem.

- Ale wszystko u niego w porządku, co? - zapytała przejęta. - Co to za rana? - dorzuciła z niepokojem.

- Spokojnie - roześmiał się w odpowiedzi. - Najważniejsze ocalało.

Pojaśniała trochę, minę jednak wciąż miała zmartwioną.

- Powiedz mu, żeby zajrzał czasem - poprosiła. - My tu wiemy, jaką oni tam mają ciężką służbę... - urwała nagle, obrzucając go niespokojnym spojrzeniem, niepewna, czy aby nie powiedziała za dużo.

- Jasne. - Pokiwał uspokajająco głową. - Przekażę mu każde twoje słowo.

Ona nawet nie pamięta, że ja też jestem nocarzem, westchnął w duchu z żalem. No cóż, Bondzie, cieniżna z tą twoją karierą superbohatera. Jak na razie zapierniczasz od zmierzchu do świtu, a laski nawet nie raczą pamiętać o twoim istnieniu. Nie tak miało być, zdecydowanie nie tak.

Popatrzył w przeciwległy kąt sali, porozumiał się wzrokiem z Fulgurem. Lokal czysty, żadnych koleśki naćpanych nielegalną krwią. W porządku, ruszamy do następnego.

Podniósł się, rzucił parę monet, które potoczyły się po stoliku z brzękiem. Popatrzył na Karinę, uśmiechając się do niego uprzejmie.

- No to na razie - powiedział. - Trzymajcie się ciepło, dziewczyny z „Moonwalkera”. Zajrzemy do was kiedyś jeszcze.

Pokiwała głową. Nagle jej oczy rozszerzyły się zrozumieniem. Widocznie przypomniała go sobie.

- Aaa tak... - powiedziała. - Poznaję. Ty jesteś ten nowy nocarz. - Roześmiała się, tym razem zupełnie inaczej: czarująco i uwodzicielsko. - No tak... Strasznie dawno cię nie widziałam.

- Się pracuje - rzucił swobodnie. - Rozumiesz.

- Zajrzyjcie jeszcze kiedyś - ponowiła zaproszenie, całując go w policzek. - Koniecznie.

Fulgur stał już w drzwiach, patrząc wymownie na zegarek. Będziesz się jeszcze trochę pierdzielił, stary, to skończymy ten obchód najwcześniej w południe. Vesper westchnął krótko. Ot i tyle w temacie próby posiadania życia prywatnego. Udowodniono: niemożliwe.

- Zajrzemy. Koniecznie. - Przytulił Karinę krótkim ruchem, puścił zaraz i ruszył do drzwi.

Wcale nie był pewien, czy w ogóle zamierza dotrzymać tej obietnicy. Owszem, niebrzydka była, no i rozrywkowa, jak na Winorośl przystało. Ale coś jednak mu nie pasowało. To nie było to, czego szukał.

Może to dlatego, że go tak łatwo zapomniała? A może dlatego, że miała takie wesołe, uśmiechnięte oczy, całkiem ładne nawet. Ale on wolałby chyba, żeby była w nich jakaś tajemnica, jakiś żywioł, pożar lub sztorm...

Tak czy inaczej, to było nie to. Zupełnie nie to.



Wbrew czarnowidztwu Fulgura zdążyli wrócić do bazy o siódmej rano. Odmeldowali się krótko Alacerowi. Na mieście chwilowo cisza, spokój. Żadnych zaćpanych wampirów. Żadnych awantur. Kapitan pokiwał głową z zadowoleniem, po czym odesłał ich spać.

Vesper był już dość zmęczony, postanowił jednak nie unikać dłużej swojego obywatelskiego obowiązku. Zapukał do jednego z apartamentów gościnnych, gdzie zakwaterowano Okruszka.

Ten pokręcił głową, widząc go tak wcześnie, na dodatek w dżinsach i swetrze. Sam był w piżamie i dopiero zabierał się za ceremoniał golenia. Na szczęście dla Vespera nie podniósł jeszcze żaluzji w oknach, dzięki czemu w jego pokoju panował w miarę znośny blask.

- Już chodzisz? - zapytał Okruszek ze zdziwieniem. - Tydzień temu leżałeś jak kłoda, a dzisiaj już na nogach? - Pokręcił głową. - Dużo się tu dziwnych rzeczy dzieje, za dużo jak na mój mały rozumek prostego gliny. Moja kobita wariuje, dopytując przez kolegów, gdzie jestem i czemu jeszcze nie wracam do domu, jak Bozia przykazała. A ja nawet nie wiem, co zeznawać. Zabronili mi do niej dzwonić. Może ty jej wytłumaczysz, co? Inaczej będzie dzika awantura. Niemców będę miał w domu przez miesiąc, jak nic. - Westchnął ciężko, wykonał zapraszający gest ręką. - Chodź, siadaj.

Zasiedli obaj w fotelach przy stoliku. Vesper popatrzył na szklanekę z sokiem pomarańczowym stojącą na stoliku. Skrzywił się, sięgnął po piersiówkę.

- Mogę? - zapytał. - Nie będzie ci przeszkadzało?

- Porzygam się natychmiast - oznajmił tamten kategorycznie. - Nawet nie próbuj. Nie przy mnie, dobrze?

Nocarz westchnął, położył ręce na kolanach. Zabębnił po nich palcami niecierpliwie.

- No trudno - westchnął. - Lord mówi, że powinienem teraz dużo jeść, żeby zdrowieć jak najszybciej. Ale skoro ci to przeszkadza...

- Powiedz mi, co tu się dzieje? - przerwał mu policjant niespokojnie. - Bo ci twoi koledzy ani słowa nie pisnęli, stwierdzili tylko, że najlepiej będzie, jak ty sam mi wszystko wytłumaczysz. A tyś się gdzieś zapodział łaskawie na cały tydzień. Myślałem, że jesteś w szpitalu, po tym jak cię zdjął ten snajper... Kamizelka wytrzymała? - urwał, popatrzył na Vespera uważnie. - No nic, słucham. Gdzie ja jestem, w wariatkowie?

- Komórki ludzkie mają z góry zaplanowaną liczbę podziałów - powiedział Vesper. - A przynajmniej znakomita większość z nich. Takie fibroblasty na przykład dzielą się pięćdziesiąt razy i koniec. Umierają.

Okruszek popatrzył na niego pytająco. Na razie ewidentnie nie widział związku, ale póki co nie przerywał.

- Czasami zdarza się, że komórka zwariuje i zaczyna się dzielić ponadprogramowo. Staje się jakby nieśmiertelna - ciągnął Vesper niewzruszenie. - Jednak tracąc tę dyscyplinę, głupiej. Przestaje wiedzieć, co powinna robić, zachowuje się byle jak. Zostaje komórką nowotworową. I mnoży się bez opamiętania.

Policjant pokiwał głową, a potem pokręcił nią przecząco. Czyli: rozumiał, i owszem, ale dalej nie widział związku. Nocarz uśmiechnął się lekko.

- Jest symbiont - powiedział - mikroorganizm, czy nawet tylko cząsteczka, jak wirus albo prion. Trudno powiedzieć, żywy czy martwy. Nie je, nie pije, nie rozmnaża się samodzielnie. Ale kiedy dostanie się do twojego organizmu, wnika do wszystkich komórek. Podłącza się do ich DNA, modyfikuje szlaki metaboliczne. I uczy je, jak żyć.

Człowiek westchnął ciężko, z rezygnacją. Chyba w ogóle nie otrzyma sensownej odpowiedzi na swoje pytanie.

- Podejrzewamy, że w kwestii regeneracji symbiont przełamuje właśnie tę barierę, pozwala komórce dzielić się ponadprogramowo, a jednocześnie utrzymuje jej samodyscyplinę, nie pozwala zamienić się w nowotwór. I uczy ją nowych rzeczy. Ot i wszystko. - Vesper umilkł, jakby uważał temat za wyczerpany.

- Jak to wszystko? - oburzył się Okruszek. - Mów do mnie po ludzku, jakiś wykład z komórek mi wałnąłeś i już? Ja jestem prosty glina, do mnie trzeba łopatologicznie!

Nocarz sięgnął ręką do kieszeni bluzy od dresu, gdzie trzymał piersiówkę, po czym pochwyciwszy wzrok policjanta, opuścił ją z lekkim westchnieniem.

- Porzygam się - ostrzegł Okruszek poważnie.

- Dobra już, dobra - burknął Vesper. - No, co jeszcze chcesz wiedzieć? Na czym dokładnie polega wpływ symbionta na cytofizjologię? Nie wiemy, nikt nie wie. Owszem, nasze laboratoria pracują nad tym, ale za mało mamy danych póki co. To nie jest takie proste, cytofizjologia normalnej komórki ludzkiej nie została jeszcze całkiem poznana, a co dopiero takie coś...

- Czy ty myślisz, że ja cię pytam o jakieś naukowe bzdety? - zachnął się człowiek. - Opisz mi, na czym to polega w praktyce! Jak to się dzieje, krok po kroku, kim jesteście, czego się mam po was spodziewać i tak dalej. W praktyce, rozumiesz?

- W porządku, opowiem prościej - zgodził się nocarz. - Najpierw wybiera cię Lord, sprawdza, czy się nadajesz. Potem cię zabija. - Pochwycił spłoszone spojrzenie człowieka, pokiwał głową. - No tak, właśnie. Jak zabije, daje ci swoją krew z symbiontem. Najlepiej, jak się dobrze wykrwawisz przed śmiercią, wtedy się twój własny układ odpornościowy tak nie burzy. No i czekamy standardowe trzy dni, aż się to wszystko przegryzie, nie zawsze się udaje, ale najczęściej tak. W międzyczasie szybki pogrzeb, te sprawy. A potem wstajesz i budzisz się dla Nocy. Jako wyjątkowo odporny i twardy skurwysyn. O ile nie uszkodzą ci głowy albo serca bądź nie poszatkują cię na kawałki, zagoi ci się prawie wszystko. Tylko na światło jesteś wrażliwy, zwłaszcza na ultrafioletowe. Strasznie parzy. Więc raczej wolisz noc, skoro i tak wszystko widzisz, masz przecież bardzo sprawne oczy.

- Że co... że jak? - wybełkotał Okruszek wstrząśnięty. - Chodzisz prawie nieśmiertelny nocą... - Nagle wbił w niego przerażone spojrzenie. - I pijesz krew?

- Sztuczną - usiłował go uspokoić Vesper. - Taką z fabryki...

- Jesteś pierdolonym wampirem, to mi chcesz powiedzieć?! - wykrzyknął zbulwersowany człowiek. - Wszyscy tu tacy jesteście! Dlatego żyjecie tu nocą i wszystko jest takie ciemne... I umiecie latać, wcale się nie wspinacie, teraz rozumiem!

- Symbiont wspomaga naturalne zdolności parapsychiczne człowieka - powiedział nocarz, siląc się na spokój pomimo ewidentnego wzburzenia rozmówcy. - Włączając w to telekinezę i lewitację. W zależności, kto ma do czego talent i nad czym chce popracować, to sobie najlepiej rozwinię. Ale pewien podstawowy zestaw umiejętności posiadamy wszyscy, tak.

Policjant podniósł ze stolika szklankę z sokiem pomarańczowym, zaczął pić powoli, jakby na siłę chciał się uspokoić w ten sposób. Nagle odstawił szklankę i wbił w nocarza oskarżycielskie spojrzenie.

- I to ten symbiont każe ci pić krew? - rzucił gniewnie. - I zabijać niewinnych ludzi?

Vesper sapnął zniecierpliwiony. Najwyraźniej Okruszek nie chce go zrozumieć, po prostu nie chce. Wie swoje i już, i nie zamierza przyjmować do wiadomości żadnych innych punktów widzenia.

- Krew piję sztuczną - wycedził, resztkami sił przywołując spokój. - I nigdy nie zabiłem nikogo niewinnego!

- Przestań, stary! Ta dziewczyna w szpitalu wyleciała oknem przez ciebie! - nie wytrzymał ateciak. - Nie mogłem zrozumieć, jak potrafiłeś ją tak spokojnie poświęcić. - Pokręcił znowu głową, po czym dorzucił z gryzącą goryczą: - Ale teraz już wiem. Bo ty nie jesteś człowiekiem! Wisiało ci, co się z nią stanie, i tyle!

Vesper zacisnął wargi, złość narastała gwałtownie. Żałował tej stażystki, owszem. Ale podjął decyzję, a teraz nie będzie się z niej wyplakiwał przed tym przemądrzałym gliniarzem, który się zachowuje, jakby i tak wszystko wiedział lepiej. Niewdzięczny drań.

Wstał z fotela, stanął nad Okruszkiem. Dłonie zwinęły mu się w pięści, a w dżiąsłach poczuł znajome świerzbiecie.

- Byłem na służbie! - wyrzucił gwałtownie. - I miałem zadanie. Za wszelką cenę ratować Piotra Jaźwińskiego. - Odetchnął głęboko. - Koniec i kropka w tym temacie!

Ateciak zerwał się, prostując się również. Jęknął z bólu, ale opanował się natychmiast. Popatrzył w twarz Vesperowi z wyraźnym wyzwaniem.

- Młodszy aspirant Jaźwiński sam dysponuje własnym życiem póki co! - wykrzyczał z gniewem. - I jeżeli uznałbym za stosowne poświęcić je w tamtej właśnie chwili, nikomu nic

do tego! To moja decyzja, tylko i wyłącznie! Nikomu nic do tego, a zwłaszcza jakimś pierdolonym wampirem, grającym w swoją grę kosztem niewinnych!

Vesper poczuł, jak kły wysuwają mu się z dziąseł, a serce zaczyna łomotać pośpiesznie. Wyrzut adrenaliny szykował jego ciało do błyskawicznego ataku. Rozszerzone źrenice łowiły chciwie każdy ślad ruchu przeciwnika.

To przecież Okruszek, pojawiła się nagle zbawienna myśl. Jest tylko człowiekiem, nie musi wszystkiego rozumieć... Opuść mu, stary. Po prostu opuść.

Cofnął się więc, rozwarł pięści. Wrócił do fotela i usiadł, opanowując się z całych sił.

- Tam jeszcze byli renegaci - wymówił z trudem. - Dla twojej wiadomości, to są takie klasyczne złe wampiry rodem z tanich horrorów. Te, co napadają, zabijają i chłepczą krew z jeszcze ciepłych żył. Dostaliby cię, przekabacili na swoją stronę... Nie mogłem do tego dopuścić.

- Bo ty, jak rozumiem, jesteś ten dobry wampir, tak? - rzucił Okruszek. - Tak? - powtórzył z naciskiem, patrząc na wychylające się spod warg oponenta kły.

Vesper milczał przez chwilę, walcząc z kłębiącymi się wewnątrz emocjami. Gniew splatał się ze wstydem, żalem, czym jeszcze? - nie potrafił określić.

- Nie - oznajmił wreszcie cicho. - Ja tylko jestem ten odrobinę mniej zły.

Policjant osunął się na fotel. Oparł łokcie o kolana i schował twarz w dłonie.

- Najpierw myślałem, że jesteście z „Piątki” - powiedział z rezygnacją w głosie. - A potem, że to jeszcze coś innego, jacyś supertajni rządowi supermeni albo co. A wy się po prostu podszywacie. Wcale nie jesteście... legalni!

- Pod nikogo się nie podszywam - odparł Vesper zmęczonym tonem. - Jestem funkcjonariuszem ABW, też składałem przysięgę, jak wszyscy. Tylko realizuję ją w trochę niekonwencjonalny sposób. - Zaśmiał się z lekką goryczą.

Ateciak podniósł wzrok.

- Naprawdę? - spytał ze śladem nadziei w głosie.

- Naprawdę - stwierdził nocarz z przekonaniem. - I walczę z renegatami co sił.

Okruszek z powrotem schował twarz w dłonie. Zapadło ciężkie, przygnębiające milczenie. Vesper splótł palce, szykując się na kolejny wysiłek. Musi mu powiedzieć jeszcze jedno... Nie można już dłużej zwlekać.

- Wiem, że to cię nie pocieszy... - oznajmił, starając się powoli i spokojnie artykułować każde słowo. - Ale muszę ci to powiedzieć, wybacz. - Odetchnął głęboko. - Może być tak, że spotkasz swoich kolegów z AT. Heńka, Marcina i Karola. Tych, co tak ciężko oberwali w Polfie, pamiętasz.

Okruszek podniósł twarz, patrząc na niego z wyraźnym niepokojem.

- Zmarli w szpitalu tydzień temu - powiedział nocarz. - Myśleliśmy, że z ran. Ale to nieprawda, oni zostali zrekrutowani... - Przełknął ślinę, zawahał się nieco, wreszcie dokończył: - Przez renegatów. Jeżeli ich spotkasz, wiedz, że są teraz po tamtej stronie. I zabij ich, o ile zdołasz. Zanim oni zabiją ciebie. - Zamilkł, bojąc się powiedzieć cokolwiek więcej.

- Zostaw mnie samego - poprosił policjant nagle. - Muszę to wszystko... przemyśleć.

- Jasne - odparł Vesper, podnosząc się z fotela. - I tak póki co zostaniesz u nas, przynajmniej przez jakiś czas - dodał cicho. - Nigdzie indziej nie jesteś bezpieczny.

Podszedł do wyjścia, klamka ustąpiła pod jego ręką, otwierając drzwi z cichym zgrzytem. Przeszedł próg, obejrzał się na siedzącego ze spuszczoną głową Okruszka. Tamten ani drgnął.

- Co z nim zrobimy, Panie? - zapytał Vesper Lorda pokornie.

Spotkał Ultora przy barku w telewizyjnej i natychmiast skorzystał z okazji. Pomimo tego, że Lord zamieszkał u nich i można byłoby się spodziewać, że będzie bardziej dostępny, wciąż był potwornie zajęty.

Bardzo trudno było dopchać się do niego na oficjalną audiencję. Zwłaszcza takiemu młodemu nocarzowi jak Vesper, który przecież wciąż pozostawał na szarym końcu w kolejności dziobania.

- Z tym policjantem? - rzucił Lord domyślnie. - Nie wiem, szczerze mówiąc. Chętnie bym go widział u nas. Myślisz, że będzie chciał obudzić się dla Nocy? - spytał, nalewając sobie do szklanki krew.

- Wątpię - odparł szczerze Vesper. - O ile wiem, ma żonę i syna. Nie zdecyduje się ich zostawić. Na pewno nie.

- To niedobrze - westchnął Lord. - Nie przyłączy się do nas, mówisz... A wie już dużo, i to o wiele za dużo. No cóż, w takim razie musi zdecydować Kapituła.

Vesper zawiesił na nim pytający wzrok.

- Być może uznamy go za Przyjaciela - wyjaśnił Ultor. - Są już tacy ludzie. Ufamy im i wtajemniczamy ich w niektóre nasze sprawy. No i zazwyczaj zatrudniamy, ma się rozumieć.

- Na przykład komórki rekrutacyjne... - zrozumiał nocarz od razu. - A więc to tak.

Lord kiwnął głową, dopił zawartość szklanki, po czym skierował się do wyjścia. Najwyraźniej uznał audiencję za skończoną.

- Ale, Panie... - zatrzymał go Vesper, po czym zaczął prosić sypać słowami. - To co z nim będzie i kiedy, bo ja przecież nie wiem, kiedy ta Kapituła i w ogóle, i co, jak go nie przyjmą?

Ultror westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Posłuchaj, Vesper, ja wiem, że to twój przyjaciel i że to dla ciebie ważne - powiedział, siląc się na spokój. - Ale ja mam w tej chwili inne priorytety na głowie. Na przykład co będziesz jadł pojutrze. - Zmierzył go poważnym spojrzeniem. - Fabryka sztucznej krwi wyleciała w powietrze, magazyn też, część tutejszego składu zatruta. Musimy zorganizować nowe zapasy. W związku z tym wybaczone, ale jakiś człowiek może trochę poczekać ze swoimi problemami.

- Ale, Panie - poprosił Vesper - on już tak tydzień czeka... i jego rodzina też.

- No cóż - burknął Lord, wyraźnie zły. - Jeżeli ci się tak bardzo śpieszy z załatwieniem tej sprawy, zabijemy go od razu. To nam rozwiąże problem dosyć skutecznie. Może być?

Nocarz pochylił natychmiast głowę.

- Poczekamy - stwierdził pokornie. - Wybaczone, Panie.

- Nie ma sprawy - odparł Ultror i wyszedł z sali szybkim krokiem.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Dopiero wtedy Vesper odetchnął głęboko. O mało nie zabił Okruszka swoim głupim gadaniem. Ależ było blisko, a niechże go diabli. A niechże.

- Niezdrowo robić zły pan, jak bardzo dużo pracuje - oznajmił Acies spod okna, starając się jak najlepiej wymawiać polskie słowa. - Prawda to, prawda. Ja wiem.

- *Shut up.* - warknął Vesper pretorianinowi w odpowiedzi. - *I didnt ask...*

Tamten zamknął się, wzruszając demonstracyjnie ramionami. Nie chcesz dobrych rad, dupku, kiedyś odczujesz ich brak na własnej skórze. Vesper wziął nową szklanę, nalał krwi do pełna. Ręka trzęsła mu się nieco, rozlewając płyn.

- On nie ukrzywdzi - zlitował się Acies, nie chowając najwyraźniej urazy. - Tylko mówi tak. Ale nie ukrzywdzi... Za byle co.

- Chyba że uzna, że powinien - powiedział nocarz nieco spokojniej. - Ze tego wymaga tak zwane dobro Sprawy.

- A, to wtedy tak - zgodził się pretorianin.

Zamilkli obaj, uznając temat za zamknięty.



Vesper powlókł się do swojego pokoju. Zwalił się na łóżko, sprężyny materaca lekko jęknęły pod jego ciężarem. Zapatrzył się w okno. Szczelnie zasłonięte żaluzje nie wpuszczały ani fotonu ultrafioletu.

Westchnął ciężko. Sięgnął do kieszeni dresu, wyjął komórkę. Czas wreszcie popełnić jakiś naprawdę dobry uczynek. Może tym razem się uda.

Wystukał numer, który Okruszek podał mu jako telefon do żony. Słuchał przez chwilę długiego sygnału.

- Renata Jaźwińska, słucham - odezwał się wreszcie w słuchawce kobiecy głos.

Vesper skojarzył go natychmiast. To ta kobieta nagrana była na poczcie głosowej Okruszka. A zatem wszystko jasne. Żona.

- Jerzy Malinowski, kłaniam się - powiedział nieco oficjalnym tonem. - Jestem pracownikiem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dzwonię w sprawie pani męża, Piotra...

Cisza, jaka zapadła nagle po drugiej stronie, porażała wręcz swoim ciężarem.

- Proszę się nie obawiać, wszystko z nim w porządku - wyrzucił natychmiast uspokajająco. - Chciałem tylko poinformować panią, że Piotr jeszcze jakiś czas pobędzie tu z nami. Jest oddelegowany w bardzo ważnej sprawie, trudno mi powiedzieć, kiedy wróci... - ...o ile w ogóle wróci, dodał w myślach, przetykając ślinę.

- Ach tak - odparła z wyraźną ulgą.

Zamilkli oboje.

- Zadzwoń do pani, jak tylko ustanowimy bezpieczne połączenie - zapewnił po chwili, chcąc przerwać tę niezręczną ciszę. - Na razie mogliby namierzyć jego komórkę...

- Z pańskiej, oczywiście, nie może zadzwonić - odburknęła gniewnie. - No tak, znowu uprawia tę swoją wojenkę, a ja tu dźwigam wszystko na głowie. - Zaczęła nagle trajkotać gorączkowo. - Jasne, bawcie się tam dobrze, chłopcy. Postrzelajcie ze swoich zabawek. Pościgajcie się trochę. Tylko proszę mu powiedzieć, że skoro już się założyło rodzinę, to wypadaloby być za nią odpowiedzialnym trochę. Pobyć mężem i ojcem od czasu do czasu, a nie znikać ciągle na nie wiadomo jak długo, bez słowa. No cóż, trudno, jak sobie chce. Tylko żeby się nie dziwił, jak kiedyś zostanie walizki na wycieraczce i zmienione zamki w drzwiach. Niech mu pan przekaze, żeby wrócił, kiedy nareszcie dorośnie.

- To są naprawdę ważne sprawy - wykrztusił Vesper, nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Nie wątpię - wysyczała z jadem. - Miłej strzelaniny. Do widzenia! - Rozłączyła się.

Vesper bezradnie opuścił rękę z komórką. To by było na tyle w kwestii dobrych uczynków, pomyślał. Biorąc pod uwagę całokształt spraw, dużo lepiej wychodzi mu ostatnio zabijanie.

Dźwignął się z łóżka. Podszedł do okna, oparł dłoń na kontrolce żaluzji. Lampka świeciła czerwonym alarmem. Godzina dwunasta. Najwyższy stopień zagrożenia ultrafioletem. Ciekawe, jak teraz wygląda słońce, przemknęło mu przez myśl. Dawno już go nie widziałem... w samo południe.

Popatrzył jeszcze przez chwilę na kontrolkę, zaciskając na niej palce. Jeden ruch i żaluzje powędrują do góry, wpuszczając do pokoju dzień.

- Nie masz już odwrotu, stary - wyszeptał cicho. - Umarłeś dla Dnia, kiedy obudziłeś się dla Nocy. Nie możesz żyć tu i tu.

Opuścił dłoń. Odwrócił się od okna, powrócił do łóżka i położył się na nim na wznak. Nie chciało mu się spać, nic a nic. Wbił oczy w sufit. Siateczka drobnych pęknięć zbiegała się, rozchodziła i łączyła z powrotem... Interesujące.

Rozległo się głośne, natarczywe pukanie do drzwi.

- Proszę! - rzucił półgłosem.

Do pokoju zajrzał Nidor. Zatrzymał się na progu i popatrzył na przyjaciela, wyraźnie wzburzony.

- Lord chce nas widzieć - oznajmił pośpiesznie. - Obu naraz, i to już. Podpadłeś w czymś? - Spojrzał na Vespera badawczo.

- Nie wiem, może... - wyjąkał tamten, podrywając się natychmiast. - Wiesz, jak to z nim jest. Nie znasz dnia ani godziny, kiedy mu się coś nie spodoba...

- No nic, zobaczymy - westchnął kapitan. - Zbieraj się, stary. Już!

Vesper ruszył od razu do wyjścia.



Ultor popatrywał na nich zza biurka. Siedzieli cichuteńko jak trusie na swoich krzesłach i nie odzywali się. Jak będzie chciał, sam powie, co do nich ma. Drażnienie rekina jest mocno niewskazane. Zwłaszcza kiedy pracuje już kolejny dzień z rzędu. A nawet dzień i noc.

- Zebranie Kapituły jest w najbliższy czwartek - oznajmił wreszcie Lord.

Vesper i Nidor wymienili ukradkowe spojrzenia. Kapituła? No dobrze, ale co z tego, przecież oni są zwykłymi nocarzami, za wysokie progi na ich pieskie nogi...

- Zamierzam załatwić tam parę spraw - mówił Ultor dalej. - Przedstawimy pozostałym Lordom tego waszego kandydata na Przyjaciela. Zobaczymy, może uzyska ich akceptację. - Popatrzył na Vespera poważnie. - W sumie miałeś rację, nie należy czekać z tym zbyt długo. To niehumanitarne, przetrzymywać tu gościa miesiącami, by go potem zabić, jeżeli Kapituła go nie zaakceptuje.

Vesper gwałtownie przełknął ślinę. A to się przysłużył Okruszkowi, nie ma co. Może by mu kupił chociaż kilka miesięcy życia. A tak, jeżeli sprawy pójdą źle...

- Po drugie, pokażemy młodego - powiedział Lord. - Nie jestem pewien, czy on się w ogóle nadaje na nocarza. Ale może któryś z innych Rodów będzie chciał go wziąć.

Pokiwali głowami zgodnie. Szkoda by było zabijać młodego. Owszem, wkurzający jest. Ale jakoś się przyzwyczaili.

- No i po trzecie - dodał Ultor ze śladem rozdrażnienia w głosie - pozbędę się stąd was obu na jakiś czas.

Otworzyli szeroko oczy w zdumieniu.

- Ktoś musi się zaopiekować naszymi drogimi ludzkimi gośćmi - wyjaśnił. - Przydziełam was do ich obstawy. Będę was miał obu z głowy na parę dni. Mam nadzieję, że tyle wystarczy.

- Ale... Panie... - uniżenie zaprotestował Nidor. - Czy mogę osmielić się zapytać... dlaczego?

Ultor odchylił się nieco w fotelu, obserwując ich uważnie. Zesztywnieli, czując się wyjątkowo nieswojo pod tym spojrzeniem. Czym podpadli, że ich miał aż tak dość?

- Po pierwsze, jesteście na celowniku u renegatów, zarówno wy, jak i ten człowiek - powiedział wreszcie. - Jeśli im znikniecie z pola widzenia na jakiś czas, może będziemy mieli chwilę oddechu. Po drugie... - popatrzył na Nidora surowo - jak sobie nie przestaniecie dogryzać z Alacerem, będę musiał kiedyś ściąć was obu. Wolałbym tego uniknąć.

Kapitan poczerwieniał i spuścił głowę.

- Ale to on zaczyna... - bąknął głupio, dziecinnie.

- Ty sobie pobędziesz w Anglii - oznajmił Ultor spokojnie, jakby nie usłyszał tej uwagi. - A on w międzyczasie poczuje się trochę pewniej tutaj. Odnoszę wrażenie, że kapitan Alacer nie uważa się za wystarczająco kompetentnego na swoim nowym stanowisku. Obawia się jakiegokolwiek krytyki z twojej strony, więc atakuje pierwszy.

Nidor pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A i ty mu nie odpuszczasz - ciągnął bezlitośnie Lord. - Czasem zachowujesz się, jakbyś nie mógł przywyknąć do myśli, że jesteście teraz równorzędni. Alacer ma powody obawiać się twoich uwag... Przyznaj sam.

- Tak, Panie - wyszeptał Nidor niechętnie.

- Cieszę się, że się rozumiemy - powiedział Ultor. - Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Vesper... - Przeniósł wzrok na nocarza, który skulił się natychmiast pod jego spojrzeniem. - Zaczynasz się tu troszkę dusić, jak mi się wydaje. Zmienisz otoczenie, przyda ci się.

Wstał zza biurka, obwieszczając w ten sposób koniec audiencji. Natychmiast podnieśli się i oni.

- To wszystko - oznajmił Lord sucho. - Złóżcie w administracji zamówienia na bilety. Widzimy się w Londynie. Możecie wyjść.

Ruszyli bezzwłocznie do drzwi. Zatrzymali się na progu, z przepisowym ukłonem głowy w kierunku władcy.

- Aha, i poproście tu do mnie Alacera - powiedział, obrzucając ich niewzruszonym spojrzeniem.

- Tak jest! - odpowiedzieli chórem.



Boeing 737 unosił się wysoko ponad chmurami. Osiągnęliśmy właśnie wysokość przelotową, oznajmił uprzejmie kapitan. Pod nami jest jedenaście tysięcy metrów w dół.

- Ale kotlet! - Okruszek nie posiadał się ze szczęścia. Wyglądał przez okno i raz po raz trącał Wespera łokciem. - Zajebicie grubo, stary, widzisz te chmury? Tam na dole, widzisz?

Nocarz wzruszył ramionami.

- Błagam cię, zamknij to - poprosił, wskazując na plastikową klapkę na okno. - Zaraz oślepnę przez ciebie. Co ty, człowieku, samolotem nie leciałeś? - dorzucił z lekkim zdziwieniem. - Wielkie mi co.

- Leciałem, i to nieraz - obruszył się tamten natychmiast. - I nawet wysiadałem tam, na górze. Ale z takiej wysokości to jeszcze nie. - Opuścił plastik, patrząc na zasłonięte okno z wyraźnym żalem.

- O, naprawdę? - zainteresował się Vesper uprzejmie. - Skakałeś ze spadochronem?

Okruszek pokiwał głową.

- Mam ponad tysiąc skoków - odparł niby obojętnie, ale widać było, że gdzieś w środku bardzo go to rajcuje. - Ale HAHO ani HALO nie robiłem jeszcze. Mieliliśmy raz skakać z GROM-em z AeNa dwudziestego szóstego, z dziesięciu tysięcy metrów. Nawet miałem sprzęt na sobie... Ale nie wyszło, niestety. - Zamilkł nagle, nie chcąc ujawniać dalszych szczegółów. - Ale Benkiem jeszcze nie leciałem, fakt - dodał zaraz, jakby nie mógł powstrzymać się od radosnego trajkotania. - No i wiesz co, nie śmieję się... - Popatrzył na kolegę prosząco. - Ja jeszcze w życiu nie byłem za granicą.

Vesper wybałuszył na niego zdumione oczy.

Nagle obraz zamglił mu się paskudnie. Szkła kontaktowe z filtrem UV przesunęły się na skutek dość gwałtownego ruchu gałki ocznej, musiał więc pomrużyć przez chwilę, by sprowadzić je z powrotem na miejsce.

- Serio? - zapytał, uporawszy się z problemem. - Czemu? Ja, jak tylko miałem okazję, robiłem sobie wycieczki. Nawet na stopa z plecakiem.

Okruszek odchrząknął ze skrepowaniem.

- A wiesz, takie tam... - wybąkał. - No bo to trzeba pozwolenie od szefostwa, nie można tak sobie, ot, wyjechać, trzeba się odmeldować najpierw. A poza tym żona, dziecko... Nigdy kasy nie starcza, rozumiesz. Zresztą ty też pewnie nie jeździsz inaczej niż służbowo. Stać by cię było? Ile wy tam dostajecie w tym ABW...

Nocarz pokiwał głową, nie komentując. No tak, ateciak jest przecież na normalnej państwowej pensji. Ile on tam zarabia, dwa tysiące złotych brutto? Westchnął w duchu z dezaprobatą. A to i tak więcej, niż wynosi jego własna oficerska wypłata w ABW. Dobrze, że jest jeszcze nocarska pensja. Inaczej nie miałby nawet po co na konto zaglądać.

Nidor odwrócił się ku nim, klękając na swoim fotelu i opierając się ramionami o jego wezłowie. Rozejrzał się przelotnie. Klasa biznesowa była prawie pusta, po drugiej stronie przejścia siedziało raptem kilku ludzi w garniturach, którzy stukali zawzięcie w klawiatury laptopów. Również i ekonomiczna świeciła pustkami. To nie był zbyt oblegany rejs.

- Dobra, towarzystwo - oznajmił kapitan przyciszonym głosem. - Czas poodrabiać trochę lekcje.

Popatrzyli na niego uważnie. Rekrut poderwał się ze swojego fotela i klękął obok, na jego twarzy malowało się wyraźne zaniepokojenie.

- Krótki wykład z teorii polityki - uśmiechnął się kapitan. - Czyli *who is who*, specjalnie dla ludzi.

- Znaczący kto jest kto? - Okruszek błysnął znajomością angielskiego. - Tak?

- Przede wszystkim Lordowie - powiedział Nidor, ignorując całkowicie wypowiedź policjanta. - Mamy pięć Rodów. Głowami Rodów są Lordowie. Również w liczbie pięciu, jak się można łatwo domyślić - oznajmił poważnie.

- Ależ proszę, nie krępuj się pan, panie intelektualisto - warknął Okruszek rozzłoszczony. - Pięć Rodów, tak? A ilu Lordów w takim razie... Rozmawiasz pan z prostym gliną, więc może schemacik narysuj. Proszę, oto Rody, po kolei. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Na wypadek, jakbym nie pojmował czegoś, wiesz.

- Nidor nie nabija się z ciebie - przerwał mu Vesper łagodnie. - Nie zdążył powiedzieć najważniejszego, zanim się zdenerwowałeś. Lordów i Rodów tak naprawdę jest sześć, jeśli się weźmie pod uwagę renegatów. Ale nie uznajemy ich oficjalnie. Dlatego podkreślamy te pięć.

- Aha - wycofał się Okruszek natychmiast. - A to przepraszam. Nie zrozumiałem.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się Nidor spokojnie. - Nasz Ród to Wojownicy. Rządzi nami Lord Ultor. Został Głową Rodu jakieś czterysta lat temu i póki co, całkiem nieźle sobie radzi.

- Póki co? - Rekrut uniósł brwi ze zdziwieniem. - To mogą go zwolnić z pracy? Wyrzucić z bycia Lordem?

- I tak, i nie - odparł Nidor, zagryzając wargi ze zmieszaniem. - Jak by to wytłumaczyć... Lorda można zabić, to go niejako automatycznie usuwa ze stanowiska. Ale nie jest łatwe bynajmniej. Tylko Ukryty, oczywiście, nie miałby żadnego problemu z zabiciem Lorda.

- No, nie tylko on. Aranea całkiem ładnie sobie z Atroksem poradziła - wtrącił Vesper z odcieniem podziwu. - Bądź co bądź, kobieta wywodzi się z Wojowników...

- Aranea nie jest tak naprawdę Lordem - stwierdził Nidor. - Jest tylko jakby pełniącym obowiązki. Przecież nie została zatwierdzona przez Ukrytego.

- No tak - przyznał Vesper. - Faktycznie. Ciekawe, czy się kiedykolwiek odważy obudzić Ukrytego, żeby ją zatwierdził.. Kapituła za nią tego nie zrobi na pewno.

- Wszystko rozumiem - powiedział Okruszek, odwracając się do okna demonstracyjnie. - Nie przeszkadzajcie sobie, panowie, konwersujcie swobodnie. Tylko dajcie znać, jak zaczniecie mówić do ludzi.

Nocarze popatrzyli po sobie zmieszani.

- No tak, przepraszam, zapędziliśmy się troszkę - chrząknął kapitan. - A więc Rodów jest pięć. Wojownicy, Lord Ultor. Wiadomo, co robimy, nie będę tłumaczył. Bankierzy, również wiadoma sprawa, Lord Mercator. Naukowcy, też jasne, Lord Candor. Winorośle, towarzystwo rozrywkowo-artystyczne, Lord Vitacula. No i Żywieniowcy, Lord Arista.

- A ten, no, jak mu tam... Ukryty? - zapytał ateciak ciekawie. - Co to go wspomnieliście przed chwilą...

- Lord Latens. - Nidor skłonił głowę z szacunkiem. - Pan wszystkich Lordów. Śpi. Budzi się go tylko, kiedy potrzeba. Nie potrzebujesz wiedzieć nic więcej.

Ateciak pokiwał głową, poważniejąc. Zapadła krótka chwila milczenia.

- No dobrze, to teraz w temacie etykiety - przerwał ciszę kapitan. - Żebyście się nie zdziwili. W zasadzie przed Lordami klęka się natychmiast, kiedy tylko się pojawiają.

- Chyba zgłupiałeś - warknął Okruszek przez zaciśnięte zęby. - Jeszcze czego.

- Ciebie to nie dotyczy - machnął ręką nocarz. - Ani ciebie - zwrócił się do rekruta. - Ludzie nie klękają przed Lordami, nie ma takiego zwyczaju. Jak któryś z nich będzie chciał, żeby człowiek przed nim klęknął, wystarczy, że mu rozkaże. Przy normalnej ludzkiej niemości wszelki opór nie ma szans. Dlatego Lordowie nie robią tego ludziom, nie uważają, żeby było warto. To tak, jakbyś chciał, żeby ci się mrówki kłaniały. Nie będą więc oczekiwać, żeby którykolwiek z was przed nimi klękał.

- Ich szczęście - mruzczał gliniarz, wciąż nieco rozeźlony. - Salutować i owszem, ale klękać? Też pomysły. Róbcie sobie, jak chcecie, ale ja i tak nie zamierzam. I przykro mi będzie na was patrzeć, jak będziecie przed byle kim padać na kolana, wiecie?

- Wojownicy też nie klękają - wtrącił Vesper, poklepując Okruszka mitygująco po ramieniu. - Mówimy ci o tym po to tylko, żebyś się nagle nie zdziwił. Będziesz w jakiejś sali, a tu nagle tłum bach na kolana, bo wszedł Lord. By ci mogło być głupio, jakbyś nie wiedział, o co chodzi.

- No, skoro tak - udobruchał się Okruszek wreszcie. - Jak sobie chcą, niech sobie klękają, proszę bardzo. W końcu ja nikomu na drodze do szczęścia nie stoję...

Tuż obok nich zaszczekał metalicznie wózek. Stewardesy wytoczyły go właśnie, rozpoczynając żywieniowe tournée.

- Poczęstunek, panowie? - uśmiechnęły się uprzejmie.

- Nie, dziękuję - odparli nocarze jednocześnie, podczas kiedy policjant z rekrutem pokiwali entuzjastycznie głowami.

- Eee, nie bądź wiśnia, oddaj mi swój, jak nie chcesz - rzucił Okruszek Vesperowi prosząco. - Bo żarcie w tym Emowie macie naprawdę fatalne...

Nidor popatrzył od razu na kandydata, ten przytaknął gorliwie. Również liczył na podwójną porcję.

- W takim razie ja też poproszę - westchnął kapitan, siadając z powrotem na swoim fotelu.

- I ja - dodał Vesper, otwierając stolik.

Obrzucił ulotnym spojrzeniem stewardesę, podającą mu plastikowe opakowanie. Całkiem niezła, blondynka, niebieskie, trochę jakby wyblakłe oczy... Ale człowiek, z pewnością człowiek. Odwrócił więc wzrok od dziewczyny, nie okazując jej cienia zainteresowania. Przyjął zestaw obiadowy, popatrzył na niego z westchnieniem. Co za obrzydlistwo. Pomyśleć, że kiedyś, dawno temu, jadał takie rzeczy... Przeniósł wzrok na Okruszka, zabierającego się za swoją porcję z niekłamanym zapalem. Pokręcił głową, wyjmując pierśiówkę z kieszeni. Pociągnął solidny łyk świeżej obojętnej krwi.

Boeing 737 kontynuował swój lot.



Posiadłość w stylu wiktoriańskim, do której przywieźli ich angielscy nocarze, wyglądała na całkowicie opustoszałą. Pojedynczy wartownik w budce przy bramie machnął im nie dbale ręką, pozwalając jechać dalej.

Dopiero kiedy metalowa brama zamknęła się za nimi ze zgrzytem, Vesper i Nidor zadygotali z wrażenia. Takiego nagromadzenia mocy nie spodziewali się nawet w najśmielszych wyobrazeniach. Zaczęli się wobec tego rozglądać gorliwie w poszukiwaniu jej źródeł. Nic, wszystko zakamuflowane było z istic angielską starannością. Mogli się tylko domyślać: tam, w cieniu gzymsu, wisi zapewne snajper w cierpliwym skupieniu. Wewnątrz tej niepozornej budki na narzędzia kryć się może cały oddział interwencyjny, gotów do natychmiastowej akcji. Każdy kamień dekorujący ogród naszpikowany może być elektroniką: fotokomórkami, czujkami ruchu czy cholera wie czym...

- *First time in the UK?* - wyszczerzył zęby jeden z nocarzy, kiwając głową porozumiewawczo.

- *Yes* - przyznał się natychmiast Okruszek. - *Yes, sir!*

Chciał dodać coś jeszcze, ale pomocował się z językiem przez chwilę i machnął ręką, dając sobie spokój. Najwyraźniej zabrakło mu odpowiednich angielskich słów.

- Strasznie tu pusto - oznajmił po polsku, odwracając się do Vespera. - Myślałem, że do takiej Kapituły przygotowują się nawet lepiej, niż do szczytu Rady Europy, który był u nas ostatnio. Boże, co to ja się nagaiałem wtedy... A tu nic - skonstatował ze zdziwieniem. - Może źle trafiliśmy, co?

Jaguar objechał pierwszy budynek, wjechał przez bramę, zatrzymał się na pustym dziedzińcu. Wysiedli, rozglądając się dookoła z niekłamanym podziwem. Perfekcyjnie wypielęgnowany trawnik wyglądał jak puszysty zielony dywan, okolony rabatkami z krwiościami czerwonych angielskich pelargonii. Ceglane ściany niewysokich budynków pochylały się nad nimi z zaciekawieniem. *Do not walk on grass* - głosił jedyny napis w okolicy.

Gospodarze poprowadzili gości do wielkiej mosiężnej bramy. Weszli do środka spiesznym szeregiem, zamknęli odrzwia za sobą... I dopiero wtedy uderzył ich nieznośny wręcz gwar.

Korytarze wypełnione były kłębiącym się tłumem. Szeregi osób podążały w różnych kierunkach, od ścian odbijały się słowa wypowiedane we wszystkich europejskich językach. Większość zgromadzonych stanowili nocarze; księżyc w pełni, błyskający z ramion ich mundurów, opatrzony był przeróżnymi flagami. Tu i ówdzie pojawiały się kilkuosobowe oddziały pretorianów, dumnie prezentując srebrny sztylet zamiast flagi na odznace.

Vesper spróbował szybko przeskanować obecnych. Żadnych ludzi, o ile mu się wydaje. Ale w tym tłumie mógł się pomylić, to jasne.

- *Follow me, please* - powiedział jeden z angielskich nocarzy i zaczął przepychać się do przodu.

Podążyli za nim posłusznie. Przecisnęli się przez tłum, wspięli po stromych schodach na drugie piętro. Tu z kolei było prawie pusto, tylko raz na jakiś czas otwierały się któreś z drzwi, rozmieszczonych w regularnych odstępach wzdłuż niesłychanie długiego korytarza. Wychodził z nich wtedy jakiś nocarz i pędził na schody z pośpiechem.

Wreszcie zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami. Gospodarz otworzył je przed nimi, zapraszając do środka ruchem ręki.

- *Make yourself comfortable* - oznajmił z uprzejmym uśmiechem. - *You will be summoned at the appropriate time.*

- *All of us?* - rzucił Nidor ze zdziwieniem.

- *Yes* - potwierdził tamten, patrząc na niego poważnie.

Okruszek zerknął na gospodarza niepewnie. Zapewne nie zrozumiał zbyt wiele.

- Mamy się rozgościć - szepnął mu Vesper do ucha. - Zawołają nas, jak będzie trzeba. - Zawahał się przez chwilę, po czym dodał niby obojętnie: - Wszystkich.

Weszli do kwatery. Tuż za progiem stanęli w miejscu, przygwożdżeni wręcz otaczającym ich luksusem. Postawili bagaże na podłodze i rozglądali się wokół pełni zachwyty. Apartament był zaiste królewski.

- Ale kotlet! - ateciak wykrzyknął swoje gastronomiczne zaklęcie. - No coś takiego!

Przytaknęli mu rozbawieni. Kotlet, faktycznie. I to jaki!

- *Please don't hesitate to let me know if i could be of any further help* - powiedział tujejszy nocarz. - *Have a nice night!* - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Znaczy czego on chciał? Wszystko w porządku? - upewnił się Okruszek.

- Żebyśmy mu dali znać, jakbyśmy czegoś potrzebowali - wyjaśnił Nidor. - I miłej nocy nam życzył. Grzeczny jest bardzo.

- Oni tu mają świra na punkcie dobrego wychowania - pochwalił się rekrut swoją znajomością kultury brytyjskiej. - Nawet jak cię będą zabijać, zrobią to z najwyższą uprzejmością.

Okruszek natychmiast przestał się uśmiechać. Owszem, Vesper z Nidorem pocieszali go jak mogli, że ich zdaniem Kapituła ma wszelkie powody, by uznać go za Przyjaciela... Ale żadnej gwarancji dać nie mogli.

- No dobrze, panowie - zarządził Nidor, rozglądając się po saloniku. - Coś mi się zdaje, że te sypialnie są dwuosobowe. To ja proponuję tak: ludzie na prawo, nocarze na lewo!

- Tak jest! - odparli chórem, chwytając posłusznie bagaże.



Nocarze siedzieli ubrani na łóżkach naprzeciwko siebie. Pochylili głowy, oparli łokcie o kolana.

- Jak myślisz, co się z nami stanie? - zapytał Vesper szeptem, patrząc na Nidora poważnie. - I z nimi? - Machnął głową w kierunku zamkniętych drzwi drugiej sypialni. - Co?

Tamten patrzył na niego przez chwilę w milczeniu.

- Nie jest dobrze, wiesz - odparł wreszcie. - Wcale nie jest dobrze.

- Mnie się też tak wydaje - odparł Vesper. - Jakoś tak nie do końca chce mi się wierzyć temu, co powiedział Lord... Nie żeby kłamał - poprawił się pośpiesznie. - Ale chyba nie powiedział nam wszystkiego.

- On ci nigdy nie powie wszystkiego - westchnął Nidor. - Mówi tylko tyle, ile chce. Nic więcej. I nic mniej. Ale możemy się domyślać tego i owego... Kapituła Lordów ma chyba większe sprawy do ogarnięcia, niż przyglądanie się z bliska dwóm polskim nocarzom. Nie podoba mi się to. Nic a nic.

- Tym bardziej, że nasze akcje nie stoją za dobrze ostatnio - dorzucił Vesper. - Alacer robi, co może, żeby cię uziemić. A przy okazji także i mnie.

Kapitan pokiwał głową powoli.

- Alacer nie znosi, kiedy ktoś dostrzega jego błędy - wyszemrał cichutko. - Chciałby być kapitanem doskonałym... I ma na to szanse, jasne. Ale jeszcze się musi trochę pouczyć. A on chciałby już. I żeby nikt nie miał wątpliwości, że to już.

- A ty mu w tym przeszkadzasz - dopowiedział przyjaciel. - I ja oczywiście też, skoro z tobą trzymam.

Nidor popatrzył na niego z wyjątkowo poważną miną. Widać było, że się mocuje z jakimiś ciężkimi słowami.

- No już, dawaj - poprosił go Vesper. - Nie baw się w dobrego wujka, tylko dawaj. No!

- Alacer to bardzo dobry gracz - wyrzucił z siebie tamten wreszcie. - Słowo tu, słowo tam... Oczywiście wszystko w trosce o dobro jednostki. Ale wiecie-rozumiecie, czy to nie dziwne, że ten młody nocarz zawsze się znajdzie w samym centrum wydarzeń? A zaraz potem padają trupy naszych, bądź też sprzymierzeńców. Czy on aby na pewno nie napił się wtedy tej krwi? A teraz nie chciałby się zbliżyć z renegatami bardziej, niż powinien?

Vesper przełknął nagle ślinę, zakaszał zaraz, dławiąc się nią. A więc to tak...

- Nidor go broni, wiadomo - mówił dalej kapitan. - Przecież to on dał ciała na samym początku edukacji młodego, więc jakby co, wszystko będzie na niego. Wszyscy by wiedzieli, że to on nam tę zgniłą śliwkę do koszyka podrzucił. Więc woli przyklepywać problem i udawać, że nic się tak naprawdę nie stało.

- Odkąd o tym wiesz? - zapytał Vesper wprost. - O tych jego tekstach... Co?

Tamten odwrócił twarz, wbił wzrok w zaciemnione okno.

- No, od jakiegoś czasu - przyznał. - Ale miałem nadzieję, że to się rozejdzie po kościach. Nasi nie są głupi, większość z nich wyśmiewa te gadki Alacerowi prosto w twarz. Więc po co cię miałem demotywować? I odbierać ci satysfakcję z roboty? Milczałem.

- A poza tym odsunąłeś się na wszelki wypadek - powiedział Vesper. - Myślisz, że nie zauważyłem? Owszem, tak.

- Myślałem, że jak nie będziesz tak blisko mnie, to Alacer się przynajmniej od ciebie odpieprzy - westchnął Nidor. - Przepraszam, stary. Przepraszam.

Vesper zamilkł. Wbił wzrok w puszysty dywan ścielący mu się pod stopami. W ustach czuł smak goryczy, oczy go zapiekły. Tak się starał przecież, tak się bardzo starał...

- Czego może chcieć od nas ta cholerna Kapituła? - westchnął ciężko Nidor.

Vesper wziął się w garść. Wstał i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- A właściwie to czegokolwiek bądź by nie chciała... - odparł półgłosem. - Czego się boisz? Umrzeć?

Nidor podniósł twarz i pokręcił głową zdecydowanie.

- Jestem nocarzem od dziesięciu lat - powiedział. - Umarłem już raz, obudziłem się. Od tamtego czasu otarłem się o śmierć setki razy. Nie, z tym nie mam problemu. Wiesz, czego się boję? - Podniósł wzrok na przyjaciela. - Hańby.

Tamten popatrzył na niego zdziwiony.

- Całe moje drugie życie poświęciłem Sprawie - mówił Nidor dalej z coraz większym trudem. - Nikt na mnie nie mógł złego słowa powiedzieć. Nikt nie podważał mojej lojalności. Nie kwestionował mojego honoru. A teraz mam tak skończyć w niesławie? - Pokręcił głową. - Strasznie ciężko by było.

Vesper z powrotem opadł na łóżko. Honor Nocy... To pojęcie, niegdyś całkowicie mu obce, wciąż nabierało coraz większego znaczenia. Kiedy był człowiekiem, najważniejsze, co mógł utracić, to życie. Wiedział, że ma mało czasu i nie jest pewien dnia ani godziny... Ale teraz zaofiarowano mu szansę na wieczność i z każdym dniem przekonywał się, że w istotny sposób pozmieniały mu się priorytety. Nie chciałby spędzić tych setek lat sam na sam ze sobą, jeżeli miałyby się nie lubić. Jeżeli miałyby pluć sobie w twarz i uważać się za dno... Rozumiał więc przyjaciela, rozumiał doskonale.

- No tak - powiedział po prostu. - No tak.

- Żaden nocarz nigdy nie zdradził - powiedział Nidor tak cicho, że prawie niesłyszalnie. - Nigdy. A to, co sugeruje Alacer, to przecież zdrada. - Westchnął głęboko. - Cholera, nie chciałbym nosić na sobie nawet cienia takich podejrzeń. Nie chciałbym, żeby Lord pomyślał tak o mnie nawet przez ułamek sekundy...

- Ultor na pewno tak nie myśli! - zaprotestował Vesper z nagłym oburzeniem. - Na pewno nie wierzy Alacerowi, no coś ty! - Zamilkł na chwilę. - Zresztą gdyby tak było, już byśmy pewnie nie żyli - dorzucił z lekką goryczą.

- Niezbadane są ścieżki Pana - odparł Nidor powoli. - Nigdy się nie dowiesz, jaki jest jego prawdziwy plan.

Vesper schował twarz w dłonie. Nidor zapatrzył się w okno, kontrolka przestała już świecić ostrzegawczą czerwień. Żaluzje lada chwila miały się podnieść. Nadchodził zmierzch.

Nie mówili już więcej nic. Siedzieli tak we dwóch, spowici ciemnościami i ciszą.

Gdzieś tam niedaleko, może kilkadziesiąt metrów od nich, Lordowie zbierali się właśnie, aby rządzić Nocą.



Cały następny dzień spędzili w apartamencie, czekając na wezwanie. Wreszcie wieczorem, kiedy już wszystkim zaczęły poważnie puszczać nerwy, przyszedł po nich oddział pretorianów. Zaprowadzono ich po schodach na górę, na ostatnie piętro.

Zatrzymali się przed wysokimi mahoniowymi drzwiami. Stojący obok nich mężczyzna przyglądał im się uważnie. Jego twarz wydawała się jakby znajoma...

Vesper zmrużył oczy, szukając w pamięci, gdzie on to widział przedtem tego człowieka. Człowieka! - zauważył ze zdziwieniem.

„Czuciowiec” - przesłał mu Nidor pośpiesznie. „Pamiętasz, zgarnęliśmy go podczas twojej pierwszej akcji...”

„A teraz chodzi w obstawie Lordów” - zrozumiał Vesper. „Nieźle pomyślane”.

Człowiek skinął głową przyzwalająco. Drzwi otworzyły się, wpuszczając ich do niewielkiej sali.

Niewielka sala nie odznaczała się niczym szczególnym. Zamknięte szczelnie okna, wzdłuż których zwieszały się ciemne, grube kotary, nie wpuszczały do środka ani odrobiny nocy. Lordowie siedzieli dookoła okrągłego stołu pokrytego czarnym aksamitem. Przypatrywali się nowo przybyłym uważnie. Vesper poczuł, jak ogarnia go przemożne wewnętrzne drżenie. Może lepiej klęknąć, zastanowił się w duchu przelotnie.

- Dobry wieczór! - powiedział uprzejmie Okruszek.

Lordowie pokiwali głowami, nie odzywając się ani słowem. Ateciak stropił się, zagryzł wargi na moment.

- *Good evening!* - oznajmił triumfalnie.

- Wszyscy Lordowie mówią we wszystkich europejskich językach - odezwał się Ultor spokojnie.

Okruszek pokiwał głową, wycofując się nieco. Aha, znaczy nie chcecie gadać? Nie to nie, mówiła jego skonfundowana mina.

Lordowie wciąż patrzyli na nich w milczeniu.

- A więc to są ci dwaj nocarze, o których mówiłeś, tak? - uśmiechnęła się Viticula, odgarniając w tył blond włosy. - No tak... Teraz rozumiem. - Pokiwała głową, uśmiech zniknął jej z twarzy.

- Dokładnie tak - potwierdził Ultor.

Vesper poczuł, jakby cała klatka piersiowa ścisnęła mu się w środku w jednym wielkim skurczu przerażenia. Bał się tych Lordów. Nie pamiętał, żeby ktokolwiek przedtem budził w nim tak nieokreślony, a jednak porażający lęk. Patrzyli na niego i na Nidora, jakby

chcieli ich przewiercić na wylot, przenieć, wyrzucić ze środka wszystkie organy i pokrajać je na plasterki.

- No cóż, Ultor - odezwał się wreszcie Lord Mercator, brunet o zaskakująco młodej twarzy i wyjątkowo przebiegłym spojrzeniu. - Jeżeli o mnie chodzi, to podzielam twoje zdanie.

- No, nie wiem... - oznajmił z wahaniem Candor, rumiany blondyn o fizjonomii rosyjskiego chłopca. - Ale skoro się tak uparłeś, może być.

- Mnie tam wszystko jedno - wzruszyła ramionami Arista, poprawiając kosmyk kruczoczarnych włosów. - I tak się na tym nie znam. Ale głosuję za.

- Ja, oczywiście, też - powiedziała Vitacula. - Tylko dla ciebie, Ultor. - Uśmiechnęła się słodko. - Ach, ten czar munduru.

Vesper przełknął ślinę, usta mu zadrżały. Właśnie tuż przed nim siedziały potęgi Nocy i decydowały o jego losie. A on nie miał pojęcia, o czym tak naprawdę mówią! A przecież może zdołałby coś powiedzieć, przekonać, nakłonić ich do czegoś... Tylko do czego? I o co właściwie w tym wszystkim chodzi?

- No dobrze, w tym temacie mamy jasność - powiedział Ultor. - Nocarze, możecie wyjść. Ludzie zostają.

Vesper z Nidorem skłonili się natychmiast i wycofali z sali. Stanęli na korytarzu, patrząc, jak ogromne drzwi zamykają się, chowając przed ich wzrokiem Lordów i Okruszka z rekrutem. Serca wciąż były im niespokojnym, przyspieszonym rytmem.

- No to po głosowaniu - oznajmił Nidor drżącym głosem. - Jak myślisz, właśnie nas ścięli czy ulaskawili?

- Nie mam pojęcia - odparł Vesper. - Ale wiesz, nie wyglądało mi to na ceremonię wręczenia medalu. - Nabrał głęboko powietrza w płuca, po czym wypuścił je z siebie z cichym sykiem.

- Ooo, to na pewno nie - zgodził się przyjaciel natychmiast.

Drzwi otworzyły się ponownie. Wyszedł przez nie rekrut, blady jak ściana.

- No i co? - rzucili się do niego natychmiast.

- Nie mam pojęcia - wykrztusił. - Popatrzeli, popatrzeli, nic nie powiedzieli, Ultor kazał wyjść. Zabijają mnie, jak myślicie? - Wargi mu drżały.

Wzruszyli ramionami w niepewności. Zrozumiał ten gest, pokiwał głową. Uniósł dłoń do czoła i potarł je nerwowo. Pretorianie spojrzeli na nich wymownie: blokujecie przejście, panowie. Cofnęli się więc pod przeciwległą ścianę, popatrując na drzwi z napięciem. Czas upływał, a policjant wciąż się nie pojawiał. Vesper co i rusz zaciskał w zdenerwowaniu pię-

ści. Wyjdzie ten Okruszek wreszcie czy nie? A może Lordowie zabijają tam od razu i tylko wyrzucają trupa? I to nawet niekoniecznie przez drzwi, może przez okno albo mają tam taki ogromny kosz na śmieci, zamaskowany sprytnie w podłodze... Zaśmiał się histerycznie.

Drzwi otworzyły się. Wymaszerował przez nie Okruszek, cały i zdrowy. Na dodatek promieniejący niezmiernym zadowoleniem.

- Zaproponowali mi kontrakt - oznajmił, podnosząc do góry ściskaną w ręku kopertę. - Na długoterminową współpracę. I nazwali Przyjacielem. Dobrze, nie?

Odetchnęli z niekłamana ulgą, wszyscy trzej.

- Bardzo dobrze - potwierdził Nidor i z całej siły klepnął policjanta w plecy. - Chodźmy do pokoju, jestem ledwo żywy z tego wszystkiego.

Okruszek odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

Odwrócili się więc i poszli korytarzem, mijając kolejne posterunki pretorianów. Zaczęli schodzić po schodach powoli.

- O żesz ty kurwa mać! - wyjąkał nagle Okruszek, osuwając się na stopień.

Zatrzymali się natychmiast, odwrócili ku niemu. Siedział na schodach z wyjątkowo osłupiałą miną.

- Co jest? - spytali zaniepokojeni.

Pokazywał im papier ściskany w ręku, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- O, zacząłeś czytać swój kontrakt - powiedział Nidor spokojnie. - Jak znam życie, taka tam umowa o dorywcze konsultacje. W czym problem? Na pewno wszystko załatwione z twoim szefostwem, nie martw się...

- Pensej mi dali - wykrztusił wreszcie ateciak. - O matko!

Nocarze uśmiechnęli się szeroko.

- Dwa razy tyle, co normalnie zarabiam - oznajmił policjant w osłupieniu. - I co ja z taką kasą zrobię?

- Jak to, dwa razy tyle? - zapytał Vesper, marszcząc brwi. - No nie mów, że tak poskąpili... - Wyjął mu dokument z palców, rzucił nań okiem. - Przecież to jest w euro, głupku! - Oddał mu papier z powrotem.

Okruszek wpatrzył się w sumę widniejącą na kontrakcie, a potem w podwójnie kreślone E tuż za nią. Zamrugał, przybliżył papier do oczu, oddalił go znów.

- No, teraz to mnie Renata z domu nie wyrzuci - oznajmił drżącym głosem.

- Niechby tylko spróbowała! - potwierdzili z przekonaniem. - Chodź, nie maż się tak. W końcu to tylko pieniądze, nic znowuż takiego.

Podniósł się ze schodów, wciąż popatrując na nich w osłupieniu. Na końcu języka zawisło mu oczywiste pytanie, ile w takim razie wynosi regularna pensja nocarza... Ale nie powiedział nic.



Rozsiedli się w fotelach przy stoliku, popijając napoje. Zapanowało milczenie, każdy z nich zatopił się w swoich myślach.

Ciszę przerwało nagle pukanie, zaraz potem drzwi otworzyły się, zanim padło „proszę”. Do saloniku wbiegły cztery dziewczyny, uśmiechając się promiennie.

- Polacy... Podobno są tu Polacy? - zaczęły szczebiotać chórem. - To prawda?

Podnieśli się natychmiast z foteli. Od pierwszego rzutu oka rozpoznali Winorośle.

- I owszem... - uśmiechnął się Nidor. - Czym możemy paniom służyć?

- Idziemy na imprezkę! - oznajmiły zgodnie. - Natychmiast! Od lat już nie rozmawialiśmy po polsku.

Vesper z Nidorem rozpromienili się od razu, przyglądając się dziewczynom z żywym zainteresowaniem. Były bardzo atrakcyjne, jak to Winorośle: jedna blondynka, dwie brunetki, jedna ruda. Oczy im błyszczały niewątpliwą obietnicą.

- Ja jestem wierny żonie - oznajmił Okruszek z niejakim żalem, po czym usiadł z powrotem. - Przykro mi.

Przyjrzały mu się uważniej i jednoczesnym ruchem uniosły dłonie do ust.

- O rany, człowiek! - wykrzyknęła jedna z brunetek.

- I ten drugi też! - dodała blondynka, wskazując na rekruta oczami.

- Ale ja nie jestem żonaty - odparł tamten natychmiast. - Chyba nie macie w związku z tym problemu, co? - popatrzył prosząco.

- Nie, nie, ludzie nie wchodzi w grę - oznajmiła stanowczo druga brunetka. - Mógłbyś się przypadkiem zarazić symbiontem i jeszcze ktoś by to uznał za nielegalną rekrutację. Przykro mi, ale nic z tego, maleńki.

Rekrut usiadł w swoim fotelu, splótł ramiona z przodu i naburmuszył się.

- To może i my zostaniemy... - mruknął Vesper w poczuciu lojalności, ale tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

Przyjrzał się dziewczynom ponownie. Ładne, miłe, z roześmianymi oczami... w których jednak nie szalał żaden sztorm. I może to dlatego wydawały mu się takie zwykłe, takie przeciętne. Brakowało im tej iskry szaleństwa, która mogłaby rozpaść jego wyobraźnię.

Ale cóż, w obecnej sytuacji nie powinien chyba wybrzydzać. Od biedy niech będą i one. Skoro nie ma niczego lepszego w okolicy...

- Ależ nie ma mowy, żebyście zostali! - zaprotestowały Winorośle stanowczo. - Wy dwaj pójdziecie z nami, koniecznie. Najwyżej będziecie się musieli bardziej starać, panowie, żeby zastąpić kolegów. - Uśmiechnęły się dosyć prowokacyjnie. - Ludzie dadzą sobie radę sami. Zresztą już noc, dla nich najwyższa pora spać. Prawda? - zwróciły się do Okruszka i rekruta, siedzących z coraz bardziej kwaśnymi minami.

- Taaa... - burknął młody. - Już dawno po dobranocce, fakt. Dobrze, że chociaż swój zastrzyk dostałem.

- No to świetnie! - Podeszły po dwie do każdego z nocarzy, chwyciły ich pod łokcie. - Idziemy! Przyda wam się odrobina luzu, wciąż jesteście tacy zapracowani... - Zaciągnęły ich do drzwi.

Nidor z Vesperem wymienili się spojrzeniami. W końcu nigdy nie wiadomo, co się stanie jutro, czy kolejna noc zastanie ich wśród żywych... Skinęli porozumiewawczo głowami, objęli Winorośle w pasie i wyszli razem z nimi.

- No i pięknie - zawarczał rekrut do Okruszka. - Musiałeś się wrywać z tym idiotycznym tekstem? Może by nie zauważyły...

- Trzeba mieć jakieś zasady - obruszył się tamten. - A poza tym daj spokój, mógłbyś jeszcze się tym ich symbiontem zarazić, słyszałeś, co mówiły?

- O niczym innym nie marzę - westchnął kandydat na nocarza. - Tylko czekam, kiedy się wreszcie nasz Lord namyśli. A ty co, nie chciałbyś żyć wiecznie?

- Renacie to by się raczej nie spodobało - oznajmił Okruszek, wstając. - Wtedy dopiero bym ją zostawił na dłużej. - Pokręcił głową. - Jeżeli o mnie chodzi, wolę tak, jak jest. Dobranoc! - Pomaszerował do łazienki bardzo zdecydowanym krokiem.

Rekrut został sam przy stoliku. Popatrzył na pozostawione przez nocarzy szklanki z niedopitą krwią. Westchnął głęboko, po czym sięgnął po sok pomarańczowy, z rezygnacją unosząc go do ust.



Okruszek przyciskał guziki pilota, zmieniając kanały z wyraźnym niesmakiem. Angielska telewizja była niewiarygodnie nudna z jego punktu widzenia, zaś z satelitarnej żaden kanał nie przypadł mu do gustu. Klikał więc pośpiesznie, czując, jak narasta w nim coraz bardziej dotkliwa frustracja. Siedział w saloniku sam jak palec. Vesper z Nidorem wrócili dopie-

ro o dziewiątej rano, uśmiechnięci od ucha do ucha, i od razu położyli się spać. Rekrut obrzucał wtedy Okruszka nienawistnym spojrzeniem, po czym podreptał do pokoju i położył się również, naburmuszony. Policjant został sam. Przeglądał kanały telewizyjne, pstrykając ze zniecierpliwieniem pilotem. Męczyło go to czekanie nie wiadomo na co, które wyraźnie przebijalo spoza wymuszonego spokoju nocarzy. A on kompletnie nie wiedział, o co im chodzi i czemu się denerwują. Nic tu nie było dla niego jasne i klarowne, nawet mniej niż nic.

Rozległo się krótkie, zdecydowane pukanie do drzwi.

- Proszę! - rzucił Okruszek.

Do pokoju wszedł Ultor.

- Witam, panie Lordzie. - Ateciak natychmiast podniósł się z miejsca.

- Witam pana! Nie przeszkadzam? - zapytał przybyły.

- Proszę się czuć jak u siebie w domu! - padła uprzejma odpowiedź.

- Jakby pan zgadł... - rzucił Lord, przez twarz przeleciał mu cień uśmiechu.

Podszedł do stolika, usiadł w fotelu obok człowieka. Popatrzył nań przez chwilę, po czym odezwał się:

- Winien jestem panu odrobinę wyjaśnień.

Tamten popatrzył na niego z ożywieniem. Nareszcie.

- Od niepamiętnych czasów trwa wojna pomiędzy Dziećmi Nocy a Dziećmi Dnia - powiedział Ultor powoli. - Oczywiście nie bezpodstawną - zastrzegł, widząc, że Okruszek już otwiera usta w gotowości komentarza. - Skoro my żywimy się oraz rozmnażamy waszym kosztem, trudno mówić o jakimkolwiek porozumieniu. To oczywiste, że macie prawo się bronić. - Pokiwał głową. - Świat się jednak zmienia. W dzisiejszych czasach niemożliwe stało się jak najbardziej realne.

- Mówi pan o sztucznej krwi? - upewnił się Okruszek. - O tym, że już nie musicie zabijać, by przetrwać? A rekrutujecie, że tak powiem... dobrowolnie?

- Dokładnie tak - potwierdził Lord natychmiast. - Czy w takiej sytuacji zakładałby pan, że możliwe jest zawieszenie broni?

- No nie wiem... - stropił się policjant. - Trzeba by było przekonać ludzi, że naprawdę nie zamierzacie nikomu wyrządzić żadnej krzywdy... Że żaden z... was... - nie był jakoś skłonny do wymówienia słowa „wampir” - nigdy nikogo nie napadnie. Trudna sprawa.

- Bardzo trudna - zgodził się Ultor ponownie. - Musielibyście uwierzyć, że my też mamy Prawo... I kierujemy się nim.

- A kto tego prawa pilnuje? - spytał Okruszek. - Nocarze?

Ultor pokiwał głową powoli.

- Owszem - odparł. - Nocarze. Oficerowie wyszkoleni w tropieniu i likwidowaniu re-negatów... Czyli tych, którzy złamali Prawo.

- No dobrze, założmy, że pańskie siły specjalne chwytają mordercę... Co wtedy, wsadzacie go za kratki? - rzucił człowiek z wyraźnym powątpiewaniem. - Owszem, paskudny los: dostać dożywocie, będąc nieśmiertelnym. Jednak prędzej czy później więzienia wam się przepełnią, zaczniecie wypuszczać za dobre sprawowanie... Nie sądzę, żeby ludzie byli skłonni to kupować na dłuższą metę.

- Ja również nie widzę takiej możliwości - zgodził się Lord. - Dlatego też morderców karzemy hańbą i śmiercią. Ścinamy im głowy publicznie. Dostać taki wyrok, mając w perspektywie życie wieczne... To naprawdę wiele do stracenia.

Okruszek zamilkł, rozważając problem w myślach. Przeciągnął ręką po króciuteńko ostrzyżonej głowie, podrapał się po niej machinalnie.

- Hm, no tak - zawyrokował wreszcie. - W ten sposób to może ma jakiś sens.

- Czy byłby pan skłonny nam pomóc? - spytał Ultor od razu.

- Ścinać? - zdumiał się odruchowo ateciak. - No, raczej nie bardzo. Taki wyrok na bezbronnym to wie pan, tak mafia robi... Trochę to nie w naszym stylu. Nie, że ścinaniem proszę na mnie nie liczyć.

Lord skrzywił się lekko, jakby ta odpowiedź była mu nie w smak.

- Z wykonywaniem wyroku radzimy sobie sami - odparł. - Potrzeba nam bezstronnych świadków z ludzkiej strony. Takich, którzy potem uczciwie potwierdzą, że przestrzegamy Prawa.

- A, jeśli o to chodzi, to nie ma problemu - zgodził się Okruszek natychmiast. - Mogę świadczyć. Kiedy zaczynacie?

Ultor milczał przez chwilę. Wstał, podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz.

- Już zaczęliśmy - oznajmił, nie patrząc na człowieka. - Jakiś czas temu.

Odwrócił się nagle do rozmówcy.

- Ale czy jest pan pewien, że nie będzie miał pan z tym problemu? - spytał powoli. - Nie boi się pan widoku tego rodzaju rozlewu krwi?

Okruszek prychnął z oburzeniem.

- Wie pan doskonale, kim jestem i gdzie pracuję - oznajmił gniewnie. - Nie sądzę, żeby miał pan, Lordzie, powody podejrzewać, iż mógłbym bać się krwi.

- Przepraszam - odpowiedział Ultor, schylając głowę z szacunkiem. - Oczywiście. Nie zamierzałem bynajmniej kwestionować... - zamilkł, jakby szukał właściwego sformułowania - pańskiej odporności psychicznej.

- Nie ma sprawy - odsapnął tamten udobruchany. - Nie jestem obraźliwy.

- W takim razie czy mogę pana prosić o obecność na najbliższej egzekucji? - zaproponował od razu Lord. - Dziś wieczorem, tak się wygodnie składa, będziemy mieli okazję wykazać się... obaj.

Okruszek przełknął dość gwałtownie ślinę. Popatrzył w oczy Ultora, wydało mu się, że płonie w nich wyzwanie.

- Oczywiście - powiedział zimno. - Nie ma najmniejszego problemu. Może być już dzisiaj, czemu nie.

Lord pokiwał głową. Popatrzył znów za okno. Dzień był wyjątkowo pogodny. Cumulusy spacerujące po błękitnym niebie rzucały plamy cienia na soczystą zieleń trawnika.

Ultor odwrócił się w kierunku sypialni nocarzy. W paręnaście sekund później Nidor z Vesperem wpadli do saloniku, półnaczy, w samych spodniach od dresu. Zamrugali powiekami pod wpływem oślepiającej jasności.

- Tak, Panie? - zameldowali posłusznie, osłaniając oczy dłońmi.

- Dziś wieczorem odbędzie się egzekucja zdrajców - oznajmił Ultor.

Wstrzymali oddech, obaj naraz. Wbili w niego niespokojne spojrzenia.

- Pan Jąźwiński będzie świadkiem ze strony ludzi - ciągnął Lord spokojnie, jakby nie zauważając ich reakcji. - Jesteście jego ochroną osobistą, macie się prezentować jak należy. Na baczność i na wysoki połysk. Mogę na was liczyć, prawda?

- Tak jest, Panie! - potaknęli z nieskrywaną ulgą.

- W takim razie dziękuję - oznajmił Ultor i skierował się ku wyjściu.

Zatrzymał się na progu, odwrócił na chwilę. Dostrzegł rekruta, który wychynął z drzwi sypialni i patrzył nań z błagalną miną.

- Zostajesz u nocarzy - oznajmił krótko Lord. - Poczekamy jeszcze trochę, aż się wdrożysz i zaaklimatyzujesz. Potem cię zabiję.

Skłonił się obecnym krótkim, żołnierskim skinieniem głowy, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Rekrut osunął się po framudze i usiadł na podłodze z wniebowziętym wyrazem twarzy. Nocarze popatrzyli w ślad za Lordem, po czym wrócili do sypialni, by się ukryć przed szalejącym w saloniku blaskiem.

Okruszek został sam. Podeszedł do okna i zapatrzył się na śnieżnobiałe chmury. Faktycznie, to był przepiękny dzień.



- A właściwie to czy możecie mi powiedzieć, czego mam się tam spodziewać? - zapytał Okruszek, kiedy tylko nocarze znowu pojawili się w drzwiach swojej sypialni.

Przechadzał się po pokoju wte i wewte, widać po nim było zdenerwowanie. Vesper popatrzył pytająco na Nidora. W końcu to on, jako starszy, powinien mieć już jakieś doświadczenie w tym zakresie. Również rekrut podniósł głowę znad gazety i wpatrzył się w przełożonego z wyczekiwaniem.

- No jak to czego masz się spodziewać? - rzucił kapitan dosyć niechętnie. - Egzekucji.

- Ehm, to już wiem - odparł policjant niepewnie. - Ten wasz Lord powiedział, że ścinacie głowy tym, którzy się, że tak powiem, nie wykazali... I na dodatek robicie to publicznie.

- Dokładnie tak - potwierdził Nidor od razu. - Zdrajców ścina Lord Ultor osobiście. Żeby nikt nie miał wątpliwości, że należy przestrzegać Prawa.

- A nie można by tego robić jakoś tak bardziej... dyskretnie? - skrzywił się człowiek z dezaprobatą. - No wiecie, tak jak w Ameryce, dają takiemu zastrzyk i po sprawie.

- Kolego, zrozum - włączył się rekrut do dyskusji. - Tu nie może być żadnych wątpliwości. Wszyscy muszą widzieć na własne oczy, że Prawo jest przestrzegane nieuchronnie i konsekwentnie.

Nocarze pokiwali głowami, podeszli do lodówki, wyjęli opakowania z krwią. Vesper popatrzył na Okruszka, unosząc nieco torebkę pytającym gestem.

- Zwariowałaś? - obruszył się tamten natychmiast. - Nie chcę, no coś ty. Sam sobie pij to świństwo.

- Pytałem tylko, czy można - wyjaśnił nocarz ze śladem rozbawienia w głosie. - Czy ci nie będzie przeszkadzało...

- No już dobrze, pijcie - burknął ateciak. - Zdechniecie z głodu, zanim się tak naprawdę przyzwyczaję. Już trudno, nie chcę was mieć na sumieniu. Ale, ale! - Popatrzył na nich podejrzliwie. - Ten wasz symbiont nie przenosi się przez naczynia, co? Ani ręczniki, ani takie tam... - zawiesił głos w pełnym niepokoju niedopowiedzeniu.

- Niestety nie - westchnął rekrut. - Musi przyjść Lord i cię zabić, z całą ceremonią i namaszczeniem. I dać ci się napić swojej krwi...

- Obrzydliwe, nie mów dalej - przerwał mu Okruszek zdecydowanie. - Mnie wystarczy wiedzieć, czy się tak od razu nie zarażę, siedząc tu z wami. Bo wiecie, ja mam żonę i dziecko. Nie chciałbym, żeby mój mały synek ni stąd, ni zowąd miał wampira za tatuś! I czego ja miałbym go wtedy uczyć, co? Picia krwi? Latania o zmierzchu?

- Spokojnie - powiedział Vesper, tłumiąc śmiech. - Nie zarazisz się. Na pewno.

- Bo jeżeli... - pogroził Okruszek dla wszelkiej pewności. - Oj, to się wtedy policzymy! Nie będzie przebaczeń!

- Dobrze, dobrze, nie martw się - uspokajał go Vesper łagodnie. - To naprawdę nie jest takie łatwe, dostać się do nocarzy. - Zamilkł na chwilę, po czym strzelił perfidnie: - Wiesz, biorą tylko najlepszych.

Okruszek popatrzył na niego uważnie. Widać było, jak w myślach błyska mu nieodparta pokusa. Najlepszych, tak?

- Zostałeś uznany za Przyjaciela - powiedział szybko Nidor. - To wyraz wielkiego uznania ze strony Kapituły.

- Naprawdę? - rozpromienił się ateciak natychmiast.

- Owszem. - Kapitan skinął głową. - Kiedy nadejdzie czas ujawnienia się, będziemy prosili Przyjaciół, aby świadczyli za nami. A wiadomo, że byle kogo do takiego czegoś się nie bierze. To musi być ktoś szczególny, godny zaufania...

- No w sumie fakt - zgodził się Okruszek z przekonaniem. - Niewiele by wam dało, gdyby się za wami jakieś męty wstawiały. Bo na ten przykład...

- A więc będziesz świadkiem egzekucji - uciał Nidor. - Będziesz potwierdzał wykonanie wyroku. Powiedz ci, co masz mówić, to raptem parę słów. Zasiądziesz na specjalnym błękitnym fotelu z prawej strony sceny. A my we dwóch, Vesper i ja, będziemy stali za tobą jako twoja obstawa.

- I też będziecie się przyglądali egzekucji? - rzucił policjant. - Razem ze mną?

- Razem ze wszystkimi - potwierdził Nidor, po czym urwał nagle.

„Może to o to chodziło Lordowi?” - przesłał szybko w myślach do Vespera. „Żebyśmy sobie popatrzyli na egzekucję?”

„I wzmocnili swoją... motywację?” - odparł tamten natychmiast. „Możliwe, bardzo możliwe. Chciał nam tylko dać taką delikatną nauczkę? Rozumiesz, w ramach przypomnienia, co i jak”.

„No właśnie. Czyli nasze akcje nie stoją aż tak źle” - podsumował Nidor. „Taka pokazówka to normalne, każdemu młodemu tak się robi, prędzej czy później...”

Obaj nocarze pojaśniali wyraźnie. Pełne ulgi uśmiechy rozjaśniły im twarze.

- Jesteście okropni - oznajmił Okruszek z odrazą. - Wspomnieć wam o egzekucji i proszę, jacy szczęśliwi. - Potrząsnął głową. - Wcale nie jestem przekonany, czy mi się to całe kolegowanie z wampirami podoba... - powiedział nieco ciszej.

- A ja się doczekać nie mogę - westchnął rekrut boleśnie. - Kiedy wreszcie będę mógł dołączyć do nocarzy...

- To nie jest takie proste - powiedział nagle Vesper. - Wiesz, bycie po tej stronie Nocy kosztuje. I tylko na początku wydaje ci się, że zapłaciłbyś każdą cenę... Dopiero potem, kiedy już w tym siedzisz, zaczynasz mieć wątpliwości. Ale wtedy już jest za późno, żeby się wycofać.

- Oj, to normalne, jak we wszystkich jednostkach specjalnych - stwierdził ateciak z odrobiną lekceważenia w głosie. - Tak idealnie to wygląda tylko na filmach, wiadomo. A więc, mówicie... - Przechylił głowę, patrząc na obu nocarzy badawczo. - Bierzecie tylko najlepszych, tak?

- Nie - stwierdził Nidor zaskakująco chłodnym tonem. - Bierzemy najgorszych. Tylko i wyłącznie tacy tutaj pasują.

Wstał i ruszył w kierunku łazienki. Przechodząc koło aneksu kuchennego, rzucił do zlewu swoją na wpół wypitą torebkę krwi. Część zawartości rozchlapała się po ścianach i pociekła czerwonymi strugami w dół.

- Zbierajcie się - dodał, zatrzymując się na chwilę w progu. - Mamy być na wysoki połysk. Tak kazał Lord. - Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Powstali z miejsc i ruszyli do swoich szafek. Jakoś odeszła im ochota do dalszych dyskusji.



Skazańcy klęczeli w szeregu, wszyscy trzej. Czołami dotykali posadzki.

Dookoła nich wirowała tylko jedna myśl. Była wszędzie: w mroźnych oczach Lordów, we wzgardliwych spojrzeniach tłumu wypełniającego Wielką Salę Kapituły, wreszcie w ich własnych głowach.

Ta jedna straszliwa myśl.

Hańba.

Pochylali się, jakby przygniecieni niewidocznym ciężarem. Ani ich rąk, ani nóg nie krępowały kajdany. Pomimo tego żaden z nich nie próbował uciekać, żaden nie drgnął nawet. Czas jakby zastygł dla nich, każąc smakować ból i strach, każąc przeżuwać wstyd.

Zastygli w bezruchu na podwyższeniu Galerii Hańby. Opierali czoła o zimny granit, zaciskając powieki z całych sił. Niekiedy spomiędzy rzęs wymykały się łzy.

Żaden z nich nie odważył się podnieść wzroku. Chłosta spojrzeń pochodzących od zgromadzonych była wyjątkowo dotkliwa. W Sali zebrało się kilkaset osób... I każdy uważał za stosowne dać wyraz swojemu gniewowi i pogardzie.

Skazańcy. Zbrodniarze, świętokradcy, gwałciciele Prawa. Wystawieni na widok publiczny, by wszyscy widzieli, czym kończy się niewłaściwe wykorzystanie drugiej szansy.

Galeria Hańby mieściła się z prawej strony i nieco poniżej Centralnego Podwyższenia, najważniejszego miejsca w Sali.

Na purpurowych tronach zasiadali tam członkowie Kapituły. Pięciu Wampirzych Lordów niczym pięć lodowych posągów wpatrywało się w tłum.

Nagle w Sali zapanowała cisza. Wstał Lord Ultor, ledwo uchwytnym gestem dłoni ucziszając gwar. Spojrzał w lewo na trzech Wysłanników Ludzi, zasiadających na błękitnych fotelach. Skinął im głową z powagą. Odpowiedzieli pełnymi szacunku kiwnięciami.

- Zebraliśmy się tu dziś, by stała się sprawiedliwość - oznajmił Ultor donośnie. - Oto przed wami zbrodniarze, osądzeni i skazani.

Powolnym krokiem skierował się w prawo, do Galerii. Dotarł do schodów prowadzących ku niej i zatrzymał się. Spojrzał na skazańców surowym, bezlitosnym wzrokiem.

Zadrżeli. Nie odrywając czoł od podłogi, zaczęli zerkać na niego ukradkowo i pospiesznie.

Ruchem ręki nakazał im wstać.

Uśluchali natychmiast, podnieśli się z klęczek, stanęli pokornie pochyleni. Jak na razie żaden z nich nie powiększył swojej hańby, płacząc albo krzycząc. Trzymali się dzielnie... Póki co.

Zgromadzeni zacisnęli wargi, zerkając niespokojnie na przedstawicieli ludzi, a potem przenosząc wzrok na skazanych. Powietrze w Sali aż zgęstniało od niemych próśb.

Wytrzymajcie. Musicie.

Cokolwiek bądź się nie stanie, przyjmijcie to z pokorą i z godnością. Wystarczająco poniżyliście nas wszystkich. Teraz pokażcie, że jednak wciąż mamy jeszcze jakiś... honor.

- Przyjęliśmy was do swojego grona - powiedział Lord Ultor powoli, jego słowa uderzały niczym bicz. - W nadziei, że wykorzystacie Drugą Szansę jak najlepiej. Że obudzicie się dla Nocy, nie łamiąc nowego Prawa, nie zrywając przymierza z Dniem.

Zamilkł na chwilę, rozejrzał się po wampirach zgromadzonych na Sali, potem prześlizgnął się spojrzeniem po ludziach, by wreszcie zawrócić wzrok ku skazanym.

- Zawiedliście nas - wycedził powoli.

Skazańcy stali nieruchomo z oczami wbitymi w posadzkę. Naraz jeden z nich szarpnął się, jakby chciał coś powiedzieć, zaprzeczyć, zaprotestować może... Pohamował się jednak natychmiast, jakby uderzony krótkim spojrzeniem Lorda.

Setki niespokojnych spojrzeń pomknęły ku ludziom. Zauważyli cokolwiek? Być może... Siedzieli jednak spokojnie, z kamiennymi minami, nie pozwalając po sobie niczego poznać. Również ich ochroniarze stali niewzruszenie, niczym zakłęci w kamień.

- Wyrok - oznajmił Ultor głośno.

Na te słowa Lordowie powstali z tronów, a ludzie podnieśli się z foteli. W Sali zapadła całkowita cisza.

- Acalanthis - padło pierwsze wezwanie.

Skazaniec wyszedł przed szereg. Postąpił w górę po krótkich schodach łączących Galerię z podwyższeniem.

Dotarł do Lorda Ultora, po czym klęknął przed nim. Drżał dosyć silnie, ale wciąż trzymał się dzielnie.

- Złamałeś Prawo - powiedział Lord, odsłaniając połę czarnego płaszcza i wydobywając z pochwy miecz. - Zabiłeś człowieka, syna Dnia, zatopiłeś w nim kły. Dzień nie istnieje bez Nocy, a Noc bez Dnia. Ty także przestaniesz istnieć.

Postąpił krok do przodu i w skos, tak, że znalazł się z boku skazańca. Uniósł miecz. Popatrzył przez chwilę na zbielełą twarz tamtego, na jego poruszające się bezgłośnie wargi... Opuścił miecz z całych sił. Ostry błysk stali, świst powietrza, głuchy trzask i zgrzyt.

Głowa wampira potoczyła się po podwyższeniu, korpus opadł bezwładnie. Krew rozbryznęła dookoła, znacząc szkarłatem podest i wspinając się na płaszczy Lorda. Ten opuścił miecz, odwracając się do wysłanników ludzkości.

- Sprawiedliwości stało się zadość - oznajmił z niewzruszoną miną.

- Przestrzegacie Prawa - potwierdzili i pobledli.

Siedzący wśród nich Okruszek z trudem wyjąkał swój tekst, po czym obrócił się nieco, zerkając ukradkiem w tył. Vesper z Nidorem stali tuż za nim, wyprostowani, z kamiennymi minami. Policjant odwrócił się z powrotem ku scenie i skierował wzrok ku ciału straceńca.

Przyskoczyli już doń Pomocnicy, jeden z nich podniósł odciętą głowę, owijając ją w czarny aksamit. Pozostałych dwóch zajmowało się bezgłowym korpusem: jeden przytrzymał ciało, a drugi pośpiesznymi, głuchymi uderzeniami młota wbijał drewniany kołek w klatkę piersiową. Próżny gest, wampir nie żył już z całą pewnością... Ale literze Prawa musiało stać się zadość. Zgodnie z zasadami i honorem.

Wreszcie pomocnicy skończyli, podnieśli ciało i zniknęli w niewielkich półokrągłych bocznych drzwiach, tuż przy schodach do Galerii. Powrócili po krótkiej chwili i przywarowali

pod ścianą, nawet nie trudząc się ocieraniem krwi kapiącej im z rąk. Za chwilę przecież czeka ich następny trup.

- Barrus - wywołał Lord spokojnie.

Kolejny skazaniec wspiał się po schodach, nogi pod nim drżały. Rozejrzał się ukradkiem po Sali, zacisnął wargi, jakby dodając sobie sił. Dotarł do Ultora, klęknął od razu bokiem do niego, prosto w kałuży krwi. Pochylił głowę, wyciągając szyję.

- Złamałeś Prawo - powtórzył Lord sakramentalnie. - Zabiłeś człowieka, syna Dnia, zatopiłeś w nim kły. Dzień nie istnieje bez Nocy, a Noc bez Dnia. Ty także przestaniesz istnieć. - Uniósł miecz.

Świsnęła klinga. Ostra stal *katany* przedarła się przez skórę, mięśnie, ścięgna, zazgrzytała o kręgi. Pomknęła dalej, zrzucając w dół odciętą głowę wraz ze strumieniem krwi.

Kolejny korpus upadł Lordowi do nóg.

- Sprawiedliwości stało się zadość - oznajmił Ultor spokojnie, lekko odwracając głowę ku ludziom.

- Przestrzegacie Prawa - potwierdzili słabo. Podskoczyli Pomocnicy.

- Calcar - powiedział Lord.

Wywołany jakby skamieniał. Próbował postąpić krok do przodu, struchlałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Obrzucił Ultora nerwowym, błagalnym spojrzeniem. Jego myśli krzyczały wręcz, odbierała je znaczna część co silniejszych zebranych.

Pomóż mi, Panie. Chciałbym przyjść... Ale nie mogę. Nie pozwól mi się zhańbić do końca, Panie. Pomóż mi.

Lord zacisnął wargi w gniewnym grymasie. Kątem oka zerknął na ludzi. Siedzieli w swych fotelach, wpatrzeni w ofiarę z napięciem. Władca Rodu błysnął więc spojrzeniem, na skutek którego skazaniec przetoczył się w przód, jakby pchnięty niewidzialną mocą. Wampir wykorzystał to skwapliwie, raz poruszone nogi posłusznie powlokły go po schodach do góry. Klęknął przed Lordem pośpiesznie, z zaskakującym wyrazem ulgi na twarzy. Pochylił głowę, poddając ją pod cios, po czym zacisnął oczy z całych sił.

Ultor ponownie wymówił tekst wyroku. Zamachnął się mieczem pośpiesznie, jakby nie będąc do końca przekonany o sile woli skazańca i nie chcąc ryzykować jakiegokolwiek kompromitacji. Oddzielił głowę od tułowia potężnym, mocnym uderzeniem. Odwrócił się ku ludziom z tradycyjnym zapytaniem o satysfakcję. Potwierdzili ją znów.

Pomocnicy błyskawicznie uwinęli się z wbijaniem drewnianego kołka. Ponieśli martwe ciało, ślizgając się w coraz większej kałuży krwi.

Ultor strzepnął krople krwi krótkim ruchem, schował miecz do pochwy. Klinga zagrzytała kleiście.

- *Non nocemus hominibus* - oznajmił głośno.

Rozejrzał się po sali, patrząc, jak obecni kulą się pod jego wzrokiem. Skinął głową, po czym odwrócił się i powolnym krokiem powrócił do swego tronu. Zasiadł na nim w milczeniu.

Lord Candor uniósł się ze swojego miejsca powoli.

- Posiedzenie Kapituły ogłaszam za zakończone - obwieścił z namaszczeniem. - Wracajcie do domów, Dzieci Nocy. - Odwrócił się nieco w bok, ku ludziom. - Dziękujemy wam za przybycie, Dzieci Dnia.

Ludzie dźwignęli się ze swoich foteli w całkowitym milczeniu. Lordowie powstali również. Podeszli do gości, półgłosem dziękując im jeszcze raz. Wspólnie skierowali się ku drzwiom. Za nimi podążali ich nocarze i pretorianie.

Okruszek odwrócił się do Nidora i Vespera, podążających za nim krok w krok.

- Bezsensowne, niepotrzebne barbarzyństwo! - mruknął cicho ze złością. - Brutalne jatki ku ucieście krwiożerczej gawiedzi, ot co!

Nie odpowiedzieli nic, trzymając głowy wysoko i nie zmieniając kamiennych wyrazów twarzy ani na jotę.

Zamilkł więc i on. Poszedł dalej przed siebie, wyraźna dezaprobata biła z każdego jego ruchu. Zgromadzeni również zaczęli wychodzić, sala pustoszała powoli. Dwóch sprzątaczy weszło na podwyższenie, dźwigając wiadra z płynem czyszczącym. Powolnymi, dokładnymi ruchami zaczęli jeździć mopami po podłodze, zmywając krew.



Jadą czterej jeźdźcy, jadą...

Pierwszy niesie ci głód
Niesie ci głód, pragnienie
Pierwszy niesie ci głód
Nie będziesz już nigdy syty
Nigdy nie będziesz już
Pierwszy niesie ci głód
Głód w każdym miejscu twego
ciała
Niesie ci głód, którego nie chcesz
A który dostaniesz i tak

Drugi niesie ci wojnę
Niesie ci wojnę na wschodzie
Na zachodzie niesie ci
Nie zaznasz już spokoju
Huk armat budzić cię będzie
Drugi niesie ci wojnę
Wojnę wokół całego ciebie
Niesie ci wojnę, której nie chcesz
A którą dostaniesz i tak

Trzeci niesie ci śmierć
Niesie śmierć twoim bliskim,
Nieznajomym twym niesie ją
Trzeci niesie ci śmierć
Śmierć duszy twej i twego ciała
Niesie ci śmierć, której nie chcesz
A którą dostaniesz i tak

Lecz nie trać nadziei, nadziei nie
trać
Nadziei nie trać, tracić nie wolno
Czwarty niesie ci
On potężniejszy jest od tamtych
trzech
On niesie ci miłość i wiarę
i miłość
I wiarę, nadzieję dla ciebie ma
Niesie ci słońce i gwiazdy
On potężniejszy jest od tamtych
trzech

Kult „Jeźdźcy”

Konwój



esper stał przed oknem i patrzył prosto w słońce. Mrużył lekko oczy, oślepiało go bowiem... Ale nie paliło. Wpatrywał się w nie więc niczym urzeczony.

Ktoś podszedł do niego od tyłu, położył mu delikatnie rękę na ramieniu. Odwrócił się zaciekawiony. Popatrzył prosto w ciemne, płonące tajemniczym żywiołem oczy kobiety, która stanęła obok niego. Te same niezapomniane oczy, w których szalał pożar, kłębił się niecichnący sztorm.

Westchnął głęboko, przejęty niezmierną ulgą. A więc nareszcie przyszła do niego ta, do której tęsknił tak bardzo. Kobieta uśmiechnęła się w milczeniu. Podniosła dłoń z jego ramienia i delikatnie, powoli pogłaskała go po policzku. Uniósł ręce, schwycił tę dłoń natychmiast i przycisnął do ust. Przymknął oczy, smakując dotyk jej jedwabistej skóry.

Kobieta patrzyła na niego wciąż, rozchylając lekko wargi, jakby zachęcała do pocałunku. Podniósł wzrok, westchnął z rozkoszą, puścił jej dłoń. Objął kobietę ramionami, przyciągnął do siebie. Przywarła do niego natychmiast, unosząc twarz. Pochylił więc głowę, chciwie szukając ustami jej warg. Jego spragniony język wcisnął się pomiędzy nie czym prędzej, spotkał się z jej językiem. Całowali się pośpiesznie, zachłannie, ich ciała zbliżały się coraz mocniej. Zsunął dłonie z jej pleców, ścisnął twarde pośladki. Przestał całować jej usta, powiódł wargami w dół po jej brodzie, potem wzdłuż szyi... Coraz mocniej czuł, jak jego narzmiwały członek pulsuje pożądaniem, przyciskając się do jej bioder.

Wyślizgnęła się nagle z jego objęć, lekko, bez trudu, jakby była tylko mgłą. Popatrzyła na niego, znów tym szalonym, magnetyzującym spojrzeniem.

- Przyjdź - powiedziała cicho.

Pokiwał głową gorliwie. Już sam jej widok napawał go niewytłumaczalną rozkoszą. Tak bardzo jej pragnął... Tak niewyobrażalnie bardzo...

Nagle obudził się z lekkim okrzykiem.

Spojrzał z niedowierzaniem na plamę na bokserkach. Mokry sen, od kilkunastu lat nie przytrafiło mu się coś takiego. Odkąd przestał być bezustannie niewyżyty nastolatkiem. Usiadł na łóżku, drżąc. Przeciągnął dłonią po spoconym czole.

- O cholera - wyrzucił z siebie zdyszczym półgłosem. - A niech to szlag.

Wstał. Poszedł do łazienki spieszonym krokiem. Zrzucił bokserki, wszedł pod prysznic. W strumieniach gorącej wody usiłował pozbierać chaotyczne myśli.

Nie miał cienia wątpliwości, kim był jego nocny gość. Aranea.

Powinien powiedzieć o tym Lordowi, natychmiast. To nie powinno się było zdarzyć, to nie jest dobrze, że tak... To może być jakiś podstęp Pani Renegatów.

Jasne, idioto, skarcił się w myślach po chwili. Idź do Ultora i powiedz: wiesz, Panie, śni mi się twoja była. Mam straszną ochotę ją przelecieć. I co mi na to możesz poradzić?

Pokręcił głową z westchnieniem. To byłaby wręcz idealna woda na młyn kapitana Alacera. Kolejny argument potwierdzający jego podejrzenia. Że jednak Vespera ciągnie do renegatów... I to z niejednej przyczyny.

Nie, nie, zdecydował w duchu. To zdecydowanie nie jest dobry pomysł. Lepiej milczeć i poczekać na rozwój wydarzeń. Zresztą to przecież tylko sen.

No, może ewentualnie pogada o tym z Nidorem. Oczywiście w stosownej chwili. O ile taki moment się trafi.

Westchnął głęboko, zakręcił prysznic. Wyszedł z łazienki nagi, ociekający wodą, wrócił do sypialni. Położył się na łóżku. Przed oczami pojawiały mu się ciągle sceny z tego snu i za nic nie był w stanie ich odgonić.



Syrena rozwrzeszczała się sygnałem pozostającym na progu ludzkiej słyszalności, doskonale jednak wychwytywanym przez wyczulone zmysły nocarzy. Charakterystyczny przeciągły pisk: jedno krótkie uderzenie dźwięków, jedno długie, dwa krótkie. Chwila przerwy, potem znowu to samo.

Vesper dźwignął ciężkie od snu powieki. Usiadł na łóżku, spuścił nogi, przetarł oczy dłońmi. Nie zapamiętał, kiedy udało mu się zasnąć. Męczył się prawie do samego wieczora, targany głodem i niespełnionym pożądaniem.

Wstał ociężale, narzucił na siebie czarny dres. Każdy ruch był wymuszony i powolny, jakby zamiast powietrza zaczęła go otaczać jakaś gęsta, lepka ciecz. Potwornie mu się nie chciało nigdzie iść, najchętniej zwinąłby się w kłębek na łóżku, nakrył głowę kocem i został tak na dzień, dwa... A może jeszcze dłużej. Albo na zawsze, właściwie to czemu nie.

Ale musiał się ruszyć, chciał tego czy nie. Syrena to sygnał dla jego zmiany, oznajmiający czas posiłku. Będzie można zaspokoić choćby ten jeden rodzaj głodu, dobre i to.

Powłókł się do telewizyjnej ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, powłócząc nogami. Wbił wzrok w szarą wykładzinę, nie patrząc na innych nocarzy, drepczących równie smętnie jak i on.

Dotarł w końcu do sali, omiótł ją niechętnym spojrzeniem. Barek, zawsze oferujący chłodną sztuczną krew, teraz świecił pustkami. Już nie można było po prostu podejść i się napić, kiedykolwiek dusza zapragnęła. Teraz syrena wzywała nocarzy na posiłek, a oni karnie ustawiali się w kolejce.

Jedno pełne rozpaczy słowo wciąż wisiało w powietrzu, miazdząc ich wszystkich swoim ciężarem.

Głód.

Vesper westchnął, dołączył do szeregu czarno odzianych postaci. Popatrzył na Nidora, który wyjmował plastikowe torebki z dużego kartonowego pudła i rzucał po dwie sztuki kolejnym nocarzom.

Vesper pokręcił głową. Dwa opakowania, dwa razy pół litra krwi. I to ma wystarczyć na cały dzień. Jeszcze wczoraj były trzy... Znaczy jest źle, naprawdę źle.

Wreszcie nadeszła i jego kolej, złapał swój przydział, skinął Nidorowi głową. Tamten uśmiechnął się blado, po czym zanurkował w pudle w poszukiwaniu dalszych zapasów dla kolejnego nocarza.

Vesper odszedł na bok. Ostrożnym ruchem rozdarł opakowanie, powoli, delikatnie, żeby nie uronić ani kropelki. Zaczął pić, z ulgą smakując życiodajny płyn.

Rozejrzał się dyskretnie po milczących kolegach. Zasiedli w fotelach tak samo jak on, pochłaniając swoje czerwone skarby. Ich miny nie wyrażały żadnych uczuć, ale Vesper doskonale wyczuwał pełną napięcia atmosferę panującą na sali. Niemalże w każdym gościu czaiło się rozdrażnienie, każdy pomruk naładowany był agresją. Głód narastał nieustępliwie, a jego objawy nasilały się w lawinowym tempie.

Vesper rzucił okiem na drzwi do ludzkiej części bazy, obecnie zamknięte na głucho. Nienocarzom zabroniono pojawiać się tutaj bez ważnego powodu. Dla ich własnego bezpieczeństwa, jak stwierdzono krótko.

Również dla bezpieczeństwa na patrole wychodzili już tylko najstarsi operacyjni. Młodszy zostawali w bazie przy mniej istotnych zadaniach, w znakomitej części polegających na uzupełnianiu dokumentacji. Nikt nie ośmielił się powiedzieć na głos, że nie wychodzą dlatego, żeby nie złamała ich chęć polowania. Taka możliwość po prostu nie istniała oficjalnie, żaden z nocarzy nigdy nie zdradził, koniec i kropka. Ale na razie młodszy nie dyżurowali na zewnątrz, tak mówiło zarządzenie Lorda, bez podawania konkretnych przyczyn.

Vesper popatrzył za okno. Rzesza „legalnych” wampirów była coraz bardziej wygłodniała, nie mniej niż nocarze. Lada moment skończą się ostatnie zapasy... A wtedy zwycięży

głód i rozpoczną się polowania. Renegaci z radością powitają przybyszów, dokona się swoista rewolucja.

Panie, pomyślał Vesper pod adresem Ultora. Jeżeli czegoś nie zrobisz, i to w miarę szybko, będzie niewesoło. Ale przecież sam o tym dobrze wiesz.

Jakby ściągnięty myślami, do sali wszedł Ultor. Popatrzył na nocarzy, twarz miał rozpromienioną. Odpowiedzieli mu pełnymi nadziei spojrzeniami. Czy przyszedł z tą wyczekiwaną, wytęsknioną wiadomością?

- No, panowie - powiedział Lord ciepłym głosem, dalekim od zwykłego, surowego tonu. - Zbierajcie się. Jedziemy po żarcie.

Zerwali się z miejsc natychmiast, oczy płonęły im uniesieniem. A więc jednak. Nareszcie.

- Odprawa tutaj, w sali, za piętnaście minut - zakomenderował Ultor. - Chcę was widzieć wszystkich w pełnej gotowości bojowej. Ruszaj!

Nocarze rzucili się do drzwi z niekłamany ożywieniem. Cała dotychczasowa ociężałość i apatia wyparowały z nich w mgnieniu oka. Zaczęli wylewać się z sali czarną rzeką.

Vesper zatrzymał się na progu, spojrzął na Nidora, wciąż jeszcze stojącego nad kartonowym pudłem. Wymienił z nim pełne radości mrugnięcia, odwrócił się i pobiegł do pokoju, czując, jak myśli pulsują mu pełną nadziei ulgą.

Być może już wkrótce opije się do syta jak pajak świeżą, chłodną krwią.



Słońce wstawało nad lotniskiem w Chrcynnie, kładąc na polach pasy mgieł. Vesper z Nidorem przechadzali się powoli wzdłuż trawiastego pasa startowego, rozglądając się wokół uważnie z rękami na kolbach karabinów HK G36. Nic się nie działo jak na razie. Nic a nic.

Doszli wreszcie do drogi, zatrzymali się tuż przed hangarem. Napracowali się w nocy, usuwając z niego motolotnie i wstawiając na ich miejsce swoje furgonetki. Na szczęście kierownik sekcji spadochronowej okazał się bardzo uczynny. Na jego skinienie spadochroniarze z Aeroklubu Warszawskiego pomogli im bez zadawania zbędnych pytań. Bądź co bądź, zgodnie z definicją lotnisko w Chrcynnie było jednym z elementów obronnych kraju, współpraca ze służbami specjalnymi była niejako wpisana w sens jego istnienia. Nocarze popatrzyli na słońce dźwigające się leniwie znad pobliskiego lasu. Oto wstawał kolejny lipcowy dzień. Jeszcze trochę i zrobi się naprawdę... gorąco.

Vesper zmrużył oczy, starając się dostrzec zamaskowane w trawie pary snajper-obszawator. Nawet pomimo tego, że doskonale wiedział, gdzie teraz warują koledzy, nie dostrzegł żadnego z nich. Pokiwał głową z uznaniem, po czym popatrzył na Nidora. Doskonała okazja do rozmowy, przemknęło mu przez myśl.

- Dalej nam nie ufają, myślisz? - rzucił półgłosem. - Co?

Tamten obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał krótko.

Porucznik wzruszył ramionami.

- Obstawiamy jakieś podwarszawskie lotnisko trzeciej kategorii - powiedział z rozdrażnieniem. - Nawet nie lotnisko, tylko teren przystosowany do startów i lądowań. Moim zdaniem jesteśmy tu wystawieni na wabia. Wyłącznie po to, żeby renegaci mieli za dużo miejsc do obserwacji. I nie mogli skupić się zbyt dobrze na właściwym celu. A zatem dostaliśmy misję, której nie możemy spieprzyć, nawet jakbyśmy chcieli. Czyli jesteśmy w odstawce, ot co. - Przez twarz przemknął mu cień dosyć wyraźnej niechęci.

- Niekoniecznie masz rację - odparł Nidor spokojnie. - Nie znasz planu Lorda, nie wiesz, jak zamierza przerzucić ten transport krwi. I dobrze, im bardziej to wszystko niejasne, tym mniejsze szanse mają renegaci.

Vesper wbił ręce w kieszenie, przesunął nogą po żwirze, drobne kamyczki wyprysnęły mu spod buta i poturlały się na boki. Noczcz popatrzył w ziemię bezmyślnie. Zaburczało mu w brzuchu, głośno, dotkliwie.

- Słuchaj, powiedzmy sobie szczerze - warknął, coraz bardziej rozeźlony. - Żaden większy samolot tutaj nie wylądowuje, więc możemy sobie odpuścić jakąkolwiek poważną dostawę. Moim zdaniem w grę wchodzą trzy lotniska: Okęcie, i to nie to cywilne, a wojskowe, Modlin oraz ewentualnie Mińsk Mazowiecki, lotnisko dwudziestej piątej powietrznej. My tutaj, w Chrcynnie, tak samo jak oddział w Góraszce, jesteśmy jedynie dla zmyłki. A wiesz przecież, jaki przydział dostał Alacer. No, jaki?

Nidor odwrócił głowę, popatrzył na barak spadochroniarzy skryty wśród drzew. Przez chwilę mocował się z odpowiedzią.

- Modlin - powiedział wreszcie, z wyraźnym trudem siląc się na spokój. - A major siedzi na Okęciu.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - Vesper splunął na ziemię ze złością. - I kto jest teraz na topie?

- Słuchaj, stary, nie nakręcaj się - odparł kapitan dosyć gwałtownie. - Wiesz, że musimy być cholernie ostrożni tym razem. Każda placówka może się okazać równie ważna

w ostatecznej rozgrywce. Renegaci wcale nie mają tak trudnego zadania, jak by się wydawało. Wiedzą, że należy się spodziewać dostawy, bardzo możliwe, że znają nawet jej dokładną datę i godzinę...

Przyjaciel popatrzył na niego z wyraźnym zdziwieniem, nie zadał jednak pytania w oczywisty sposób cisnącego mu się na usta.

- Musimy być przecież, cholera, legalni! - sapnął Nidor ze złością. - Zamówić tę krew z fabryki czy magazynu z zachowaniem wszelkich procedur, podpisów i pieczętek. Naiwnością byłoby liczyć na to, że renegaci nie włamią się zdalnie do bazy danych i nie popatrzą sobie: o, proszę, duże zamówienie, na szybko, taki a taki klient, taka a taka data realizacji...

- No to mamy przerąbane - sposepniał Vesper, zły, że taka oczywistość nie przyszła mu do głowy. Głód, nic innego. Głód mącił mu myśli. - Faktycznie.

- Więc jedyne, co możemy zrobić, to zmylić tropy - kontynuował kapitan. - Na pewno Lord nie wyśle przesyłki na cargo na Okęcie. Wiesz, jakie oni tam mają zabezpieczenie, śmiech na sali. Stanie za siatką dwóch renegatów z, dajmy na to, Striełą-2, poczekają, aż samolot podejdzie do lądowania, bum, dziękujemy. I po transporcie.

- A zabezpieczenie kontrwywiadowcze? - zapytał noczny szybko. - Przecież możemy ruszyć pozostałą część maszynki ABW, niech chłopaki popracują dla nas trochę. Niech się pokręca dookoła lotniska, popatrzą, czy nie stoi tam jakaś podejrzana furgonetka...

- I trafią na renegatów - wpadł mu w słowo przyjaciel. - I niech się tam zrobi jatka, po której operacyjni szczegółowo raportują o wszystkim, co widzieli. Póki co renegaci przynajmniej nie pchają się ludziom przed oczy. Polują dość dyskretnie, nie zostawiają śladów... Bardzo rozsądnie, nie chcą mieć zbyt wielu przeciwników naraz. Ale w razie czego będą walczyć bez pardonu, a nas może wtedy nie być w pobliżu. Nie ukęcimy łąba sprawie i wszystko się wysypie za wcześnie. Nie stać nas na takie ryzyko.

- No tak... - Vesper westchnął ciężko. - No tak.

- Więc pewnie samolot w ostatniej chwili zmieni trasę - ciągnął Nidor z powagą. - Co nam też nie załatwia sprawy do końca. Podsluchanie wieży na Okęciu to kaszka z mleczkiem, renegaci zaraz będą wiedzieć, gdzie ląduje.

- Przecież nie obstawiają wszystkich lotnisk - zaprotestował noczny. - Nie mają chyba wystarczającej ilości... personelu. - Omal nie powiedział „ludzi”, zmienił słowo w ostatniej chwili.

Kapitan pokiwał głową.

- A muszą się liczyć też z tym, że tuż przed wylotem Lord zmieni samolot na mniejszy, taki, który wyląduje w Chrcynnie lub w Góraszce - powiedział. - Albo na kilka mniejszych jednocześnie.

Vesper rozjaśnił twarz w uśmiechu.

- No faktycznie - stwierdził znacznie weselej. - Może więc i nam się coś z tego dostanie.

- Rakiety też nie jest tak łatwo kupić - dodał jeszcze Nidor. - Już prędzej przykucną po drodze z jakimś granatnikiem...

- No tak, to major mówił na odprawie. To dlatego mamy w razie czego grzać co sił - przypomniał sobie młody nocarz. - Szybko jadący samochód nie jest łatwym celem, nawet jakby się gdzieś na nas zaczęli.

- A wszystkich możliwych dróg i tak nie obstawią - uzupełnił kapitan. - Kwestia szczęścia.

- Miejmy nadzieję, że tym razem będzie po naszej stronie - oznajmił Vesper. - Bardzo by nam się odrobina sukcesu przydała.

- Nawet nie mów. - Nidor machnął ręką, kierując się w stronę wejścia do hangaru. - Bo jeszcze zapeszysz. Chodź, zmienimy chłopaków, niech teraz oni rozprostują kości. Zwłaszcza rekrut, bo znowu zaczyna być marudny. Niechby się Lord zdecydował wreszcie, bierzemy go czy nie, bo tak to... No ale nic. Chodź.

- Tak jest! - zsalutował młodszy nocarz i ruszył natychmiast za przełożonym.



AN-28 zniżał lot, podchodząc do lądowania. Vesper stał w drzwiach hangaru i wpatrywał się w maszynę z napięciem, zaciskając palce na G36-tce. Tuż obok niego przywarowali Acies i Fulgur, również omiatając sto dwa hektary lotniska uważnym spojrzeniem. Pozostali nocarze rozsypali się dookoła, zabezpieczając teren.

- Baro Jeden, Baro Dwa. Do wozów! - polecił Nidor zdecydowanie, wychodząc naprzeciw samolotu. - Ruszaj!

Zespoły skierowały się do furgonetek. Vesper wskoczył do pierwszej z nich, popatrzył na Aciesa, zajmującego miejsce kierowcy. Skinął głową pretorianinowi, podniósł rękę z uniesionym do góry kciukiem. Tamten odpowiedział takim samym gestem, po czym opuścił dłoń i uruchomił silnik. Druga furgonetka zahuczała za nimi głębokim pomrukiem, to Fulgur również odpalił maszynę. Poczekali chwilę, nasłuchując uważnie kolejnych poleceń.

- Baro Jeden, Baro Dwa. Ruszaj! - zabrzmiał głos Nidora w słuchawkach.

Potwierdzili przyjęcie rozkazu i wytoczyli się ostrożnie z hangaru, rozglądając się dookoła. Samolot był już prawie na ziemi, dodali więc gazu i pomknęli w jego kierunku. Dotarli doń w chwili, kiedy zatrzymał się całkowicie, a śmigła kręciły się powolnym, leniwym ruchem. Piloci nie wyłączyli silnika, opuścili jedynie tylną klapę. Z samolotu wysypali się mężczyźni w polowych mundurach nocarzy. Srebrny księżyc na ich ramionach opatrzony był czarno-czerwono-żółtą flagą.

- Transport z Berlina - zrozumiał Vesper od razu. - A to są koledzy z *Bundesamt für Verfassungsschutz*... - Popatrzył na niemieckich nocarzy z ciekawością, po czym zreflektował się i powiódł wzrokiem po szeregu olch odgradzających lotnisko od drogi na Nasielsk. Czysto, żadnych renegatów.

Nidor wspiął się do wewnątrz samolotu, zapewne poszedł porozmawiać z pilotami. W międzyczasie polscy i niemieccy nocarze przemieszali się spieszenie, przepakowując ładunek z samolotu do furgonetek. Jak na razie akcja przebiegała szybko i sprawnie.

Po chwili kapitan pojawił się z powrotem i zeskoczył z rampy. Pokiwał głową z aprobatą, widząc, że towar zniknął już we wnętrzu pojazdów, a nocarze właśnie zamykają i plombują drzwi. Począł, aż skończą i rozbiegną się: Niemcy do samolotu, Polacy w kierunku baraku. Wtedy podbiegł do drugiej furgonetki, prowadzonej przez Fulgura. Wskoczył na miejsce pasażera.

- Baro Jeden, Baro Dwa. Ruszaj! - zakomenderował wyraźnie.

- Baro Dwa, ruszam - potwierdził Acies natychmiast, wciskając pedał gazu prawie do oporu.

Pojazd zawył silnikiem i skoczył do przodu, wyrывая kołami poście trawy. Zatoczył niewielki okrąg i skierował się z powrotem w kierunku piaszczystej drogi łączącej hangar z szosą. Wjechał na nią, wtedy dołączyły doń zaparkowane pod barakiem czarne beemki. Zawyły syreny, zamigały wyłożone na dachach światła. Pierwszy konwój wyjechał na szosę nasielską, skręcił w lewo, tuż za nim pojawił się drugi.

Przy zakręcie konwoje się rozdzieliły. Nidor ze swoim oddziałem pomknęli prosto drogą na Pułtusk. Acies, a razem z nim i Vesper skręcili łagodnym łukiem w prawo, kierując się na zaporę w Dębem. Z tyłu za nimi AN-28 podrywał się do lotu.

Acies był doskonałym kierowcą.

Vesper zdążył już przywyknąć do zwariowanego sposobu, w jaki prowadził Nidor. Wyprzedzanie innych pojazdów w odległości kilkunastu milimetrów, wspomagane telekinezą, nie robiło już na nim większego wrażenia. Ale to, co zaprezentował pretorianin na drodze numer 621, wzbudziło w młodym nocarzu najszczerzy podziw.

Wąska, pełna dziur szosa, na którą pomimo wczesnej pory co i rusz bezczelnie wpychały się traktory albo rowerzyści, była dla Aciesa niczym tor wyścigowy. Bez problemów utrzymywał 160 kilometrów na godzinę, podczas gdy koledzy w beemkach z trudem nadążali z manewrami, by utrzymać się w stosownej odległości.

Jak tak dalej pójdzie, będziemy u Okruszka w czterdzieści minut, pomyślał z ulgą Vesper, wciąż bacznie obserwując okolicę. A tam... Będzie można już zacząć jeść, choćby i dyskretnie.

Według planu część dostawy transportowana przez grupę Nidora miała znaleźć się w bazie w Emowie. Acies zaś miał dostarczyć towar do ZOA, gdzie policjanci zgodzili się przechować go przez jakiś czas w ramach umowy między instytucjami. Vesper wspomniał pełną dezaprobaty minę Okruszka, gdy tamten dowiedział się o tym posunięciu. Niewątpliwie tylko on z całej jednostki miał jakiegokolwiek pojęcie, jaka jest zawartość dostawy i jej przeznaczenie. Dotrzymał jednak słowa danego Lordom. Pomimo ewidentnie miotających nim mieszanych uczuć, starał się być jak najbardziej pomocny. Ale bynajmniej nie był z tym szczęśliwy i okazywał to nocarzom bez cienia skrupułów.

Przyzwyczai się... - westchnął Vesper w duchu. Prędzej czy później zrozumie naszą i swoją sytuację. Przyzwyczai się.

Pokiwał głową, po czym skupił się z powrotem na drodze, zaciskając w rękach empepiątkę i rozglądając się wokół uważnie. Drzewa uciekały, jakby wystraszone wyciem silnika furgonetki. Acies pruł sprawnie, płynnie i nieustępliwie. Jak na razie nikt nie próbował im przeszkodzić. Być może renegaci nastawili się raczej na Modlin albo Okęcie.

Nocarze przejechali przez zaporę nad Dębem, mrużąc oczy przed błyskami słońca ślizgającymi się po wodach Zalewu Zegrzyńskiego. Nie zwolnili jednak ani odrobinę. Pojazdy pomknęły dalej drogą skręcającą łagodnie wśród kolejnych drzew.

Nagle zza zakrętu wypadł olbrzymi TIR, jadąc wprost na nich samym środkiem szosy. Czas przyśpieszył.

Kierowca przedniego BMW odbił w prawo, Vesper niemalże czuł, jak siedzący wewnątrz nocarze koncentrują się z całych sił na mentalnym odpychaniu pojazdu. W tej samej chwili Acies skręcił w lewo na pobocze. Ciężarówka wbiła się z pełną mocą w BMW, połyka-

jąc je prawie w całości. Maszyny zespoliły się w jednej, pracy błyskawicznie do przodu kupie złomu, ustawiając się skośnie na szosie i zagradzając całą jej szerokość.

Acies zdążył wypaść z drogi, furgonetka poturlała się wąskim poboczem, zwalniając coraz bardziej i ślizgając się po piasku. Vesper wpatrzył się z napięciem w wąski przesmyk, jaki im pozostał pomiędzy tyłem ciężarówki a pierwszymi sosnami rozciągającego się wzdłuż drogi lasu. Mają szansę, jeżeli tylko Acies utrzyma manewrowość na tej nawierzchni, mają szansę.

Tył TIR-a minął ich o centymetry.

Vesper odetchnął z ulgą, popatrzył z uznaniem na kolegę. Świetna robota, Acies, po prostu świetna.

I wtedy nagle gwałtowny wstrząsmiotnął furgonetką niczym plastikowym, dziecięcym samochodzikiem. Powietrze rozdarł głośny huk wybuchu, potem kolejny... Pojazd przewrócił się na prawy bok i zaczął z przeraźliwym zgrzytem sunąć po ziemi. Vesper z Aciesem, przypięci pasami, zwiśli w fotelach bezwładnie, patrząc w oszołomieniu, jak w ułamkach sekund zbliżają się ku nim pierwsze sosny. Spróbowali się jeszcze odepchnąć z głuchym, gardłowym krzykiem. Ale drzewa wparły w nich zachłannie ze zgrzytem miazdzonego metalu. Kolejny wstrząs rzucił pasażerami o oparcia foteli... A potem nastąpiła nagle ciemność, w której nie było już nic.



Vesper zamrugał, świat rozjeżdżał się i składał z powrotem niesłychanie powoli. Kabinę wypełniały coraz gęstsze kłęby czarnego, gryzącego dymu. Zaczął kaszleć, krztusząc się zalewającą mu usta krwią. Szarpnął G36-tkę, bezskutecznie, zaklinowała się gdzieś w pociętych drzwiach, przygnieciona poduszką powietrzną. Z trudem rozprostował palce, puszczając broń. Sięgnął lewą ręką do pasów bezpieczeństwa, nie był w stanie ich odpiąć. Powiódł więc prawą dłońią po ciele w poszukiwaniu noża.

Jego ruchy stały się niewiarygodnie powolne, jak w koszmarnej śnie. Ciągnął rękę w górę i w górę i wydawało mu się, że mijają lata, zanim udaje mu się pokonać kilka centymetrów. Dym wypełniał kabinę coraz szczelniej, narastało gorąco, gdzieś z tyłu syczały płomienie...

I nagle zadygotał w przemożnej panice. Spali się tu za chwilę, spłonie żywcem. Akurat na to, nawet jako wampir, nie jest odporny.

Wrzasnął głośno, wierzgnął nogami, wciąż leżąc na boku. Najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić, pasy zacisnęły się na nim jeszcze mocniej. Spanikowany spojrział wzwyż. Pomiędzy kłębamii dymu wypatrzył białą, nieruchomą twarz Aciesa. Pretorianin wciąż był przypięty swoimi pasami. Dlatego jeszcze nie spadł na Vespera. Całe szczęście.

Spokojnie, tylko spokojnie, stary, pomyślał z wysiłkiem. Powoli.

Odszukał wreszcie nóż, wy dobył go. Namacał pasy, przeciął je i zwałił się na bok bezwładnie. Omal się przy tym nie nadział na własne ostrze.

Obrócił się na plecy. Popatrzył na przednią szybę, porysowaną siateczką pęknięć, a mimo to wciąż pozostającą na swoim miejscu. No tak, kuloodporna, przypomniał sobie z przerażeniem. A zatem tędy nie wyjdzie, nie ma szans.

Płomienie dotarły już do kabiny, zaczęły lizać zagłówki siedzeń. Vesper spróbował się przekręcić tak, żeby móc się odepchnąć nogami, nie udało mu się. Chwycił więc płonący zagłówek kierowcy, podciągnął się na nim z determinacją. Nagle świat dookoła przyspieszył jak na starym, przedwojennym filmie. Wszelkie możliwe punkty oparcia były wystarczająco dobre, byle tylko pięć się do góry, byle wzwyż. Płomienie rozszalały się dookoła, pożerając chciwie głowę pretorianina, wpełzając nocarzowi na ubranie. Vesper znalazł wreszcie oparcie dla stóp, precyzyjnie się koło Aciesa, modląc się w duchu, żeby drzwi kierowcy nie były zablokowane...

Były.

Pchnął raz i drugi, waląc w nie wściekle niczym w transie.

Nie ustąpiły.

Ubranie płonęło już na całego. Zostanie już tutaj, w tym piekle bez wyjścia.

Nagle przed oczami zamajaczyła mu rękojeść glocka skrytego w kaburze udowej kierowcy. Sięgnął więc zachłannie ku broni Aciesa. No cóż, skoro nie ma szans... To lepiej palnąć sobie w łeb, niż spalić się żywcem. Lepiej tak.

Zaczął się szarpać z kaburą, która jednak za nic nie chciała uwolnić swego skarbu. Puścił ją więc w końcu, niemalże płacząc. Chciał sięgnąć w dół do swojego pistoletu, jednak przeciśnięcie rąk aż do uda okazało się niewykonalne. Ponownie więc spróbował wydostać się z kabiny, waląc w drzwi we wścieklej panice. Kłął, miotał się, krzyczał... Na nic.

Nagle drzwi nad nim otworzyły się szarpnięte z zewnątrz zdecydowanym ruchem. Jakaś ręka zanurkowała do wnętrza pojazdu. Vesper ucze pił się jej natychmiast kurczowym, rozpaczliwym gestem. Wydostał się na zewnątrz w kilku spazmatycznych ruchach. Przeczłogał się spieszenie po kabinie i spadł z niej, zanim ktokolwiek zdążył go przytrzymać. Dygo-

cząc na całym ciele, na czworakach odpełznął w bok. Byle dalej od piekła, w którym o mało nie został na zawsze.

Dopiero po paru metrach zatrzymał się i odwrócił, patrząc, jak czarno odziane sylwetki wydobywają z pojazdu nieruchomego Aciesa. Zacisnął oczy, kiedy dotarło do niego, co właśnie zrobił. Uciekł, zostawiając kolegę na pastwę płomieni.

Osunął się na ziemię, tłumiąc w gardle głuchy krzyk, po twarzy popłynęły mu łzy. Jakieś postacie podskoczyły ku niemu, kawałkami materiału gasząc jego płonące ubranie. Potem pociągnęły po ziemi przez pełne szorstkiego bólu kilkanaście metrów. Poddawał się ich czynnościom bezwładnie, jakby nie całkiem przytomny. Nie zareagował nawet, kiedy wykręcono mu ręce do tyłu i skuto paskami zaciskowymi. A potem podniesiono za kołnierz popalonej bluzy, zmuszając, by klęknął.

Dopiero wtedy dotarło do niego, co się dzieje. Szarpnął się słabo, otworzył szeroko oczy... I spojrział prosto w szalejący sztorm.

Tuż przed nim stała Lord Renegat, patrząc na niego w milczeniu. Po bokach miała dwóch mężczyzn, uzbrojonych i odzianych niemal identycznie jak nocarze. Tylko bez srebrnego księżycyca na ramieniu.

- Bierzymy go do nas, Pani? - spytał pośpiesznie jeden z nich, wysupłując z kieszeni torebkę z czerwonym krzyżem na nalepce.

Rozdarł opakowanie pośpiesznym gestem i wyciągnął je w kierunku Vespera.

- Chcesz przeżyć, chłopczyku? - wycedził nieco szyderczym tonem. - To pij.

Część czerwonego płynu wylała się na ziemię. Rozszedł się cudownie kuszący zapach prawdziwej krwi. Vesper przeciągnął językiem po spieczonych wargach. Głód i strach zawrzały w nim, wznosząc się niemalże do poziomu szaleństwa.

- Zawsze możemy cię tam wsadzić z powrotem. - Renegat skinął głową w kierunku płonącej furgonetki. - Twój wybór.

Nocarz popatrzył na niego z przerażeniem. Kula w łeb, zapłakał w myślach resztkami sił. Panowie, proszę, czy możemy ponegocjować? Kula w łeb.

- Zostaw - rozkazała nagle Aranea.

Podeszła bliżej do więźnia, pochyliła się, popatrzyła mu w oczy.

- Kiedyś byłam taka jak ty - powiedziała powoli. - I wierzyłam w to, w co ty wierzysz teraz... Więc cię rozumiem.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Jęknął z bólu, czując, jak zwęglone ubranie przylega do poparzonej skóry.

- Czasami po prostu potrzeba trochę czasu, żeby zrozumieć, że się walczy po niewłaściwej stronie - urwała, westchnęła lekko. - Jak masz na imię? - rzuciła rozkazująco.

- Vesper - odpowiedział, zanim zdążył w ogóle pomyśleć o jakimkolwiek oporze.

Wyprostowała się i zabrała dłoń z jego ramienia.

- Dam ci trochę czasu - oznajmiła zniecierpliwiona. - Myślę, że jesteś już całkiem blisko zrozumienia... Szkoda by było brać cię siłą.

Rzuciła krótkie porozumiewawcze spojrzenie renegatowi, który wciąż trzymał w wyciągniętej dłoni torebkę z krwią. Ten skinął posłusznie głową, cofnął rękę. Uniósł opakowanie do ust i zaczął pić. Widocznie nie chciał zmarnować cennego płynu.

Vesper wbił w niego głodny wzrok, ślina napłynęła mu do ust. Potem popatrzył na Araneę, na jej rozszalałe burzą oczy.

- Nigdy... do was... nie dołączę - wykrztusił z trudem. - Jestem nocarzem... z Rodu Wojowników... a żaden z nas nigdy nie zdradził.

- A ja? - przerwała mu, śmiejąc się lekko. - No cóż, ale moja skromna osoba to niewystarczający przykład, rozumiem. Byłam zaledwie numerem dwa. Powinien tu przejść sam Ultor, dopiero to by wam trafiło do przekonania.

Vesper milczał, czując się bezsilnym. Rozkaszał się znowu, słabiuteńko, z trudem łapiąc powietrze. Całe ciało płonęło bólem, w głowie mu się kręciło. Upadłby znów, gdyby nie ręka renegata silnie trzymająca go za kark. Odwrócił mętny wzrok, popatrzył na furgonetkę i krzątających się przy niej renegatów. Wydobywali z niej pośpiesznie jakiś sprzęt, może łącznościowy, pieczołowicie ratując go przed zniszczeniem. TIR płonął, tak samo jak i resztki dwóch BMW. Najwyraźniej wszystkie pojazdy zostały poszatutowane z RPG sprawiedliwie, bez żadnych przywilejów.

Nocarz przełknął ślinę, z trudem poruszając spieczonym gardłem. Wbił wzrok w pobojuwisko, z całych sił starając się nie spojrzeć na Panią Renegatów. Jaka ona piękna, szalała mu po głowie rozpaczliwa myśl. Jaka piękna.

- Przyjdiesz do nas sam, z własnej woli - powiedziała spokojnie Aranea. - I to całkiem niedługo, jak mi się wydaje.

Pokręcił głową w milczeniu, odwrócił wzrok. Był zbyt wyczerpany, by wchodzić w jakiegokolwiek konfrontacje.

- Nocarze jadą! - zameldował jeden z przybocznych, przyciskając mikrosluchawkę do ucha. - Zespół z Modlina jest już w drodze!

- Zbieramy się - odparła natychmiast. - Już!

Nagle więzień powrócił do niej wzrokiem, przyciągnięty niewidzialną siłą. Aranea uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Do zobaczenia, Vesper! - powiedziała, znów obrzucając go tym magnetycznym spojrzeniem. - Podobasz mi się, nocarzu... Chciałabym znowu pobyć z jakimś Wojownikiem, byłoby miło. - Przez jej twarz przemknął wyrafinowany, pełen erotycznej obietnicy uśmiech. - Do zobaczenia wkrótce!

Szarpnął głową w bok, uciekł znów spojrzeniem, nie odpowiadając. Roześmiała się tylko, odwróciła na pięcie i pobiegła ku przyczajonym nieopodal transporterom. Renegaci pośpieszyli za nią. Ten, który wciąż trzymał Vespera, puścił go teraz i podążył ku towarzyszom.

Nocarz gruchnął o ziemię bezwładnie, upadając na lewy bok. Jak przez mgłę widział znikających za drzewami renegatów. Zamknął oczy, ogarnęła go fala silnych dreszczy. Oparzenia zaczęły palić coraz dotkliwiej.

Pod przymkniętymi powiekami pojawił się natychmiast kuszący uśmiech Aranei. Obietnica rajy z milionami węży kłębiących się w trawie. Wiedział o tym doskonale, zdawał sobie sprawę z ich istnienia... A jednak pragnienie, by Lord Renegat wypełniła swą obietnicę, paliło go gorzej niż poparzona skóra.

Kula w łeb, przemknęło mu przez myśl. Czy naprawdę chciałem za wiele?



Mina Alacera, kiedy pochylał się nad ocalałym nocarzem, nie wróżyła temu ostatniemu zbyt wiele dobrego.

- Masa trupów i jeden żywy, trochę pokiereszowany Vesper - wycedził kapitan lodowato. - Czyli jak zwykle, wszystko po staremu. Zaczynam się już przyzwyczajać.

Wydobył nóż i przeciął paski zaciskowe, uwalniając ręce nocarza. Ten dźwignął się z trudem, oparł dłonie o ziemię, usiadł.

- Wszyscy nie żyją? - zapytał w odrętwieniu. Alacer zacisnął gniewnie wargi. Milczał.

- Acies? - rzucił Vesper prosząco.

- Spalił się - oznajmił chłodno kapitan, prostując się.

Nocarz zwiesił głowę bezsilnie, zamknął oczy, pod powiekami znów zapiekły go łzy.

- Daruj sobie ten teatrzyk - warknął Alacer wściekle. - Możesz mi powiedzieć, co tu się stało? Czemu Acies, a raczej to, co z niego zostało, leży na ziemi obok furgonetki? Sam

z niej wyszedł w tym stanie? A czemu ty leżysz na ziemi związany jak prosiak? No, troszkę może podpieczony... ale żywy?

Vesper zacisnął dłonie w pięści. Czy ci cholerni renegaci nie mogliby chociaż raz wykonać przyzwoitej roboty i utłuc tego pieprzonego dupka? Podniósł wzrok.

- Dorwali nas renegaci, kapitanie - wykrztusił, siląc się na spokój.

- Wszystkich zabili, a ciebie oszczędzili, jak rozumiem - oznajmił Alacer perfidnie. - Muszą cię cholernie lubić, coś mi się wydaje. Zapewne masz u nich chody na samej górze.

- Żaden nocarz nigdy nie zdradził! - wybuchnął Vesper. - I ja też nie! Więc się odpiardol ode mnie, Alacer, dobrze?

- Uważaj, jak się zwracasz do wyższych stopniem - zawarczał kapitan, oczy gorzały mu wściekłością. - O tym, czy zdradziłeś, czy nie, zadecyduje Lord. Tego typu sprawy nie wchodzi w zakres moich kompetencji. Mnie się tylko nie podoba to, co widzę. - Spojrzał na ziemię poznaną ciemnymi plamami. - Cholernie mi tu śmierdzi nielegalną krwią. Wstawaj!

Vesper dźwignął się z trudem na nogi. Zachwiał się, omal znów nie upadł.

- Już ci mówiłem, teatryk nie robi na mnie wrażenia - syknął Alacer. - Nie odwalaj mi tu scen jak jakaś rozhisteryzowana ciota. Poparzyłeś się trochę, to wszystko. Jutro, najpóźniej pojutrze będziesz zdrow. Zabieraj się do wozu, marsz!

Pałił się żywcem, gnoju! - miał ochotę krzyknąć Vesper. Czy to do ciebie nie dociera? Zdusił jednak w sobie krzyk, opanował się.

- Tak jest! - powiedział nieco drżącym głosem.

Poszedł powoli do furgonetki odprowadzany dziwnymi, zaniepokojonymi spojrzeniami kolegów. Wszedł do środka, usiadł na ziemi obok pozbieranych już ciał nocarzy. Wbił wzrok w ścianę, nie odzywając się ani słowem. I nawet nie zapytał, czy mają cokolwiek do jedzenia i czy nie zechcieliby go wspomóc trochę.

Przed oczami znów zamajaczył mu kuszący uśmiech Pani Renegatów.

Wyobraził sobie więc, że patrzy prosto w ciemne oczy Aranei... A potem celowo, z rozmysłem, napluł jej w twarz. Zniknęła natychmiast.

A on miał ochotę się rozplakać.

Ruszyli z powrotem do Emowa.



- Zatlukę kiedyś tego gnoja - szeptał z nienawiścią Nidor, opatrując Vesperowi poparzenia. - Nawet ci nie udzielił pierwszej pomocy, kutas jeden. Gdyby chociaż raczył psiknąć pantenolem, inaczej byś się czuł teraz.

- On już mnie uznał za winnego i skazał w duchu - wysyczał nocarz spomiędzy zaciśniętych z bólu zębów. - Co się będzie cackał ze zdrajcą? Zasłużyłem na to wszystko i znacznie więcej, jego zdaniem.

- Jeszcze dostanie za swoje - warknął przyjaciel półgłosem. - Nie jego działka, ferowanie tego typu wyroków. Lord jest wyjątkowo cięty na takie przypadki. Da mu popalić, zobaczysz.

- Akurat dzisiaj Ultor będzie miał co innego na tapecie - odparł Vesper ponuro. - Wezwał nas na wieczór, wszystkich trzech. Na pewno nie na dyskusję o pierwszej pomocy.

- Spokojnie, wybronimy się najpierw - oznajmił Nidor z mocą. - A potem podniesiemy temat... W stosownej chwili. Obróć się.

Vesper przekręcił się posłusznie, nadstawiając plecy, z których sparzona skóra zlazła czerwonymi płatami. Kapitan pokręcił głową, zaciskając gniewnie wargi. Zabrał się za dalszy ciąg opatrunku.

- Jeszcze go dorwę - wychrypiał z zawziętością w głosie. - Pókim dobry, tom dobry. Ale teraz gość przegiął. Wyczekam swoje i dorwę go. Słowo honoru.

- Myśli, że jestem zdrajcą - powtórzył Vesper z odrobiną rezygnacji w głosie. - Jeśli jeszcze przekona do tego Lorda... To chyba sam w to uwierzę. Bo może to prawda, ja już sam nie wiem.

Nidor wstał gwałtownie, obszedł go dookoła. Pochylił się nad przyjacielem, spoglądając mu prosto w oczy.

- Posłuchaj, nocarzu - powiedział poważnie. - Chcesz mi powiedzieć, że wychowałem renegata?

Vesper odpowiedział mu przeciągłym spojrzeniem, tylko spojrzeniem. Nie powiedział ani słowa. Wreszcie pokręcił przecząco głową.

- No więc nie pleć bzdur - zawarczał kapitan. - Owszem, każdy z nas ma głupie myśli i cięższe czasy. Ale chyba wiesz, po której stronie tak naprawdę chcesz być, prawda?

Nocarz potaknął od razu.

- Jasne - stwierdził z wyraźną ulgą. - Jasne, że tak.

- No to najważniejsze już wiemy - rzucił Nidor i wrócił pacjentowi za plecy.

Zaczął je opatrywać z zawziętością, wciąż wściekle klnąc pod nosem.

Przyjacielu... - pomyślał Vesper, przymykając oczy. Jak to dobrze, że jesteś... Przyjacielu.

Podniósł do ust torebkę z krwią, otrzymaną od Nidora zaraz po powrocie do bazy. Pociągnął solidny łyk z poczuciem narastającej ulgi i zarazem wdzięczności. Co za szczęście, że jednak nie jest tutaj sam.



Lord Ultor popatrywał po nich surowym, uważnym spojrzeniem. Siedzieli w jego gabinecie, starając się, żeby nawet jeden mięsień nie drgnął im na twarzach.

- Najwyższy czas, żebyśmy wyjaśnili sobie parę rzeczy, panowie - odezwał się do nich wreszcie.

Pokiwali gorliwie głowami, wszyscy trzej. Popatrzyli po sobie z wyczekiwaniem.

- Kapitanie, pan zacznie pierwszy - rozkazał Ultor, patrząc na Alacera.

- Panie mój - tamten natychmiast skorzystał z zaproszenia - uważam, że sytuacja dojrzała do miana krytycznej. I że nie możemy dłużej tolerować...

- To ja ocenię - przerwał mu chłodno Lord. - Fakty proszę. Wyłącznie oficjalne potwierdzone.

Nidor i Vesper westchnęli ledwo dostrzegalnie, ze śladem ulgi. Alacer zacisnął gniewnie wargi, opanował się jednak natychmiast.

- Ten tutaj młody nocarz, Vesper - powiedział ze źle ukrywaną niechęcią w głosie - przyjęty do nas niespełna pół roku temu w operacji „Faust” numer tysięcy trzysta...

- Byłem przy tym - stwierdził Lord. - Inne fakty zatem. Takie mniej oczywiste.

Alacer wypuścił z siebie drżący oddech.

- Panie mój - wyrzucił z siebie z determinacją - to może ja powiem wprost, co mi na wątrobie leży. Vesper, jak wszyscy wiemy, jest niepełnowartościowym nocarzem...

- Tak? - zapytał Ultor ze zdziwieniem, jakby pierwszy raz w życiu spotkał się z podobną rewelacją. - A to czemu?

Nocarze popatrzyli nań lekko zszokowani. Wszyscy trzej.

- Bo... - zająknął się lekko Alacer. - Bo przecież Vesper jest upośledzony, zbyt wcześnie kontaktował się z prawdziwą krwią. Na skutek błędu kapitana Nidora zresztą.

Oczy Lorda zwięzły się w wyjątkowo wrogie szpareczki.

- Kapitanie - oznajmił Ultor sucho - czy wyczytał pan o tym w jakimkolwiek oficjalnym biuletynie, czy też powtarza mi pan w tej chwili niepotwierdzone i, co gorsza, dość dowolnie interpretowane plotki?

Alacer dosyć gwałtownie przełknął ślinę.

- Ale przecież o tym wszyscy wiedzą - zaprotestował słabo. - Już podczas swojej pierwszej akcji zabijał z bliska...

- Wczesny kontakt z prawdziwą krwią jest, owszem, niewskazany - przerwał mu Lord. - Niemniej jednak niekoniecznie skutkuje, jak pan to nazwał, upośledzeniem.

- Ależ taki Wojownik jest później przewrażliwiony! - wybuchnął Alacer. - Nie radzi sobie z agresją i chęcią polowania. Po prostu nie nadaje się do jakiegokolwiek operacyjnej roboty, co widać na załączonym obrazku!

Ultor podniósł się zza biurka powoli. We wzroku zamigotała mu stal.

- Załączony obrazek stoi tu przed panem - wycedził. - Czy uważa pan, kapitanie, że tysiąc trzysta lat temu istniała sztuczna krew? Zapewniam pana, że nie. Zaczynałem swoją karierę Wojownika na krwi z całą pewnością prawdziwej. Czy sugeruje pan, że nie nadaję się do jakiegokolwiek operacyjnej roboty?

Kapitan zbladł. Nie udzielił żadnej odpowiedzi.

- Odłóżmy więc na bok wszelkie pogłoski o upośledzeniu, osobiście o to proszę - kontynuował Lord. - Jak na razie kieruje się pań zwykłymi uprzedzeniami. Jeżeli zaś chodzi o sposób, w jaki kapitan Nidor przeprowadził tamtą akcję, czy doszukał się pan gdziekolwiek jakiegokolwiek oficjalnego komentarza w tym temacie?

Alacer pokręcił głową w milczeniu.

- Nie ma pan zatem żadnych podstaw, by publicznie oceniać ją jako błędną - stwierdził Ultor. - Przeprowadziłem osobistą rozmowę z kapitanem Nidorem, dotyczącą przebiegu owej akcji. Zazwyczaj jeżeli znajduję zaniedbania, wskazuję je wszystkim, nie dla napiętnowania kogokolwiek, ale dla naszej wspólnej nauki i korzyści. Skoro tym razem nie ogłosiłem żadnych błędów, zapewne ich nie odnalazłem. - Spojrzał na kapitana surowo. - Jak rozumiem, dostrzegł pan coś, co umknęło mej uwadze. Z chęcią zapoznam się z pańskimi przemyśleniami, nie jestem bowiem, jak wiadomo, nieomylny. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby o takowych znaleziskach powiadamiał mnie pan jako pierwszego. Przyznaję, nie czuję się zbyt komfortowo w sytuacji, gdy moje potencjalne niedopatrzenia są komentowane publicznie bez mojej wiedzy.

- Ależ, Panie, ja... - wyjąkał Alacer.

Ultor przerwał mu krótkim machnięciem ręki. Usiadł z powrotem w swoim fotelu.

- Sposób przeprowadzenia tamtej akcji przez kapitana Nidora nie jest tematem dzisiejszej dyskusji - stwierdził krótko. - Proponuję porozmawiać o tym w innym terminie, jeżeli rzeczywiście ma pan cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii. Proszę o dalsze argumenty na rzecz przyczyny dzisiejszego zebrania. Merytoryczne tym razem.

Vesper przymknął na chwilę oczy. Miał ochotę klęknąć przed Lordem i dziękować mu w uniesieniu. Nareszcie dostało się tej gliście. Nareszcie.

Alacer odetchnął głęboko, jak przed skokiem do wody.

- Zdaję sobie sprawę z faktu, że w obecnej chwili mogę mówić jedynie o poszlakach i podejrzeniach - oznajmił wyjątkowo spokojnym tonem. - Niemniej jednak ośmielę się zauważyć, Panie, że gdybym mógł mówić o dowodach, zapewne temat nie byłby poruszany przez nasze skromne grono - spojrzał na Ultora z determinacją - ale przez zebranie Kapituły.

Lord Wojownik popatrzył na niego uważnie, po czym powoli, niemal niedostrzegalnie, skinął głową. Vesper poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- A kolega nocarz nie siedziałby tu teraz razem z nami, ale znajdował się skutny w Bunkrze - dokończył Alacer z nutą ulgi. - Dlatego też wybaczyć, Panie, ale w obecnej chwili mogę mówić tylko o poszlakach. O luźnych, niezbyt powiązanych ze sobą faktach, które same w sobie nie są jeszcze podstawą do powzięcia jakichkolwiek podejrzeń. Ale występując w takiej, a nie innej konfiguracji, budzą moją nieufność. Więc jako kapitan nocarzy czuję się zobowiązany zwrócić na nie uwagę. To wszystko.

Ultor znów kiwnął głową w milczeniu. Alacer mówił więc dalej ośmielony:

- Gdziekolwiek bądź nie pojawi się Vesper, tam docierają renegaci. Dookoła padają trupy, tylko on sam wychodzi bez szwanku. No, może nie całkiem bez szwanku, ale zawsze w stanie pozwalającym na przeżycie. Ponadto ci, którzy cieszą się jego względami, również są przez wrogów oszczędzani. Kapitan Nidor może tu posłużyć przykładem, również można by w ten sposób spojrzeć na ludzkiego kolegę Vespera, Piotra Jaźwińskiego, zwanego „Okruszkiem”. Ci obaj nader często wychodzą cało z dość paskudnych opresji, jakby renegaci w gruncie rzeczy wcale nie zamierzali zrobić im krzywdy. Jakby ktoś się za nimi wstawiał. - Kapitan westchnął jakby z ubolewaniem. - Nie wiem, czy to oznacza zdradę. Nie ośmielam się stwierdzić czegoś podobnego. Ale sam wiesz, Panie, że w ostatnich czasach stało się to bardzo boleśnie możliwe. - Spojrzał bystro na Ultora, jakby nie do końca pewien, czy wspomnianie odstępstwa Aranei nie jest nazbyt niebezpiecznym posunięciem.

- Zdrada zawsze jest możliwa - powiedział powoli Lord.

- Dlatego też wszelkie jej potencjalne oznaki należy identyfikować jak najwcześniej i dusić w zarodku - przytaknął Alacer gorliwie. - Nie można ich lekceważyć, moim skrom-

nym zdaniem. A już ostatnia akcja wręcz rozbrzmiewa sygnałem alarmowym. Straciło życie czterech wspaniałych nocarzy i jeden nieoceniony pretorianin. - Rzucił krótkie spojrzenie na zasnutą nagłym mrokiem twarz Ultora, po czym oznajmił z mocą: - Renegaci zabili ich wszystkich, a pozostawili przy życiu właśnie Vespera! Trochę osmalonego, z rękami skutymi na plecach paskami zaciskowymi. Chyba wyłącznie dla przyzwoitości...

- Nie sądzisz, że gdyby renegatom rzeczywiście udało się przeciągnąć Vespera na swoją stronę, nie popełnialiby tak oczywistych błędów? - zaprotestował Nidor gwałtownie. - Aranea nie jest głupia!

- Czy udzieliłem panu głosu, kapitanie? - zapytał sucho Ultor. - Pańska kolej nadejdzie, proszę jej oczekiwać w spokoju.

- Wybacz, Panie - mruknął Nidor pokornie.

- Oczywiście jest, że kapitan Nidor broni podopiecznego - zaatakował Alacer natychmiast. - Nie ze złej woli, jak mniemam. Przebieg jego służby jest jak dotąd bez zarzutu, jest jednym z najlepszych mocarzy na świecie. - Skłonił się oponentowi z ostentacyjnym szacunkiem. - Jeżeliby się jednak okazało, że wychował i przez cały czas wspierał zdrajcę... Cóż za kompromitacja! Niezbyt godnym pozazdroszczenia byłby jego dalszy los. Może więc podświadomie wypierać wszelkie sygnały, bądź też tłumaczyć je na korzyść wygodniejszej dla siebie wersji wydarzeń. Ale powiedz szczerze, Nidor - zwrócił się nagle do kolegi, patrząc mu prosto w oczy z wyzwaniem - nigdy, ani razu, nie wydało ci się to wszystko przynajmniej... dziwne?

Vesper wstrzymał oddech, pełen wewnętrznego drżenia. To, co powie Nidor teraz... To będzie wyrok. A przynajmniej znakomita jego część.

Starszy kapitan popatrzył pytająco na Lorda. Czy już może się odezwać?

Tamten skinął głową.

- Powiem ci tak, Alacer - wycedził Nidor powoli. - Dziwne? Nie, nie wydało mi się to dziwne. Za długo pracuję w tym fachu, żeby nie zdążyć napotkać dużo bardziej podejrzanych zbiegów okoliczności. A interpretację faktów da się poprowadzić w dowolnie wybranym kierunku. - Popatrzył na oponenta z ostentacyjną podejrzliwością. - Na przykład jest młody, gorliwy, dopiero co awansowany kapitan nocarzy. Jak to czasem wśród ścigających się szczurów bywa, kapitan uznał, że najlepszym przyczynkiem do rozwoju jego kariery będzie wykazanie się jakimś niezwykłym osiągnięciem. Czymś takim mogłoby być na przykład rozpoczęcie polowania na czarownice. Skąd jednak wziąć taką czarną owcę wśród bardzo zgranego zespołu? - Udał, że zastanawia się przez chwilę. - Może trzeba poszukać pomocy na zewnątrz? - Pokiwał głową, po czym ciągnął z ożywieniem: - I oto dziwnym trafem w wygodnym dla

młodego kapitana momencie pojawia się upragniona czarownica, ba, nawet jest ich kilka. Co więcej, zupełnym przypadkiem znajdują się one w obozie niekoniecznie dla młodego kapitana przychylnym. Kolejnym dziwnym zbiegiem okoliczności uprzejmi renegaci jakby na zamówienie dostarczają domniemanych dowodów przeciwko wspomnianym czarownicom. - Kapitan uśmiechnął się złośliwie, widząc, jak twarz tamtego tężeje w nagłym wyrazie zaskoczenia. - No proszę, wystarczyło się tylko dogadać i odrobinę dopomóc szczęściu. Taki układ jest przecież dla obu stron bardzo korzystny. - Nidor wbił mocne, oskarżycielskie spojrzenie w Alacera. - Młody kapitan wybija się bardzo szybko, udowadniając swoją gorliwość i przydatność, przy okazji pozbywając się niewygodnych osób. Renegaci zaś neutralizują przeciwników, którzy już niejednokrotnie dali im się we znaki, ponadto zasiewają ziarno niezgody wśród jednolitego dotychczas zespołu. Mnożą się podejrzenia, nocarze przestają sobie ufać, każdy zaczyna pilnować swoich pleców, nie dowierza już kolegom. Polski oddział praktycznie się rozpada... - Zawiesił głos na chwilę, po czym dokończył z mocą: - Ale oczywiście to tylko poszlaki i moje własne domysły. Gdybym miał dowody, sprawę rozpatrywałaby Kapituła. - Skończył przemowę, odwrócił się do Lorda i przybrał kamienny wyraz twarzy.

Alacer bladł i czerwieniał na przemian. Chciał coś odpowiedzieć Nidorowi, nie był jednak w stanie wykrztusić ani słowa.

Ultor nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę. Jakby żaden z obydwu mówców nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- A co o tym wszystkim sądzi nasz młody nocarz? - zapytał spokojnie.

- Wrabiają mnie - odparł Vesper natychmiast. - Aranea liczy na to, że uda jej się ściągnąć mnie do renegatów. Bardzo by jej się przydał taki sukces jak przewerbowanie kogoś z Rodu Wojowników, chociażby ze względów propagandowych.

- Nie tylko - skomentował Lord. - Pani Renegat, ma bardzo trudne zadanie, próbując stworzyć armię z tej przypadkowej zbieraniny ćpunów. Ktoś z wyszkoleniem bojowym byłby dla niej nieocenioną wręcz pomocą. Bądź co bądź, nawet utalentowany generał Nex jest tylko Winoroślą. - Wykrzywił wargi w ledwo uchwytnym wyrazie pogardy.

- Powiedziała mi wprost, że chciałaby znowu być z Wojownikiem - wyznał Vesper. - I że ma nadzieję, że wkrótce do niej przyjdę - urwał, mając świadomość, że zaczyna stąpać po bardzo kruchym łożu.

Ultor pokiwał głową spokojnie, jakby nie zauważał w tej wypowiedzi jakiegokolwiek podtekstu, ani też powodu do chociażby cienia zazdrości.

- Panowie, doszliście do porozumienia? - rzucił w kierunku kapitanów. - Czy też każdy z was pozostaje przy swoim zdaniu?

Nie odpowiedzieli, wpatrując się jeden w drugiego z nieskrywaną wrogością.

- Jeżeli o mnie chodzi, możecie sobie myśleć, co chcecie - oznajmił Lord. - Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, jestem o to dziwnie spokojny. Natomiast co do jednego będę nalegał... - Popatrzył na nich przeciągle.

- Tak, Panie? - odparli obaj od razu.

- Zachowujcie swoje zdanie wyłącznie dla siebie - oznajmił z naciskiem. - Jeżeli w wiadomym temacie usłyszę choćby słowo od osoby postronnej, wyciągnę wobec winnego jak najsurowsze konsekwencje. Obaj jesteście odpowiedzialni za morale zespołu. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak jest! - odparli natychmiast.

Ultor pokiwał głową, wciąż nie spuszczać wzroku z obu kapitanów.

- A dla pana, kapitanie Alacer, mam dosyć nieprzyjemną wiadomość na zakończenie dzisiejszej sesji - dorzucił wreszcie. - Na samym początku swojej kariery w wyższych szarach dostaje pan naganę. Z wpisem do akt.

Alacer przełknął ślinę, patrząc na Lorda wzrokiem zbitego psa.

- Wystarczy mi spojrzeć na tego tu młodego nocarza - Ultor skinął głową w kierunku Vespera - żeby wiedzieć, że nie udzielono mu adekwatnej pierwszej pomocy na miejscu zdarzenia. I nie interesuje mnie, kto w rzeczywistości zaniedbał tego obowiązku. Pan dowodził akcją ratunkową i był odpowiedzialny za całość jej przebiegu. Oczywiście może pan wyciągnąć konsekwencje wobec pozostałych członków oddziału, jeżeli uzna pan za słuszne.

Alacer ponownie przełknął ślinę.

- To wyłącznie moja wina - oznajmił słabym głosem. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, mój Panie.

- Tak też myślałem - oznajmił Ultor bezlitośnie. - Zaznaczam, że jest to pierwsza i ostatnia nagana, jaką otrzymuje pan z takiego powodu - urwał, aluzja była wystarczająco jasna.

Podniósł się z miejsca. Powstali więc również.

- Znajdujemy się w bardzo trudnej sytuacji - powiedział Lord dużo spokojniejszym tonem. - Z jednej strony kapitan Alacer ma rację. Nie możemy zamykać oczu na poszlaki wskazujące na możliwość wystąpienia kolejnej zdrady w naszych szeregach.

Vesper poczuł, jak nagle coś ścisnęło go w piersiach tak silnie, że aż zabrakło mu tchu. A więc jednak Ultor wierzył, a więc...

- Z drugiej jednak strony kapitan Nidor również ma rację - stwierdził Lord Wojownik. - Rozpętywanie polowania na czarownice, rzucanie pochopnych oskarżeń i uleganie wątpli-

wej jakości podejrzeniom to z pewnością doskonała woda na młyn renegatów. Dlatego też nie zamierzam w tej chwili wydawać jakichkolwiek jednoznacznych opinii na temat zachowania któregokolwiek z obu kapitanów. - Popatrzył na Vespera, pokiwał głową, po twarzy przewiła mu się cień uśmiechu. - Jeżeli zaś chodzi o naszego młodego kolegę, to powiem tylko tyle: ja osobiście mu wierzę.

- Dziękuję, Panie - wyszeptał Vesper w poczuciu niezmiernie ulgi. - Dziękuję.

- Co oczywiście nie znaczy, że nie mogę się mylić - dodał Ultor. - Nie mam daru prawdopodobnie jak Aranea. I czasami wolę wierzyć w to, co chciałbym, żeby było, a nie w to, co jest. Ale mam szczerą nadzieję, że nie pomyliłem się co do ciebie, Vesper. - Popatrzył mu prosto w oczy.

- Nie mylisz się, Panie - odparł nocarz po prostu. - Na pewno nie.

- Możecie odejść - zarządził Ultor, siadając za biurkiem.

Spojrzał za okno, za którym panowała już łagodna, miękka noc. Westchnął króciuteńko, jakby ukradkiem. Skłonili mu się prędko, po czym ruszyli do drzwi.



Wyszli na korytarz i zatrzymali się na nim, wszyscy trzej. Popatrywali na siebie w milczeniu.

- Bez obrazy, Vesper - przerwał nagle ciszę Alacer. - Chciałbym tylko, żebyś wiedział, że w ten sam sposób potraktowałbym każdego, kto wzbudzałby moje podejrzenia. Każdego, bez wyjątków. I nie ma w tym nic osobistego. - Popatrzył na Nidora, po czym powtórzył z naciskiem: - Nic.

- W porządku. - Nidor wyciągnął do niego dłoń. - Skoro tak mówisz, wierzę ci, Alacer.

Tamten podał mu swoją powolnym gestem. Kapitanowie uścisnęli sobie ręce krótko, bez zbędnej serdeczności. To z pewnością nie żadna nowo narodzona sympatia. Najwyżej zawieszenie broni.

- W porządku - powiedział Vesper, wyciągając również dłoń do Alacera. - Skoro tak...

- Jeżeli Lord ci wierzy, to i ja nie mam powodów sądzić, że jest inaczej - oznajmił tamten, podając mu swoją. - Wybacz szczerą. Po prostu tak jest.

Vesper pokiwał głową. Wymienili krótki uścisk ręki z Alacerem, puścili dłonie niemal natychmiast.

Ruszyli przed siebie równym, miarowym krokiem. Alacer poszedł do swojej kwatery, Nidor z Vesperem do sali telewizyjnej. Tłum nocarzy kłębił się w niej, popijając krew i diskutując na różne tematy z radosnym ożywieniem.

Przyjaciele dotarli do barku, w dystrybutorze znów pysznił się pełen poziom świeżej krwi. Nalali sobie po szklance, stanęli, opierając się o mebel, i zaczęli saczyć czerwony płyn. Wreszcie Nidor nie wytrzymał i z całej siły klepnął przyjaciela po ramieniu.

- Wygraliśmy, stary, wygraliśmy - wyszeptał mu triumfalnie do ucha. - Pomimo całego tego syfu jesteśmy do przodu. I co ty na to?

Tamten pokiwał głową, nie będąc w stanie wymówić słowa. Od uderzenia pociemniało mu przed oczami, odezwała się bólem skóra chyba z całego ciała.

- O cholera, przepraszam - zreflektował się Nidor natychmiast. - Zapomniałem. Naprawdę zapomniałem.

- Nic nie szkodzi - odparł wreszcie Vesper, starając się uśmiechnąć. - Daj spokój, stary. Nic nie szkodzi. Wygraliśmy, miałeś rację. I to się liczy. Wygraliśmy.

Wyciągnął rękę, Nidor pochwycił ją, zwarli mocno pięści.

Stalli tak naprzeciwko siebie, uśmiechając się zwycięsko. Szeroko otwarte okna wpuszczały do sali ciepłą lipcową noc. Cienki sierp księżyca świecił na nich z góry, układając się w literę C. Nadchodził nów.



Na plaży jesteś ze mną pani
już nic nie zdoła mnie ocalić
twój zapach chce
twój zapach chce
bym objął cię leciutko w talii

Idziemy dalej a w oddali
twój wzrok odbija się od fali
twój jeden szept
twój jeden szept
i nic nie zdoła mnie ocalić
o pani chciej...

W bikini idziesz do mnie pani
na piasku nie zostawiasz śladów
nie mogę wstać
nie mogę wstać
więc leżę patrząc na twoje ciało

Rozbierasz mnie leciutko
pani umieram prawie rozebrany z ust
płynie mi
strumyczek krwi

w bikini jesteś więc ubrana
w bikini śmierć...

Oddaję ci swą szyję pani ma
krew zabarwi oceany więc całuj
mnie i ciągle całuj więc całuj
mnie i ciągle całuj całuj... całuj...

I jeszcze tylko pozwól pani
nie wcale nie chcę cię obnażyć
tak boję się
tak boję się
że bez bikini gdzieś przepadniesz

Więc pozwól mi się dotknąć pani
tak chociaż lekko przez ubranie
ten jeden raz
ten jeden raz
chcę wiedzieć jak są zimne
gwiazdy

Republika „Śmierć w bikini”

Renegat



o nie wiem - powiedział Okruszek, kręcąc głową w odmownym geście. - Nie podoba mi się to. Nic a nic.

Nidor z Vesperem popatrzyli po sobie porozumiewawczo. To było do przewidzenia. Siedzieli w fotelach w kwaterze kapitana, wszyscy trzej.

Szczelnie zasłonięte okna nie wpuszczały ani odrobiny dnia. Ze względu na obecność ludzkiego gościa kilka dwudziestowatowych żarówek rozjaśniało pomieszczenie. Z punktu widzenia Okruszka panował tam ponury półmrok. Według nocarzy, rzecz jasna, w pokoju panoszył się nieprzyzwoity wręcz blask.

- Może soku? - Nidor wstał z miejsca, podszedł do lodówki. - Gdzieś powinienem mieć jeszcze trochę...

- Daruj sobie - rzucił człowiek. - Na pewno przeterminowany.

Kapitan pokiwał głową, wrócił do swojego fotela, usiadł.

- No więc konkretnie, co ci się nie podoba? - zapytał z lekkim westchnieniem. - Mów.

- Ten cały układ mi nie pasuje - wyznał Okruszek otwarcie. - O ile rozumiem, chcecie, żebym robił pozalegalną obstawę jakiejś imprezy, tak? I jeszcze zaprosił do tego kolegów, którzy nawet nie wiedzą, w co wchodzi. No to nie bardzo fajnie, wybaczenie. - Pokręcił głową. - Coś tu jest nie tak.

- Posłuchaj, stary - powiedział Nidor powoli. - Powiem ci, w czym rzecz.

Wbrew zapowiedzi zamilkł jednak na chwilę, mrucząc do siebie, jakby układał w myślach tekst wiadomości, którą miał się podzielić z ateciakiem. Tamten zaś patrzył na niego w pozornym spokoju, powoli zaciskając i rozwierając pięści.

- Spodziewamy się niezłej jatki - wykrztusił wreszcie Nidor. - Renegaci mieli pewne układy na Politechnice... Tamci opracowywali dla nich nową broń... Takie tam pistolety laserowe na ultrafiolet - odchrząknął, po czym zaczął mówić już płynniej. - Naszemu człowiekowi udało się wykraść plany i, khem, unieszkodliwić ich twórców. Po wykonaniu pierwszej części zadania zabezpieczył dane w stosownym miejscu. Zgodnie z naszymi procedurami zdefiniował czas dostępu do skrytki i założył kod dopuszczający tylko Lorda. Jednak zaraz po przesłaniu nam informacji człowiek zniknął. Możemy się więc spodziewać, że czas i miejsce odebrania przesyłki będą renegatom doskonale znane.

Okruszek pokiwał z wolną głową.

- Będą na was czekali - powiedział spokojnie. - Na was... Ale głównie na tego waszego Lorda. To dla nich łakomy kąsek, z całą pewnością.

- Będą tam całą swoją renegacką bandą! - wtrącił Vesper pośpiesznie. - Całą, rozumiesz? Najprawdopodobniej zjawią się tam wszyscy, Aranea, Nex. Dlatego od nas idą tam tylko najlepsi. Sam nie wiem, czy w ogóle jestem brany pod uwagę... - urwał nagle, patrząc na kapitana pytająco.

Nidor nie skomentował. Wpatrywał się w ateciaka uważnie, czekając na jego reakcję.

- Jak rozumiem, chcecie zwiększyć swoje szanse - powiedział tamten z namysłem. - I zawołać do pomocy ludzi, skoro macie ich po swojej stronie.

- Dokładnie tak - potwierdził kapitan nocarzy.

- Czemu nie załatwicie tego legalnie? - spytał od razu policjant. - Niech Abwehra wystąpi do ZOA z wnioskiem o wsparcie i zabezpieczenie imprezy. Albo zaproszcie sobie do zabawy „Piątkę”, będzie wam jeszcze wygodniej...

- Nie chcemy żadnego rozgłosu - odparł Nidor szybko. - Zrozum, tym razem to zbyt duża rzecz, żeby ryzykować nagłośnienie sprawy, jakby co. Mogą być jatki, przy których im mniej instytucji będzie węszyło, tym lepiej.

- Jatki - wycedził Okruszek powoli. - Ach tak.

- No fakt, nie prosimy o zabezpieczanie pikniku dla przedszkolaków - stwierdził kapitan. - Jeżeli to stanowi twój główny problem, to rozumiem...

- Powiem ci, co jest moim problemem - odparował Okruszek dosyć gwałtownie. - Nielegalna, śmierdząca robota, ot co.

Obaj nocarze popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Zawsze się wystrzegałem takich klimatów. Bo wiecie, jak jest - rzucił ateciak niechętnie. - Chłopaki stoją... stawali na bramkach kiedyś. Wiadomo, ojczyzna karmi gorzej niż psa, a żyć trzeba. - Skrzywił się, zaciskając gniewnie wargi. - Oficjalnie nigdzie dorabiać nie wolno, w końcu bycie policjantem to powołanie, a nie praca. No a żyć trzeba - urwał, jakby nie chciał w ogóle rozmawiać na ten temat.

- Spokojnie, stary - zmitygował go Vesper. - Wiemy, jak jest. Jeżeli po dziesięciu latach wysługi dostajesz dwa tysiące brutto, to rzeczywiście śmiech na sali. W takiej sytuacji stówka czy dwie za nockę na bramce to już bardzo konkretne pieniądze. No ale za to możesz wylecieć z roboty...

- To jeszcze pal sześć - odblokował się Okruszek. - Gorzej, że można nieźle wtopić. Bo bierzesz bramkę, potem drugą. Masz na życie, dobre choć to. Za jakiś czas przychodzi szef lokalu i mówi: słuchaj, może byś pochodził koło mnie, mam się spotkać z jakimiś takimi

dziwnymi kolesiami, trochę się ich boję. Dobrze zapłacę, spokojnie. No i bierzesz tę fuchę, robota jest robotą... A potem się dowiadujesz, że obstawiałeś transakcję narkotykową. I żegnaj Gienia, wpierdolony jesteś po uszy. Więc ja tam dziękuję za takie klimaty. Lepiej żyć biednie, ale w miarę spokojnie.

- No ale przestań, przecież my tam nie będziemy dilaować żadną nielegalną krwią! - oburzył się Vesper natychmiast. - To jest... To jest jak *dżihad*, święta wojna, nie rozumiesz? Trzeba wyeliminować renegatów i wszystko będzie dobrze. My jesteśmy po tej jasnej stronie Mocy...

- A kto was tam wie? - wypalił policjant wprost. - Jasna strona, tak? Moim zdaniem to jesteście jakąś cholerną wampirzą międzynarodówką, która ma swoje macki w co ważniejszych publicznych instytucjach! Jak na razie to wiesz, co widziałem z tej jasnej strony Mocy? Wasz Lord publicznie zarznął trzech bezbronnych gości, a sala klaskała! Do dziś się zastanawiam, czemu, do cholery, nie złożyłem zawiadomienia o przestępstwie! - Zacisnął ręce w pięści, patrzył na obu nocarzy wrogo.

Odpowiedzieli mu spokojnymi i trochę jakby zmęczonymi spojrzeniami. Wreszcie Nidor podniósł się z fotela.

- Jeżeli to trochę ulży twojemu sumieniu - powiedział, podchodząc do regału - to tamci goście dawno już nie żyli. - Otworzył jedną z szafek, pogrzebał chwilę, wyjął dwie teczki. - Tak samo jak ja i Vesper. Masz. - Podał Okruszkowi dokumentację.

Ten przyjął ją w milczeniu. Zaczął przeglądać papiery powoli, z uwagą. Zapadła cisza.



Vesper przymknął oczy. Przypomniawszy sobie swoje własne zdjęcie, jak leży na ziemi w kałuży krwi.

- Kiedy dostajesz Drugą Szansę - powiedział powoli - zmieniają się reguły gry. I nic nie jest już tak oczywiste jak dawniej. Nie ma czarnego i białego, absolutnego dobra i jednoznacznego zła.

- Nie pieprz mi tu głupot, dobrze? - zawarczał Okruszek, poniósłszy wzrok znad papierów. - Twoim zdaniem mogę cię zabić tu i teraz i nie mieć z tego powodu nawet cienia wyrzutów sumienia? Bo przecież tak na dobrą sprawę to i tak już nie żyjesz... Jurku Arlecki! - Uniósł w dłoni jedno ze zdjęć i zamachał nim gniewnie.

- Dokładnie tak - odparł Vesper spokojnie. - Możesz mnie zabić, kiedy tylko zechcesz. Przez niektórych będzie to postrzegane jako bardzo dobry czyn. Ze wszech miar godny podziwu i pochwały. - Spojrzał na Nidora, kiwającego głową w takt jego słów, po czym wrócił

wzrokiem do oniemiałego nagle Okruszka. - Bo przecież zabijesz wampira... A my jesteśmy przeklęci. Przez Boga i ludzi, czyż nie tak?

Ateciak przełknął ślinę, nie mówiąc nic.

- Bo co my tu w ogóle robimy? My, złe dzieci ciemności? - kontynuował Vesper z namysłem. - Walczymy o byt, kierowani zwykłą zwierzęcą chęcią przetrwania? I to wszystko, i już? W takim razie rzeczywiście nie warto nam pomagać, ani trochę. Niczym się nie różnimy od renegatów.

Wstał, podszedł do Okruszka w dwóch powolnych krokach. Pochylił się nad nim i popatrzył mu w oczy.

- Paru Lordów wyobraziło sobie jakiś czas temu, że być może również i nasze istnienie ma jakiś sens - wycedził powoli. - Są wśród nas naukowcy, rzemieślnicy, artyści... Jakże często zdarza się, że niepospolity ludzki umysł umiera, zanim zdoła w pełni wykorzystać wiedzę, którą gromadził przez tyle lat. Lub też degeneruje się w Alzheimerowym bełkocie. A co, gdyby dostał jeszcze jedną szansę, gdyby po prostu dostał czas? Czy owoce jego pracy mogłyby się przydać i innym, jak myślisz?

- No tak - odparł tamten dosyć niechętnie. - No tak.

- Wierzmy więc, że również i my mamy swoje miejsce na tym świecie - rzucił no-carz, prostując się. - I że możemy je dobrze wykorzystać. Dla pożytku wszystkich zainteresowanych.

- Mając do dyspozycji wieczność... - Okruszek zawiesił głos na chwilę, po czym dokończył z mocą: - Można uzyskać władzę nad światem, nieprawdaż? - Spojrzał na Vespera z wyzwaniem.

- I tak, i nie - odparł tamten. - Bo owszem, jesteśmy prawie wieczni, co najmniej długowieczni... Ale zauważ, nie mnożymy się, nie mamy małych wampirków. Każdy z nas był kiedyś człowiekiem i w jakimś sensie człowiekiem pozostaje. W związku z tym czyja byłaby ta władza tak naprawdę? Ludzi, którzy zdecydowali się żyć w sposób odmienny od pozostałych. A zareczam ci, że nie przyjmujemy byle kogo w swoje szeregi. Nad tym czuwają Lordowie i Kapituła. Po prostu.

Człowiek zamilkł, przybierając bardzo niepewny wyraz twarzy. Widać targwały nim liczne wątpliwości.

- Pomyśl o tym w ten sposób - odezwał się Nidor, milczący od jakiegoś czasu. - Wy znalazłeś lek dający nieśmiertelność. Tylko że obarczony poważnymi działaniami niepożądanymi. Trudności z kontrolowaniem agresji, bezpłodność... Co z nim zrobisz? Dasz wszystkim i niech się dzieje, co chce? A może zniszczysz, żeby nie kusić losu? No, co?

Ateciak westchnął ciężko, pokręcił głową.

- Nie wiem - stwierdził bezradnie. - Jak jasna cholera, nie wiem. Może faktycznie próbowałbym to dać tylko niektórym, pod kontrolą, i obserwował ich uważnie... I od razu walił w łeb, jakby tylko zaczynali fikać za bardzo. Ale tak naprawdę co bym zrobił? Co powinno się zrobić? Nie wiem.

- No właśnie - powiedział Nidor. - Bo na to pytanie nie ma jedynie słusznej, czarno-białej odpowiedzi. Tymczasem rzeczywistość jest, jaka jest. A my próbujemy zrobić, co tylko w naszej mocy, żeby gorzej nie było.

Tylko tyle... I aż tyle zarazem.

Okruszek pokiwał głową w milczeniu.

- No cóż, na dzień dzisiejszy jedno jest jasne - podsumował kapitan - nie czujesz się zbyt przekonany co do zasadności brania udziału w nadchodzącym konflikcie. Rozumiem i szanuję twoją decyzję. W związku z tym proszę cię, zapomnij o dzisiejszej rozmowie. Nie zapraszamy cię do udziału w akcji. Nie było tematu.

Vesper skrył pełen ulgi uśmiech. A więc tak to chciał Nidor rozegrać, a więc tak...

Policjant podniósł wzrok natychmiast.

- No ale skądże, jak to? - zaprotestował gorąco. - Ja tylko przecież wyraziłem wątpliwości. Zresztą... - Westchnął ciężko. - Przecież mi płacicie.

- To nie ma nic do rzeczy. - Głos kapitana zabrzmiał wyjątkowo twardo. - To nie jest pensja. Kapituła uznała po prostu, że jesteś na tyle wartościową jednostką, że powinniśmy cię wspierać. Nawet jeżeli do końca życia nie kiwniesz palcem w naszej sprawie, przelewy będą realizowane regularnie, co miesiąc. Zrobiłeś, co zrobiłeś, uznaliśmy cię za Przyjaciela. Przyjaciołom się pomaga. Wszystko w temacie.

- Ale... Ale ja... - wykrztusił Okruszek zaczerwieniony. - Ja wam też chętnie pomogę, owszem. Tak tylko musiałem się upewnić, rozumiecie przecież...

- Masz całkowitą rację - orzekł Nidor. - Musisz być pewien, w co wchodzisz, inaczej to nie ma żadnego sensu. Moim zdaniem potrzebujesz więcej czasu, żeby właściwie ocenić swoją motywację. - Uśmiechnął się do ateciaka już łagodniej. - Zbytni pośpiech mógłby być naprawdę zgubny. Dzięki, że pozwoliłeś nam to zrozumieć. Na razie więc nie będziemy korzystali z twojej pomocy, załatwimy to we własnym gronie. Jeszcze raz dzięki! - Podniósł się z fotela, dając Okruszkowi do zrozumienia, że uważa jego wizytę za skończoną.

Tamten ruszył się także, z wyraźną niechęcią. Stał i popatrzył na nich bardzo sfrustrowanym wzrokiem.

- No, skoro tak uważacie... - oznajmił przeciągle. - Nie przydam wam się, to nie, łaski bez...

- Okruszek, zrozum - wtrącił się Vesper, powstając również. - Tu nie o to chodzi, żebyśmy cię teraz pod włos brali. Tylko o to, żebyś nie szedł do boju, zastanawiając się, co ja tu, u bladzi nędzy, robię. Bo to się może źle skończyć, dla ciebie i wszystkich dookoła. Zresztą co ja ci będę mówił o abecadle walki, znasz się na tym równie dobrze jak ja. Powiedz sam, co byś zrobił na naszym miejscu w takiej sytuacji?

Ateciak pokiwał głową.

- No tak - wydusił z siebie z westchnieniem. - No tak. Bez motywacji to można sobie... - urwał, pokręcił głową. - Ech... - Skierował się ku drzwiom bez dalszych komentarzy. Zatrzymał się jeszcze w progu, popatrzył na obu kolegów.

- To kiedy macie te akcję? - rzucił niby niedbale. - Bo może się jeszcze zdążę zmotywować, kto wie...

- Nie zdążysz - odpowiedzieli chórem.

Wyszedł z pokoju w milczeniu, zamykając za sobą drzwi.

Nocarze popatrzyli po sobie porozumiewawczo, pociągając krew z wysokich szklanek. Okruszek nie odpuści, rzecz jasna. Ale zrobi to całkowicie poza nocarzami, z własnej woli. A przynajmniej tak mu się będzie wydawało.

- Lord cię wzywa - powiedział nagle Nidor. - Bieg!

Vesper zerwał się z fotela natychmiast.



Wyraz zmęczenia zamieszkał już chyba na stałe na twarzy Ultora. Vesper przypatrywał mu się z niejaką troską, pilnując skrupulatnie, by nie ujawnić nawet jej śladu. Ostatnią rzeczą, jakiej zapewne pragnął Lord, było współczucie ze strony swoich podwładnych.

- Dostajesz bardzo odpowiedzialne zadanie - oznajmił Ultor, przesuwając w jego kierunku plik papierów.

Nocarz pochwycił dokumenty z biurka, przebiegł wzrokiem po symbolach. Nagle wciągnął powietrze w płuca z głośnym świstem. Popatrzył na swego władcę z niedowierzaniem.

- Będziesz mnie zabezpieczał jako strzelec wyborowy - pokiwał głową Lord. - Nidor będzie cię obstawiał. Żeby żaden renegat nie siadł ci na plecach.

Vesper przełknął ślinę.

- Dziękuję, Panie - wykrztusił. - Zrobię, co tylko w mojej mocy...

- Przyjrzyj się rozstawieniu pozostałych - przerwał mu Ultor, najwyraźniej nie chcąc słyszeć żadnych podziękowań. - Masz to znać na pamięć.

Vesper wbił wzrok w plan. Skądś znał ten rozkład budynku... Popatrzył na Lorda pytająco.

- Gmach główny Politechniki Warszawskiej - pokiwał Ultor głową. - Nasz człowiek zostawił nam prezent właśnie tam. Ustawił otwarcie depozytu na odpowiednią datę i godzinę, dodał mój kod... Więcej zrobić nie zdążył.

Vesper przełknął ślinę, po czym wpatrzył się w plan.

Galeria na trzecim piętrze budynku Politechniki opatrzona była licznymi krzyżykami. Po dwa na każdym z narożnych okien plus dwa naprzeciwko tarasu, do którego prowadziły ozdobne schody. Tam z kolei widniała literka U, również otoczona kilkoma krzyżykami. Wszystkie znaczki były opatrzone odręcznymi bazgrołami, zapewne nakreślonymi przez samego Lorda.

Imię Vespera widniało przy krzyżyku osadzonym w galerii, dokładnie naprzeciwko Lorda.

Nocarz ponownie przełknął ślinę, po czym zagłębił się w dalszą analizę planu. Kiwał głową przy poszczególnych imionach, w pewnym momencie jednak skrzywił się lekko. W prawym rogu, dokładnie naprzeciwko niego, tkwił Fulgur. Z drugim kapitanem na zabezpieczeniu.

Nocarz westchnął lekko z rozczarowaniem. Alacer będzie patrzył mu na ręce, pewnie znowu się do czegoś przyczepi. Ale z drugiej strony może to i dobrze. Jeżeli Vesper da z siebie wszystko i tamten zobaczy to na własne oczy, może przekona się raz na zawsze. A zatem może to nawet całkiem dobry plan.

Ultor skrzywił wargi ze śladem rozbawienia, jakby czytał młodemu w myślach.

Vesper podniósł wzrok na swego pana, starając się rozszyfrować wyraz jego twarzy. Nagle nabrał całkowitej pewności, że tamten specjalnie tak ustawił tę akcję. Że miejsce młodego nocarza jest bardzo dobrze przemyślane, i to pod wieloma względami... Uśmiechnął się więc z pełną ulgi wdzięcznością. Właśnie dostał swoją życiową szansę.

- Powinieneś wiedzieć o paru sprawach - rzucił Lord, wracając do swej zwykłej, surowej miny. - Po pierwsze, możemy się tam spodziewać najwyższej rangi towarzystwa.

- Lord Renegat? - upewnił się Vesper.

- Aranea - potwierdził Ultor natychmiast. - Pojawi się z całą pewnością. A skoro ona, to i Nex.

Vesper pokiwał głową z ożywieniem.

- Nidor się ucieszy - stwierdził półgłosem. - O niczym innym nie marzy, jak tylko żeby się na generale odegrać.

Lord nie skomentował, najwyraźniej nie uznał tej kwestii za nazbyt odkrywczą. Ambicja Nidora, by upolować Nexa po tym, jak tamten rzucił go na kolana, była przecież publiczną tajemnicą.

- Jeżeli dojdzie do pojedynku Lordów - ciągnął Ultor - będziesz musiał szczególnie uważać. Kiedy tylko spotkamy się z Araneą, każde z nas będzie się starało zedrzyć drugiemu osłonę. Taką, którą nosimy na co dzień, zatrzymującą pociski, nie dopuszczającą do jakichkolwiek zranień...

To dlatego nie mogłem go trafić, przypomniał sobie Vesper pierwsze spotkanie z Ultorem. Nie przepuszczał moich kul...

- Aranea może być na tyle silna, żeby spróbować zdjąć moją osłonę - kontynuował Lord. - Czy jej się to uda, nie wiem. Ale powinienem być w stanie poradzić sobie z jej polem, przynajmniej jeszcze jakiś czas temu mi się to udawało. - Przez twarz przebiegł mu nieprzyjemny grymas, jakby nie lubił tych wspomnień. - Więc jak tylko zobaczę, że jej osłona słabnie, dam ci znak. - Zamilkł, spoglądając na nagle pobladłą twarz Vespera. - W stosownej chwili wyślę ci w myślach rozkaz - oznajmił po chwili. - A ty go wykonasz. Tak?

- Tak, Panie - odparł nocarz, starając się, by nie zdrzał mu głos. - Wykonam każdy twój rozkaz, Panie.

Ultor nie zmienił surowego, poważnego wyrazu twarzy ani na jotę.

- Od tego momentu renegaci będą na ciebie polować jak na nikogo innego - powiedział powoli. - Staniesz się ich celem numer jeden.

Vesper pokiwał głową, nie mówiąc nic. Oczywiście było, jaki rozkaz prześle mu Ultor. Przed oczami pojawiła mu się twarz Aranei. Jaka ona piękna, zaszalało mu w głowie. Jaka piękna...

Nagle dopadło go marzenie: dziwne, obce, jakby wepchnięte mu przemocą w mózg. On i Aranea idą razem po białej plaży, morze odbija się w jej oczach, które ani trochę nie są jak sztorm. Falują miękkim i łagodnym błękitem, a on czuje, że mógłby je kochać zawsze...

- W końcu renegaci cię dopadną - rzucił szybko Lord. - Nie miej złudzeń. Prędzej czy później uda im się, bez względu na to, jak bardzo będziemy się starali cię chronić. Ich wściekłość, ich determinacja będą nie do odparcia. Więc bardzo możliwe, że tak naprawdę żądam od ciebie śmierci. Rozumiesz?

- Rozumiem, Panie - potaknął Vesper, z wysiłkiem panując nad głosem. - Pomimo to... Wykonam ten rozkaz. Dla Nocy, Panie.

W myślach znów pojawiła mu się twarz Aranei, przysłaniając obraz Ultora i wywołując nagły skurcz serca. A potem dojmujący ból. Zrozumiał nagle z przeraźliwą jasnością. Chyba jednak był w niej troszkę... zakochany. Przymknął szybko oczy w obawie, że ich wyraz mógłby go zdradzić.

- Nie ma nikogo i niczego, czego nie poświęciłbym dla Sprawy - powiedział Lord Wojownik. - Bez względu na koszty. A ty?

Vesper zaczerpnął potężny haust powietrza, po czym wypuścił je powoli. Popatrzył na Ultora z niemym potwierdzeniem wyraźnie wymalowanym na twarzy.

- Możesz odejść - powiedział Ultor nienaturalnie spokojnym tonem. - Chyba już wszystko zostało powiedziane. Jakbyś miał jeszcze jakieś pytania... - zawiesił głos.

- Jesteś pewien, Panie, że renegaci tam będą? - wyszeptał nocarz nieśmiało, czepiając się złudnej nadziei. - Pełnym składem?

- Będą tam - odparł tamten z przekonaniem. - Na pewno.

Vesper milczał, wbijając wzrok w podłogę. Z minuty na minutę czuł się coraz bardziej przytłoczony oczekującym go zadaniem. Wykazać się za wszelką cenę. Wyeliminować wroga. Bez cienia litości zabić... Ją.

- Uważaj - rzucił Ultor bardzo dziwnym tonem. - Nie daj się jej zwieść. Nie wpuść jej do serca, do głowy. Aranea potrafi kłamać jak żadna inna. Zakręci tobą, omami cię, nawet nie będziesz wiedział, kiedy i jak.

Nocarz zadrzał. Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć Lordowi o swoich pełnych pożądania snach, pohamował się jednak. Być może Ultor uzna wtedy, że jednak wyznaczył mu zbyt ryzykowną rolę w jutrzejszym przedstawieniu. A wtedy żegnajcie marzenia o świętym spokoju i odsunięciu od siebie wszystkich podejrzeń raz na zawsze.

A zresztą może Lord i tak wie o tych snach. Zawsze wie o wszystkim, może więc o tym też. Może jednak zagłada mu do głowy czasem, tak na wszelki wypadek? A teraz po prostu stwarza mu okazję uwolnienia się od złego uroku. Na wieki wieków, amen.

Tak czy inaczej, Vesper powinien być mu za to wszystko głęboko wdzięczny. I bez wahania wykonywać wszystkie rozkazy.

- Nie mam więcej pytań, Panie - stwierdził więc głośno. - Dziękuję... za zaufanie. - Podniósł się z krzesła nieco chwiejnie. - To dla mnie zaszczyt, Panie - dodał z przekonaniem.

Ultor pokiwał głową, nie mówiąc nic. Nocarz wyszedł z gabinetu, zostawiając Lorda w bezruchu za biurkiem.



Vesper podążał korytarzem nieco chwiejnym krokiem. Przyglądał się tak dobrze znanym ścianom i drzwiom, wydawały się takie nierealne. Jakby widział je po raz pierwszy w życiu, pierwszym czy drugim, nieważne.

Dotarł do pustej sali telewizyjnej, podszedł do barku. Nalał sobie pełną szklankę krwi. Pił powoli, rozkoszując się jej smakiem. Wreszcie odstawił naczynie na blat. Podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz.

Tu też pusto. Jakby wszyscy nocarze zniknęli, jakby byli tylko snem.

Wiedział dobrze, że to nieprawda. Dzienna zmiana śpi, nocna odwała swój kawałek wachty. A mimo to dziwne było, że wciąż nie ma tu nikogo...

Wskoczył na parapet jednym zwinnym ruchem. Odbił się ciut mocniej, poszybował na dach. Popatrzył w dół.

Takie to było trudne kiedyś, pomyślał z gorzkim uśmiechem. Takie trudne.

Zeskoczył na ziemię, wywinął w powietrzu kilka salt. Wylądował miękko, pewnie, na obu nogach. Popatrzył znowu na dach. Jeszcze raz? Eee, nie. Po co. Nie.

Wrócił do telewizyjnej, śmigając przez okno. Popatrzył na barek. Jeszcze krwi? Eee, nie.

Podszedł do drzwi wiodących do ludzkiej części bazy. Oparł rękę na klamce, po czym za chwilę cofnął ją z powrotem. Przecież tak na dobrą sprawę wcale nie chce ich widzieć. Raczej nie.

Drzwi otworzyły się same, do sali wszedł rekrut.

Vesper cofnął się i odwrócił w kierunku drugich drzwi. Nie miał ochoty na żadne konwersacje, nie teraz. Zawrócił jednak, tknięty nagłą myślą. No tak, już dawno powinni to zrobić. Zapomnieli w ferworze walki i natłoku różnych spraw. Po prostu najzwyczajniej w świecie zapomnieli. Ktoś to jednak musi wreszcie zrobić...

- Przestań już się kłuć - wykrztusił, kładąc rękę na ramieniu rekrutowi. - Wiesz, to nie ma żadnego sensu. Wrobiłem cię. Przepraszam.

Tamten popatrzył na niego oszołomionym, pełnym niedowierzania wzrokiem.

- Że co? - wyjąkał zdumiony. - Aaale... Jak to?

- Trzeba było, żebyś się uspokoił - powiedział nocarz poważnie. - Nie miałem lepszego pomysłu. Dałem ci pyralinę... A potem sól fizjologiczną. Uwierzyłeś.

Młody powoli pokiwał głową. Vesper westchnął z lekkim zażenowaniem.

- Nie mieliśmy wtedy innego wyjścia - wyznał. - Trzeba by było cię skuć w Bunkrze, nie wiadomo na jak długo... No i nie wiedzieliśmy, co postanowi Lord w twojej sprawie.

Więc pomyślałem, że sól fizjologiczna i tak ci nie zaszkodzi. A potem trudno to było odkręcić, czekaliśmy, aż cię Ultor przyjmie do nocarzy...

- Dlaczego mi to mówisz? - spytał rekrut sucho. - Właśnie teraz? Co?

- Bo i tak już nie uciekniesz - odparł Vesper po prostu. - Wsiąkniesz w to środowisko ciałem i duszą. Więc po co masz się kłuć. Przepraszam, że dopiero teraz to mówię. I przepraszam... W ogóle.

Rekrut pokręcił głową, podszedł spieszonym krokiem do barku, nalał sobie szklanek krwi. Już prawie podniósł ją do ust, kiedy przypomniał sobie, że jednak jeszcze nie jest nocarzem. Odstawił więc naczynie na blat z głośnym stuknięciem. Część płynu wychlapała się na zewnątrz, zostawiając czerwone ślady.

- Więc... Mogłem odejść? - spytał człowiek nieco drżącym głosem. - Cały czas mogłem odejść... Tak?

- Tak - potwierdził Vesper. - Cały czas.

Rekrut odwrócił się do niego. Oddech mu przyśpieszył, twarz poczerwieniała.

- Wiesz co... To w takim razie cholernie ci dziękuję! - wyrzucił z siebie gwałtownie. - Bo jakbym mógł, to bym pewnie odszedł. A dzięki temu zostałem.

Vesper popatrzył na niego bystro. Nie widział śladu sarkazmu na twarzy. Czyżby młody mówił szczerze?

- Przeżyłem tu najpiękniejsze chwile mojego życia - oznajmił rekrut z mocą. - Chociaż wszyscy tutaj traktują mnie jak piąte koło u wozu i najniższą formę życia, to wiesz co? Przynajmniej we własnych oczach jestem kimś! - Pokiwał głową, jakby chciał dodatkowo podkreślić przekonanie, z jakim wypowiadał te słowa. - I uważam, że warto było tu trafić, naprawdę. Więc jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Bardzo.

Vesper przymknął oczy, nie mówiąc nic. Z niejasnych powodów było mu wstyd. Rekrut uśmiechnął się szeroko.

- A swoją drogą to dobrze, że się nie muszę już kłuć - stwierdził z ulgą. - Bardzo mnie to męczyło.

- Nie musisz - potwierdził Vesper ponownie, spoglądając na czubki swoich butów. - Jeszcze raz przepraszam.

- Nie ma za co! - Rekrut machnął ręką niedbale. - *No pain, no gain*, czy jak to tam było... Nieważne. Zmieńmy temat. - Popatrzył na niego z zaciekawieniem. - Słuchaj, podobno bierzesz udział w najbliższej akcji? - Przełknął ślinę zaaferowany. - To prawda?

Nocarz zareagował natychmiast.

- O plan akcji zapytaj Lorda - odparł z kamienną miną. - Ode mnie niczego się nie dowiesz. Sorry, kolego.

- Rozumiem, rozumiem, nic nie szkodzi - zatrajkotał tamten pośpiesznie. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że wiesz... - urwał na chwilę, w oczach błysnęło mu nieklamane uznanie. - Jak dla mnie jesteś gość z jajami - dokończył szybko. - I to nie takie tam wydmuszki, ale prawdziwe *cojones*, naprawdę.

Vesper wzruszył lekko ramionami. Co mam w takiej chwili powiedzieć, pomyślał z goryczą. To wszystko nie jest takie piękne, ani też takie łatwe, jak się wydaje.

- Dziękuję - rzucił po prostu. - Wybacz, ale będę spadać. - Uśmiechnął się do młodego nieco sztucznie.

- Jasne, jasne - powiedział rekrut. - Mnie nie biorą do tej akcji. To sprawa nie dla młodych, a już w ogóle nie dla ludzi, jak powiedzieli. No ale potem opowiesz mi wszystko ze szczegółami, co nie?

- Jasne - odparł Vesper, ruszając do drzwi. - Do jutra więc. - Skinął rekrutowi głową i wyszedł z sali.

Udał się do siebie, przyspieszając kroku tak, że w końcu prawie biegł. Wpadł do pokoju i zaryglował drzwi. Oparł się o nie, oddychając głęboko. Noc wpływała łagodnie przez otwarte okno. Jego kochana, ciepła, zawsze wierna Noc. Ale teraz nie nappełniła go ulgą jak zwykle.

Stał, dygocząc, przed oczami wciąż widniała mu piękna twarz Aranei. Zaś w uszach rozbrzmiewał nieustanny szum fal.



- Naprzód, naprzód!

Vesper biegł wpatrzony w plecy Nidora. Kiedy one zgarbiły się nieco, a potem zniknęły za zdemontowaną tylną klapą Mi-17, zanurkował w ślad za nimi.

Powietrze ustawiło go najpierw głową do dołu, przez chwilę pomyślał, że wywinie salto i wywali się na plecy. Wytrzymał jednak, wyginając kręgosłup do przodu z całych sił, aż wreszcie przecinane z zawrotną prędkością strugi zaczęły go układać w bezpiecznej płaskiej pozycji. Nie pozwolił im na to, ułożył ręce wzdłuż ciała i przypikował w dół. Zrównał się z poprzedzającymi go kolegami, otaczającymi Lorda Ultora regularnym wieńcem. Wtedy dopiero przeszedł do płaskiej sylwetki. Tuż za nim podochodzili ci, którzy później wyskoczyli ze śmigłowca, a teraz bezbłędnie zajmowali swoje miejsca w formacji.

Spadali niczym kamienie. Jeszcze nie zaczęli hamowania, czas, przede wszystkim liczył się czas. Sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę w swobodnym spadaniu, a wyskoczyli z czterech tysięcy metrów. Spokojnie, mają ponad minutę, zanim będą musieli zacząć zwalniać.

Nocarz popatrzył w dół. Gmach Politechniki był już doskonale rozpoznawalny, piloci naprowadzani GPS-em nie zawiedli ani odrobinę.

„Teraz!” - przesłał Lord.

Vesper skupił się na ziemi wybiegającej im na spotkanie. Odepchnął ją lekko, z wyczuciem, uważając przy tym, by zmniejszać prędkość w takim samym tempie jak Ultor i otaczający go towarzysze. Manewr wymagał wyjątkowej precyzji, nie można było sobie pozwolić nawet na odrobinę utraty równowagi. Vesper spał się jeszcze bardziej. Jak dobrze, że uprawiał kiedyś te cholerne skoki do wody, przemknęła mu przez głowę krótka myśl. Przewodzenie ciała w powietrzu miał bezbłędne. Udało się!

Formacja zwolniła, ale tylko trochę. Budynki rosły pod nimi, wydawały się wdzierać tuż przed oczy. Jeszcze chwila, a uderzą w nie z całą rozpędzoną siłą...

„Teraz!” - powtórzył Lord.

Zahamowali, niemalże w ostatniej chwili odpychając dachy idealnie wymierzona myślą. Zaraz potem formacja rozsypała się, część nocarzy przemknęła nad witrażowym dachem auli i wylądowała na frontowej części. Tam precyzyjnie się przez okienka poddasza, by wąskimi, krętymi schodami zbiec czym prędzej na najwyższe piętro galerii.

- *Go, go, go!* - zadźwięczało Vesperowi w uszach, to pretorianie lądujący wokół Lorda zagrzewali się do walki.

Ultor wraz z obstawą wylądowali na dachu lewej klatki schodowej, przyklejonej z tyłu gmachu auli. W mgnieniu oka zniknęli w środku. Tuż za nimi kolejni nocarze.

Rzeczywistość Vespera przyspieszyła nagle, stając się niesamowicie nadostro wyrażnym filmem odtwarzanym na podglądzie. Dach bliźniaczej prawej klatki. Framuga okna, własne nogi zwisające w dół, potem brudnożółte wnętrze pomieszczenia. Kołyszące się przed oczami schody, z przodu wciąż szerokie plecy Nidora.

- *Go, go, go!*

Dopał swego stanowiska w ułamkach sekund. Oparł kolbę karabinka G36 o parapet, błyskawicznymi ruchami zaczął omiatać salę końcem czarnej lufy. Pochylone sylwetki przemikały galerią naprzeciwko. Lord wraz z pretorianami dobiegał już do tarasu.

Młody nocarz westchnął lekko, wyczuwając krzepiącą obecność Nidora za plecami. Kapitan warował w napiętym wyczekiwaniu przeciwników, kontrolując korytarze galerii i szklane drzwi czytelnicy nieopodal, naprzeciwko ich stanowiska.

Vesper zespolił się w jedno z bronią, czerwone kółko z kropką celownika kolimatorowego stało się jego narządem wzroku. Zawiesił ulotne spojrzenie na Ultorze, majstrującym przy skrzynce wielkiego zegara nad schodami. Potem poszybował wzrokiem ku witrażowemu dachowi rozpostartemu nad aulą. Dalej spozjrzał w dół, na dziedziniec. Wrócił wzrokiem na galerię trzeciego piętra, w prawym rogu ujrzał skupioną minę Fulgura, a tuż za nim czujną, napiętą twarz Alacera.

Czysto, na razie czysto.

Kątem oka zauważył jakiś ruch cienia na dole, spozjrzał w tamtym kierunku.

Seria nagłych wybuchów wstrząsnęła salą, wspomagana potokami światła. To poleciały flashbangi. W odruchu bólu zwęził nadwrażliwe wampirze źrenice, przymknął powieki...

Kiedy je otworzył, jakiś cień przemknął mu przed oczami. Zamazana postać śmignęła w górę tuż przed nim i zatrzymała się w powietrzu przed tarasem, *vis-a-vis* Ultora. Galeryjka poniżej zaroła się od czarnych postaci, przyspieszone bicie serca oznajmiało nieomylnie, że oto przybyli renegaci.

- A więc się spotykamy - usłyszał głos z tyłu.

To mówił Nidor, i to takim tonem, jakby...

Witał Nexa, Vesper wiedział to na pewno. Zglupiał na chwilę, nie wiedząc, co powinien zrobić. Odwrócić się do Nexa, strzelać do renegatów piętro niżej, czy może...

„Stać!” - huknął mentalny rozkaz.

Vesper poderwał w górę broń, odszukał wzrokiem Ultora. A potem przełknął ślinę.

Dwóch Lordów stało przed sobą twarzą w twarz. Wszyscy na sali zamarli w bezruchu, jakby film został zatrzymany na chwilę.

Lordowie mierzyli się spojrzeniem.

- Oddasz mi to - powiedziała nagle Aranea czystym, ostrym głosem. - To jest moje.

Ultor rozciągnął wargi w powolnym, surowym uśmiechu.

- Nic już nie jest twoje, dziewczynko - wycodził z mocą. - Straciłaś już wszystko... Wszystko, rozumiesz? Wszystko!

Jej twarz wykrzywiła się w niemal identycznej kopii jego miny.

- Jakbym kiedykolwiek coś miała... - odparła z wystudiowaną wzgardą. - Nic, co warto byłoby zatrzymać w każdym bądź razie.

Opuściła nieco głowę, patrząc na byłego kochanka spode łba. Przeszła w powietrzu kilka kroków, ustawiając się do niego bokiem, niczym szykująca się do ataku tygrysa.

Jaka ona piękna, przemknęło Vesperowi przez myśl.

Ultor wyszedł naprzeciw Lorda Renegata, przesadzając balustradkę jednym niemal leniwym ruchem. Wyraźnie chciał dać Aranei do zrozumienia, że wciąż jest tylko małą dziewczynką... I że tak naprawdę to po prostu ją lekceważy.

Natychmiast zapłonęła wyraźną wściekłością. Wyciągnęła prawą dłoń. Strzał skumulowanej energii pomknął w kierunku Lorda, odbił się od niewidocznej bariery, rozprysnął na boki.

Vesper poczuł, jak porażający strach zaciska mu gardło. Skóra mu ścierpła w okamgnieniu, zimny pot popłynął po plecach. Mięśnie zaczęły się szamotać w drgawkach, serce waliło jak oszalałe. W mózgu zaś pojawiła się jedna tylko myśl: uciekać! Uciekać stąd jak najszybciej!

Powiódł nieprzytomnym wzrokiem po sali, tracąc na moment z oczu swój cel. Zobaczył, jak wszyscy trzęsą się w jednakowym przerażeniu, otoczyły go dziesiątki pobladłych, spoconych twarzy z osłupiałymi oczami... Miał ochotę krzyknąć i wiedział doskonale, że pozostali też tylko tego pragną.

Skupił się, opanował czym prędzej. Rykoszet, to był tylko rykoszet Mocy, uspokoił się w duchu. Opanował drżący oddech, przywarł z powrotem do celownika.

Aranea i Ultor krążyli wokół siebie powoli, niczym dwa wściekłe wilki, które zaraz się zetną w krwawym pojedynku, ale jeszcze przez chwilę węższą, analizują, oceniają przeciwnika.

Nagle Ultor uśmiechnął się, patrząc w oczy swej byłej kochance. I skinął dłonią czułym, ledwo widocznym gestem.

Aranea zatrzymała się, dysząc ciężko. Wyraz dojmującego cierpienia pojawił się na jej twarzy, po czym zniknął, przegnany przez niemalże nieprzytomną wściekłość.

- Graj *fair*, skurwysynu! - wyszczała z furją. - Nie...

- Dlaczego miałbym? - przerwał jej zimno, cynicznie. - Poza tym nie mów, że nie podobały ci się tamte słodkie chwile... Chciałem sobie tylko powspominać. Tylko to.

Ten obraz, zrozumiał Vesper. Idę razem z nią po plaży, wszystko wokół rozśpiewane jest szczęściem... To wcale nie było żadne z moich marzeń, to ich własne wspomnienie, które z nich wtoczyło mi je do głowy. Ale które? I po co? Dlaczego?

Karabinek zaczął dygotać w jego rękach, czerwone kółko z kropką w środku rozjeżdżało się, traciło kształt, potem zbierało się z powrotem. Czuł, jak krople potu spływają mu po czole, za chwilę zaćmią oczy, dotrą do warg, zaznaczą solą swój smak...

Nie otarł ich jednak. Trwał nieruchomo jak wszyscy pozostali: nocarze, pretorianie i renegaci zastygli w jednym wspólnym oczekiwaniu na wynik pojedynku Lordów.

Vesper przełknął więc ślinę. Próbował skupić się na wodzeniu celownikiem za postacią Pani Renegatów. Ale nagle zaczął widzieć jakby podwójnie. Aranea rozmazywała mu się, nakładała i splatała z Ultorem w nieswoich wspomnieniach. W zadyszonym pożądanym, w pośpiesznym połączeniu wygłodniałych ciał.

„Strzelaj!” - padł nagły rozkaz Lorda.

Vesper odszukał w popłochu wciąż nie do końca wyraźną twarz Aranei. Pociągnął za spust. Czarna postać zachwiała się i błyskawicznie spadła na dół. Rozległo się głuche łupnięcie ciała o kamienną posadzkę.

A potem Vesper zobaczył pełne triumfu spojrzenie Pani Renegatów, patrzącej wprost na niego z wysokości tarasu. Popatrzył więc w dół, zmrożony panicznym, paraliżującym strachem.

Ultor leży na ziemi w rozpełzającej się pośpiesznie dookoła kałuży krwi.



Nagła kaskada zdarzeń. Oczy Fulgura z naprzeciwka, patrzące na Vespera z niewiarygodnym zdumieniem, potem niemy wrzask Alacera „Zdrajca! Zabij!”. Potworna siła szarpie zniemacka jego ciałem, Vesper wali się na ziemię u stóp osłupiałego Nidora. Ten, jak w koszmarnym śnie, podnosi broń, mierzy mu między oczy... Waha się jednak, a potem już nie ma czasu na podjęcie decyzji, rzuca się na niego Nex. Obaj zwierają się we wściekłym starciu.

Nocarze i pretorianie zrywają się z miejsc, wysypują się w dół, pędząc czym prędzej do znieruchomiałego na ziemi Lorda. Renegaci prują do nich jak do kaczek pełną nieskrywanej satysfakcji kanonadą. Kule świszczą w powietrzu, rykoszetują wśród ścian. Nocarze dopadają Ultora, chwytają go pośpiesznie, biegną ku hallowi głównego wyjścia, ostrzeliwując się z wyraźnym trudem. Nie ma nikogo, kto nie dostałby chociaż raz. Vesper słyszy ich telepatyczny rozpaczliwy krzyk.

Nidor wyrywa się Nexowi, z wyraźnym wysiłkiem przerywając pojedynek. Przypomina skrwawionego zombie, kiedy rzuca jeszcze jedno osłupiałe spojrzenie na leżącego bezwładnie na ziemi Vespera. Odpowiada jednak na rozpaczliwy zew kolegów zajmujących się

Ultorem, przesadza balustradkę i leci czym prędzej w dół wśród nieustającej wymiany ognia. Nex rzuca się w ślad za nim, przystaje jednak tuż przed barierką, pojmując szybko, co się właśnie dzieje.

Któreś z kul docierają aż do sklepienia, rysując na nim siateczkę pęknięć. W chwilę potem witraż opada z hukiem, siejąc tysiącami ostrych jak brzytwa odłamków. Rozrywają po drodze tynki, w tumanach kurzu nie widać nic.

Vesper leży na zimnej posadzce galerii. Próbuje się ruszyć, nie może, zalewany falą własnej gorącej krwi. Już raz tak umierałem, myśli z zadziwiającym brakiem jakichkolwiek emocji. Patrzy w sufit korytarza, biel i beż zlewają się w coraz bardziej wszechobecną mgłę.

Nagle pochyła się nad nim twarz Lorda. Jak Ultor niegdyś, tak teraz Aranea przygląda mu się z uwagą. Dookoła gęstnieje tłum renegatów.

Przykucają przy nim, odbierają mu broń, rozpinają nieco kombinezon. A potem na jedno skinienie swej Pani kilka rąk podnosi Vespera ku górze. Biegną do czytelnicy, dźwigając go na własnych barkach. Nocarz z trudem rozpoznaje otoczenie. Ogarnia go dziwny stan, jakby już za chwilę miał zasnąć... A jednak resztkami sił kurczowo trzyma się umykającej świadomości.

Renegaci pędzą co sił, wewnętrzną klatką schodową czytelnicy skaczą z trzeciego piętra na pierwsze. Szybkie przejście przez szeroko otwarte szklane drzwi, prezydent Narutowicz patrzy na nich z pomnika z wyraźnym zdziwieniem. Ale może się tylko tak Vesperowi wydaje...

Biegną w prawo korytarzem, potem skręcają w klatkę schodową. Pewnie, sprawnie, bez cienia wahania. Widać odrobili lekcje, płacze się Vesperowi po głowie. Byli tu nieraz.

Dziwny stan, pół snu, pół jawy. I żadnych emocji. Wszystko dzieje się bez własnego udziału Vespera, niczym film wyświetlany dookoła niego z setek projektorów. A świat na zewnątrz opatula nocarza grubym, nieprzenikalnym kokonem. Odgradza się, jakby już nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Renegaci wypadają na dziedziniec. Tam czekają na nich BMW X5 Security, kierowcy grzeją silniki, wozy są gotowe do startu.

Jak oni mogli to przeoczyć, płacze się po głowie Vespera. Zabezpieczenie kontrwywiadowcze zawiodło na całej linii. Owszem, atak miał być od góry, a dziedziniec przesłonięty jest płachtami grubego materiału, może nie widzieli, powinni jednak przejść się na dół, sprawdzić, na pewno to zrobili, może te wozy nie kłuły nikogo w oczy w towarzystwie innych beemek i audic rektorów, zresztą czy to ważne, nie już nie jest ważne, nie...

Vesper zaczyna zapadać się w mięciuteńką, aksamitną ciemność. Jego ciało wiotczeje, zaniepokojeni renegaci natychmiast kładą go na ziemi.

Gdzieś z daleka, jakby z kosmosu, nadpływa nad niego piękna, zatroskana twarz Aranei. No tak, nie zabił jej przecież. Zabił tego drugiego Lorda, chyba, zresztą nie pamięta za dobrze, wszystko takie było dziwaczne, splątane... Świat ciemnieje całkowicie, robiąc się coraz bardziej miękkiem i przyjaznym. Jakby znowu witała go Noc.

- Stracimy go, Pani - stwierdza jakiś głos. - Nie mamy szans. Już odjeżdża.

- Dajcie mu krwi - rozkazuje Lord Renegat zdecydowanie. - Prawdziwej, powinna mu dodać kopa. Może to pomoże? I tak nie ma już nic do stracenia.

Vesper czuje, jak ktoś siłą otwiera mu usta. W chwilę potem lepki, ciepły płyn spływa mu w dół gardła gęstą strużką. Przelyka go odruchowo,omalże się krztusząc. Nic się nie dzieje. Nic a nic.

A w chwilę potem ciemność cofa się.

Były nocarz otwiera oczy.

Wszechświat wlewa mu się szeroką strugą przez nagle rozwarłe źrenice. Vesper unosi lekko głowę, patrząc wokół z zachwytem. Księżyc przetacza się srebrnym strumieniem po dachach, dookoła szaleje ciepły zapach traw. Otaczający go dotąd stłumiony kokon niknie bezpowrotnie. Wszystko jest tak niewiarygodnie ostre, tak dojmujące, tak rzeczywiste... Wszechświat jest tutaj.

- Oooch... - jęczy Vesper radośnie. - Oooach.

Próbuje wyciągnąć rękę, by dotknąć tego cudu, który rozacza mu się nagle przed oczami. Wciąż jednak nie może się ruszyć, jest bardzo słaby, choć przytomny. Renegaci podnoszą go, pomagają wsiąść do wozu. Vesper opiera się o zagłówek, patrząc za szybę zachwyconym spojrzeniem.

Jaki kurewsko piękny świat.

- Ruszamy, gazu, już! - ponagla Nex, siadając obok kierowcy.

Aranea trzyma Vespera za rękę, patrząc na niego badawczym, troskliwym wzrokiem. Ten opiera czoło o chłodną szybę beemwicy. Właściwie to wszystko jedno, kto go teraz wiezie, stwierdza w duchu. Byle się stąd wyrwać, byle ochronić własny tyłek. Na szczęście nocarze nie będą go teraz ścigać, mają inne rzeczy do roboty. Przede wszystkim pędzą co sił do swojej bazy w Emowie, modląc się, żeby im ten ich Lord nie wykitował. Bo bez niego są przecież niczym dzieci we mgle.

Opancerzony pojazd wytacza się przez wewnętrzną bramę. Skręca w lewo...

- Stój - rzuca Vesper z wysiłkiem. - Snajper mocarzy na kominie. Jedź w prawo.

Kierowca rzuca krótkie spojrzenie w lusterko.

- Ale tam na bramie jest już policja... - mówi szybko do Aranei.

- Chuj tam z policją! - Vesper zanosi się nieprzyjemnym, chrapliwym śmiechem. -

Najwyżej powiem im, żeby spierdalali, bo Abwehra ma tu robotę.

Lord Renegat kiwa głową.

- W prawo - rozkazuje krótko.

Kierowca skręca zgodnie z poleceniem. Vesper próbuje sięgnąć do wewnętrznej kieszeni, jednak ręka opada mu bezsilnie. Nie wie, czemu bardzo go bawi ten fakt.

- Ty mi to wyjmij, mała - odwraca lekko głowę, patrząc na Araneę. - Legitymacja, jest w środku.

Delikatne palce wślizgują mu się pod ubranie. Mmm, mruczy z rozkoszą. Oby tak dalej, maleńka, właśnie tak. I nie bądź zbyt prędką w tym odnajdywaniu, dobrze? A może poszukaj jeszcze gdzie indziej, na przykład niżej trochę...

BMW zatrzymuje się, Vesper wygląda przez szybę. Wśród otaczających go policjantów widzi znajomą twarz Okruszka. A więc jednak, draniu, koniecznie chciałeś tu być, no proszę.

Uśmiecha się do ateka porozumiewawczo, tamten patrzy na niego z wyraźną ulgą. Potem odwraca się i tłumaczy coś kolegom z ożywieniem. W międzyczasie Aranea przyciska do szyby legitymację oficera ABW.

Policjanci machają, pozwalając im przejechać. Konwój trzech opancerzonych samochodów wytacza się powoli na ulicę. Potem stopniowo rozpędza się.

Vesper patrzy przez szyby, Warszawa przemyka przed jego oczami z zawrotną prędkością.

Tu i ówdzie migają samotni przechodnie. Bardzo apetyczni, do tego banalnie łatwi jako cel. Wampir przeciąga językiem po kłach niczym sztylety, gotowych do zadania błyskawicznego ciosu. Ech, mają szczęście ci ludzie, że nie jest głodny. Przynajmniej nie teraz.

- Dobrze, że ci policjanci byli tacy mili - uśmiecha się nagle Aranea, w jej głosie wibruje wyraźna ulga. - I w ogóle wszystko poszło wspaniale... Dzięki tobie, Vesper.

Bohater dzisiejszej nocy odwraca się, przelotnie zauważając rozjarzone w ciemnościach oczy Nexa. Coś się panu nie podoba, generale? - rzuca wzgardliwie w myślach. Dni pańskiej kariery są policzone, chyba nie ma pan co do tego żadnych złudzeń. Skończył się czas Winorośli, oto Wojownicy przychodzą zebrać należny im hołd.

- Policjanci musieli być dla mnie mili - rzuca twardo. - Od tego przecież są. To w końcu tylko ludzie.

Kładzie dłoń na kolanie Aranei, ta nie protestuje słowem ni gestem. Ba, wygląda nawet, jakby była zadowolona z takiego obrotu spraw. Vesper wykrzywia wargi w drapieżnym uśmiechu.

- Inaczej zabiłbym ich wszystkich - rzuca z mocą. - I wychłęptał całą krew.

Jakiś odbłysek na dole przykuwa jego uwagę. Na podłodze, tuż u jego stóp, leży legitymacja, porzucona niedbale przez Panią Renegatów. Migotliwe światło gwiazd odbija się zimnym blaskiem od srebrnego orzełka w koronie.

Vesper wzrusza ramionami i wzgardliwym ruchem nogi przesuwając dokument pod przedni fotel. Niech nie oślepie.

Relikt głupiej przeszłości, nie będzie mu już potrzebny.

Jestem prawdziwym dziećciem Nocy, myśli pełen satysfakcji. Jakbym po długiej podróży powrócił do domu.

- Zabiję ich wszystkich - mruczy z dziwną radością w głosie.

A potem odwraca się i patrzy na księżyc, wznoszący się triumfalnie na niebie.

